DZWONEK.

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Tom IV.

LWÓW,

Druk i nakład E. Winiarza.

1861.

SPIS RZECZY
zawartych w Tomie IV.

I. Żywoty świętych, legendy i rozmaite historje święte:

stronica.

Czyste sumienie, przez Grzesia z Mogiły . . . 1
Wesoła poczciwość . . . 17
Trzy sierotki, p. ks. Wojciecha z Medyki . . . 81
Ukarana chciwość . . . 97
Złote i czarne kłosy!, p. Ludkę z Myślenic . . . 113
Święty Kaźmierz, p. ks. Wojciecha z Medyki . . . 129
Chrystus nam zmartwychwstał, Alleluja! . . . 145
Zły syn, p. ks. Wojciecha z Medyki . . . 166
Wdowa z sierotką, p. tegoż . . . 193
Święta Zofja i trzy jej córki . . . 209

II. Powiastki, gawędy, opowiadania i obrazki z historji polskiej:

Strachy (z Czytelni niedz.) . . . 6
O szewcu-pułkowniku, p. Paulinę Wilkońską . . . 20
Bracia Olbrachta, królowie polscy, i zdrajca Gliński, p. Grzesia z Mogiły . . 33
O Bajdzie i Bajdowskim, dwóch braciach, opowiadał Stach (M. Bałucki) . . . 37
Zygmunt stary, król polski, i Jan z Tarnowa, wojownik, p. Grzesia z Mogiły . 49
Pokusa, p. tegoż . . . 53
Zygmunt stary i Bona, p. tegoż . . . 65
Niedzielna pogwarka, opowiadał Stach . . . 70
Król Jan III. w Jaworowie, p. J. T. . . . 87
Jako i u nas też są złodzieje, opowiadał Joachim Sobecki (T. Lenartowicz) . . 117
Jarmark w Myślenicach, p. Ludkę . . . 122
Wróż, spisał Fabjan Klus . . . 132, 148
Co rozpowiadał siwy dziaduś z za Wisły . . . 141
Boża męka (z Roku wiejskiego) . . . 154
Jakto Jacenty Gajowy z próżniaka Franka zrobił poczciwego gospodarza (Km.) 157
Zygmunt August i Barbara, p. Grzesia z Mogiły . . . 161
Zygmunt August, dalszy jego żywot i śmierć . . . 177
Zagroda, opowiedział Stach . . . 181
Dziady, spisał Fabjan Klus . . . 200
Pieniacze (z Kmiotka) . . . 206
Krzywda sieroca, opowiedział Stach . . . 213
Henryk Walezy, cudzoziemiec, król polski, p. Grzesia z Mogiły . . . 225
Uczynny chłopek, p. ks. Wojciecha z Medyki . . . 229
Stefan Batory, król polski, p. Grzesia z Mogiły: I. wojna z Moskalem . . . 241
II. sprawa z Kozakami . . . 258
III. Hetman Zamojski . . . 273
Dziadek pod figurą, (z Kmiotka) . . . 247
Posag przed ślubem, p. Marcina Bałandy . . . 262
O konstytucyi trzeciego Maja, przez Paulinę Wilkońską . . . 278
Śmierć zacnego pana, przez też . . . 280

III. Wiersze:

Gadka Kuby z Jurkiem, o wiośnie, złożył Jaśko Żuczek . . . 5
Do Wisły, Teofila Lenartowicza . . . 20

stronica.
Śpiewka przy kominku, p. Grzesia z Mogiły 36
Pieśń do Matki Boskiej gromnicznej, złożył Grześ z Mogiły 52
Stachowa skrucha (M. Bałucki) 68
O dobroci Boga, złożył Jan z Czarnolesia 86
Śpiewka o pracowitym Franku, złożył Grześ z Mogiły 100
Co mówił Zrzęda, spisał Jaśko Żuczek 116
Pieśń do św. Kaźmierza, złożył ks. Wojciech z Medyki 131
Alleluja, przez Grzesia z Mogiły 147
Halczyna śpiewka, p. Halkę z Podgórza 165
Pieśń do św. Wojciecha, ułożył ks. Wojciech z Medyki 180
Wiosna, p. T. Lenartowicza (przedruk) 199
Pieśń do Najświętszej panny 213
Śpiewka z dawnych czasów, p. Grzesia z Mogiły 228
Stary nędzarz, p. W. B. K. (z Gw. Ciesz.) 246
Pamiętajcie ludzie! złożył Rusin z Wieckowic (Platon Kostecki) . . . 261
Maliny, p. Al. Chodźkę (przedruk) 277

IV. Piękne przykłady

Sebastjan Kubinek 46
Kmieć Golik, p. Grzesia z Mogiły 108
Szkółka w Zadworzu, p. tegoż 267
Ptaszki przez R. z W. 285

V. Rady, przestrogi i rozmaite nauki.

Szkoła (ze Szkółki niedz.) 13
Pogadanki starego pszczolarza, przez Adama z Pepłowa (Mieczyński) 26
Zły sąsiad (z Kmiotka) 30
Gosposiom nauka, jak mieć nabiał dobry 42
Pogadanka wiejska (z Kmiotka) 64, 174
Ciekawy Wojtuś, przez Grzesia z Mogiły: Wełna i bawełna 75
Gołębie 172, 187
Telegraf 282
Rady dla gospodarzy (Sz. N.) 79
Pogadanka starego rolnika (z Czytelni niedzielnej) 101
Obowiązki wyrobników (z Szkółki niedz.) 127
Gospodarska pogadanka, o warzywach, (według Estkowskiego) . 190, 204, 220, 236

VI. Różności.

Szkółka niedzielna 15
Dziwna książka do nabożeństwa . „
Pożar 16
Jak dawniej robiono wozy . . . . „
Plotki 32
Cudowne odkrycie 47
Strach, nie bardzo straszny . . . „
Życzliwy sąsiad . . . . „
Niechlujna dziewka 48
Pożar 95
Zawzięta kumeczka . . . . „
Królewski trefniś 111
Kto nie ma chęci, ten wie jak wykręci . . . . „
Jak to bywa gdzie indziej . . . . „
Parobki hulajdusze 128
Leniwy Wojtuś 128
Rozum gromadzki 143
Rok wiejski 159
Święcone 160
Jak car Iwan groźny posty przyjmował 192
Jakto z skowronków złe bywa jedzenie . . . . „
Pożary, Rabunek 223
Siłacz nad siłacze, Pogoda . . . 224
Jak poznać ile koń ma lat . . . 255
Kto na prawdę bogaty? 256
Powódź, pożary 270
Przytrafunek z życia naszego Ojca św. 271
Czego ty szukasz? 269
Grad 270

VII. Dawne przysłowia, przypowieści i wyjątki z pisma świętego.

stronica: 32, 48, 96, 112, 144, 176.

Tom IV. Nr. 1.

1. Stycznia 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Czyste sumienie.

Mroźny wiater przeciągał polami i podnosił setne chmury śniegu, a tak niemi do równości pozamiatał wszystko, że mało gdzie wystawały koniuszki jałowcowych krzaków. Obrośnięty parów zaprószyło także, i ledwie, że widzieć można kilka ubogich zagród, i dzwonicę od kościółka na drugim końcu parowu.

Nad zamarzłym potokiem stoją niedaleko od siebie dwie chałupiny, a to już co najgorsze, bo bez mała na pół rozwalone. W jednej mieszka stary Walenty, a w drugiej jeszcze starszy Józef. Obydwaj sami, bez dzieci i bez żadnych krewnych.

Była to prawie noc przed Nowym rokiem.

Walenty siedział wedle komina, sam jeden jak palec w chałupie. Trochę mokrego chróstu ze starego płota jarzyło się w kominie, a z dworca słychać było, jak wiater poszycie z dachu odrywa.

Zimno było i smutno: Walenty patrzał się w ogień ponuro, a smętne myśli chodziły mu po głowie:

— Jutro nadchodzi znowu rok nowy, a pan Bóg trzyma mię ciągle na tym świecie. Boże mój, Boże, kiedyż koniec tej

karze! Będzie temu lat czternaście... podmówili mię, i ja poszedłem głupi, a rabowałem dwory i zabijałem bez upamiętania... Hej, hej czternaście lat, a ani chwili spokojnej! Jakem wyszedł z czarniawą, to i gospodarstwo było dobre, i żona młoda i dzieci czworo... a teraz siedzę sam jak palec i proszę Boga żeby mię zabrał z tej ziemi... Zagroda się spaliła; a jak ją pobudowałem za zrabowane pieniądze, to grad w polu wybił. Poczciwe żonisko zmarło ze zgryzoty. Najmłodszy utonął w stawie, starszego zabili na wojnie, ostatni się rozpił, a będzie dwa tygodnie, strzaskało go drzewo w lesie. Zaś córka, hej niepoczciwa córka uciekła z domu za żołnierzami. I cóż dla mnie starego na tym świecie? Ha czarci mię porwą niezadługo!

I mruczał stary Walenty, a trząsł się od zimna i bojaźni, tak straszliwie mu było w walącej się chałupie.

W drugiej chacie stary Józef stał przed kominem i rozdmuchiwał ogień w szczypkach. I tu było zimno i pusto, a przecież Józefa twarz wesoła i rumiana, choć bielutkie jak śnieg włosy spadają mu na ramiona i starość go pochyliła do ziemi.

Rozdmuchiwał stary szczypki i śpiewał ładną pieśń nabożną, a wtem drzwi skrzypnęły i weszła jakaś kobieta z drwami na plecach.

— Pan Bóg z wami Józefie! Przyniosłam wam trochę drzewa, bo dziś srogie zimno. —

Stary wyciągnął ręce z radością:

— Oj Bóg że wam zapłać moja Marcinowa, że pamiętacie o starym, choć na świecie brzydko, że i psa żal wygonić. —

Marcinowa otrzepała śnieg z płótnianki, i wzięła się do zrobienia ognia na kominie.

— I cóż słychać, Józefie! O Antosiu? nie ma jakiej gadki?—

— Hej, hej nie ma moiściewy — odrzekł stary i potrząsł smutnie głową. — Mój Antoś, moje dziecko, musiało gdzieś zginąć między ludźmi.. —

— Pan Bóg łaskaw — odrzekła Marcinowa, może was jeszcze pocieszy na starość!..

A na dworze wiater świstał i trząsł sobie zbutwiałą okiennicą. Aleć za to na kominku zabłysnął już jarki ogień, a oświecił i ogrzewał starego Józefa. Marcinowa przystawiła do ognia

garnek z jadłem dla staruszka, a wnet i wyszła z chałupy Józefowej, bo czas jej było wracać już do swoich.

Staruszek siadł wedle komina, a myśli chodziły mu po głowie. Nie były one takie czarne jak u Walentego, bo Józef miał *czyste sumienie*, a za całe swoje życie nie obawiał się sądu Bożego. Aleć nieszczęściem próbuje Pan Bóg i najlepszych ludzi, więc i Józef był biednym i nieszczęśliwym w swojem życiu.

Padło nieszczęście na całą ziemię mazurską i ruską, bo ją naszedł nieprzyjaciel i zawojował. A jak który Mazur czy Rusin chciał się upomnić o wolność, to go zabijali, albo wysełali daleko na śmierć głodową. Przecież się trafiło, że ludzie zrywali się do strzelby i do kosy na nieprzyjaciela; a skoro się raz tak zerwali, to poszedł i Józef na tę wojnę; a odeszedł gospodarki, żony i dwojga dzieci.

Niepowiodło się naszym na wojnce, a nieprzyjaciel znowu wziął za łeb wszystko, i kazał robić i płacić na siebie. Stary Józef wrócił z raną w nodze do swojej wsi, i zastał w domu nieszczęście. Nieprzyjaciele spalili i zrabowali wieś; żona i córka Józefa umarły w nędzy i tęsknocie, a syn Antoni poszedł w świat daleki.

Stanęło Józefowi serce w piersiach od wielkiego bolu na taki widok straszny; a potem pochwalił Boga i jego Wolę Świętą, i został się w chacie. I był odtąd stary Józef spokojny, bo czuł, że zrobił wedle woli Bożej, i ludzkiej, bo miał *czyste sumienie.*

Ludzie czcili Józefa i pomagali staremu w czem mogli; a Walentego nikt nie odwiedzał choć był samiuteńki, i każdy bał się go, bo powiadali, że zabijał i rabował, lat temu czternaście...

Teraz siedział przy ogniu stary Józef i dumał o synu Antonim, czy też nie powróci? A stary Walenty siedział przy kominie, i przeklinał w myśli swoją córkę co uciekła z żołnierzem.

I późno w nocy położył się Józef i spał spokojnie i sny miał słodkie; a Walenty nie mógł oka zmrużyć, bo go trapiły straszliwe widziadła.

Zawitał mroźny poranek, a z porankiem i rok nowy na naszą biedną ziemię. Wiater ustał, cicho było jakby mak siał, a czysto na wysokiem niebie. Słychać było dzwonek od końca parowu, co wołał na mszę ranną do kościoła bożego.

Zerwał się Walenty z pościeli. Włosy siwe jak szopa sterczały mu na głowie; pełno w nich słomy i pierza. Duszno się zrobiło w izbie staremu grzesznikowi; poszedł do drzwi, chce otworzyć, ruszył — ale drzwi się nie ustąpiły. Pobladł Walenty ze strachu; pchnął z całej siły i drzwi usunęły się do połowy.

Wybiegł stary przed chałupę, spojrzy pod drzwi uchylone — a tu leży kobięta młoda, skośniała i bez życia, a na jej rękach maleńkie dzieciątko, biedactwo także skośniałe.

Walenty nachylił się i spojrzał lepiej.

— Córka moja! — zawołał straszliwym głosem, zacisnął pięści, zatoczył się i upadł.

Na on krzyk zbiegli się ludzie i ratowali Walentego, bo Jezus Chrystus każe być pomocnym i najgorszemu zbrodniarzowi. Nadeszedł i stary Józef, bo tędy właśnie była mu droga do kościoła.

Józef staruszek nie był już zdatnym do pomocy; więc zostawił to młodszym, a sam poszedł pomodlić się za duszę córki Walentego, i za jego zdrowie.

Prawie była msza poranna we wiejskim kościele. Ludzie schodzili się powoli przywitać rok nowy modlitwą do Boga. Józef ukląkł sobie niedaleko ołtarza i tak się starowina zatopił gorąco w modlitwie, że nic nie widział ani słyszał koło siebie. A było mu jakoś cudownie wesoło i lekko na sercu w onej chwili uroczystej.

Aż nagle uczuł Józef, że go ktoś po ramieniu nie mocno uderzył. Oglądnął się stary, patrzy, jakiś pan młody a czarno ubrany stoi przed nim i wyciąga ręce do niego. Spoglądał Józef chwilę, aż w końcu puściły mu się łzy ze starych oczów jak dwa sznurki pereł; podniósł ręce do góry: — O Boże, dzięki Tobie! — zawołał, i upadł krzyżem u stopni ołtarza. A ów pan młody upadł także krzyżem obok staruszka, i korzył się w modlitwie przed Bogiem.

Był to Antoni, syn Józefa, co przed laty kilkunastu poszedł ze spalonej chałupy szukać chleba w świecie.

Tak pan Bóg karze zbrodnię, a nagradza cnotę i czyste sumienie. Antoni, syn Józefów, dorobił się pracą i pilnością majątku wielkiego w dalekim świecie, i przyszedł wziąść ojca ze sobą, a dać mu wygody i obsłużyć go choć w późne lata. Staruszek dziękował Bogu z głębi serca za tę radość niewymowną z nowym rokiem. A skoro przejeżdżali wedle chaty nad potokiem, to stary Walenty już nie żył. Nadaremnie trzeźwili go ludzie; przyszedł na chwilkę do siebie, westchnął żałośnie i skonał.

Na trzeci dzień pochował ksiądz ojca, córkę i wnuka maleńkiego.

Wielkim jest pan Bóg i wielka sprawiedliwość Jego. Zasiał on dobrą wolę w serca ludzkie i nagradza cnoty w człowieku: a brzydzi się złem, i jest nieubłagany w swym gniewie na grzeszników i zbrodniarzy.

Bądźcie dobrego serca, uczciwi i miłujący. Cnotliwy człowiek ma miłość bliźnich i *czyste sumienie*, dwa wielkie skarby na świecie; a choć mu bieda dokuczy na tej ziemi, to Bóg go w niebiesiech stokrotnie nagrodzi.

Zbrodniarzowi i grzesznikowi ludzie nieprzychylni, i sumienie skażone jest mu nieprzyjacielem; gryzie go i męczy we dnie i w nocy. Szczęście, jeżeli go Bóg utrzyma na tej ziemi, by mógł pokutę uczynić; bo jeźli umrze w grzechu i nienawiści to go czeka śmierć wieczna i potępienie.

Gadka Kuby z Jurkiem, o wiośnie.

Nad Kubową chatą szumi stara sosna;
Pyta Kuba Jurka: — Jaka będzie wiosna?

— Zielona mój Kubo jak zawsze bywała;
Co dumać o wiośnie, pokąd zima biała!

— Jurku, słuchaj bracie byli u mnie ludzie,
Mówili o wiośnie jak o jakim cudzie;

Mówili że Bóg już zlitować się raczy,
I wszystko na świecie stanie się inaczej.

— Inaczej? ej Kubo co się tobie baje?
Chyba świat by swoje odmienił zwyczaje. —

— My naszych nie zmienim — Kuba na to rzecze:
Jeno będzie większa wolność miły człecze!
A jak nam kto zechce nadmuchać do kaszy,
To go wygonimy z polskiej Ziemi naszej.
I szeptał coś jeszcze. Jurko ścisnął pięści:
— Ej Kubo kochanku jeśli Bóg poszczęści,
To my wszystkim trutniom wygarbujem skórę,
Że im przyjdzie zmykać za dziesiątą górę.

Pożegnał się z Kubą, poszedł do komory,
I myślał o wiośnie; i ostrzył topory.

Jaśko Żuczek.

Strachy.

We wsi Porębie, mieszkali państwo, bardzo uczciwi i dobrzy ludzie. Więc też tam i czeladzi działo się jak u pana Boga za piecem. Jak parobek był chętny do pracy, to go tam nikt batem nie napędzał; ale jak też trafiło na leniwca, to i tydzień nie wysiedział w porębskim dworze. Nie kładli zaś tam pracy na człowieka, nieprzymierzając jak na bydle; każdy miał swój czas do pacierza rano, dobry odpoczynek w południe, a jak już nadszedł wieczór to się mógł wygodnie zabawić i pogadać. Juści najwięcej było zabawy w jesienne albo zimowe długie wieczory. Było tam i wesołości i pogwarku siła, chociaż i wtedy nie radzi próżnowali dworscy ludzie.

Owóż trafiło się raz: wieczór był jesienny i słotny; w czeladnej izbie gorzał ogień na kominie, dziewczęta zasiadły do kądzieli, a parobcy pletli łyczane rogóżki. A jak to zwykle bywa, gdzie się parobcy z dziewkami zejdą, to i gwaru i śmiechu jest dużo; tak i tu dziewki dogadywały parobkom, a parobcy się odcinali, choć żadno nie zasypiało swojej roboty.

Najprzystojniejszą i najzgrabniejszą z dziewcząt była Jagusia sierota. Pani wzięła ją do dworu dziewczynką dwunastole-

tnią, bo ojciec jej poparzył się w gorzelni i w kilka dni po tym umarł, w ciężkich cierpieniach, a matka ze zgryzoty wkrótce przeniosła się za nim. Jagusia z niebieskiemi oczyma, smukła i zgrabna, najczęściej była smutna, a o łzy u niej łatwiej było, jak o uśmiech. Pani ją lubiła, bo była cicha, potulna i pracowita, a i parobcy najwięcej koło niej się uwijali; bo prócz przystojności, nęciła ich jeszcze obietnica poczciwej pani, że Jagusi sieroty nie wyda za mąż bez wiana. Jagusia nie wiele zważała na te ich zaloty, bo kończyła zaledwie rok ośmnasty; a jednak kiedy jeden z nich *ladajakim Kubusiem* od innych zwany, psotnik i zawadyjak, do niej przemówił, to nie odwracała od niego główki, a nieraz się i uśmiechnęła za dobre słowo. Kubusiowi także ona nieraz była na myśli; ale jak mu przyszło wyrządzić jaką psotę, to i zaraz o wszystkiem zapomniał.

Z rozmowy przyszło nareszcie do strachów, bo jakże o nich nie wspomnieć w długi jesienny wieczór? Stara Katarzyna kucharka opowiadała, jak u nieboszczki jej kumy Piotrowej siedział djabeł na strychu, a ona mu codzień nosiła kaszę jaglaną bez soli.

— To się djabeł musiał dopiero upaść — wtrącił któryś z parobków.

— Niby nasz Kubuś, któremu kaszy nie nastarcz.

— Rychtyk taki jak on — ciągnęła dalej kucharka — bo jemu tylko rogi przypraw, tak istny z niego djabeł. Ale tamten u nieboszczki kumy kaszy nie jadł darmo; w całej wsi krowy nie dawały mleka, wszędzie len i konopie przepadły, a u niej jak las; u kogo na przednowku była bieda, u niej zawsze chleb rumiany w piecu się dopiekał. Wszyscy się strasznie temu dziwowali, a jak raz parobek Jacek chciał obaczyć tego djabła i wsadził łeb na górę, djabeł jak go uciął w pysk, to aż sześć niedziel chodził spuchnięty.

— Ba, żeby to tyle było!... ale widzicie, jak się tej Piotrowej djabeł sprzykrzył, to w nieckach pod podwijką wyniosła go na gościniec pod most, i posadziła go tam, aby ludziom psoty wyrabiał.

— A zbytna to besyja — odezwał się parobek. — Ja łońskiego roku jechałem z Żółkiewki i w Ganach w karczmie spotkałem

się z Matysiakiem. Zabawiliśmy się trochę, i już dobrze było w noc, jak wjechałem w las. Jadę koło mostu, patrzę, aż coś leży na drodze; słucham a to beczy. O daj go katu, pomyślałem: ktoś jechał i zgubił barana. Sciągnąłem lejce, konie stanęły, a ja dalej z wozu po znalezione. Patrzę, istny baran, a taki wielki jak źrebiec; ruszam żeby wstał, ale gdzietam!.. nogi ma związane. Biorę się do niego; hej ciężka bestya ... ani ruszyć. Wyjąłem deskę z wozu, oparłem jeden koniec na wozie, a drugi na ziemi, i jak się przysadziłem tęgo, tak wpakowałem go przecie na wóz. Prawda, że mię coś w krzyżach zabolało, ale gdzietam człowiek o tem myślał, kiedy mu przed oczyma stał Icek pachciarz, jak targuje barana i płaci za niego trzy reńskie. Świsnąłem na konie i jadę; ujechałem może z dziesięć staj, patrzę, a mego barana nie ma; zleciał z wozu. Zakląłem na djabła i wróciłem. Koło mostu jest moja zguba, nuż ja dzwigać znowu; a ze złości jak go porwałem, to i bez deski wpakowałem na wóz. Poczekaj bestyjo, pomyślałem sobie, przywiążę cię do kłonic, już mi nie zlecisz. Jadę znowu, przyśpiewując sobie, i dojechałem aż do Maćkowej miedzy; oglądam się, nie ma barana. Strach mnie wziął; ale że człowiek miał trochę w głowie, a na myśli trzy reńskie, to i o strachu zapomniał. Wracam, baran znowu leży w tem samem miejscu; dźwigam, aż mi oczy wyłażą, i znowu baran na wozie. Wziąłem go powrozem za kark i za nogi przywiązałem do wozu; ha! już mi teraz nie zlecisz!.. i pojechałem dalej. Przyjeżdżam do tej figury, co stoi wedle jeziorka, czapka z głowy i przeżegnałem się; słyszę, aż tu za mną hi! hi! hi! coś się roześmiało — patrzę, a barana nie ma. Włosy mi na głowie stanęły, iskry zaświeciły w oczach i nie wiem, co się dalej stało, dość, że konie z wozem znaleźli ludzie nazajutrz aż pod lasem, a ja leżałem w błocie koło jeziorka prawie bez duszy. Niech go źli porwą tego barana; dziesięć niedziel przechorowałem, a tak ciężko, że już człek i na śmierć się spowiadał.

— Dobrze wam tak, po co było łakomić się na nieswoje.

— Jużcić to chyba było nawiedzenie Boże; i teraz żebym

panie wór złota znalazł, to anibym pomyślał ukradkiem go schować.

— Ej gadki—odezwał się Kubuś ladajaki — albo to baran był?... wyście tylko *bez* wódkę widzieli barana. Ot ja, to potrzeźwemu widziałem stracha.

— Gdzie, gdzie? powtórzyło kilka głosów.

— Gdzie? koło lamusa — bąknął Kubuś, i znów umilkł, spuściwszy oczy na rogóżkę.

Lamus był zaraz za dworem i mieścił w sobie skład nie tylko nabiału, ale i przeróżnych marynat, wódek, win, miodu i innych rzeczy, a pani nieraz, zwłaszcza gdy byli goście, wysyłała jedną z dziewcząt po rozmaite potrzeby do stołu. Najczęściej Jadwisia chodziła do lamusa, i ona też najpierwsza obróciła oczy na Kubusia; ale on nie podniósł swoich, tylko jak-by naumyślnie plótł zawzięcie rogóżkę.

— Cóż to był za strach? — zapytali wszyscy.

— Ot już radzibyście wiedzieć, żeby potem rozpleść po całej wsi.

— Podnieśno łeb i gadaj, coś widział — odezwała się kucharka, najciekawsza ze wszystkich.

— Ha, kiedy już wam tak się żąda, to powiem; tylko na miły Bóg nie gadajcie ani panu ani ekonomowi, bo pewnikiem oberwałbym za uszy. Wczoraj po wieczerzy poleciałem na wieś do Stacha; wracam, już się w kuchni nie świeciło, a wiater wygwizdywał, kieby Franek na fujarze. Idę koło lamusa, a tu coś zaszumiało; oglądam się, jakieś czarne, wielkie psisko hyc przez furtkę i do lamusa. Ani chybi, bryś, pomyślałem sobie; szkodna bestyja, chce się dobrać do saganów... i poszedłem za nim. Patrzajcież, ledwie skoczyłem ze dwóch schodów, a tu bestyja jak nie roztworzy pysk, jak nie bryźnie na mnie iskrami! O! Święty Boże, nogi się podemną zatrzęsły; jak drapnę na górę, to nie oparłem się aż w stajni. Żebyście wiedzieli, to już kury piały, a ja jeszcze dzwoniłem zębami i mówiłem pacierz, bo to jakieś złe mnie nagabało.

— — Ty nieponiu, pewnie ze strachem łyknąłeś ze trzy półkwaterki, i tak ci się w ślipiach iskrzyło!

— Gadajcie sobie zdrowi; ja i niucha tabaki nie widziałem, a dopieroż półkwaterka.

— To zmyślasz ladaco, żeby nas straszyć — odezwała się jedna z dziewek.

— Miałbym kogo straszyć aż ciebie, kiedy ciebie toby się i sam djabeł przestraszył — odrzekł Kubuś.

Wszyscy się zaśmieli, jedna tylko Jadwisia poglądała na mówiącego ze strachem.

Nie wiedziała niebogа, czy Kubaś łże, czy prawdę mówi, bo on, hultaj takie robił oczy, jak żeby to wszystko święta prawda była. Chciała się go jeszcze wypytać o onego stracha, aleć kucharka zastawiła wieczerzę, każdy się rzucił jeść, a po wieczerzy, poszedł każdy w swoją stronę wywrócić się i zasnąć.

Po kilku dniach, w taki sam wieczór słotny i wietrzny, do pani zajechali goście. Krzątaniny było dosyć do późnej nocy, i już parobcy zabierali się do stajen, gdy pani zawołała Jadwisię, dała jej klucze, i kazała co prędzej skoczyć do lamusa, i przynieść butelkę starego miodu z trzema pieczątkami. Pani tak kazała się spieszyć, aby goście od stołu nie wstali, że dziewczęciu wyszedł zupełnie z głowy strach pokutujący w lamusie; jakoż zapaliwszy świecę w latarce, wybiegła z kuchni.

A owóż za chwilę ozwał się krzyk przeraźliwy i boleśny od strony lamusa. Wybiegli wszyscy i znaleźli Jagusię leżącą bez zmysłów na schodach, z potłuczoną na drobne kawałki latarką. Nikogo więcej nie było, a jednak gdy przynieśli światło, znaleźli przed lamusem kilka rozżarzonych węgli i płachtę, którą nie wiedzieć na co z kuchni zabrał Kubuś. Biedną dziewczynę zaniesiono do izby, zlano wodą i nareszcie docucono się — ale cóż z tego, kiedy zaraz nazajutrz pokazały się ślady gwałtownej gorączki. Sprowadzony lekarz nie wiele robił nadziei. Jagusia konała powoli, a łotr Kubuś nie chciał się przyznać do winy, choć wszelkie poszlaki naprowadzały na ślad, że to jego była sprawka. Spokojny jak zawsze, na wszystko miał gotową wymówkę, a choć ekonom przekonany sumiennie o jego winie, kazał mu wyliczyć szesnaście kijów, to i tak nie przyznał się do występku.

Tymczasem życie sieroty gasło z każdą chwilą; na go-

dzinę przed zgonem odzyskała przytomność, pożegnała czule swoją dobrą panią, która o niej prawdziwie macierzyńskie miała staranie, a kiedy jej wspomniono, że to pewno Kubuś przez psotę postraszył ją, nic nie odpowiedziała, tylko dwie łzy potoczyły jej się po wybladłej twarzy.

Na drugi dzień po pogrzebie Jagusi, łotra Kubusia wypędzono ze dworu. Nie okazał on żadnego żalu po sierocie, nawet gdy trumnę wynoszono i kładziono na wóz, to on bronując pod samym dworem ogród po wykopanych kartoflach, gwizdał jakąś piosneczkę. Wszyscy na niego wymyślali, nazywali zabójcą, a on wszystko zbywał pół na prawdę, pół żartem i i był spokojny do ostatka.

W kilka lat po tem zdarzeniu, którego sam byłem świadkiem, przyjechałem na odpust do Leżajska, i rozgościwszy się w lasku pod drzewem, wybrałem się do kościoła.

Idąc podwórzem do zakrystyi, minąłem wielu dziadów siedzących rzędami, bo zwrócił moją uwagę kaleka bez nóg i z krzywemi rękami. Suwał się on po ziemi w drewnianych korytkach, a na krzywe ręce obuwał dwa drewniane sandały. Twarz jego pomimo młodych rysów nosiła ciężkie ślady boleści.

— Choć groszyk panie, biednemu kalece — przemówił do mnie, nadstawiając sandała.

— Jak ty się zowiesz?

— Jakób Łozek.

— Chryste panie toż ciebie nazywano *Kubuś ladajaki?*

— A tak, zkąd to pan wie?

— Bo cię znam, ty byłeś parobkiem w Porębie.

— A tak panie.

— Cóż u licha, byłeś zdrów i tęgi.

— A teraz kaleka i cherlak.

— Cóż ci się stało?

— Ot psie figle.

— Jakto?

— A tak panie: ze dworu mnie wypędzili, poszedłem do

sołtysa; wpodle były dziewuchy, a mnie zawsze we łbie świtało. Zrobiłem sobie szczudła, okręcałem się płachtą i straszyłem. Jak raz narobiłem rejwachu, wyleciał sam gospodarz i nuż gnać mnie z kijem; uciekając na szczudłach i w płachcie, wpadłem w kartoflany dół i złamałem obiedwie nogi, jeszcze jak powiadali w dwóch miejscach, a ręce powykręcałem. Zawieźli mnie do szpitalu i tam doktor kazał mi uciąć nogi, a ręce prostował i nie wyprostował. Potem chorowałem ciężko przez dwa lata i... nie umarłem.

Te ostatnie słowa wymówił z wielką boleścią. Zdziwiłem ja się mocno na to opowiadanie Kubasiowe i rzekłem:

— Nie umarłeś, bo Bóg zostawił czas, abyś odpokutował za śmierć Jadwisi sieroty, abyś przebłagał gniew Boski. Wycierpiałeś wiele, zostałeś kaleką, nędzarzem; ale dziękuj za to Bogu, bo jeszcze szczerym żalem ocalić możesz duszę.

Łzy sznurkiem popłynęły po żółtej twarzy Kubusia, kaleki. Dałem mu parę groszy, a on w milczeniu obrócił oczy ku kościołowi.

— Żeby mi Bóg dobry chciał przebaczyć, tę srogą przewinę! — ozwał się wreszcie nieszczęśliwy Kuba, i zapłakał znowu.

Mnie się także łzy zakręciły w oczach. Kuba otarł twarz rękawem i mówił dalej:

— Że też mnie to nikt nie złapał, a nie wygrzmocił dobrze, skorom tylko zaczął udawać stracha; zabiłem niewinną dziewczynę i teraz mi sumienie spać spokojnie nie daje, a to jest dopiero strach dla duszy człowieka. Głupie ludziska boją się lada czego; a strachami to są złe myśli i złe uczynki, wódka, nieporządne życie i inne pokusy złego ducha. Oj, czemuż ja biedny nie wiedziałem pierwej o tem, dopiero teraz kiedy się na kolanach suwać muszę!

— Takto, dopiero nieszczęście uczy rozumu człowieka, choćby i tak do rozumu przyszedł, żeby jeno chciał! — pomyślałem ja sobie, i poszedłem do kościoła pomodlić się za duszę Jadwisi, żeby połamanemu Kubusiowi ulżeć na sumieniu.

Nie widziałem już Kuby potem, ale mi ludzie powiadali, że włóczył się jeszcze kilka lat tak na czworakach, połamany, i umarł wreszcie spokojnie.

Znać odpokutował swoją winę już na tej ziemi.

(Cz. N.)

Szkoła.

W każdem mieście i w wielu wsiach jest szkoła, gdzie Nauczyciel uczy dzieci Religji, czytać, pisać, rachować i różnych wiadomości. Oto dobrodziejstwo wielkie dla was Rodziców wszystkich. Nauczyciele poświęcili się dla dzieci waszych, aby je wykształcić na ludzi bogobojnych, umiejętnych, poczciwych i pracowitych. I oni się długo uczyli, aby potem mogli uczyć dzieci wasze; bo nic nie ma bez nauki. Oni zastępują Rodziców, bo wy sami ani czasu nie macie do uczenia dzieci swoich, ani też nie umiecie tyle, abyście je mogli czego porządnie wyuczyć. Dla tego szacunek winniście Nauczycielom swoim, że oni was zastępują, i że oto się starają, aby dzieci wasze wyszły na ludzi. A co więcej, dopomagać im w tem powinniście, a to przez regularne posyłanie dzieci do szkoły. Lecz gdzie tam? Rodzice niejedni zamiast widzieć w szkole szczęście dla swych dzieci, uważają ją za największy ciężar, i wyszukują różne powody, aby tylko dzieci od szkoły uwolnić. Latem dzieci nie mają czasu, bo robota jest w polu i ogrodzie; a któżby pasł trzodę, bydło i gęsi? W zimie nie podobna posyłać, bo mróz, i śnieg zawieje. — A więc powiedzcie po prostu, że nie macie wcale ochoty, aby się dzieci czego wyuczyły, że jesteście przeszkodą ich szczęściu prawdziwemu, że jesteście nieprzyjaciołmi największymi własnych swoich dzieci. Dla tego też słusznie powiedział jeden Mędrzec: wolałbym być gęsią u takich Rodziców, jak ich własnem dzieckiem. — A i w mieście nie lepiej. I tam tysiąc wymówek, aby tylko dzieci nie posyłać do szkoły; i tam nie jednemu szkoła jest ciężarem.

Przy takiej obojętności waszej na przyszłość dzieci, przy

takiem zaślepieniu, czy się mogą dzieci czego nauczyć? Żeby Nauczyciel był tak mądry, jak sam Salomon, to dzieci waszych niczego nie nauczy, jeżeli sami nie będziecie posyłali ich regularnie do szkoły, i jeżeli w domu ich sami do nauki nie napędzicie. Dla tego dzieci takie nic nie umieją. A wy zaraz macie sto skarg na ustach na Nauczyciela, że dzieci tyle a tyle lat chodzą do szkoły, a niczego się nie nauczyły. Policzcie tylko te dni, gdzie dzieci były w szkole, a sami się przekonacie, że nie wiele miesięcy naliczycie. A przytem uważcie że łatwiej zapomnieć, niż się nauczyć; że dziecko, które chodzi nieraz przez cały rok do szkoły, a potem pozostanie przez kilka tygodni w domu, to przez te kilka tygodni zapomniało wszystko, czego się przez cały rok w szkole nauczyło. I naucz tu czego biedny Nauczycielu? Nie skarżcie się przeto na Nauczyciela, tylko oskarżajcie siebie samych, że nie dbacie o dzieci swoje, czy one zdziczeją, czy się czego nauczą. — Ale powiesz: któż mi pomoże w polu? któż mi będzie poganiał i pasł? Bratku! a gdyby ci Pan Bóg wcale dzieci nie dał, a któżby ci wtenczas poganiał i pasł? I wtenczas dałbyś sobie radę.

A więc i dzisiaj bez nich daj sobie radę, bo dzieci twoje podczas szkoły nie do ciebie należą, ale do szkoły. I ciężki za nie Panu Bogu oddasz rachunek, jeżeli je zaniedbasz. A one same przeklinać cię później będą, żeś ich niczego nie nauczył, ale już za późno. Młodość to czas nauki; a nie zazdrość dzieciom swoim tego szczęścia, że mają sposobność do nauki.

Posyłajcie przeto odtąd regularnie dzieci do szkoły; godzina stracona, wiele stracone; przypilnujcie je, aby w domu się uczyły; to aż miło wam będzie na sercu jak dzieci wasze wyuczone czytać wam będą w Święta różne książki, które dostaną do czytania od Księdza lub nauczyciela, i jak rosnąć będą Bogu na chwałę, krajowi na pożytek, a wam Rodzicom na chlubę. Wtenczas serce wam się rozraduje, a usta mimowolnie wyrzekną: ach to moje dzieci!

RÓŻNOŚCI.

Szkółka Niedzielna. W jednej części naszej dawnej Polski, co się zowie teraz wielkiem księstwem Poznańskiem i jest pod Prusakiem, zaczęli teraz dobrzy ludzie wydawać jedno pismo czyli *gazetę*, co się zowie *Szkółka Niedzielna.*

Wychodziło to pismo już dawniej; aleć będzie temu lat siedm przerwało się, i teraz dopiero zaczęli go na świeżo drukować. Jest tam siła pięknych i ciekawych rzeczy: O Świętych Pańskich; o tem jak sobie zawsze dobrzy katolicy, postępować powinni, aby na żywot wieczny zasłużyć; o gospodarstwie polowem a domowem i rady na różne wypadki, i wiele innych rzeczy; a tak ci to wszystko gładko, i ślicznie wypisane, jak gdyby ksiądz z ambony mówił. Na pokaz wypisałem wam to z tego pisemka *o Szkole,* co przed Różnościami stoi.

Jeżeli kto ma z czego, a i czasu mu starczy do czytania, to niechże sobie tę *Szkółkę Niedzielną* na poczcie zapisze. Nie siła to kosztuje, podobnoś i mniej jak nasz *Dzwonek,* a jest raz na tydzień pół arkusza do czytania. Uczciwej pracy trzeba zawsze pomagać; jeżeli już nie inaczej, to choć dobrym słowem — więc i wy, jak sobie już który *Szkółki* zapisać nie może, to niech jej choć razem znami życzy szczęścia i pomocy Boskiej na uczciwej drodze.

Dziwna książka do nabożeństwa. — Niewiasta nieumiejąca czytać, nosiła zawsze ze sobą książkę do nabożeństwa do Kościoła, i na niej się modląc, zawsze gorzko płakała. Dziwili się temu ludzie, bo wiedzieli, że czytać nie umie. A gdy ją proszono, aby tę książkę pokazała, odrzekła: ja na waszych książkach czytać nie umiem, ale i wy na mojej czytać nie umiecie. A gdy książkę swą otworzyła, ujrzeli wszyscy w niej tylko cztery karty: białą, czerwoną, czarną i złotą. Dziwiono się temu, a ona pobożna niewiasta tę rzecz tak tłumaczyła: Na tej białej karcie czytam świętość życia Pana Jezusa, niewinność i czystość Najśw. Maryi Panny i świętych Pańskich. Czytam też tu i czystość moją, którą wzięłam na Chrzcie; a żem tę czystość oszpeciła grzechami wielkiemi, dla tego płaczę. — Na czerwonej karcie czytam najokropniejsze męki Pana Jezusa, które podjął dla mnie nędznej: czytam i krew Jego przelaną na drzewie krzyża Ś. aż do ostatniej kropelki, a to wszystko dla zbawienia mego; czytam i krew przelaną tylu Męczenników za tę wiarę w Chrystusa; a bojąc się, żeby ta krew Chrystusa nie była dla mnie daremnie przelana, płaczę. — Ta trzecia karta jest czarna. Tu czytam ciemności i męki piekielne wszystkich potępionych. Oj tu płaczę gorzko, i błagam Boga, aby się nademną ulitował, dodał mi łez obfitych, bym mogła me grzechy dostatecznie opłakać, i mnie od kar wiecznych zachować raczył. — Na tej ostatniej karcie złotej czytam radość i wesele Niebian, wszystkich

Świętych Wybranych Pańskich, i z płaczem wzdycham do nich, aby się za mną do Boga przyczynili, bym i ja tego szczęścia po krótkich dniach mego żywota dostąpić mogła. —

Pożar. Dnia 28. Grudnia, co przeszedł, paliło się w *Nienadowej* pod Przemyślem. Zgorzała stajnia dworska, a ogień był taki nagły i gwałtowny, że dwaj parobcy Marcin i Paweł co właśnie tam byli, zginęli także w płomieniach. Straszna to rzecz: bo dwoje ludzi, to więcej znaczy niż największe majątki; ależ mówią, że to najwięcej obaj ci parobcy byli winni. Jakto zwykle przy Niedzieli bywa, musieli sobie trochę w karczmie pozwolić, i zapuścili ogień do stajni. Ukarała ich srogo własna nieostrożność, nie licząc już szkody, z jaką ten płomień był dla dworu. Różnego bydła zginęło przytem przeszło stopięć - dziesiąt sztuk; samych krów pięćdziesiąt i dwie! Zgoła cała ta szkoda wypada na piętnaście tysięcy reńskich; ogromna suma! –

Ledwie nie co dzień zrzędzą ludzie na nieostrożność z ogniem, a przecież jeszcze dzieją się takie straszne nieszczęścia. Kiedyż to gospodarze i parobcy przestaniecie chodzić z fajkami i światłem po stajniach i stodołach? Fajkę odłożyć na chwilę, toć to nie tak trudno, a latarka tysięcy nie kosztuje! Kto z ogniem nie ostrożny, to iście jak żeby sobie nóż do garła przykładał. Gospodarz siebie łatwo zniszczyć może, a parobek zrobić szkodę gospodarzowi i sam się zabić — jak się to owo właśnie w Nienadowej stało.

Jak dawniej robiono wozy. Dawniej nasi Praojcowie Polacy nie tak robili wozy, jak to zwykle dzisiaj robią: cały wóz z jednego gatunku drzewa. Lecz dobierali drzewa stósownego na każdą część i cząstkę, aby wóz lekko chodził, był mocny i trwały.

Na samo koło potrzebowali kilka gatunków drzewa. I tak dzwona robiono z jaworu, piasty z brzeziny, a szprychy z jesionu. Na osie brano dębinę, a dyszle były bukowe. Łozy najstósowniejsze na półkoszki, a na drabie leszczyna.

Dzisiaj choćbyśmy nawet chcieli naśladować w tem naszych przodków, to nieraz niepodobna; bo i drzewa takiego już nie ma w niejednej okolicy. — Dawniej nawet wideł nie robiono z innego drzewa, jak tylko z grabiu, a cepy tylko z jabłoni. Drzewo sosnowe brano tylko na żłoby i koryta. Tak starannie gospodarowali nasi przodkowie, i dla tego mieli wszystkiego podostatkiem. A kto przeto utrzymuje, że dawniej nie znano się u nas na gospodarstwie, ten widać, że nic nie zna, i że mu pstro w głowie. Boże daj, żebyśmy dzisiaj tyle umieli i tak pracowali, i tak byli rzędnymi, jak nasi przodkowie, którzy z tej swojej pracy nie szczędzili ani Bogu, ani bliźniemu, ani sobie, a jednak w wszystko obfitowali, bo im Bóg błogosławił.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IV. Nr. 2.

11. Stycznia 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wesoła poczciwość.

Mikołaj i Małgorzata mieszkali na samym końcu wsi Orzeszkowa, pod lasem. Ich maleńka chałupina chyliła się już od starości, boć jej prawie sto lat było, jak i onej gruszy, co stała wedle ogrodzenia. Poszycie zczerniało i mchem porosło, gdzieniegdzie tylko świeciły się małe kawałki, gdzie Mikołaj świeżą słomą naprawił. Mały ogródek przed domem nie więcej miejsca zajmował jak sama chata, wszędzie czysto ale ubogo; a kto tylko koło tej małej zagrody przechodził, inaczej myśleć nie mógł, jeno że tu mieszkają bardzo biedni ludzie.

A przecież Mikołaj był najweselszym człowiekiem nietylko we wsi, lecz w całej tej okolicy.

Niejeden zamożny kmieć, u którego Mikołaj jako najemnik na wiosnę orał, albo w lecie kosił, albo w zimie zboże młócił, zazdrościł mu tej wesółości. Niejeden mówił mu nawet:

— Jak możesz ty być tak wesołym, kiedyś taki ubogi? —

A Mikołaj odpowiadał nato:

— Nie jestem ja taki biedny, jak wam się zdaje. Mam ja bardzo bogatego ojca, który nie dozwoli, abym ja nie miał czem żony i dziecka wyżywić; a ten mój rodzic mieszka w samem niebie. Pod lichą płótnianką chowam taki skarb, którego nie dałbym za sto tysięcy: jest to spokojne sumienie. Przytem dzięki Bogu jestem zdrów i rękami tyle zarabiam, że żyć mogę. A choć na mojej kapocie tyle łat co i na poszyciu, to przecież dosyć mi jest ciepło. Dlaczegoż więc miałbym być smutny? —

Dobre Mikołaisko miał w spuściżnie po swoim dziadku drukowaną kartę, wielkiemi czerwonemi i czarnemi literami, a ta w ramki oprawna wisiała jak lusterko na ścianie. Były tam na tej karcie trzy zdania z różnemi przydatkami z Pisma świętego.

Pierwsze było: Bój się Boga! Przy bojaźni Pana nie ma żadnego niedostatku; kto ją ma, znajdzie w niej prawdziwy raj, skarb nad wszystkie skarby.

Drugie było: Żyj z pracy rąk twoich. Kto się żywi z swej pracy i umie przestawać na małem, tego życie jest spokojne i miłe, i posiada skarb nad wszystkie skarby.

Trzecie: Bądź sprawiedliwym! Czyń to, co jest sprawiedliwe, wtedy twoje zdrowie będzie stałe, twoja mowa miłą; kroki bezpieczne, sen smaczny i spokojny, bo pan Bóg jest z tobą, twoim stróżem i obrońcą.

— Te trzy prawdy — mawiał często Mikołaj — zawierają tajemnicę tego, jak być zawsze wesołym. Kto się do nich zastósuje, ten dozna, czego ja doznałem.

Małgorzata, żona poczciwego Mikołaja, nie mogła zdobyć sie zrazu na tę wesołość. Będąc ubogą, kłopotała się często.

Razu jednego wieczorem, siedział sobie Mikołaj na progu, śpiewał i klepał kosę na jutro do siana. Małgorzata zafrasowana oparła głowę na ręce.

— Ty się też o nic nie starasz — ozwała się do męża.

— Jakto, o co się nie staram — odrzekł Mikołaj wesoło — a toć klepię kosę na jutro żeby mi dobrze kosiła. A o cóż to więcej mam się starać i kłopotać?

— Ani grosza nie ma w domu — rzecze Małgorzata —

a gdyby potrzeba jaka przyszła na nas, nie wiedzielibyśmy jak sobie począć!

— O moja żono! — zawołał Mikołaj — Gdybyśmy chcieli mieć grosz na wszystkie wypadki, toby nam trzeba wielkiej sumy. Bardzo mało jest takich ludzi, coby grosz na wszystkie potrzeby mieć mogli. Jeżeli Bóg spuści potrzebę, da też i pomoc.

— Ach — rzekła Małgorzata zafrasowana — tyle ludzi we wsi słabuje, to i my zachorować możemy.

— To prawda, że zachorować możemy — odpowiedział Mikołaj, aleć troszczeniem się nie unikniemy choroby, jeżeli ma nas z woli Boga nawiedzić. Gdybyśmy zasłabli i nie mogli nic sobie zarobić, to o nas Bóg będzie mieć pieczę, a Jego opieka jest większa od naszych kłopotów.

— Tyś zawsze jednakowy — rzecze Małgorzata — a gdy umrzemy to nic nie zostawimy naszemu Franusiowi. —

— Nic? — zawołał Mikołaj żywo i położył młotek. — Hej! hej, myślę ja mu coś lepszego zostawić jak worek pieniędzy, a to jest: dobre wychowanie w nauce chrześciańskiej. Nie masz na tym świecie większego skarbu, jak bojaźn Boża, pracowitość, przestawanie na małem i unikanie grzechu, jak to pięknie wyrażono w moich trzech radach. Czy ty taki skarb wielki za złą cząstkę uważasz? Czy z poczciwością nasz Franuś dalej nie zajdzie, jak z pieniądzmi? Chowajmy tylko chłopca w pobożności, a o resztę się nie kłopoćmy. Jak ja przy naszem ubóstwie jestem wesół i nic mi nie brakuje, tak i jemu będzie. Umysł wesoły i sumienie spokojne jest najlepszem z tego wszystkiego, co tylko na tej ziemi mieć możemy. Kto tego nie ma, temu i największe bogactwa na nic się nie zdadzą. Pokładajmy więc nadzieję w Bogu, pracujmy, bądźmy uczciwymi, a wtedy będziemy i szczęśliwymi. —

Małgorzata nic na to nie rzekła, jeno poszła duchem do izby otrzeć łzy, co się jej cisnęły do oczów, a Mikołaj klepał kosę dalej i śpiewał sobie wesoło. A Pan Bóg z wysokiego nieba zesłał swego Anioła na ziemię, żeby miał staranie o ubogich a uczciwych ludziach. I nic nie brakło nigdy Mikołajowi i jego żonie, bo Anioł Boży czuwał nad oną chatą, gdzie zamieszkała uboga a *wesoła poczciwość.* —

Do Wisły.

Wisło moja Wisło!
Na przestrzeni twej przeźroczej
Jaskółeczka skrzydła moczy,
A w noc białą topielice
Przemywają zziębłe lice,
Przecierają ciemne oczy,
Przez które się piasek toczy,
Wisło, moja Wisło!

Na twym brzegu dziewczę młode
Mąci nóżką czystą wodę,
Czapla stara patrzy zdradnie
Jak rychło jej rybka wpadnie,
Wisło, moja Wisło!

Gdy opadną lody, śniegi,
Niesiesz pełne w świat komiegi,
Gdzieś zamorskie żywić Niemce,
Żywić Niemce, cudzoziemce,
Wisło, moja Wisło!

Na dnie twojem co nie leży!
Krom czerwonej Czerskiej wieży
W całych zbrojach leżą Szwedy,
Potopione Bóg wie kiedy,
Ach, i polskich broń rycerzy....
Na dnie twojem co nie leży
Wisło, moja Wisło!

Wykołysz mi proszę żywo,
Taką rybę, morskie dziwo,
Coby z głębi twojej fali
Wychodziła na Moskali,
Z jaszczurową szablą krzywą....
Wykołysz mi takie dziwo
Wisło, moja Wisło!

A ja zato w szczęsnej dobie
Na fujarze zagram tobie,
Aż poleci na wsze strony,
Przez bór ciemny, gaj zielony:
Wisło, moja Wisło!

T. Lenartowicz.

O szewcu-pułkowniku.

Słyszeliście już nieraz w *Dzwonku* o naczelniku Kościuszce, a toć-że z nim razem bił naszych nieprzyjaciół i szewc Jan Kiliński, pułkownik wojska polskiego.

Szewc i pułkownik zarazem, to tak się wydaje jak w bajce, a przecie prawda!

Otóż ten Jan Kiliński urodził się w Trzemesznie, mieście położonem o mil dziewięć od Poznania. Ojciec jego był mularzem. Biedaczysko spadł z rusztowania, gdy odnawiał kościoł, i zaraz Bogu ducha oddał, a dzieci zostawił sierotami.

Po śmierci ojca, Jan, jako wydoskonalony szewc obuwia dla niewiast, udał się w roku 1780 z Poznania do Warszawy, gdzie też i osiadł. Niezadługo w tem wielkiem mieście jako

najlepszy zasłynął majster, i wszystkie najpierwsze panie trzewiki swoje u niego robić kazały; przytem był i rzemieślnikiem bardzo sumiennym: gdy przyobiecał robotę, to i święcie dotrzymał; czeladź utrzymywał porządnie, i był dla niej wielkim a dobrym przykładem.

Działo się to jeszcze za czasów ostatniego króla naszego, Stanisława Augusta Poniatowskiego, który o dzielnym wiedział szewcu, bo wszyscy go znali i chwalili.

Był z Jana Kilińskiego nadto przystojny i pokaźny mężczyzna, ładny z twarzy i z podkręconym ciemnym wąsem. Ubierał się zawsze pięknie: w żupan i w kontusz, w pas złotolity i czapkę rogatą. Przedewszystkiem zaś, miał rozum w głowie a w sercu miłość dla Boga, dla ludzi, i dla kraju, w którym się urodził, a to najwięcej warto.

Urządziwszy sobie domek i uzbierawszy nieco grosza, poznał nasz Kiliński młodą i urodziwą dziewczynę, Maryannę Rusińską, i ożenił się z nią. Więc było z nich stadło wielce przykładne, i wiodło im się pomyślnie przy pracy i chwale Bożej.

Ale w tym czasie szło jakoś z dniem każdym smutniej w Warszawie i w całej Polsce: Moskale coraz bardziej się rozsiadali, opanowali nawet króla polskiego, że zgoła już i rady z nimi nie było.

Panowie polscy sprawili wtedy, że król nadał nowe prawo roku 1791, nazwane *Konstytucyą 3. Maja.* W tem to prawie była ogłoszona zupełna równość wszystkich stanów. Czy szlachcic, czy mieszczan, czy też chłop, to wszystko było po równości; wszyscy mieli jednakie prawa, w rządzie i w sądzie.

Dopieroż to Moskale sierdzić się poczęli! Cesarzowa Katarzyna zagroziła wojną zaciętą; dokazywali zgroźliwie, zwyczajnie jako mocniejszy nad słabszym, i do reszty króla otumanili, że aż serce się kraje na to wspomnienie. Król Stanisław August, bo i słaby był człowiek: chwiał się niby trzcina i naginał na wszystkie strony. Gdybyć to był Kazimierz Wielki, albo Zygmunt I, to i nie byliby wskórali nic, ale ze słabym człowiekiem, toć i wszystko zrobić można. Więc też i coraz gorzej szło, i nieprzyjaciel wgryzał się coraz bardziej.

Tadeusz Kosciuszko był wtedy za granicą, ale cały jeno

tą żył myślą, aby pozbyć się z kraju niegodziwych gości, i umawiał się ciągle ze szlachtą: jakby to począć i naród ciemiężony wyzwolić.

Kiliński, chociaż mu się wiodło, gdyby z płatka we własnym domu, i dorobił się majątku; to wszelako trapił się okrutnie, że tak Moskale przewodzą i kraj cały mitrężą. Zaczął przeto w Warszawie lud przysposabiać do wypędzenia nieprzyjacieli, i także o wszystkiem co czynił Kościuszce orędzie posełał.

Wtem Moskale uknuli spisek na biedny lud warszawski. Niesłychane rzeczy! Uradzili rzucić się jak zbójce po kościołach w czasie rezurekcyi, i wymordować wszystkich. Miał Kiliński o tem ze stron różnych posłuchy, a jeszcze też powiedział mu o tej rzezi dokładnie jeden oficer moskiewski, i radził przytem: by majster z żoną i z dziećmi na dni kilkanaście z Warszawy wyjechał.

Poczciwe to znać było człeczysko, i lubił Kilińskiego, z którym sobie niekiedy wychylił jaką lampeczkę. A jeszcze też i majster dla dziewczyny jego ładne zrobił trzewiczki, więc i przez wdzięczność go ostrzegł. Ale właśnie też wraz Kiliński miałby był swoich w ciężkiej opuścić potrzebie, ratując siebie żonę i dzieci? Nigdy w życiu! — Umilkł jeno, posłał po likier, i nuż w cichą z oficerem gawędkę jak gdyby rady jego chciał posłuchać, a w ten sposób dowiedział się o wszystkiem.

A rzecz tak była umówiona: Moskiewski jenerał Igelsztrom nakazał cichaczem, aby lud będący w czasie rezurekcyjnego nabożeństwa w kościołach pozamykać, armaty pozataczać, i rznąć bezbronnych po kościołach, i po domach, a dawać ognia, by jedni drugim nie mogli pospieszyć na ratunek. To więc była i wielka potrzeba ratować się duchem! Pomówił więc Kiliński z księdzem Majerem, bardzo godnym człowiekiem i Polakiem dobrym; z Sierakowskim rzeźnikiem; z oficerami wszystkimi Polakami, jako i z majstrami wszystkich cechów, którzy znowu czeladź swoją zmówili: aby nie czekać na tę okrutną rzeź, co ją zarządzili Moskale. Ułożył więc ów szewc warszawski ratunek cały, i stanęło na tem: że we wielki czwartek, raniutko, o godzinie czwartej, miasto powstanie, i sądy

z nieprzyjacielem rozpocznie. Oficerowie pomiędzy sobą uradzili, jak rozstawić wojsko, a Kilińskiego zrobili naczelnikiem całego pospólstwa.

Gdy Pan Bóg dał wielką środę, Kiliński nasamprzód uczynił rachunek sumienia, jak przystoi na chrześcianina i prawowiernego katolika. Był u spowiedzi i modlił się gorąco, aby Ojciec w niebie sprawę poprowadził szczęśliwie. A chociaż to przykazanie Boże mówi: „*Nie zabijaj!*“ — to i cóż mieli począć innego, kiedy ich w domu Bożym, w czasie rezurekcyi świętej, niby baranki niewinne pozarzynać chcieli? Pan Bóg na złych ludzi nie od razu gniew swój i karanie spuszcza, bo im zostawia czas do poprawy, a dał ludziom w miłosierdziu swojem: rozum i wolną wolę, a więc każdy o obronie swojej sam myśleć powinien.

We wielki czwartek, dnia 17 kwietnia roku 1794, dał pierwszy odgłos do powstania dzwon wielki a bardzo głośny na bernadyńskim kościele, a bił na gwałt, bo tylko w jedną stronę. Za nim ozwały się i wszystkie dzwony miasta, istnie na zmartwychpowstanie! Chryste Jezu! i rozpoczęła się okropna po ulicach bitwa. Nasi pozabierali w nocy armaty, pozataczali je, a z wież kościelnych i z okien różnych domów ciągle ognia dawali. Byłto, jakby sąd Boży! Krew lała się strumieniem po ulicach.

Starsi poszli do króla i powiadomili go o wszystkiem — a on patrzał się oknem i sam na Moskali strzelać kazał.

W ten sposób, i za głównem staraniem Kilińskiego szewca, Warszawa od Moskali oczyszczoną została: co nie poległo — to uciekło.

W tym czasie już i Kościuszko był uprzątnął w Krakowie. Przysiągł narodowi na wierność — i został naczelnikiem całej siły zbrojnej. Stoczył też i zaraz bitwę pod Racławicami, gdzie padło wiele Moskali.

Aleć jęli się męszać sąsiedzi. Król pruski skoro zobaczył jakto szabla i kosa polska dokazuje, wkroczył odrazu z wojskiem do kraju, aby pomódz Moskalowi w przygnębieniu narodu, i zaszła wielka a krwawa bitwa pod Szczekocinami. Potem ruszył Kościuszko z wojskiem swojem do Warszawy, gdzie go

także najwyższym mianowano naczelnikiem; zaś Jana Kilińskiego pułkownikiem. Więc służyli pod szewcem najpierwsi panicze, a szanowali i kochali go wielce.

Wszystko dotąd szło dobrze i szczęśliwie, ale znać Bóg chciał inaczej, a wszakżeż wiecie: że kogo Bóg kocha, temu daje krzyżyki. Tak ci też istnie było z narodem polskim.

Rzucili się Prusacy i Moskale całemi siłami, to i przemocą zwyciężyli, mój Boże!

Moskale zdobyli przedmieście Warszawy, co się zowie Praga, i piekielnie, niby szatani, tam dokazywali. Wszystko stanęło w płomieniach, a mordowali, niby dzikie zwierzęta, starców, niewiasty i dzieci. Niemowlęta zatykali na dzidy, że aż krwawemi łzami zapłakać by trzeba.

Gdy tak na Warszawę Moskale i Prusaki jak zbóje napadli, otrzymał Kiliński rozkaz, by do Poznania pojechał, a szukał tam jeszcze ratunku. Ale w Poznaniu aresztowali go Prusacy i wydali Moskalom.

Naczelnik Kościuszko w bitwie pod Maciejowcami, prawie śmiertelnie raniony upadł, i także przez Moskali w niewolę zabrany został. A gdy o tem wiadomość do Warszawy nadeszła, wybiegło dwadzieścia tysięcy ludu z płaczem i jękiem, chcieli biedz za nim, i odbić ukochanego naczelnika. Ale Boża wola inną była.

Zawieźli Kościuszkę, Kilińskiego, Niemcewicza, co ładne książki pisał, kupca Kapostasa, i wielu innych do miasta moskiewskiego Petersburga, gdzie ich w ciężkiem trzymano więzieniu. Wywieźli i króla polskiego, który też niezadługo potem w Petersburgu umarł.

W roku 1797, gdy umarła cesarzowa Katarzyna, to syn jej Paweł został cesarzem, i ten więźniów polskich kazał wypuścić.

O Kościuszce wiecie, że do Ameryki popłynął, a Kiliński powrócił do Warszawy i do swojego warsztatu, bo prawie cały swój dobytek utracił przez tę nieszczęśliwą wojnę. Szył znowu trzewiki, jak dawniej, a jenerałowie i panowie wielcy odwiedzali go w warsztacie, a szanowali i kochali serdecznie.

W roku 1806, gdy Francuzi przyszli do Warszawy i

znowu rząd polski przywrócili, mianował jenerał francuzki bardzo zacnego i szanownego obywatela, pana Węgrzeckiego podburmistrzem miasta. Na to pan Węgrzecki obrócił się do Kilińskiego i rzecze: Niech raczej Kiliński w moje miejscu zostanie podburmistrzem. Na to wszelako zacny szewc pułkownik odpowiedział z prostotą:

— Mamci ja wprawdzie zasługi w Warszawie naszej kochanej, może i większe od waćpana, ale waćpan masz więcej rozumu odemnie i zdatności, i życzę z całego serca, byś naszym został burmistrzem."

28. stycznia roku 1819 zmarł Jan Kiliński mając lat 59. Zostawił kilkoro dzieci, a puściznę dla nich bardzo niewielką.

Na pogrzeb jego prawie cała wyległa Warszawa. Pochowano go pod kościółkiem na smętarzu powązkowskim, i wmurowano tablicę z napisem. Ale zatarło się to z czasem, i teraz dopiero odszukali znowu miejsce grobu Jana Kilińskiego. Więc też wszyscy, i panowie i lud warszawski, zgodzili się na jedno, by mu grobowiec piękny postawić. Już miano zbierać składkę, a tu cech szewski wystąpił i wyrzekł: „My mamy najpierwsze do tego prawo, boć on z naszego był cechu, i my sami postawimy mu grób naszym kosztem. A dziękujemy wam wszystkim za pomoc ofiarowaną.

W przyszłym więc roku stanie na powązkowskim smętarzu w Warszawie pomnik dla Jana Kilinskiego, szewca i pułkownika wojska polskiego.

Zaś wy, bracia moi i siostry kochane, zmówcie paciorek z całej duszy na tę intencyą, i proście pana Boga aby nam więcej dał takich szewców! —

A wy chłopcy proście Boga doczekać się takich czasów jak Kiliński, i spiewajcie sobie Krakowiaczka:

Kiliński szewcem był, oj poruszył Warszawę,
Zrobił Moskaliskom weselisko krwawe! —

Paulina z L. Wilkońska.

Pogadanki starego pszczolarza

przez

Adama z Pepłowa.

Zeszłego roku opowiedziałem wam, to co słyszałem od starego Jacentego o pszczołach; a owo niedawno powrócił on od księdza Dolinowskiego, co to ul ramowy wynalazł. Wczoraj byłem u Jacentego i długośmy przy miodku, to o pasiece księdza Dolinowskiego, to o pszczółkach gwarzyli, a że wam obiecałem o wszystkich naszych rozmowach donosić, więc wam i o tej napisałem.

II.

Jakie jest przeznaczenie pszczół?

Wiecie już czem się różni matka od trutnia i od pszczół roboczych, a zdaje mi się nawet, że potrafilibyście z powierzchowności odszukać ją w roju. Nie wiem jednak czyście zastanawiali się kiedy nad tem, dlaczego to Bóg najwyższy tak poodróżniał pszczoły od siebie? Otóż stary Jacenty w ten sens mi o tem prawił:

Matka czyli królowa jest najgłówniejszą osobą w ulu; od niej zależy cała pomyślność roju, który pewnikiem ginie skoro matkę utraci, a nie ma jajek do wylęgnięcia innej matusi. I nie dziw, że matkę szanują pszczoły, to jest trutnie i robociążki, bo wiedzą: że gdyby im matki nie stało, to one same zginęłyby nieochybnie. Zapytacie się dlaczego? to wam odpowiem, że jak u ludzi, gdy zostaną sieroty bez ojca i bez matki, a nikt się niemi nie opiekuje, to wymrą niebożęta; tak też na podobę tego i u pszczół: skoro one postradają swą rodzicielkę, a nie znajdą opieki w dobrym pszczolarzu, wtedy zginą marnie.

Matka u pszczół znosi jajka, z których wylęgają się pszczoły, to jest trutnie i robociążki. Jajka te składa ona w komórkach pustych z wosku zrobionych, które przedtem na składanie miodu służyły. Jak ta komórka jest wielka, to się z niej wylęga truteń; a jak mniejsza, to już nic innego jeno pszczoła wylezie. Zapytacie się zapewnie a zkądże ma matka tę moc znoszenia jajek? Odpowiem wam nato, że Bóg najwyższy ją jednę tylko pomiędzy pszczołami na samicę przeznaczył; a zapładniają ją

trutnie, które są samcami. Reszta zaś pszczół, są takie, które ni to ni owo znaczą, to jest takie, cobyś ich ani za samców, ani za samice nie uważał. A właśnie *nijakiemi* pszczołami, są robociążki czyli *pszczoły robocze*, o których wam poniżej mówić będę.

Matka bywa zapłodnioną przez trutnia raz na całe życie. Wylatuje ona z nim na grę, a potem powraca do ula, i nigdy już z niego nie wyłazi. Zauważali pszczolarze, że matka składa jajka w Lutym, co trwa do Maja. Wtedy trutniów w ulu niema, bo pszczoły na zimę wszystkich tych darmojadów mordują.

Kiedy matka składa jajka, staje się ona przedmiotem poszanowania całej gromady pszczolej. Otacza ją nieodstępne grono pszczół roboczych; gotowych na wszelkie jej rozkazy. Matka biega po ulu, opatruje komórki, przekonywa się o ich czystości i do każdej składa po jednem jajku, rzadko po dwa; przyczem wpuszcza do niej tylną część swego ciała stojący, opryskując jajka mleczną cieczą. Pszczoły robocze mają obowiązek zaglądać do komórek, w których matka składała jajka, i gdyby zamiast jednego położyła dwa, powinny one jedno pozostawić w tejże komórce, a drugie przenieść do próżnej. Widzicie moi ludkowie z tego gadania, jak to panuje wszędzie porządek. Myślelibyście, że może matka pszczołom to wszystko rozkazuje robić? nie moi kochani! Wiedzą te żyjątka że na porządku i miłości wszystko *stoi*, kochają one zawczasu przyszłe swoje dzieci, boć chociaż matka znosi jaja, ale pszczoły robocze mają o nich starunek, pielęgnują potem robaczki czerwiowe, karmią je, a zatem za dzieci własne uważają, i z tejto miłości swego rodu, a nie żadnego rozkazu kochają swych małych braci. Dziwota wielka dla niejednego ztąd, że takie maleństwa jak pszczoły, mają miłość rodową!

Skoro ze zniesionych przez matkę jajek powylęgało się wiele mrowia, pszczołek młodych, i gdy te przez pszczoły robocze są pielęgnowane, wtedy matka odpoczywa w ulu. Karmi ją wtedy cały ul, a ona siedzi i nic nie robi aż do następnego roku; potem znowu znosi jaja, a to się powtarza do trzech lat, boć jeno tyle czasu matka żyć może.

Mówił mi także Jacenty, że jeżeli matka umrze przypad-

kiem, wtedy dobry opiekun roju czyli pszczolarz powinien przyjść rojowi z pomocą, to jest powinien mu wsadzić nową matkę. Tym końcem powinien on mieć w zapasie kilka matek w klateczkach, które się *matecznikami* nazywają. Jeżeli zaś matka umrze podczas rójki, to jest w lecie, wtedy pszczoły robocze same sobie mogą wylądz matkę. Dziwna a przecie prawdziwa choć nieodgadniona rzecz, jakim sposobem mogą one to zrobić! Stary Jacenty powiadał mi, że na własne oczy widział jak pszczoły robocze po stracie matki nową sobie wypielęgnowały. Mówił on, że pszczoły rozerwały ściany pomiędzy dwoma komórkami, zrobiły jedną dużą, i znajdujące się jaję przez zmarłą matkę złożone pielęgnowały swem ciepłem. Tym to starunkiem doprowadziły do tego, że z komórki wylęgła się nowa matka. Dobrze moi kochani, że rzecz się miała w lecie podczas rójki, i że było jajko gotowe; aleć gdyby to później się wydarzyło, zmarniałby cały rój! Opieka więc i baczność pszczolarza, koniecznie w tym razie są potrzebne.

Weźcież teraz na rozum co wam o matce powiedziałem, a przekonacie się, że najgłówniejszą jej rzeczą jest: znosić jaja na młode i rządzić całą gromadą pszczół czyli rojem, bez mała tak, jak jest rzeczą wójta trzymać we wsi porządek.

O pszczołach roboczych, które stary Jacenty ***robociąż-kami*** nazywa, opowiem wam teraz.

Pszczół roboczych najwięcej jest w roju; tak żebyś ich bracie mój i w 10 garści z jednego roju nie zmieścił. Byli cierpliwi ludzie co je przeliczyli, i ksiądz *Dolinowski* powiadał staremu Jacentemu, że w jednym ze swych ulów ramowych naliczył sześć tysięcy pszczół roboczych. Prawda, że to był rój ogniście wielki, bo średnio biorąc, to już rój taki dobry, w którym jest trzy tysiące robociążek. Pszczoły robocze wylęgają się z jajek składanych przez matkę w ciągu dni dwudziestu. Nowo narodzona pszczółka jest bardzo milutka: najprzód biała, potem robi się szarą, a następnie zmienia się w ciemno-żółtą albo w czarno-burą, tak, że sama barwa odróżnia pszczoły młode od starych. W porze na miód urodzajnej, młoda pszczółka we dwa pacierze po narodzeniu wylatuje już ze staremi w pole,

i często od pierwszego razu powraca do ula z pokarmem. Patrzajcież co za pilność, już w takiem maleństwie! —

Z przeznaczenia swego, pszczoły robocze znoszą z pól, łąk i lasów pokarm dla wszystkich mieszkańców ula. Pokarm ten składa się z drobnego pyłku i z płynów miodowych, co po kwiatach się znajdują. Im większy jest plon na polach, lasach, łąkach lub w ogrodach, tym pracowitsze są robocze pszczoły; a jak przeczuwają rychłą niepogodę, to jeszcze gorliwiej się zwijają i wcześniej wylatują na robotę.

Jeżeli więc zobaczysz gospodarzu, że pszczoły wylatują z ulów z pierwszym brzaskiem jutrzenki, wtedy możesz być pewnym, że wkrótce będzie wielka niepogoda. Jeżeli ta niepogoda trwa długo i zapasy w ulu nikną, wtedy pszczoły wyrzucają z ula zalęgi, które jak wiadomo wiele miodu spożywają. Sam widziałem podczas długotrwałych deszczów leżące pod ulem podczas miodobrania zalążki, przez pszczoły powyrzucane. Musi to być już wielka bieda i rozpacz, bo wiadomo jak pszczoły kochają swoje dziatki.

Pszczoły dzielą się w pracy: jedne składają plastry i lepią komórki na zalążki, drugie pielęgnują matkę, inne znowu zasklepiają złożony miód w plastrach; zgoła tak jak u ludzi; gdzie jeden jest cieślą, a drugi kołodziejem, a trzeci stolarzem. Dla zasłonięcia ula przed napaścią szkodliwych zwierząt i owadów, jakoteż i przed zimnem, pszczoły zasklepiają wszystkie szpary i otwory, pozostawiają tylko jeden do wylotu, przy którym zawsze z dziesięć pszczół pilnuje ula. Lepiej jest jak pszczolarz sam zalepi szpary w ulu, bo wtedy pszczoły nie potrzebują marnować czasu, a zamiast lepić, zbierają miód dla pszczolarza.

Do pszczół roboczych należy także karmienie matki i dziatwy, a te które karmią dziatwę nazywają się *mamkami*, na podobę jakby u ludzi.

Pszczoły robocze żywią się czystym miodem tylko w zimie; w lecie mają miód mieszany z pyłkiem kwiatowym. Żyją tak długo jak i matka, to jest trzy lata, lub nieco dłużej. Jacentemu nigdy się nie wydarzyło widzieć, aby pszczoła robocza dłużej nad 4 lata żyła.

Trutnie służą do zapładniania matki. Wylęgają się one z

jajek złożonych przez matkę w większych komórkach. Zaczem truteń dobrze wyrośnie, to mu potrzeba 24 dni. Wiadomo już wam, że trutnie nie mają żądła i dlatego nie kąsają, ale zato brzęczą; bo gdy rój nowy wylata, ten brzęk, który słyszycie, wydają trutnie. Rojenie się pszczół jest weselem: trutnie to gracze, co brzęczą jakoby do tanów, to jest do pracy; lecz gdy trutnie zrobią co miały zrobić, to jest gdy zapłodnią matkę, wtedy na zimę wycinają je pszczoły, tak że ani jeden w ulu nie zostaje. Nie żyją więc dłużej nad 4 do 5 miesięcy.

Otóż moi bracia nagadałem wam dosyć *o przeznaczeniu pszczół*, a nagadałem dlatego, aby gdy weźmiecie się do zakładania pasiek, nic wam dziwno nie było. Wtedy sobie bowiem sami skutecznie radzić będziecie we wszystkich wypadkach gospodarstwa pszczolego.

Chciałbym ja zachęcić was do pszczelnictwa, z którego ojcowie nasi tyle pożytku mieli; chciałbym abyście pokochali pszczółki, boć jak ksiądz *Dolinowski* powiada:

Słodki plastr miodu — wielki dar Nieba,
Jakżeć człowiecze wdzięcznym być trzeba?
Pożytek z roli masz w pocie czoła,
Czyliż cię tyle kosztuje pszczoła?
Kawałek drzewa na jej mieszkanie,
Oto jest całe twoje staranie.
Ileż ci za to wdzięczną się staje!
Alboż to tylko miód i wosk daje?
Więcej, ach więcej czyni dobrego,
Chciej tylko pilniej korzystać z tego.

Zły sąsiad.

— Mój sąsiedzie kochany, chyba sumienia nie macie, gdzie się obrócę to wszędzie szkoda, a wszystko przez was.

— A złapaliście mnie kiedy, albo moją kobietę lub które dziecko?

— O! przecieć wy w szkodę nie idziecie, ani wasza kobieta lub dziecko, tylko wasze konie, wasze bydło, gęsi, kury i wszystko co do was należy, a nawet wasz pies wpadł wczoraj do izby i wychlapał mleko ze skopka.

— A coż to, czy to ja każę im szkodę robić?

— Nie każecie to prawda, ale nie pilnujecie i kontenci jesteście, kiedy które może co udrzeć z mego.

— Albo to prawda. Wczoraj wasza kobieta tyle się nawywodziła na nasze gęsi, a one siedziały zamknięte w sieni.

— Tak, ale wprzódy dobrze się napasły w moim jęczmieniu, to o tem nic nie mówicie.

— O! waszej kobiecie gęby nie brakuje, i zawsze na nas przed wszystkiemi wywodzi, jakby na jakich ostatnich.

— Mój sąsiedzie, że się użalali to nic dziwnego, boć człeka boli, kiedy się mu praca w polu marnuje; ale nie roznosi żadnych plotek, i nie wtyka nosa gdzie nie wypada.

— A moja to wtyka?

— Jakże nie? w tamten tydzień przymówiłem się o dzieciaka z moją kobietą, to wasza zaraz pzypadła pod okno, i potem po całej wsi rozniosła, że kobietę moją skrzywdziłem, że się napijam i potem cudeńka w domu dokazuję.

— Ot! że pierwszy raz takie bajbugstwo rozpletła, toć z was nic nie ubyło.

— Nie ubyło mój sąsiedzie to prawda, ale równie serce boli, kiedy nieprzyjaźń człeka dotyka. A nie pierwszy to raz, nie pierwszy, bo w domu nie wyrzekniemy słowa żebyście go nie złapali uchem; nie obrócimy się, nie zjemy nic, nie kupimy, żebyście okiem nie dostrzegli. Potem z ucha waszego i oka, wszystko to wyłazi na język wasz, a z języka z różnemi przykładkami między ludzi. Z plotki zaś mój sąsiedzie przychodzi do kłótni, a potem do obrazy Boskiej; i nieraz bywa z tego swaru, że aż dziwne rzeczy dzieją się z człowiekiem. Dlatego też zamiast żyć z sobą w zgodzie, jak Bóg przykazał, po sąsiedzku po przyjaźni, to nie zejdzie tydzień żebyśmy się nieswarzyli, że nie raz to człowiekowi brzydnie życie, i radbym się wynieść na koniec świata.

— To i któż temu winien? Ja, czy co?

— A jużcić wy, bo mnie nic takiego nie zadacie.

— Więc ja już najgorszy?

— Nie, wy nie zły człowiek, tylko zły sąsiad, a zły sąsiad to największe skaranie Boże, jak to w owej bajce:

Zeszło żyto na roli leżącej odłogiem;
Cóż potem ? Kiedy zewsząd otoczone głogiem.
Grunt był dobry, chociaż go pług nigdy nie ruszył,
Byłoby z niego zboże, chwast wszystko zagłuszył.
Szczęśliwy, kto z dobremi o granicę siedzi.
Zły głód, wojna, powietrze, — gorsi źli sęsiedzi.

(Km.)

RÓŻNOŚCI.

Plotki. Złego człowieka to wszędzie nadybać można; gdzie go nie zasiejesz to ci zejdzie, a jak cię na majątku uszkodzić nie może, to choć swarzy ludzi między sobą, żeby tylko Panu Bogu zrobić na przekór, a djabłu świeczkę zapalić.

Owóż mówili mi kumowie i pisali mi różni przyjacieli, że teraz po wsiach pokazują się często jakieś przywłoki, co mówią, że panowie chcą pańszczyznę przywrócić. Jużci kto mądry, to się takiemu w oczy zaśmieje i da mu jeszcze co piędtukiem na pamiątkę, żeby plotek nie roznosił; aleć nie jeden zaturbuje się i pomyśli: — A może to i prawda? —

I zkądże by to mogła być prawda mój gospodarzu! A toć przecie jak ty miarkę żyta ubogiemu sąsiadowi podarujesz, to się mu potem o nią nie upomniesz. Panowie dziedzice darowali pańszczyznę, i jakże by mieli ją nazad przywracać? A choćby nawet i chcieli, to już im nie można, bo pańszczyzna teraz to rzecz niesłychana. Na całym świecie nie znajdziesz dzisiaj chłopa coby pańszczyznę robił, chyba jeszcze u niewiary Moskala, boć ten się i sądu Boskiego nie boi! —

Teraz, co się panowie do Krakowa zjeżdżali, to jeno poto, ażeby prosić we Wiedniu, coby nam dali większą wolność w kraju. Żebyśmy mieli swoich urzędników, a nie zkądeś zza morza, i żeby tu we Lwowie urządzić taki *sejm* czyli zjazd, gdzieby szlachta i mieszczanie i chłopi razem radzić mogli nad podatkami, żeby mniejsze były, nad szkołami i innemi krajowemi sprawami. Obiecali nam to we Wiedniu, a pan Bóg da z wiosną to się zrobi jaka zmiana u nas.

Zdania z listów św. Pawła.

Odrzuciwszy kłamstwo, mówcie każdy prawdę o bliźnim, gdyż jesteśmy członkami jedni drugich.

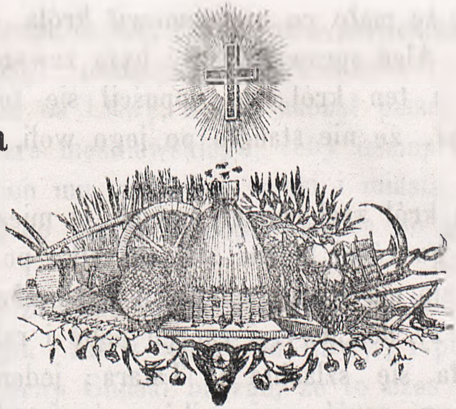
Nie dawajcie miejsca złemu duchowi.

Niech ten, który kradł nie kradnie: niechaj pracuje, robiąc rękami swemi, co jest użytecznego, aby miał z tąd udzielić potrzebującemu.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**

Tom IV. **Nr. 3.**

21. Stycznia **1861.**



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bracia Olbrachta, królowie polscy

i zdrajca Gliński.

Skoro Olbracht umarł ze zmartwienia, zawołali Polacy brata jego *Aleksandra* z Litwy, żeby im królował. Jakoż zjechał Aleksander świetnie do Krakowa, kędy mu zaraz koronę na głowę włożyli.

Alceć na owej Litwie zkąd Aleksander przyjechał, zaczęły się wielkie swary i kłótnie. Była ku temu ta przyczyna: Królowi łasił się jeden pan, imieniem *Gliński*, i tak się był do jego łaski królewskiej weisnął, że co jeno zażądał, choćby ptasiego mleka, to musiał zaraz mieć od Aleksandra. Toż i nie dziwota, że się inni panowie krzywo nato patrzyli, jako że jeszcze ten Gliński zgóry na wszystkich spoglądał, i radby był chodzić wszystkim po karkach. A blisko mu już było do takiej pychy, bo nie ledwie że pół Litwy trzymał w swoich rękach.

— Poczekaj ty pyszałku — mruczeli inni panowie, i poszli do króla skarzyć na niego. Lecz Gliński umiał całą skargę tak

ładnie wykręcić, że mało co nie namówił króla, coby im głowy pościnać kazał. Aleć sprawiedliwość była zawsze przy królach polskich, więc i ten król nie dopuścił się takowej zbrodni. Gliński się srożył, że nie stanęło po jego woli, lecz nic to nie pomogło.

Tymczasem król zachorował mocno, w mieście litewskiem, Wilnie. Leczyli go różni ludzie, ale wszystko po próżnicy; królowi nie robiło się nic a nic lepiej. A tu jeszcze jak na dobitek wpadli Tatarzy do Litwy, i zaczęli palić i rabować. Powoli bardzo wybierała się szlachta na Tatara; jeden tylko Gliński co zebrał duchem garść wojowników, i napadł na pogańską hordę pod *Kleckiem.* Borykali się tam strasznie, bo Tatarów była wielka siła; Gliński sam potykał się odważnie; aże w wkońcu rozbili nasi poganów, odebrali im wszystkie łupy, a samych wzięli jeszcze dwadzieścia tysięcy w niewolę.

Nowina o tem zwycięstwie przyszła chyżo do Wilna. Król Aleksander był już bardzo słabieńki, nawet już mowę stracił, a skoro mu powiedzieli o tej szczęśliwej wojnie, podniósł ręce do góry na podziękowanie panu Bogu, i oddał Mu wnet swojego ducha.

Tak więc niespełna po pięciu latach panowania, umarł Aleksander, a po nim nastąpił za króla *Zygmunt,* brat jego i Olbrachta.

Aleć zaraz na początku panowania miał Zygmunt dosyć utrapienia.

OwóżGliński zaczął teraz bardzo dokazywać w Litwie.

— Ho, ho, — mówił on — ja pobiłem nieprzyjaciół ojczyzny, to ja tyle znaczę co sam król, albo i więcej. — I tak ci się już nadął niesłychaną pychą, jak paw nieprzymierzając, kiedy swój ogon roztoczy. A że miał złość największą od dawna na jednego z panów, Zabrzezińskiego, więc poszedł do Zygmunta i rzecze:

— Królu, Zabrzeziński się kłóci ze mną, ty musisz go ukarać za tę zuchwałość.

— Kiedy ja widzę, że Zabrzeziński, to człek niewinny — rzecze król na to — i jakże go mam karać? A kędyż by była sprawiedliwość królewska? —

Gliński nic na to nie rzekł, jeno zzieleniał od złości, a w duszy poprzysiągł zemstę Zabrzezińskiemu i królowi. Jakoż pojechał duchem na Litwę, a tam zaczął pisać, i pisać — i napisał list do cara moskiewskiego, żeby czemprędzej z wojskiem przyjeżdżał, a on mu wszystkie zamki i miasta w Litwie wyda.

Patrzajcie, do czego to doprowadziła go złość i szatańska pycha!

Nie długo zwlekał car moskiewski, na takie słodkie zaproszenie Glińskiego. Jakoż wpadł do Litwy, i pozajmował zamki i grody. A niecny Gliński bacząc, że to czas zemścić się, napadł na Zabrzezińskiego w mieście Grodnie, obstawił dom swoimi ludźmi, i kazał go w łóżku zamordować. A niedosyć było na tem; na znak radości kazał głowę jego na tykę zawdziać, i tak obnosić po mieście.

Straszna to była zbrodnia; pan Bóg ją też ukarał niezadługo.

Król Zygmunt, zasłyszawszy co Gliński z carem moskiewskim na Litwie wyrabiają, zebrał czemprędzej wojsko i szedł na nich; ale tymczasem car uciekł nazad do Moskwy i Gliński za nim. Nie długo jednak siedział tam spokojnie ów zbrodniarz. Zebrawszy siła Moskali, wpadł na Litwę już jako nieprzyjaciel; chciał jeszcze nikczemnik zemścić się na królu, że się wzbraniał uczynić niesprawiedliwość według jego woli. Ale też król nie żartował z Moskalami; napadł na nich pod *Orszą*; rozbił w puch, a gonił tę hołotę aż za dziesiątą górę.

Zły był Gliński, że mu się nie udało pobić Zygmunta; namawiał jeszcze Moskali do wojny, ale owi widząc, że to z królem polskim nie żarty, kazali mu cicho siedzieć i sami nie chcieli się ruszyć. Więc Gliński dokuczał innemi sposobami jak mógł swojej ojczyźnie; aleć w końcu sprzykrzyła mu się służba u moskiewskiego cara.

Prawda to jak świat stara, że ***wilka ciągnie do lasu***, więc i człowieka do rodzinnej ziemi. Owóż więc i Gliński, chociaż taki niecnota, zaczął sobie tęschnić między Moskalami. Ciągnęło go przecież do tej Polski, której tyle krzywdy wyrządził! Ha no, zaczął ci więc pisywać listy do znajomych, czyby mu też król polski nie przebaczył, i czyby on się do Litwy nazad wrócić nie mógł.

Ale pan Bóg inaczej zarządził! Listy owe wpadły w ręce moskiewskiemu carowi.

— Wrzućcie go do więzienia, i wyłupcie mu oczy! — wrzasnął car wściekły na swoją służbę, przeczytawszy listy.

A służba porwała zdrajcę ojczyzny, i zrobiła jak car nakazał.

I umarł w tem więzieniu sławny Gliński, co pobił Tatarów pod Kleckiem. Jedyną pociechą długiego więzienia, była staremu ślepcowi jedyna córka; ona go pielęgnowała za życia, a pochowała po śmierci. —

Tak karze pan Bóg zdrajców własnej ziemi:

Kto zdradzi swoich braci, i z bronią na nich uderza, tego i wróg ma za nikczemnika, i pan Bóg go wypuszcza z wszechmocnej opieki.

Śpiewka przy kominku.

Pryska ogień, pryska, czerwono się żarzy,
Jasny blask po izbie, i jasny po twarzy;
A Zosia jagódka w ogień się wpatrzyła,
Raz sobie westchnęła, raz się zrumieniła:
— Oj biednež-to moje serce jedyne!
Jak mój Jasio nie powróci, to zginę...
Poszedł na flis, hej po Wiśle daleko,
Dnie i nocki tak się wleką i wleką...

Na wysokiem niebie węgierka już świeci,
Pięć niedziel minęło, ta i szósta leci;
Koło płotu mignęło, stukło do okienka,
Zerwała się Zosia, poznała Jasieńka.
— A gdzieżeś to bywał Jasiu, niecnoto?—
— Oj na Wiśle Zosiu, moje ty złoto! —
— Ale teraz już zostaniesz przy Zosi? —
— Jeno chwilkę, chociaż serce się prosi. —

Wschodzi ranna zorza, kopytka gdzieś dzwonią,
Krakusy z Kościuszką wrogów z Polski gonią;

Jasio kosę ostrzy, i klepie i bije,
A Zosieńka krzyżyk wiesza mu na szyję:
A lećże ty mój Jasieńku skrzydłami,
A bijże się mój Jasieńku z wrogami,
Noś przy sobie ten krzyżyczek maleńki,
I wróć zdrowo do jedynej Zosieńki!

Grześ z Mogiły.

O Bajdzie i Bajdowskim, dwóch braciach.

Kiedy ja jeszcze dzieckiem byłem, żył w naszej wiosce kmieć zamożny co się zowie. Paszy wiele, stodoły napchane, a bydełka dorodnego sztuk kilka. I mieszkał sobie wcale pięknie; bo jego biały dom co stał na końcu wsi, wyglądał istny dworek, bo i okna miał duże, i ogródek przed oknami, i podwórko schludne, ba! nawet komin sterczał ze słomianego dachu. Już to trzeba prawdę rzec, że ksiądz proboszcz dużo miał turbacyi i zachodu, zanim Bajdę na komin namówił.

— A czy mnie to stać na to — mówił nieraz skrobiąc się po głowie. I upierał się obcesem przy dymnej izbie i mówił:

— Tać ta i tatuś i dziad z bydełkiem sypiali w dymnej izbie, a i tak pana Boga chwalili. Na co mi tam nowe mody wymyślać, żeby się ano ludzie we wsi śmiali.

Ale ksiądz proboszcz póty go mordował i prosił, aż wyprosił, że Bajda mularza sprowadził i ani się spostrzegł, jak mu się w izbie rozwidniło bez dymu. A Bajdzina izbę pobieliła, mis polewanych ponastawiała i obrazków świętych nawieszała.

Więc Bajdzie tak się miło w chałupie zrobiło, że o karczmie nie pomyślał, jenoby całe niedziele i święta doma siedział, i fajkę kurzył i nabożne historje czytał, a księdzu proboszczowi to się za komin nadziękować nie mógł. I nieraz kiedy sąsiedzi zeszli się do niego, to on im jał chwalić się i namawiać, żeby tak jak on zrobili; a zaraz kredką im liczył jak to niewiele wyniesie,

Ale sąsiedzi jeno się uśmiechali z cicha, a ramionami ruszali, że Bajda na pana choruje, i gadali mu nie dziesiąty raz:
— U nas ta nie ma takiej mody! — Zwyczajnie źli ludziska zazdrościli Bajdzie że mu pan Bóg dał więcej niż innym, a kumoszki kłuło to w oczy, że pani Bajdzina w spodnicy z galonami i w czterech sznurkach ciężkich korali chodziła do kościoła, i że jej organista zawsze pierwszej świecę dawał. Toteż jak zaczęli stronić od niego, a za oczy go obmawiać, tak też Bajda na dobre się rozsierdził na gromadę i mało z kim żył w przyjaźni, a tyle było jego uciechy, co się w domu z rodziną zabawił.

Miał Bajda dwóch dorodnych chłopców, Jonka i Wojtka, sprytnych i żywych. Matka lubiła więcej wesołego Jonka a ojciec był za Wojtkiem, bo jako że stateczniejszy się udawał, a co dopadł książki to dotąd się męczył, póki całej nie prześlabizował. Owóż tedy wpadło Bajdzie do głowy, czemu by jego synowie nie mieli iść do szkół i zostać potem panami, a jeździć takiemi ślicznemi pojazdami jak dziedziczka w niedzielę do kościoła. A nie pomyślał biedaczysko, że nauka nie na to, żeby człek potem nosa do góry zadzierał, ale żeby innym ludziom pomagał i dobrze czynił. Toteż źle na tem wyszedł, jak to później zobaczycie; aleć naradził się z babą, chłopców odwiózł do miasta i opatrywał ich we wszystko.

Tak było jakie ośm lat, a chłopcy kończyli już szkoły. Ale starszy Wojtek coraz rzadziej do ojców przyjeżdżał, coraz mniej ich kochał i wyraźnie ich się wstydził. Z Wojtka przerobił się na Adalberta, a z Bajdy na Bajdowskiego. — Mówili ta ludzie że bardzo dobrze się uczył, że będzie z niego wielki człowiek, ale fracha u mnie taki wielki człowiek, co się wstydzi własnego gniazda.

Inaczej było z Jonkiem. Im więcej się uczył tem bardziej uczynny był dla wszystkich. Z każdym mowny, serdeczny a kiedy do niego do miasta ojciec zawitał, to nie wiedział jak witać, gdzie posadzić z wielkiej radości. A na wakacyje i w każde święta, to jemu najmilej było w bielonej izbie ojców na twardej ławie.

Ale chciało nieszczęście, że Jonek przylgnął do Baśki,

córki Leśnego Michała Porady. Biedny Jonek, odkąd Baśka wpadła mu w oko, przymizerniał, zbiedniał, ale nikomu o swem zmartwieniu nie gadał, bo wiedział że z jego kochania nic nie będzie, gdyż Poradowie nie cierpiali się z Bajdami jak pies z kotem; a czy w karczmie, czy na weselu, czy w kościele nawet, nigdy ich ludzkie oko razem nie uświadczyło. Co się ksiądz proboszcz nagroził, nałajał — nic nie pomogło. Obydwa wysłuchali księdza cierpliwie, za oracyą podziękowali i niby ręce sobie podali, ale wyszedłszy od księdza znowu żyli jak dawniej. I nie było nawet przyczyny tej nienawiści. Unikali się i krzywo na siebie patrzyli, bo i ich ojcowie się nie znosili.

Toteż strasznie markotno i nie na rękę było młodym, co się kochali, ta nienawiść ojców; nieraz w pogwarce u przełazu dużo się nagadali i nabeczeli nad sobą. A do tego Baśka bała się po trochu Jonka, co nie z chłopska w sukmanie, ale w kubraku niby pan jaki wystrojony chodził. Lecz Jonek był poczciwy chłopak, i nie na wiatr tylko bałamucił dziewczynę, a wcale mu to nie było wstydno porzucić szkoły, i znowu orać rolę. Bo Jonek choć młody, poznał że i chłop przy pługu uczonym być może, i przez to więcej przyda się ludziom we wsi.

Więc jednej niedzieli nuż perswadować tatusiowi, jakby to dobrze było, żeby sobie ojciec wypoczął z pracy, a jemu pozwolił w ziemi robić; jakby to i dla ojca i dla gromady dobrze było, mieć we wsi piśmiennego człowieka, co się i z ludźmi różnemi rozmówić umie, a suplikę napisze i poradzi. Ojciec na wszystko kiwał głową a powtarzał jeno:

— Oj synku, nie tobie być chłopem, ty musisz być panem i pojazdami jeździć. —

A Jonek rzewnie zapłakał w duszy nad ojcem, że mu takie złe myśli chodziły po głowie. I tak i siak zachodził jeszcze ojca, ale kiedy widział że daremno, upadł ojcu do nóg i wyznał wszystko. —

Co się działo w duszy Bajdy a potem w jego chacie, tego wam moi mili nie opowiem. Dość wam powiedzieć że na wspominek o Poradzie Bajda zzieleniał cały, i długo potem chorował mocno, że Jonka z domu wygnał i wiedzieć o nim nie chciał, póki by o Baśce nie zapomniał. A dla starszego

syna był od tego czasu dwa razy lepszy niż dawniej. Pchał w niego co mógł i jemu rolę zapisał, a o Jonku niecnocie ani słychać nie chciał. Nikt też we wsi nie wiedział gdzie się Jonek podział. Jedna tylko Baśka może wiedziała, ale nie chciała nikomu powiedzieć. I ona biedaczka nic nie wskórała prośbami u swego ojca,

— Niech on sobie ta będzie kmieciem i niekmieciem — mawiał Porada — ty za niego nie pójdziesz, żeby Bajda nie mógł powiedzieć, że cię wziął z litości! —

I biedaczka Basia nie jedną nockę gorzko przepłakała za Jonkiem. Ale zlitował się pan Bóg nad niemi. Bo gdzie ludzie popsują i naprawić nie chcą i nie mogą, tam pan Bóg widomie się wmiesza. Tak też i tu było.

Zboże nieurodziło, Bajdzina zachorowała, stary Bajda ostatni grosz wydawał na leki. Nic to nie pomogło, a Bajdzina umarła. Strapiony Bajda został sam jeden w chałupie pustej; do tego jeszcze bolało go, że on najzamożniejszy kmieć we wsi teraz do takiej nędzy przyszedł. Ale to nie koniec było. Widomie ręka boska wisiała nad nim, bo w niespełna ośm niedziel po śmierci żony spaliły się Bajdzie stodoły. To go do reszty dobiło.

Ale miał jeszcze nadzieję że go syn starszy poratuje, że mu się odwdzięczy za to wszystko, co mu niegdyś dawał, bo synek teraz dobrze się miał, i pono został urzędnikiem. — Wybrał się więc do niego w ostatniej sukmanie, o kiju, ale syna nie zastał w domu jeno jego żonę i dzieci. Bo trzeba wam wiedzieć że Wojtek Bajdowski ożenił się w mieście, a nawet bez błogosławieństwa rodziców i nic się nie przyznał że on chłopski syn. Toteż teraz żona i dzieci roześmiali się ze starego Bajdy, gdy im powiedział, że on do syna przyszedł, i w sieni mu czekać kazali na pana. Serce się kraje moi mili to powiedzieć, że syn nie uczcił siwej głowy ojca, a na jego prośby począł się wymawiać, że jest bardzo biedny, że potrzebuje dla siebie, dla żony i dzieci.

Wrócił stary Bajda z niczem do domu; rzucił się smutny na ławę, i jak dziecko płakał i przeklinał siebie za to, że chciał widzieć swoje dzieci panami, a nie dobrymi ludźmi. I przypomi-

nał mu się poczciwy Jonek, i począł żałować, że się z nim tak źle obszedł; ale darmo, bo Jonek przepadł jak kamień w wodę.

Tymczasem po kraju zamięszanie było straszne i wojna. Każdy kto miał zdrowe ręce i ochotę, leciał bronić kraju i bić nieprzyjaciół. Stary Porada, że to człowiek wojskowy, więc nie mógł dosiedzieć doma; Baśkę polecił sąsiadce Małgorzacie, a sam poszedł za innymi. Była to ona wojna, kiedy to Kościuszko razem z Kilińskim i z Krakusami bił niewiarę Moskala. Długo o nim nie słyszano; tylko posłuchy dochodziły o bitwach różnych a coraz bliższych, aż nareszcie z wiosną wojska zbliżyły się pod wioskę, gdzie mieszkał stary Bajda.

Biedne Bajdzisko! Jego nawet wygrane bitwy naszych już nie cieszyły. Z bolu wielkiego ogłupiał prawie, chodził jak cień po pustuj chacie swojej, zaniedbał rolę i marniał. W takim stanie zastał go dzień, w którym wszystko co żyło wysypało się z wioski witać żołnierzy, których tędy droga prowadziła. Bajda został w izbie i paciorki klepał, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł do izby młody Jonek na szczudle, i do nóg ojcu się rzucił. Nie trzeba wam mówić co tam było uciechy przy powitaniu. Stary Bajda beczał jak bóbr, syn nie mógł się go naściskać, a każdy miał tyle wygadać, że się nieopatrzyli jak dzień i nockę przesiedzieli i przegadali.

— Teraz ja was nie opuszczę tatuniu — mówił Jonek — będę pracować w roli dla was, bom do wojska już nie przydatny. — I pokazał na szczudło, i jął ojcu opowiadać historyą jak nogę utracił.

Na drugi dzień wezwali starsi wojskowi Jonka do siebie. Poszedł z nim i stary Bajda, bo się już z synem rozłączyć nie chciał, i bał się by mu go nie odebrano. Ale jakże się zdziwił, kiedy zobaczył jak jego Jonka obstąpili w koło starsi i chwalili jego zasługi, jego odwagę, i w nagrodę przypięli mu krzyżyk złoty na piersi. Gromada cała ciekawie przypatrywała się temu, ale najbardziej Porada, który także z wojskiem wrócił. Łzy miał w oczach stary wiarus, wąs ustawicznie kręcił, i co chwila poglądał na Jonka i na jego ojca. Aż wreszcie nie mógł wytrzymać, zbliżył się do Bajdy i rzekł: — Kumie! za tak dzielnego syna ja wam inaczej podziękować nie umię, tylko tem,

że wam rękę podam.— Stary Bajda wachał się chwilę, ale prośba syna, którego teraz tak kochał, umiękczyła go. Uściskał Poradę i w dom swój zaprosił. Tutaj przy miódku rozgwarzyli się starzy — popłakali się, i serdecznie się zaczęli ściskać. Więc Jonek zbliżył się do ojca i nuż prosić.

— Tatuniu! proścież Porady o Baśką dla mnie, jeżeli chcecie żeby mi niczego nie brakowało na świecie.

Starzy popatrzyli na siebie; Porada poklepał Jonka po ramieniu i rzekł mu:

— Weź ją synu i bądź jej ojcem za mnie.

Niedługo więc potem Jonek pojął Baśkę, i w domu ojca jął gospodarzyć na piękne, a zamożność i dostatek wracały do chaty.

Porada jakiś czas był przy nich, a potem pobłogosławił ich ze łzami, i poszedł za wojskiem.

O Wojtku nikt we wsi nie słyszał, ale ja słyszałem i powiem wam, że Wojtek ma pieniądze, żyje jak pan, ale go pan Bóg srogo skarał, bo mu nie dał zdrowia i spuścił na niego paraliż, że się ruszać i mówić nie może, a tylko oczy zamyka, by niewidzieć jak żona nim poniewiera, i jak go dzieci nie słuchają. Oj nieraz przeklina on swoje życie; ale nie pomyślił o tem że to kara pana Boga.

Stach.

Gosposiom nauka,

jak mieć nabiał dobry.

Jużci każda gosposia mi przyzna, że nie ma większej wygody jak para krówek, a z nich mleko i śmietana! Bo to czy staruszek czy drobne pisklę w pieluchach, czy słaby czy zdrowy, czy bogacz czy ubogi, każdy to chętnie pożywi się mlekiem. W lecie spiekota, to się niem ochłodzisz, w zimie mróz, to przystawisz gosposiu garnuszek mleka do ognia, i już jest czem zagrzać chłopa i dzieci.

A dopieroż jaki to pożytek i wygoda, kiedy jest więcej krówek, a mleko można wynieść do miasta, i dobrze go tam sprzedać. Jeżeli do miasta daleko, a nie ma czasu iść z mlekiem, to zaraz jest i robota w domu, Dobra gosposia robi masło czyściutkie i przyrządza ser smakowity, za co znowu na targu niejeden grosz do kalety wpadnie.

Aleć kto chce mieć dobry nabiał, to trzeba żeby też i umiał dobrze chodzić koło swoich krówek. Owóż więc, która gosposia albo jeszcze młoda i niewprawna, albo już tak z domu nie nauczona, to niech posłucha jakie jej dam rady.

Jużto najprzód trza dawać pozór na samą krowę; kto chce mieć siła mleka, musi też i krowę dobrze karmić. Jak ty moja gosposiu dasz swojej krowie paszę wodnistą i nieżyzną, to będziesz miała i mleko wodniste, a rzadkie i sine jak zfarbowana koszula. Zdarza się tez nieraz, że się krowom mleko do imienia zepsuje, a także z tej samej przyczyny; bo jeno im dasz pożywniejszą paszę, to i mleko duchem się naprawi.

Jeżeli się atoli zdarzy, że krowy dają mleko tak sine, że prawie aż niebieskie, wtedy trzeba inaczej radzić. Weź moja gospoś przygarść *piołunu* i drugie tyle *korzenia goryczki* z apteki, nalej to wodą w garnuszku, wrzuć do tego z garść *soli glauberskiej*, co jej także w aptece dostanie, i przystaw do ognia. Kiedy kilka razy zawre i sól się rozpuści, wtedy odstaw, przecedź przez szmatkę, ostudź i wlej krowie do garła, a mleko się poprawi.

Czasem się trafi, że dostaniesz mleko lipkie, co się aż ciągnie, a mało daje śmietany. Ha, uderz się w piersi moja gospoś, bo to twoja wina. A czemu to dajesz krowie zepsute siano, chore ziemniaki, albo gnijące liście z buraków? Daj krowom paszę zdrową, to i mleko będzie dobre. A jeżeli i tak jeszcze mleko będzie lipkie, to ugotuj 4 łuty *senesu* z apteki i 10 łutów *soli glauberskiej*, przecedź, i wlej ostudzone krowie, a pomoże.

Jużto największy gwałt u gospodyni, kiedy krowa daje mleko zakrwawione.

— Ho, ho — prawi ci zaraz kumeczka — to nic innego jeno czarownica urzekła wam mleko. —

A jak jej nie chcesz wierzyć, to ci gotowa palce na krzyż położyć, że to pewnikiem czarownica. Ha i jakaż na to rada? — Więc ci kumeczka zacznie dopiero raić różne kadzenia i zażegnywania, a tyle to wszystko znaczy, jakby wdział na psa łyko.

I dlaczegoż to moja gospoś? A jużci dlatego, że to nie żadne zaczarowanie albo urzeczenie, jeno także słabość. Owoż jak mleko zakrwawione, to może pochodzić z krwistości krowy, albo z bolu dojków.

Jeżeli krowa krwista, to jej tylko krwi upuścić, a pomoże. Jeżeli ją zaś dojki bolą, to łatwo poznać, bo na całem wymieniu znajdziesz wtedy guzy i bolączki; a jak temu nie zaradzisz, to całe wymie nabrzmieje, i krowa przestaje się doić. Potrzeba wtedy moja gospoś ażebyś twarde miejsca wymienia nacierała niesolonem masłem kilka razy na dzień. Trzeba przytem zdoić zawsze wszystko mleko dobrze. Krosty i bolączki popękane nacieraj potem znowu słodką śmietaną albo świeżym olejem lnianym.

Aleć nawet choć krowie nic nie brakuje, to musisz baczyć na samo dojenie, moja gospodyni, jeżeli chcesz mieć dużo mleka i aby tłuste było.

Wiadoma to rzecz, że krowy jałowe najlepsze mleko dają, choć nie bardzo wiele. W mleku od takiej krowy dużo jest śmietany; ale śmietana ta przychodzi dopiero przy końcu dojenia. Nieprzymierzając jak w garnku śmietana się u góry trzyma, a do dołu coraz rzadsze mleko, tak i w wymieniu u krowy. Więc najprzód idzie cienkie mleko, potem coraz gęstsze, i coraz więcej w niem śmietany.

Dla tego moja gosposiu wydój krowy aż do ostatniej kropelki, i przypilnuj dziewkę, żeby tak robiła. Czasem już nic nie idzie, i zdaje się że krowa więcej nie przypuści, a przecież niejedną kroplę mleka można jeszcze dostać.

Jak się krowy do ostatka nie wydaja, to jest podwójna szkoda: Najprzód, że mniej mleka, a potem że można krowę zaparzyć. Zaś po dobrem wydojeniu, to więcej mleka na drugi dój przybywa.

Wasza więc wina będzie, jeżeli krowę zaparzycie, boście

źle doiły. Przy każdym doju będzie coraz mniej, coraz mniej, aż ci w końcu ani się spodziejecie, kiedy wam krowa stanie, i ani kropli nie da. Zwalacie wtedy znowu na jakie czary i urzeczenia, kiedy to tymczasem wasze lenistwo ku temu przyczyną.

Nie potrzeba atoli rozpaczać skoro się krowa zaparzy, bo nato jest sposób. Rozpuść 10 łutów *soli glauberskiej* we wodzie, i napój tem krowę, a to ją przeczyści, i mleko się pokaże.

Najważniejszą rzeczą tak przy dojeniu, jak przy przechowaniu mleka, jest czystość. Dojki powinnaś ładnie obmyć przed dojeniem moja gosposiu, skopek powinien być także za każdą razą czysto wypłukany, a powązka bielutka jak słońce.

Statki na mleko trzeba aby też były zawsze wyparzone i wyszurowane. Dobre są gliniane, polewane, jeno trzeba takie wybierać, coby były dobrze płaskie, bo w takowych lepiej się osiada śmietana, i lepiej ją można zbierać. Kto większe gospodarstwo z mlekiem prowadzi, temu radzę używać statków blaszanych. Lepsze one dlatego, najprzód że się nie tłuką, a nawet mówią ludzie że w takich więcej się śmietany oddziela. Łatwiej też blaszane czysto utrzymać, ale zato bardzo trzeba uważać, żeby były zawsze dobrze pobielone. Niepobielanym statkiem to można zgoła zatruć całe mleko.

Uważajcież nato moje gosposie, com wam tu naopowiadał o mleku. Niejedna z was lepiej to tam wie nawet odemnie, aleć przecie siła jest takich co nie wiedzą, a wiedzieć powinny, jeżeli chcą być dobremi gospodyniami.

Przedewszystkiem krowy dobrze utrzymywać, a zdrową im paszę dawać, i dobrze doić, a nie trzeba nato żadnych czarów żeby mleko było tłuste i dobre, a przytem dużo. Czystość potem, to główna rzecz, a na nią najmniej dbacie. Wszędzie trzeba czystości a najwięcej przy robocie z nabiałem. A jakże to brzydko, kiedy gospodyni jest niechlujna, i byle jak wszystko robi. Wtedy to i pożytku mało i nabiał licha wart! —

PIĘKNE PRZYKŁADY.

Sebastjan Kubinek.

Na Morawach, w niedalekim kraju od nas, żył we wsi Błażejowicach gospodarz, co się zwał Sebastjan Kubinek. Czytał on siła książek różnych i kościelnych i świeckich, a uważał po sobie że staje się coraz lepszym i pobożniejszym człowiekiem. Żal mu się owo zrobiło że inni ludzie nie zabierają się tak jak on do czytania, i przemyśliwał jakby tu zaradzić?

Nie miał Kubinek ani żony ani dzieci, a gospodarstwo dosyć spore; więc też nie wiele myślący sprzedał cały swój łan ziemi, i pieniądze dał takim ludziom, co owe ładne książki drukują.

Będzie temu więcej jak trzydzieści lat; więc z owych pieniędzy zrobiła się już ogromna suma, bo przeszło *sto tysięcy;* jako że za te pieniądze ciągle drukują i druki sprzedają.

Bardzo ludziska szanują owego Kubinka, boć też jest człowiek świątobliwy. Chodzi po całym kraju jak pielgrzym: ubogo odziany, latem boso, o długich włosach i o długiej brodzie, nosi na plecach niewielką skrzyneczkę zieloną, a w tej skrzyneczce są różne ładne książki i wielka harmonika. Kędy tylko przyjdzie starowina, a ujrzy jaką figurę albo krzyż przy drodze, to zaraz przyklęka, a zaczyna spiewać i grać na harmonice. Więc ludzie gromadzą się koło niego, a on się modli razem z nimi, potem im czyta z książki, a każdemu otwarcie prawdę w oczy powie, bo się ludzkiej złości nie boi, jedno samego Boga.

Niejeden tam kupi sobie książeczkę, i zaniesie swoim do domu a Kubinek chowa pieniądze do swojej skrzyneczki i znowu idzie dalej. Nieraz ma on tam w tej skrzyneczce choc z tysiąc reńskich, a przecież idzie spokojnie i nic się nie boi, tak go tam wszyscy szanują. Sam także ani grosza z tych pieniędzy nie ruszy a żyje bardzo biedno; od trzydziestu lat to nie mniał w ustach ani mięsa ani wina ani piwa, a upomina zawsze tych co gorzałkę pijają.

Często już wtrącano Kubinka do więzienia, zato że ludzi koło siebie gromadził i nauczał; aleć on wytrwał przy swojem i ciągle jak apostoł święty chodzi po całym kraju, a ludziom dobrze czyni, i oświeca ich głowy i serca. —

RÓŻNOŚCI.

Cudowne odkrycie. — Niedawno temu trafiło się w Bochni prawie że cudowne odkrycie na Obrazie Matki Boskiej, co tam jest w kościele.

Jak wiecie, Bochnia jest to miasto niedaleko Krakowa, a kopią tam sól ze ziemi w tem mieście. Owóż górnicy, co tę sól dostają, mieli oddawna wielkie nabożeństwo do najświętszej Panienki. A zdało im się że sukienka już sterana na tem obrazie, więc prosili księdza proboszcza, czyby im też nie było wolno dać odnowić tę sukienkę. Ksiądz proboszcz pozwolił, a oni się też złożyli i oddali ten obraz jednej pani w Bochni, coby na niem sukienkę odnowiła. Owa pani rada że się tem panu Bogu i kościołowi przysłuży, wzięła obraz do siebie, czyści go, i odpina dawną sukienkę, aż tu nagle błysnęło jej coś od spodu. Patrzy bliżej, a tu pod oną sukienką wielkie kosztowności: łańcuch złoty i ciężki, drogie kamienie i perły wielkie jak groch, a to wszystko z bardzo dawnych czasów!

Niespodziana to stała się rzecz dla biednego kościoła, bo o tych kosztownościach nikt w Bochni, a nawet sam ksiądz proboszcz nie wiedział. Radość ztąd była wielka, jako że owe klejnoty wartają *piętnaście tysięcy Zł.* a to wszystko dostało się kościołowi na chwałę Bożą. Na obraz przywdziała owa pani świeżą sukienkę, i tak odczyszczony i odnowiony, poniesiono znowu z wielką procesją do kościoła, na swoje miejsce w kaplicy.

Strach, nie bardzo straszny. Pewien kmieć przybiegł do swego proboszcza wzruszony i przestraszny, z tą nowiną, że mu się pokazuje co noc jakieś widziadło.

— Kiedyś je widział? — zapytał ks. proboszcz.

— Ostatniej nocy około 12ej godziny wchodziło do izby. —

— I gdzież to? —

— A szło od cmentarza, około murów kościelnych; widziałem to przy świetle księżyca.

— A jakąż miało postać?

— Miało wzrost i postawę... tak... dużego osła.

— Bądź spokojnym mój człowieku, to był twój własny cień, którego się niepotrzebnie przekląłeś — rzekł ksiądz proboszcz wesoło.

Dobra to nauka dla wszystkich, którzy w strachy wierzą.

Życzliwy sąsiad. Szczęść Boże na robotę.

— Daj Panie Boże!

— Witajcie Jędrzeju.

— Bóg zapłać za witanie.

— A teraz zażyjcie tabaki, i zostańcie z Bogiem, bo mi się strasznie spieszy.

— A cóż wam tak pilno; myślałem żeście przyszli po jakim interesie.

— Niech Bóg broni! Tak ino przechodziłem wedle was, to jakże poczciwego sąsiada nie przywitać, nie poczęstować choćby tabaką?

— No, ani gadania, ale Rucik to nie taki; jak w interesie, to choćby go do rany przyłożyć, ale po intere-

kiedy nic od człowieka nie potrzebuje, to ni spojrzy ni przywita, ni pogada, jakby ani oczów, ani w gębie języka nie miał. Dlatego też nikt dla Rucika żadnej nie ma przyjaźni. Ale dlaczego on taki?

— Dlaczego? bo widzicie on nie wie, że:

Czapką, chlebem i solą,
Ludzie ludzi niewolą;

to jest grzecznością, życzliwością, i pomocą o ile sił starczy.

Niechlujna dziewka. Widzicie Jagnę, jak się to wlecze błoniem, jakby jej kto nogi poutrącał. Dziewucha młoda, a takie to leniwe, takie nieporządne, że aż oczy bolą patrzeć na nią.

— Oj! prawda, a choć dosyć urodna, ale trudno właśnie będzie wydać się jej z domu.

— Ba! chybaby kto nie dobrze miał w głowie, gdyby se ją obrał na przyjaciółkę i na gospodynię. Bo ino patrzcie: głowa niewyczesana, widać że nie co dzień się myje, koszula podarta, zapaska zawalana błotem, i cóżby mu było po takim niedbaluchu?

— Oj! prawda, prawda, chybaby oczów nie miał, ktoby ją wziął. Matka za nią to ciężki złoży Panu Bogu rachunek.

— Moja kumeczko, matka nie lepsza od córki, a wiecie przecie że *sowa nie urodzi sokoła.*

— To prawda, ale matka powinna się oglądać na siebie, żeby dzieciom złego nie dawała przykładu, bo ludzie mówią bardzo sprawiedliwie:

Córka swą matkę, we wszem naśladuje,
Suczka swej pani zawsze trop pilnuje.

Stare przysłowia i przypowieści.

Post nie schudzi,
Modlitwa nie znudzi,
Jałmużna nie zuboży,
Lecz zasług przymnoży.

Do grosza grosz,
Będzie pełen trzos.
A kto choć grosz lekko straci,
Ten się nigdy nie zbogaci.

Zdania.

I sto rąk mało zrobi, jeżeli jedna głowa dobrze nie obmyśli.

Gospodarka bez rachunku, to tak jak życie opilca; a bez płodu, to jak jazda błędna w zamieci.

Lepiej jest mniejszą liczbę chudoby należycie wyżywić, niż wielkie mnóstwo nędznie utrzymywać.

Cnotliwy człowiek ma litość; dla tego zlituje się i nad zwierzęciem cierpiącem.

Kto na swojem przestaje, ten cudzego nie pragnie, i nikomu niczego zazdrościć nie będzie.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: **E. Winiarz.**

Tom IV. **Nr. 4.**

1. Lutego. **1861.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zygmunt stary, król polski,

i Jan z Tarnowa, wojownik.

Nie byłci Zygmunt cale starym, jak postąpił na królestwo po swoim bracie; i owszem, młody był i urodziwy, a siłę to taką miał w sobie, że szyny żelazne łamał niby patyki, a sznury najgrubsze to rwał jak nici. Nic by to jeszcze wszystko nie było; ale Zygmunt miał serce dobre, kochał ziemię polską jak rodzoną matkę, a sprawiedliwości we wszystkiem pilnował jak oka w głowie.

Nic też i dziwnego nie było, że Zygmunt potrafił jakoś wszystko do ładu doprowadzić. *Na pochyłe drzewo to i koza skacze*, tak też i na naszą Polskę nachodzili wtedy wrogi, ale nowy król umiał sobie dać radę. Wpadli Wołochy, a on wygonił to bractwo, i jeszcze ich we własnym kraju poturbował. Namówili Niemcy Krzyżaków, żeby się rzucili na Polskę, to nasi im takiego pieprzu natarli, że aż książę pruski, co ni-

mi przywodził, musiał przepraszać Zygmunta. A pamiętna to historja, jak ten książę naszego króla przepraszał. Na środku krakowskiego rynku wystawili tron wielki; na tronie zasiadł Zygmunt i radni panowie naokoło, a ów książę pruski przyszedł, i klęknął, i tak publicznie przysięgał na wierność polskiemu królowi. Ha, były to czasy inne, bo teraz my musimy zginać kark przed Prusakiem.

Nie skończyło się na tych wrogach. Ledwie że król miał czas się ożenić, aż tu wpadają Tatary na naszą ziemię. Jak Krzyżaków Niemcy podmówili, tak tych to znowu car moskiewski nabechtał, bo go zazdrość brała, że w Polsce tak dobrze się rządzić zaczęli. Cma była niezliczona tych poganów. Nasi pobili ich w jednem miejscu, ale oni poturbowali nas znowu w innem. Owoż pod miastem *Sokalem* naszych było niewiele, a tamtych siła ogromna, więc też musiało nasze wojsko przegrać oną bitwę.

Przecież jakoś Pan Bóg dał, że Polska nie zginęła. Bo i ono plugastwo pogańskie poszło sobie z naszej ziemi, a i Moskalowi też nie zapomnieli! A owszem ulitował się Pan Bóg nad Polakami, bo trafił się właśnie tęgi wojownik, niejaki *Jan z Tarnowa,* a takiego nam właśnie było trzeba. Pomiarkował i król owego Tarnowskiego, że człek bardzo wyćwiczony we wojennej sztuce, więc niewiele myślący zrobił go najwyższym dowódzcą nad całem wojskiem.

Jakoż dobrze się to stało, bo licho nie poszło spać, i nadeszła świeża potrzeba krzątać się z nieprzyjacielem.

Spokojnie było jakiś czas, aż też przyszły nowiny do Krakowa, że Wołochy znowu się do Polski zabrali, a przybyli z wielkiem wojskiem i siła armat wiezą ze sobą. Król Zygmunt z natury nie był zwykły bić i rozbijać się wojnami, ale cóż było robić?

— Ha — rzecze do Tarnowskiego — zabierajże ty wojsko mój hetmanie, a idź na Wołocha, bo już nie ma rady. Nawet go nie ma co żałować, kiedy taka krnąbrna sztuka, i wlazł nam tutaj bruździć! —

A Tarnowski nato jak na lato.

— W to mi graj — pomyślał sobie, i nuż zwoływać wojsko z całej ziemi a dalej na wroga!

Wołochy też nie żartowali. Spalili nam kilka miast na Pokuciu, i suną sobie dalej jak po swoje. Aleć niedaleko uszli, bo powyż miasta *Kołomyji*, pod *Obertynem* napotkali już na Tarnowskiego z tęgiem wojskiem.

Nie pokazywał się nasz hetman zupełnie z owem wojskiem, jeno udawał, że się Wołochów boi; więc kazał usypać ogromne wały na około, i wykopać rowy co się zowie głębokie, a poustawiał wozy, i tak sobie tam siedzi jak u pana Boga za piecem.

— He, he — pomyślą sobie Wołochy — coś tam kręto z Polakami, kiedy się tak kryją jak lisy w norze! Więc też nabrali wielkiej odwagi, i dalej bić z armat na obóz naszych.

Ale naszym nie szkodziło to wiele; siedzieli sobie spokojnie za swojemi szańcami. A skoro się Wołochy troszeńkę przybliżyli, to jak ich Tarnowski nie każe ołowiem przywitać, tak owo zrobiła się wielka wrzawa między Wołochami, i siła ich popadało jak muchy.

Dopieroż wtedy nasi wypadli z za wozów, i już na ostro zabrali się do wroga. Co tam się działo, to trudno wypowiedzieć; dosyć, że Wołosi uciekali, że się aż kurzyło za nimi, a nasi zabrali ich namioty, i broń i wozy i chorągwie, zgoła wszystko co było.

To też radości było niemało w całej Polsce. Okazale i świetnie wracał Tarnowski z walecznem wojskiem do Krakowa, a ludzie go wszędzie witali, i król Zygmunt uścisnął go serdecznie za ono zwycięztwo. Bo też i było za co; pięćdziesiąt armat wiózł Tarnowski ze sobą, i chorągwie wołoskie, krwawo zdobyte we wojnie.

Chwałę panu Bogu wyśpiewywali ludzie za oną sławę jaką spuścił na ziemię polską; a już najwięcej błogosławili Tarnowskiego Rusini, boć ich to uwolnił on od srogiego najazdu Wołochów. Sam też hetman dziękował niebu za pomoc, a na wieczną pamiątkę zawiesił zdobyte chorągwie przy grobie św. Stanisława, w krakowskim kościele na zamku.

Pieśń
do Matki Boskiej gromnicznej.

Marjo, panienko jasna i przeczysta,
Kotwico niebieska, gwiazdo wieczysta,
W naszej niedoli do Ciebie wołamy
Ciebie błagamy.

Odwróć złe od nas, ulżyj nam w niedoli,
Wybaw od głodu, ognia i niewoli,
Módl się za nami u Twojego syna
Matko jedyna!

Marjo, bolesna Matko Chrystusowa!
Niech Twoja miłość w dobrem nas uchowa,
Niechaj złe myśli z serca nam wyruszy,
Da spokój duszy.

Módl się u Syna Twego Jedynego,
Niech spuści zgodę, miłość dla bliźniego,
Niech się zlituje nad nami biednemi
Tu na tej ziemi.

Marjo, królowo biednej ziemi naszej!
Gniew Twego Syna niechaj złych przestraszy,
Niechaj on spuści na kuszących głowy
Deszcz piorunowy.

Niech nam krew żadna czystych serc nie plami;
Marjo, przeczysta panienko, bądź z nami,
Bądź nam opieką, do Ciebie wołamy,
Ciebie błagamy!

POKUSA.

We wsi Krzemienicy zmarł stary Bartłomiej Kabza. Kabzina, takoż już starucha, mało oczów nie wypłakała za swoim, bo to z górą lat czterdzieści, jak żyli razem przykładnie i uczciwie. Dwóch synów dał im pan Bóg: Grzegorza i Szczepana. Starszy Grzegorz, że trochę utykał na jedną nogę, to go zostawili w domu; ale młodszego Szczepanka zabrali het na wojnę, i już dwa lata jak go nie było we wsi.

Nieboszczyk ojciec rozkazali w testamencie, żeby starszy został na gruncie i żywił matkę przy sobie, a młodszemu dał spłackę. Więc też Grzegorz został przy gruncie, a po roku się ożenił, i jął się gospodarstwa rękami i nogami.

Matka staruszka jeno tyle co mieli czas pobłogosławić młodą parę. W kilka dni po ślubie zamknęła oczy cichutko jak kurka, i poszła za swoim nieboszczykiem.

Takim sposobem został Grzegorz sam jeden na gruncie i przy zagrodzie, a doglądał gospodarstwa, i żałował dla siebie i dla żony, żeby tylko mieć spłackę dla brata, jak powróci z wojska. Ale Szczepan jak nie wracał tak nie wracał. Pięć lat już mijało odkąd go ze wsi wzięli, a tu ani słychu.

Jednego dnia rozeszła się gadka po wsi, że wrócił z wojska syn Macieja Piroga, co siedział za wsią pod lasem. Grzegorz uradowany, wdział duchem kapotę i poskoczył do Macieja, myślący, że się co dowie o Szczepanku.

Jak na szczęście zastał w polu Pirogowego syna. Przywitali się serdecznie, zwyczajnie jak starzy znajomi:

— Mój Kubo, nie wiecie nic o Szczepanie?

— Oj nie wiele mój Grzegorzu — ozwał się Pirog — tyleśmy się jeno widzieli jak nas razem w transporcie pognali do Wiednia, a potem tośmy się już rozeszli, het w inne strony.

— Toć nie wiecie nawet czy żyje? — zawołał Grzegorz zafrasowany.

— Oj, co nie wiem, to nie wiem. Tyle jeno pamiętam, że go na drodze w transporcie mało co nie zabili.

— Co mówicie! A to za co? — krzyknął Grzegorz.

— Ot tak to było — odezwał się Pirog. — Szliśmy w transporcie do Krakowa, i wypadło nam raz nocować we wsi. A wiecie pewnie jak to między żołnierzami, że rzadko gdzie ominą karczmę, kiedy czas potemu. Owoż i w owej wsi zwaliliśmy się do gospody. Bawiliśmy się tam jakiś czas, aż też w końcu jeden i drugi poszedł się spać położyć, a w karczmie zostało jeno kilka Niemców urlopników, co byli w naszym transporcie, i Szczepan nieborak, boć taki był zaturbowany, że mu się i spać nie chciało. Owóż licho nadało, że już pod noc przyszedł do owej karczmy staruszek dziadowina, znajomy w gospodzie, a Szczepan dalejże z nim w pogwarek, bo mu się lżej na sercu robiło, jak się miał przed kim wygadać. Aleć owi Niemcy, co sobie już łeb zalali, nuż się naśmiewać z dziada, i z jego długiej brody. Szczepan i staruszek nie zważali nato, ale Niemcy podochoceni dalej starego targać zuchwale za brodę, i torbę mu przetrząsać. To już było za wiele dla Szczepanka, ujął się za dziadem, a z tego przyszło do takiego swaru i do takiej bójki, że kto wie co by się było z obydwoma stało, żeby nie karczmarz, co nas zawołał na ratunek. Myśmy przybiegli, Niemców z gospody wyprowadzili i pozamykali w komorach, a tym sposobem ocalał Szczepan, i dziad mógł sobie dalej pójść w drogę.

— Poczciwe chłopczysko — zawołał Grzegorz i otarł oczy rękawem — ot może powróci jeszcze; przecież tam nie każdego kulka trafia — pomyślał sobie w duszy.

Nie źle też pomyślał sobie Grzegorz, bo we trzy dni zaszczekał stary bryś na podwórku, i potem jął się łasić koło jakiegoś wojaka. A ten wojak, to był nikt inny, jeno Szczepan Kabza.

Ale coś zhardział pan Szczepan we wojsku! To ta jeszcze nic, że na starego brysia ani nie spojrzał, choć pies aż skowyczał z radości; ale z bratem i z bratową to ledwo się powitał, a głowę darł do góry nieprzymierzając jak osieł w trawie.

Grzegorz pokiwał sobie tylko, ale brata przyjął serdecznie, i nie żałował mu łyżki strawy albo okłotu słomy na posłanie.

A tak choć się nie bardzo radowali, to im też i nie na zbyt źle było; aleć to tylko przez trzy dni.

Czwartego dnia zaszedł Szczepan jak zwykle, do karczmy, i kazał sobie dać półkwaterek. Aliści ledwo usiadł na ławie, otwarły się drzwi, i ciekawy człowieczek weszedł do izby. Była to sztuczka niska i pękata; nos jak niedojrzała śliwka czerwony i niebieski wisiał mu pod oczami, żółte pludry ledwo mu się trzymały na nogach, a jak serce u dzwona kiwały się dwa końce niebieskiego fraka z mosiężnemi guzikami, co ledwo że okrywał grzeszne ciało pana pisarza. A jużci pisarzem musiał być ten Jegomość, bo całe zwitkę papierów widać mu było z zapazuchy, kałamarz wisiał na guziku, a pióro trzęsło się za uchem.

— A, jak się ma pan Franc! — zawołał arendarz z za szynkwasu.

— Fibornie pane Moszek, tylko *sem* na czczo! — odrzekł pan Franc, uderzył się po garle, a rękę posunął za półkwaterkiem.

— A ma pan Franc pieniądzów? — zapytał arendarz.

— Ja znajdzie *sem* pane Moszek — zabełkotał pisarz, przechylił półkwaterek, i spojrzał z pode łba na Szczepana.

Szczepan patrzał się jak na dziwo na pana Franca, bo go tu jeszcze nie widział. Inni ludzie znali go już jak zły szeląg, bo ot zwykle przywłoka, swędał się het po wsiach i namawiał uczciwych ludzi do swarów i do procesów, to na pana, to na sąsiada, a darł ze wszystkich, że aż piszczało. Zwali go wszędzie: *Franc przywłoka*, albo *cygańska śliwka*, od owego niebieskiego nosa, a co poczciwszy to uciekał od przywłoki jak od cholery.

Owoż Franc patrzał się chwilkę na Szczepana, a potem zdarł połataną czapkę z łysej głowy i pokłonił mu się nisko:

— *Ich bitte*, ja nie miał *sem* szczęścia znacz pana Dobrożeja. Ja fizę po guzika, że pan *sem* fojak, wielki szlofiek! —

Głupi Szczepan zadarł głowę do góry, słysząc że go pisarz *panem* a do tego *Dobrodziejem* jak księdza proboszcza nazywa. Więc też hardo odezwał się do przywłoki:

— A wojak, wojak, i cóż ztąd?

— O, i ja *sem* byl wojak, pan Dobrożej! *Egzeciren* jeszcze

umiem: *Eins, zwei, halt, marsch* — tu pan Franc położył papiery na stole, a swoim kosturem zaczął wywijać niby karabinem, i skakał przytem jak wróbel na nici.

Szczepanowi spodobało się to, i nuż się śmiać z pijaka; a czem więcej się śmieje, tem więcej podskakuje przywłoka i i wywija kosturem. Tak więc od słowa do słowa zapuścili się w gawędkę. Szczepan nuż opowiadać swoje wojackie sprawy, a nawet potraktowali się wódką jak dobrzy znajomi.

— I cóż pan fojak srobi teraz? — zapytał pisarz przy końcu.

— Ha cóż, pójdę gdzie za parobka, bo młodszy brat siedzi na gruncie i ma mi dać spłackę. —

— So, mlodszy brat, a to jak? — zawołał Franc, i skoczył z ławki jak oparzony.

— A już-ci tak nie inaczej; nieboszczyk tatuś zapisali grunt na niego, bo chromy na jedną nogę, a ja byłem już przy wojsku.

— Ho, ho, to *niks*, to *falsz*, to bil falsziwy testament, pan Dobrożej — krzyknął przywłoka i zasadził na nos okulary — ja będzie prosesofacz! —

— Ej gdzie zaś! — mruknął Szczepan.

Przywłoka przewracał tymczasem swoje papiery; nagle zawołał:

— Gsie masz tfój *Abszit* pan fojak?

Szczepan wyciągnął abszyt i pokazał pisarzowi. Pan Franc spoglądnął dobrze i oddał go Szczepanowi, a sam dalej grzebać w swoich papierach.

— So, nie mówilem, jest, jest! — krzyknął znowu przywłoka i podniósł jakiś arkusz do góry.

— A cóż to takiego? — zapytał Szczepan.

— Testament *falsz*; wasz prat się nazywa Kapza?

— A tak, Kabza Grzegorz.

— Tak, tak, Kszekosz Kapsa, zrobil testament falszywa. Patrz pan fojak, tu jest szarno na bialo. — Przy tych słowach pokazał przywłoka Szczepanowi arkusz zapisanego papieru.

Szczepan nie umiał czytać, ale mu wstydno było pokazać

przed Francem, że nie nauczny. Wziął też arkusz do ręki, a niby to czyta a ogląda, a głową kiwa:

— Patrzajcież patrzajcie! — zawołał nagle i klasnął w ręce.—A toć mi teraz już nie dziwno czego oni się tak uwijają koło mnie, a nadskakują, a tacy życzliwi, żeby mi i krwi ze serdecznego palca utoczyli. He, he, nie głupim.

— A tak, tak, ne klupi pan fojak! Będziemy sem robić proses, pan prat pójdzie do kreminalu, a pan fojak dostanie sem grunt. He? — zapytał wesoło pan pisarz, i zatarł sobie ręce z radości.

Szczepana porwała złość wielka, że mu brat taką krzywdę zrobił. Wybijał pięściami, i wyklinał na czem świat stoi:

— Sprocesuję szelmę, wygonię na dziady ze żoną i dziećmi! To ja nie mam mieć spokojnego kąta, za to żem kości moje terał po świecie? A niedoczekanie wasze!

I znowu wybijał pięściami po stole, aż uczuł, że mu garło wyschło od wielkiego krzyku:

— Moszku dawaj flaszkę z karteczką — zawołał na żyda.

Pan pisarz obliznął się aż po ucho i usiadł blizko Szczepana. Moszko postawił na stole flaszkę z karteczką, a wojak otworzył i wypił do Franca. Tak też na dobre zaczęła się pijatyka, a przytem rady, jakby to brata sprocesować, a grunt mu odebrać i z chałupy wygonić. Przywłoka brał na siebie wszystko to zrobić, a obiecywał Szczepanowi, że niechybnie za trzy tygodnie gospodarzyć będzie na bratowym gruncie.

Słonko było już koło południa, kiedy obadwaj narady skończyli. Pan Franc wziął sześć cwancygierów zadatku na stęple i na papier, i chuchnął w garść na początek; a Szczepanowi tęgo się chybotały nogi, kiedy wracał do zagrody, a wygrażał się pięścią i językiem na brata.

Z pijanym człowiekiem nie ma żadnej rozmowy; więc też i Grzegorz omijał Szczepana i nie zadzierał się z nim, choć ów ledwo przelazł przez próg, to zaraz jął wykrzykiwać na brata i bratowę. Głupiemu a pijanemu to trzeba zawsze z drogi ustąpić; tak też i Grzegorz uciekł z chałupy i zostawił brata z czterema ścianami. A przecież markotno mu było, że Szczepan coś o sfałszowaniu testamentu prawił, coś o oszukaństwie, więc

obiecywał sobie dowiedzieć się o tem wszystkiem po trzeźwemu.

Wieczorkiem, skoro się już Szczepan wyspał i z głowy mu wyszumiało, wziął go brat na ławę przed chałupę i rozpoczął z nim gadkę na rozum:

— Mój bracie, i zkądżeś ty się dowiedział, że ja zfałszował testament i niesprawiedliwie siedzę na gruncie? —

— A widzisz, jak ja wiem o tem dobrze! Ho, ho, ty mnie nie wywiedziesz w pole cygańska duszo! —

— Ależ mój Szczepanie, co do ciebie pszystąpiło! Kto tu ciebie chce krzywdzić? Ojciec zapisali grunt i chałupę na mnie, jako na ułomnego, a tobie przekazali dać spłackę. Toć połowę spłacki dałem ci na rękę, a drugą połowę mam w skrzyni i dam ci kiedy zechcesz.

— Ja nic nie chę! To spłacka dla ciebie, a grunt dla mnie. Ja was sprocesuje, i musicie mi oddać grunt i chałupę. Ja starszy, to mnie się patrzy, a chcę się też i ożenić.

— Ej Szczepanku, to cię ktoś zły podbechtał, a z tego nic nie będzie, jeno obrazy boskiej co niemiara; bo ja stanę przy swojem, i prawo będzie za mną.

— Ha no, zobaczymy! —

— A zobaczymy; choć mi się widzi, że ty źle na tem wyjdziesz. Teraz masz grosz gotowy, a Walenty Drop chce ci dać swoja Zośkę, i chałupę i uczciwy szmat gruntu za nią. Cóżby ci brakowało? Żylibyśmy w zgodzie i w poszanowaniu u ludzi, a tak... hej Szczepanie, Sczepanie!

— Co ty masz mię tu żałować! Ja nie chcę żoninem się bogacić, ja ciebie tu wyprocesuje, wykurzę was jak lisów z nory. Poczekaj ty fałszerniku!

Grzegorza, choć był nie porywczy, zebrała już złość na takie wyzywanie. Skoczył z ławy i krzyknął:

— A teraz ty sobie ruszaj odemnie żołnierska duszo! Wziąłem cię z braterskiej przyjaźni do chałupy, i Bóg świadkiem nie żałowałem tego; a kiedy ty mnie chcesz zgubić, to fora z mego dwora!

Po tych słowach obrócił się Grzegorz na pole, żeby do

bójki nie przyszło, a Szczepan jak niepyszny wyniósł się z chałupy brata, i stanął w karczmie u żyda niby za parobka.

Zaczął się teraz proces. Szczepan łaził od Anasza do Kajfasza, zaś najwięcej radził z przywłoką Francem, a za każdą razą musiał mu dawać kilka cwancygierów na stęple i na papier. Aleć wszystko szło bardzo powoli; ciągło się już dwa miesiące, a daleko było do końca. Już raz nawet przegrali, ale Franc mówił że to nic szkodzi, i zaskarzył Grzegorza aż do Lwowa. Kilka tygodni czekali znowu na tę odpowiedź, a tu nic nie widno.

Raz wieczorem zatoczył się Franc tęgo pijany do gospody.

— *Bruder* Stefan, przegraliśmy fe Lwowie — odezwał się do wojaka.

Szczepan zerwał się z ławy:

— A bodaj ci nogi połamało drabie za taką nowinę! —

Ale Francowi już i tak wódka nogi połamała, bo zwalił się pod piecem i zabełkotał:

— Nic ne szkodzi pan fojak, będziemy pisać do Fidnia, tam zrobią nam *recht!* — Tutaj ziewnął pan pisarz uczciwie, i chrapnął jak kalikant na skrzypiącym miechu.

Szczepan potrącił nogą pijanicę, i wyleciał na dwór. Złość straszliwa opanowała go, że mu się tak wszystko na przekorę dzieje, i już zgoła nie wiedział sobie dać rady. Darł włosy z głowy, wybijał pięścią, przeklinał na czem świat stoi — a wszystko nadaremnie, bo go od złości aż paliło we wnątrzu.

O spaniu nie było gadania. Szczepan przewracał się po słomisku a zasnąć nie mógł, choć było już po północy.

— Ha, pioruny na ciebie przywłoko, i na ciebie jaszczurko, ty mój bracie — myślał w duszy grzeszny Szczepan. — Zgniótłbym was w rękach bestyje! Całą spłackę wydałem już na proces i nie mam prawa po sobie... Ha, ale ja sobie sam prawo zrobię! Kiedy mi nie chcesz oddać zagrody, to nie będzie ani moja ani twoja... Spalę cię fałszerniku! — zawołał Szczepan, i skoczył z posłania przestraszony.

I owa grzeszna myśl czepiła się go jak zły duch. — Spalić, spalić, — kręciło mu się po głowie i brzęczało mu w uszach, a nogi kręciły się jak pijanemu. Nie było już rady w

sumieniu Szczepana na tę myśl grzeszną; wziął kilka powróseł słomianych i siarniczków paczkę, i jakby od złego ducha nagabnięty wymknął się z gospody.

Miesiączek stał już wysoko na czysciutkiem niebie. Noc była ciepła i cicha; jeno tyle co żaby skrzekotały po kałużach, a świerszcze świerkotały po polach. Niby złodziej przekradał się Szczepan miedzami między zrosłe zboże, i zadyszany i rozpalony jak ogień stanął wreszcie wedle zagrody brata Grzegorza.

Tutaj dopiero zaczęło Szczepanowi serce pukać mocno, ale już zgoła nie miał na to rozumu co robi. Zgiął powrósła w połowę, zapalił i chciał wetknąć kilka pod strzechę.. kiedy nagle ruszyło się coś zpod gruszy, i chwyciło go za rękę. Szczepan oniemiał ze strachu i słomę wypuścił z ręki. Jakiś stary człowiek ze siwą brodą stał obok niego i patrzał mu się w oczy. Chwilkę stali obaj cicho, aż wreszcie przemówił stary:

— A co, nie poznajecie mnie Szczepanie? —

— Coś mi się przypomina — wybełkotał Szczepan, i patrzał struchlały w twarz staruszka.

— Pięć lat temu w gospodzie obroniłeś mię od napaści Niemców — rzekł stary — pamiętasz? Za mnie starego, obcego nadstawiałeś wtedy głowy, o mało żeś się nie dał porąbać — a teraz chcesz podpalać rodzonego brata! Szczepanie, Szczepanie, co się z tobą stało? A wtedyś taki był dobry, taki miłujący i chrześciański!

Szczepan spuścił w dół oczy, a ciężko mu się zrobiło na sercu i na powiekach.

— Kto tutaj! — ozwał się nagle głos od chałupy, i z palicą w ręce otworzył drzwi Grzegorz.

— To ja mój Grzegorzu— ozwał się starowina — zamodliłem się w kapliczce przy drodze, i nie zdążyłem na nocleg, coście mi go obiecali, więc też tu pod gruszą chce się ułożyć, bo i tak ślicznie na bożym swiecie.

— A, to wy dziaduszku, cośmy się z wieczora przy figurze spotkali — zawołał Grzegorz. — Czekaliśmy na was długo i z wieczerzą i z noclegiem, a jużem myślał że nie wstąpicie. Chodźcie, chodźcie, i tak sen od oczów ucieka, jakieś widzenia nie-

spokojne trapiły mię; zdało mi się, żem cały w ogniu!... Lecz cóż ty tu robisz Szczepanie — dodał Grzegorz ponuro, zwracając się do brata.

Szczepan zakrył twarz rękami, i trząsł się jak liść osiczyny.

— Ot gawędziliśmy sobie — rzekł staruszek.

Lecz Szczepan zatrząsł się w tej chwili, rozłożył ręce i rzucił się do kolan brata:

— Bracie mój, oskarz mię, zawieź mię do kryminału, niech mię tam zabiją, zamordują, bo ja grzesznik wielki!

Grzegorz spoglądał zdziwiony, i nie wiedział co się to ma znaczyć.

— Ja chciałem cię spalić — wołał dalej Szczepan, potrząsając niedopaloną słomą — chciałem cię z żoną i z dziećmi pozbawić ojcowskiej zagrody! O ja grzesznik wielki — zawołał i ryknął strasznym płaczem.

Grzegorz odwrócił się pochmurny od brata.

— Ruszyło się sumienie w tym człowieku — ozwał się tu staruszek. — Zatwardniało mu serce w dalekim świecie, i nabrało złości, ale uderzyło znowu miłością braterską przy rodzinnej zagrodzie! Grzegorzu, podaj mu rękę na zgodę!

Grzegorzowi popłynęły już łzy sznurkiem po twarzy; rozwarł ramiona, i obydwaj bracia uścisnęli się serdecznie, a Anieli w niebie radowali się z nawrócenia tego jednego grzesznika więcej, jak z dziewięćdziesięciu i dziewięciu sprawiedliwych.

Na drugi dzień rozpowiadał wesoły Szczepan, jak go to przywłoka Franc do wszystkiego złego namówił.

— Ale moiściewy — gadał do staruszka — toć on mi pokazywał napisane, że Grzegorz sfałszował testament nieboszczyka tatusia; a wiedział bestyja aż do imienia jak się oba nazywamy.

— Aleś mu ty pewnie przedtem swoje wojskowe papiery dawał — przerwał staruszek.

— A jużci prawda, pokazywałem mu mój abszyt.

— Ha, ha — zaśmiał się dziadowina — to i cóż dziwnego że wiedział jak się nazywacie, kiedyś ty po imieniu i nazwisku wypisany na abszycie. A że czytać nie umiesz, to ci pokazał

byle jaki arkusz i zełgał, że tam napisane o fałszywym testamencie.

— Aha, tędy go wiedli — zawołał Szczepan i przytknął palec do czoła — ale poczekaj ty przeklęta pokuso, ty przywłoko! — dodał zaciskając pięści, i wyszedł z chałupy.

Wieczorem mówili ludzie, że widzieli Franca jak wychodził ze wsi, a ledwie wlókł ze sobą swoje grzeszne kości. Na jedną nogę niby na przetrąconą ledwie stąpał, a na czerwonym pysku to miał więcej sińców i guzów, jak włosów na łysej pałce. Od tego też czasu nie pokazał się więcej w Krzemionce, i nie namawiał do złych rzeczy uczciwych ludzi.

W sześć niedziel potem hulało pół wsi na weselu Szczepana Kabzy ze Zośką Dropianką. Stary Drop, wdowiec z jedynaczką córką, przyjął Szczepana z otwartemi rękami na swoje gospodarstwo; Grzegorz ściągnął się z ostatniego i dopomógł gotowem grosiwem, a Zośka aż kraśniała z wielkiego szczęścia.

Staruszek dziadowina był także na weselu, a tak mówił do ludzi:

— Moi bracia kochani, strzeżcie się wszelkiej *pokusy!* Czart nie ma władzy nad ziemią, ale są na niej czasem ludzie podobni do czartów, i owi namawiać was będą i kusić do złego. A kiedy was będą namawiać i kusić, czy to na pana we dworze czy na brata sąsiada w poszywanej chałupie, czy do niezgody czy do procesu, wy niesłuchajcie szatańskiej mowy, a złożywszy ręce mówcie: ***I nie wodź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego Amen.***

Pogadanka wiejska.

Tomasz. (wchodząc do chałupy Wojciecha.) Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wojciech. Na wieki wieków, amen. Na nabożne powitanie nabożnem wam słowem odpowiadam, ale powiem wam po przyjaźni, po sąsiedzku, że im więcej się Boskiem słowem odkazujecie, tym się więcej was boję.

T. A to czego mój sąsiadeczku? Przecieć Bóg miłosierny....

W. (przerywając.) Mój sąsiedzie, dajcie ino takiej mowie pokój; dawniej mniej mieliście nabożeństwa na ustach, ale zato więcej poczciwości we wszystkiem.

T. A bodaj was Bóg kochał z taką waszą gadką, a i w czemże to dawniej więcej miałem poczciwości jak teraz?

W. Ej! wiela o tem mówić. Dawniej mój sąsiedzie, choć poratowaliście kogo we wsi, czy to ćwiartką zboża na przednowku, czy jakim groszem na podatek, to nie ściągaliście z niego takiej prowizji jak teraz, ino rzekliście po prostu: weź sąsiedzie, a z nowego oddasz mi jak namłócisz. Teraz kiedy was kto prosi, to mówicie: z łaski Boga przenajświętszego, ma się ta krzynę jeszcze żyta, i użyczę ci go na poratunek w potrzebie, ale mi dasz stajko roli pod owies w prowizji. I biedny daje bo co ma robić, chociaż prowizja trzy razy więcej wynosi jak wasz poratunek.

T. Ja nikogo mój sąsiedzie nie przymuszam a Bóg miłosierny....

W. Dawniej mój sąsiedzie nikomu nie robiliście dobytkiem swoim szkody...

T. I teraz nie robię, Bóg moim świadkiem.

W. Jak obce oczy czujecie nad sobą, albo jak nie możecie; ale niech no, na ten przykład w święto, upatrzycie że nas nie ma w doma, to już wtedy i konie wasze, i cielęta i gęsi, hulają po polu gdzie im się ino podoba.

T. A złapaliście, kiedy tak na pewniaka winę na mnie kładziecie?

W. Ba! to też w tem cały wasz rozum, żeby was nie złapano; a choć czasem dójdą ludzie i uchwycą wasz dobytek w szkodzie, to się tak umiecie wykręcać, tak tłumaczyć i zaklinać, że zawdy kończy się na tem, że racya wasza a szkoda nasza.

T. To i cóż ja temu krzywy? Widać że prawda przy mnie, bo ja szkody boję się jak ognia.

W. Albo to prawda. A w dworskich łąkach mało to napasiecie się koni? A koniczyny mało narwiecie dla waszych krów?

T. Mój sąsiedzie, dwór ta zawdy dworem będzie; a że się człek biedny troszka z dworskiego pożywi, toć znów w tem tak wielkiego grzechu nie ma.

W. Mój Tomaszu, ja prosty człowiek, nauki nie mam żadnej w sobie, i taki jak wy gospodarz, ale powiem wam po prostu jak to miarkuję: Każde cudze, czy to dworskie czy chłopskie, to nie moje ino cudze; a kto cudze niszczy albo zabiera, to po prostu kradnie, a kradzież jest grzechem śmiertel-

nym, bo sam Bóg powiedział w przykazaniach: Nie kradnij i nie pożądaj żadnej rzeczy co jest bliźniego twego.

T. Wam by więcej przystało być księdzem jak gospodarzem.

W. Nie pochlebiajcie mi po próżnicy, ino słuchajcie co mówię; bo wam jeszcze dodam, że kto dworskiego nie szanuje, to nie poszanuje chłopskiego, i dlatego to szkodami i dwór niszczycie i nas niszczycie. Ja moi kochani, strzegę dworskiego jako cudzego, tak jak Bóg przykazał, i dla tego sąsiedzi moi nigdy się na mnie o szkodę nie skarzą, i szanują mnie i obserwują, tak jak ja szanuję i obserwuję cudzą pracę. Dawniej...

T. Dawniej mój sąsiedzie byłem wielkim grzesznikiem; zmarnowało się wiele czasu i pieniędzy w karczmie, teraz za to poszczę, modlę się.....

W. (przerywając.) Ściągam prowizję i szkody robię.

T. (pokornie.) Mój słodki Jezu, a i kogoż to tak obdarłem?

W. A Jagnę co musiała wam aż korale oddać.

T. Byliby jej i tak w karczmie kiedy ze szyi zerwali, i zmarnowałyby się.

W. A Jędrzeja, co aż porzucił gospodarstwo.

T. Byłby i tak z niego wyszedł; a mieli wszystko ludzie zabrać, to dobrze że się i mnie coś dostało.

W. A Pawła?

T. I cóż wspominacie takiego pijaka? Przepił więcej, to i to byłby przepił, co ja na nim skorzystałem.

W. A Wasalowie, a Wycykały? a te szkody co na was ludzie płaczą, a dwór już dwa razy w tym roku was fantował?

T. (z gniewem.) O! wy Wojciechu to święty....

W. A wy czysty wilk w owej bajce:

Wilk pokutujący.

Wzięły wilka skrupuły. Wiódł łotrowskie życie,
Więc ażeby pokutę zaczął należycie,
Zrzekł się mięsa, jarzyną żyjąc przez dni kilka.
Znalazł na polowaniu znajomego wilka;
Trzeba pomódz bliźniemu: za pracę usłużną
Zjadł kawał mięsa; gardzić nie można jałmużną.
Spotkał jagnię nazajutrz, samopas idący,
Chciał upomnieć, nastraszyć, zabił je niechcący.
Nazajutrz widząc ciele, że z krową nie chodzi,
Zabił je: takich grzechów cierpieć się nie godzi.
Nazajutrz gdy się pasły z krowami pospołu,
Niech się dłużej nie męczy, zjadł starego wołu.
I tak cierpiąc przykładne z dóbr świata wyzucie,
Chudy, gdy był grzesznikiem, utył na pokucie.

(Km.)

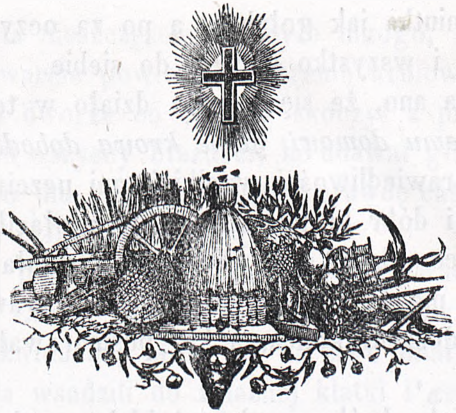
Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. Nr. 5.

11. Lutego. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zygmunt stary i Bona.

Zaraz z początkiem swego panowania, ożenił się był nasz Zygmunt, aleć niezadługo umarła ta żona nie zostawiwszy po sobie żadnego dziecka. Dobra to była pani, lecz Zygmuntowi trzeba było koniecznie jakiegoś potomka na tron polski, więc się ożenił po raz drugi. Owóż tą drugą żoną była jedna księżniczka włoska, a zwała się *Bona*.

Zdawało się zrazu, że to potulne stworzenie, królowi będzie na rozkazy i po woli; aleć dobrze mówią: *cicha woda brzegi rwie,* bo owo i ta Bona chodziła najprzód jak owieczka, a potem to sobie zaczęła trykać jak baran.

Królowi Zygmuntowi szedł krzyżyk po krzyżyku, nachylał się już zwolna do starości, więc uradowany, że mu Bona syna porodziła, nie oglądał się wiele na to jak ona sobie rządzić poczyna. A tymczasem przewrotna i chytra Włoszka rozsiadła się na piękne w królewskim tronie, i rządziła zgoła tak, jak gdyby Zygmunta na świecie nie było. Przy mężu to zdaje się

potulna i pokorniutka jak gołąbek, a po za oczy, to wystawiała kocie pazury i wszystko garnęła do siebie.

Nie dziwota ano, że się też źle działo w ten sposób, bo zawsze *biada temu domowi, gdzie krowa doboda wołowi.* Więc też nie było sprawiedliwości wielkiej ani uczciwości w rozdawaniu urzędów i dóbr królewskich; kto zapłacił Bonie, to pewnikiem wziął co chciał, bo Włoszka zrobiła się chciwą na pieniądze, i jak mogła tak zdzierała ludzi. Prawością i prostą drogą nikt nie doszedł końca, a kto posmarował to sobie i pojechał.

Nie tylko jako królowa, ale też i jako matka źle sobie postępowała królowa Bona. Syna *Augusta* wychowywała jak dziewczynę a nie jak chłopca. W pierzynę go otulała, słodkościami go karmiła, między samemi niewiastami go trzymała, a Boże broń gdzie na konia lub w pole na nieprzyjaciela. Przypatrywał się temu stary Zygmunt i mawiał nieraz:

— Ej Bono, Bono, ty mi ze syna lalkę zrobisz a nie polskiego króla!

— A cóż to — odzywa się Bona — to ma być tak jak ten drągal, co się ani ruszyć grzecznie nie umie, ze szablą ma jeno do czynienia, a stajnią go słychać na pięć kroków?

— Nie, moje dziecko — rzecze Zygmunt łagodnie — boć przecie będzie królem a nie stajennym. Ale król polski powinien być na wszystko tęgi: w głowie powinien mieć rozum a w ręce siłę, powinno mu być fraszką spać na polu i pod gołem niebem, bo nasza Polska ma ze wszystkich stron nieprzyjaciół i trza się z niemi uganiać. Cóż zasię będzie jak ty Augusta w pierzynkach wychuchasz?

— Co tobie do tego — zawołała Włoszka już zaperzona — ja sobie go tak wychowam jak mnie się będzie podobało.

A nato stary król spuszczał głowę i odchodził, bo był łagodny, i unikał jak ognia wszelkich poswarków.

Tak też ona kobieta zła i chciwa obróciła wszystko do góry nogami. Dawniej co ludzie szanowali, a niemal, że za świętego nie mieli Zygmunta, to teraz mruczeli tylko:

— Ot, stary niedołęga, babie się za nos wodzić daje, a my za to musimy biedę klepać i patrzeć się na różne zdrożności a

przekupstwa! Na nieszczęście nie było nikogo, coby to na rozum śmiało i otwarcie powiedział staremu królowi. Jeden tylko żył człowiek na dworze co czasem skoczył z prawdą w oczy, ale tego nazywali wszyscy błaznem, bo udawał głupiego, i jeno w śmieszkach wolno mu było powiedzieć prawdę choćby i królowi. Nazywał się ten człowiek *Stańczyk*.

Trafiło się jednego razu, że król wydawał wielkie łowy. Het z dalekiej Litwy przywieziono Zygmuntowi w podarunku ogromnego niedźwiedzia, więc też na tego miało być polowanie. Niedźwiedzia wsadzili do żelaznej klatki i czekali przyjazdu króla i panów.

Było to w Niepołomickich lasach pod Krakowem. Wielka gromada panów zebrała się i jadą razem z królem i z Boną, a wedle króla jedzie sobie też i Stańczyk, a bawi go swojemi dowcipkami. Wjechali do lasu. Zgraja psów spuszczonych ze smyczy zaczęła ujadać po krzakach i zaroślach; jeden grubo naszczekuje drugi cienko, zgoła całe organy zrobiły się w lesie. Wypuszczono też i niedźwiedzia z klatki. Niedźwiedzisko rozżarte i rozsrożone zaczęło psy szarpać i wali sobie obces naprzód, nie pytając na strzelców. Powalił on tam i podrapał nie jednego, nikt mu rady dać nie może, a tu niedźwiedź jak wściekły sadzi na królowę. Bona się zlękła, aleć to szczęście, że była na koniu; zwróciła go w bok i uciekła, choć w lesie spadła i potłukła się nie mało.

Niedaleko od królowej stał Stańczyk, a mój niedźwiedź podniósł łapy do góry i dalej na Stańczyka.

— Gwałtu, ratujcie — woła błazen i nie wie jak sobie dać radę. Jak na szczęście zjawiło się kilku chłopów co byli przy obławie, a słysząc krzyk Stańczyka, zwrócili się w oną stronę, i oszczepami zwalili niedźwiedzia.

Na tem się skończyło polowanie. Strachu i drapania było co niemiara, a pożytku nie wiele. Bona potłuczona dosiadła konia, cała gromada zebrała się przed lasem, i ruszyli nazad do Krakowa.

W drodze śmieje się stary król, i rzecze do Stańczyka:

— Mój Stańczyku, źleś mi się popisał! A toć zmykałeś cale nie po rycersku, ale jak błazen jaki.

A Stańczyk na to:

— Mój królu, większy ten błazen co ma niedźwiedzia w skrzyni, a puszcza go na własną szkodę.

Panowie w śmiech, a i król musiał się uśmiechnąć, choć mu to nie było bardzo słodko. Błazen chciał tu powiedzieć Zygmuntowi, że według praw boskich a ludzkich ma władzę i moc rządzić swoją żoną, a pozwala jej bujać jak onemu niedźwiedziowi w lesie.

Dokazywała też ta żona i bujała tak długo, aż też i zapędziła króla do grobu. Widział stary Zygmunt że już nie może sobie dać rady ani z Włoszką ani z królestwem, więc umyślił zdać wszystko na syna, jako że już był dorósł. Tym końcem zwołał sejm do *Piotrkowa,* zjechał też sam do tego miasta, ale się tam rozchorzał, a ledwo go odwieźli do Krakowa, to i Bogu oddał poczciwą i czystą duszę.

Co było żałości po tym królu, to dosyć powiedzieć, że przez cały rok po jego śmierci nie uświadczyłeś ani jednej krasej sukni, jeno wszystko czarne a czarne; w żadnej gospodzie nie usłyszałeś basów ani skrzypieo, tak się wszystkim odechciało bawić. A była ta żałość z własnej woli po całej ziemi, boć w Polsce nikt nie nakazywał smucić się po królu, skoro umarł.

Aleć też i sprawiedliwy był ten cały smutek. Zygmunt stary był pan dobry, a nad wyraz kraj miłujący; więc się we wszystkim starał aby był dostatek, nieskoro zrywał się do wojny a chronił biednych od ucisku. Złota też i majątków było wtedy siła w naszej Polsce, rozumnych ludzi jak grzybów w lesie, a wesołości w każdym kącie bez miary.

Boże, mój Boże, powróć nam takie czasy! —

Stachowa skrucha.

Hej po równiach Rzeszowa
Huczy zamieć śniegowa,
Aże chaty się trzęsą wieśniacze —
W chacie chora kobieta
Leży w płachtę spowita
Z dziećmi, patrzy na męża i płacze.

Wicher hula po dachu
— Zimno, głodno nam Stachu —
Boleśnemi prosiła go słowy;
— Chleba niema, drew niema —
Odrzekł jej i oczyma
Dziko patrzał, i włosy rwał z głowy.

Więc mówiła mu chora:
— Poleć Stachu do dwora
Dobry dziedzic zratuje nas może —
A Stach mówi: choćbyśmy
Mieli zdechnąć tej zimy,
Moja noga nie stanie we dworze.

Tam we dworze na ziemi
Pod cepami mojemi
Dziedzic charczał — dziś bym do niego
Szedł, i do stóp się kłonił,
By mnie psami wygonił?
Oj! nie pójdę do dworu białego!

Mówił — ona zmilknęła,
Tylko cicho westchnęła
Chore dzieci całując po czole;
On na sine ich usta
Spojrzał, pobladł jak chusta,
Więc się zerwał i leciał na pole.

Dłońmi chwycił za głowę,
I przez zaspy śniegowe
Leciał, krzyże nad drogą sterczały;
On się krzyżom nie kloni
Jeno goni a goni,
A złe myśli mu w głowie szumiały.

I szeptało mu licho:
— Pod dwór biały leć cicho
Spal, okradnij. Stach biegł przez tu-
Rzekł: potępię znów duszę, [many,
Lecz chleb, opał mieć muszę
Dla mych dzieci, dla żony kochanej.

I pod drzwi się podkrada
Do krzesiwa się składa;
A wtem stanął pan przed nim i pyta:
— Witaj Stachu, w tej porze
Co tu robisz we dworze?
— Zaniemogła mi moja kobieta.

Rzekł i pobladł od strachu.
— Czemuś zląkł się tak Stachu?
Dziedzic pyta się Stacha w zdziwieniu.
— Dzieci chore na kupie,
Nędza w mojej chałupie,
Ratuj panie, poratuj w cierpieniu.

Pan uwierzył i rzecze:
— Nie rozpaczaj człowiecze,
Ja wasz ojciec, a więc ci pomogę;
I wziął Stacha do siebie,
I opatrzył w potrzebie
Sporym datkiem, i żegnał na drogę.

Potem szedł pan do pani,
Rzekł jej: — Siądźno do sani
Pojedziemy do biednych z pomocą;
Weź odzieży i chleba,
Bo im bardzo potrzeba —
I jechali pan z panią choć nocą.

Na kominie drwa płoną,
I Stach z dziatwą i żoną
Siedzi, gada o pana litości —
Aż tu przed nim pan stanie
Stach zawołał: oj panie!
I jak długi padł do nóg swych gości.

Pani chorą weseli,
Dzieci jadłem wciąż dzieli
I okrywa, i patrzał Stach na to,
I wstać nie chciał ze ziemi,
Jeno łzami rzewnemi
Nogi państwa oblewał zapłatą.

— Oj ja panie nie godzien
Twojej łaski — ja zbrodzień
Ja was młócił cepami przed laty;
I dziś w własnej potrzebie
Spalić chciałem ja ciebie —
A ty niesiesz mi pomoc do chaty.

I nad Stacha tą mową
Smutnie kiwał pan głową:
— Oj niedobrzy, zła myśl was się trzy-
Jeźli dworów niebędzie, [ma,
Gdzie pójdziecie wy w biedzie
Gdy nastanie przednowek lub zima?

— Kiedy w dworach usiędą
Jakie żydy arędą
Lub przybłędy, płacz będzie wam mili;
I wśród nędzy i biedy
Przyjdzie rzeknąć wam wtedy:
Oj Panowie ojcami nam byli!

— Oj ojcami, ojcami —
Rzekł Stach głośno ze łzami,
— I będziecie, będziecie wciąż z niemi;
I swej winy żałował
Pan go w czoło całował,
Błogosławił podnosząc go z ziemi.

Niedzielna pogwarka,

i o jednym człowieku co się zwał Piotr Pszonka.

Gdzieżeście łazili Grzegorzu? — pytał Szymek kulawy wychylając głowę z karczmy — chodźcie-no na pogwarkę. Radzimy tu, radzimy od godziny, a wyradzić nic nie możemy.

I wyszedł Szymek z półkwaterkiem przed karczmę i nuż ściskać a cmokać Grzegorza serdecznie, bo mu się już w czuprynie zakurzyło.

— Ej dalibóg, że nie mogę — zaczął się sumitować Grzegorz — byłem ci rano u proboszcza i tak mnie swojem gadaniem rozczulił, tak mi nagadał o tej świętej niedzieli, jak to ją przepędzić trzeba, że choć was kumie kocham jak brata, ale dalibóg że do karczmy nie pójdę.

— Ba! i cóż by wam to mógł nagadać; toć i my to nie lutry i wiemy, że co święto to święto, i do czysta je zachowujemy.

— Ale, ale, otóż co nie prawda to nie prawda. Szkoda, że was to Szymku nie było jak proboszcz począł mi gadać, że jak przyjdzie święta niedziela to rychło msza się skończy jak jużci jedni idą do chałup, najedzą się, a inni znowu dalej do karczmy i tam się pobiją i popiją na obrazę pana Boga.

— A coż to proboszcz chce, rzekł znowu Szymek, byśmy w niedzielę orali, albo młócili. Tyle tam naszego, co sobie człek we święto wypocznie, albo przy kieliszku nagada.

— Oj nie, kumie, ksiądz proboszcz ta wprawdzie pogwarki nie zakazywał, ale też nie kazał nam u żyda te pogwarki prowadzić. Bo żyd kieliszek po kieliszku nalewa, i tak grosz z kieszeni i złe myśli z człowieka wyciąga.

— Ba! niby to proboszcz wina nie pija, że ludziom wódki broni—rzekł Szymek i znowu ciągnął Grzegorza do karczmy.

— Ale Szymonie, ta ksiądz proboszcz tego nie zakazywał, ale mówił jak by to dobrze było, żeby się sąsiedzi zeszli na niedzielę u którego uczciwego kmiecia, po piwko sobie posłali i tam się do woli nagadali o dobrych rzeczach, o gospodarstwie, i o tem co w świecie słychać.

— Ba! czy nasz Mosiek ma piwo? jeno wódkę i arak.

— Otoż właśnie radził ksiądz proboszcz, żeby sobie gromada piwo sprowadziła, a żyda, kiedy nie chce, zostawić z jego wódką.

— No! toć to nie źle ksiądz proboszcz powiedział—rzekł Szymek skrobiąc się po głowie — i nie źle by to było posiedzieć w chałupie, bo by i grosza przybyło i na przednowku człek by nie nażył się tyle biedy. Ale cóż kiedy w dymnej chałupie to się to człekowi i siedzieć nie chce i kuma wstyd zaprosić do siebie.

— A u Marcina nie moglibyśmy to po bożemu przepędzić święta i niedziele?

— Ej! to szlachcic i chłopków na księży uczyć daje, i na książce czyta i do dworu Bóg wie po co wciąż łazi.

— A wstydźże się Szymku—rzekł Grzegorz—czy to dla tego że się ma lepiej od nas, to już nie chłop czy co? co wy też Szymku pleciecie. A że w jego chałupie urządzonej jak u nas i komin na dachu i izba bielona, toż mu nie powinniśmy zazdrościć, ale owszem go naśladować. A my stronimy od niego, patrzymy krzywo, tożci i on od nas stroni. A to źle, bo to bywały człowiek a i oczytany, toby nas nieraz oświecił co się w świecie dzieje. A dzieją się niesłychane rzeczy. Dużo mi jegomość nagadał a i gazetę dał, więc idę do Marcina to mi przeczyta.

— Ej! Grzegorzu, a to my o tem właśnie gadamy w karczmie i zgodzić się nie możemy. Wstąpcie no na odrobinę, przeczytamy co tam piszą.

— A ktoż z nas zna na książce?—zapytał Grzegorz—a widzisz Szymku jaka to bieda bez Marcina!

— Dalibóg— rzekł Szymek — że mi serdecznie się chce iść do

Marcina, bom strasznie ciekawy; jeno mi hańba tak się przypytywać do niego.

— Hej! nie hańba to mój Szymku podać rękę do zgody, chodźcie ze mną — perswadował Grzegorz i wszedł z Szymkiem do karczmy i nuż namawiać gromadę. A że wszyscy byli podochoceni i rozczuleni gorzałką, to też wszyscy jakoś chcieli zgody z Marcinem i wstawali z ław. Tylko im tego Grzegorz nie mógł rozradzić, żeby wódki nie brali.

— A toć to przeprosiny — mówił Walenty — jakże byśmy się tam bez wódki pokazali.

I poszli do Marcinowej chaty co stała na końcu sioła.

Poszli, choć Mosiek ledwie ich po rękach nie całował, żeby zostali, i wódką darmo chciał częstować; ale to nic nie pomogło i Mosiek zły patrzał za odchodzącymi, a klnął w duszy rady Grzegorza.

Poczciwy Marcin nie mógł się dość nacałować sąsiadów, że tacy łaskawi na niego, i napitku postawił na stole i nastawiał chleba i słoniny. A gromada jeno się obzierała po czystej izbie, i dziwiła się jak tu dobrze i wygodnie, a potem nuż przepraszać Marcina, że się aż pobeczeli jak bobry.

Potem poczęli gwarzyć bez końca. Ale Szymek ciekawy nie dosiedział długo jeno zagadał:

— Miły Marcinie, nie gniewajcie się że mnie język świerzbi i że się was zapytam, po co nasz pan jeździł do Cesarza. Bo nam Mosiek gadał że to o pańszczyznę?

— Wszelki duch pana Boga chwali — zadziwił się Marcin — a co też to żydzisko nie wygaduje, tać to w gazetach wyraźnie piszą. Bo ano Cesarz pozwolił teraz wszystkim krajom co są pod nim, żeby się same rządziły, własnych urzędników miały, a jemu żeby otem wszystkim donosili, więc też i nam dał na to pozwolenie. To też teraz i panowie i chłopi będą razem radzić, coby robić żeby nam wszystkim było lepiej. I będą także narady na których tak chłop jak i pan będzie mógł radzić. A co panowie jeździli do Cesarza to dlatego, żeby mu podziękować, a nie jeździli sami, bo tam i naszych dość pojechało.

Gromadzie aż się lepiej zrobiło, kiedy im tak Marcin oczy otworzył; ale Szymek niedowiarek znowu się wtrącił i mówił:

— Ej panowie tak uczeni i piśmienni, to nam radzić nie dadzą, i sami rządzić będą i źle nam zrobią, bo to panom to nigdy dowierzać nie trzeba.

— Bój się Boga Szymku, jak ty masz sumienie wygadywać na dziedzica. A któż wam nową chałupę wystawił jak stara zgorzała? a któż ci na przednówku pożyczył ziarna? a któż Walentową poratował i pilnował w chorobie, jeżeli nie dziedziczka? Widzicie moi mili, są dobrzy panowie, ale są i źli, zwyczajnie jak ludzie. Tać to własne dziecko a nie zawsze jednako się uda; jedno dobre jeno do rany przyłożyć, a drugie nie uczci ojca i matki i jeszcze, czego broń boże, złem słowem ci się odpłaci za pielęgnacyję. A przecież nie zabijacie dzieci, tylko szukacie sprawiedliwości u starszych i u pana Boga. A o sprawiedliwość teraz trudno nie będzie, bo na takich naradach może i chłop śmiało powiedzieć, czego jemu lub całej gromadzie potrzeba, i w czem ich dolę polepszyć by można.

Oj i dawniej nie były złe paniska, i królowie dawni zawsze opiekowali się chłopami. Ta to nawet słyszeliście o tym królu, co go królem chłopów zwiemy, że był taki ludzki dla biednych. Powiem wam też historję o jednym panu za tego króla, co się nazywał Piotr Pszonka, a krzywdę ludziom robił. Czy lato, czy zima, on polował a polował, zwierzynę strzelał, a za zwierzyną lecąc tratował zboża wieśniaków. Więc wyszli ku niemu chłopi prosząc, żeby się zlitował nad nimi a krzywdy im nie robił. Ale on chłopów obić kazał, a sam dalej swoje robił. Odradzali mu inni panowie, żeby biednych ludzi nie ciemiężył, bo panowie wstydzili się że mają między sobą tak złego człowieka, lecz on ich nie usłuchał.

Ale zdarzyło się że do tej wsi przyjechał król polski Kazimierz. Więc chłopi z płaczem i lamentem do niego, skarżąc się na pana. Król szkodę zobaczył, kazał Piotrowi ludziom to w trójnasób wynagrodzić i jeszcze go za to surowo ukarał.; Widzicie więc moi mili, że i dawniej nie było źle chłopom zwłaszcza że się często trafiali we wsi panowie uczciwi i dobrzy. A i królowie też o nas nie zapominali.

Ale posłuchajcie co się stało z panem. Rozgniewany na króla, że go tak ukarał poszedł do nieprzyjaciół i naprowadził ich na własny kraj. Widzicie kochani sąsiedzi jak to zły człowiek to nie tylko że ludzi nie kocha, co jednym z nim mówią językiem, ale i ziemi się wyrzeka, co go wychowała i wykarmiła. Tak też i z Piotrem się stało. Nie chciał się nazywać Polakiem choć się w Polsce chował i po polsku mówił, jeno się do nieprzyjaciół uciekał, i choć ich mowy nie rozumiał nazywał ich braćmi i pijał z nimi, a na Polaków co niemiara wygadywał. I przyszedł tak z nieprzyjaciołmi nad Wisłę, ale że się bał aby nie potonęli, kazał im się zatrzymać, a sam poszedł szukać brodu, i gdzie płytko było tam tyczki wbijał.

A stała tam nad wodą figura Św. Stanisława patrona Polski. Więc gdy ją Piotr zobaczył przeląkł się bardzo; lecz wnet się opamiętał i jeszcze przekpiwał się ze Świętego, że Polakom nie pomaga. Ale Święty Stanisław prosił pana Boga o ukaranie grzesznego człowieka; i zesłał Pan Bóg bielutkich aniołów, którzy w rybackiej łodzi przypłynęli, i tyczki na głębokie miejsce przenieśli.

Na drugi dzień przyszedł Piotr z nieprzyjacielami nad wodę, i kazał im przechodzić przez Wisłę w miejscu gdzie stały tyczki, upewniając że tam najlepiej. Ale skoro tylko nieprzyjaciele przechodzić zaczęli potonęło ich wiele, bo to była straszna głębia w tem miejscu. A ci co na lądzie zostali, poczęli wołać na Piotra, że ich zdradził, i porwali go i powiesili na drzewie.

Taki to bywa koniec moi mili tych co własnych braci zdradzają i chcą źle czynić tym, którzy z nimi jedną mówią mową.

— Oj Marcinie — rzekł Szymek wstając z ławy i obcierając pot z czoła — a niech-że wam Bóg zapłaci, żeście mi tak sumienie wzruszyli; bo przyznam wam się że mi od jakiegoś czasu złe myśli łażą po głowie; ale od dzisiaj to ja inny człowiek. Jakeście mi zaczęli gadać o panach, a potem o tem panu, co to pragnął zabijać tych, co jedną z nim mową mówili, to mi się niechce jeno płakać, i u proboszcza wyspowiadać, a inne życie zacząć.

Tak mówił Szymek i zaraz w przyszłą niedzielę poszedł do

spowiedzi, od wódki się wyrzekł i był najlepszym człowiekiem w gromadzie, że go dziedzic sam nachwalić się i nadziwić nie mógł jego odmianie.

Stach.

Ciekawy Wojtuś.

Wełna i Bawełna.

Było to w Niedzielę, a z początkiem jesieni. Dzień śliczny bo niezbyt skwarny, niebo to się aż uśmiecha takie czyste i niebieskie, więc jakże tu nie wyjść na świat i nie rozradować się tem wszystkiem, co pan Bóg stworzył dla nas.

Stary Walenty w świątecznej kapocie wracał z nieszporów do domu. Wojtuś siedział sobie na ławce przed domem i strugał szablę.

— No chłopcze, rzuć to, pójdziemy w pole tylko książkę od nabożeństwa schowam — odezwał się Walenty wchodząc do domu.

Wojtuś skoczył duchem, rzucił i nóż i patyki, a zbierał się czemprędzej, bo wiedział o tem dobrze, że po drodze to mu ojciec pewnie coś opowie.

Właśnie też i pan rymarz wyszedł ze żoną, a Wojtuś zmiatał jeszcze trzaski z ławki i przed domem, żeby się matka nie gniewała a nie mówiła że śmieci. Walenty zwiesił czarną rogatywką na bakier, a podpierał się grubą trzciną o srebrnej gałce i z jedwabnemi kutasikami. Kapota długa i wyszywana, a do tego białe włosy i białe wąsy obwisłe, to mu dodawało siła powagi, a jakeś przechodził toś musiał koniecznie czapkę zdjąć przed Walentym, i pozdrowić go chrześcijańskiem słowem.

Tak się wybrali Walentowie trochę za miasto razem z Wojtusiem, raz żeby i swego gruntu kawałek oglądnąć, a potem, boć im szkoda było taki ładny dzień przesiedzieć między domami.

Szli więc sobie gościńcem i rozmawiali, a Wojtuś biegał tymczasem naokoło, i to zrywał sobie jakieś ładne kwiatki, to znowu z kupek szutru wybierał krągłe, różowe kamyczki.

— A ustąpże się, niewidzisz? — zawołał nagle pan rymarz na Wojtusia, co schylony grzebał między kamyczkami.

Oglądnął się Wojtuś, a tu bryka, ogromnie wysoko naładowana jedzie prosto na niego. Pobiegł więc w bok do ojców, ale się znowu obrócił i przyglądał bryce, że taka była ogromna. He, he, patrzy Wojtuś, a toć tu nie jedna, ale kilka takich bryk jedzie, a każda worami het wysoko ponad literki wypakowana. Zdziwił się chłopiec co to takiego i nuż do ojca:

— Mój tatusiu, a co też to oni tyle czegoś na tych brykach wiezą? Raz, dwa, trzy ... a widzisz tatusiu, to tego aż sześć bryk.

Walenty spoglądnął po brykach i pomacał ręką jeden wór, bo właśnie co wozy przechodziły wedle nich.

— Widzi mi się mój chłopcze, że to jest *wełna* — ozwał się wreszcie do syna — bo ją to zawsze w takich worach wiezą.

— Oj mój tatusiu, a co też to jest wełna, i na co tyle tego — zawołał Wojtuś i chwycił ojca za rękę.

— Oj durny chłopcze — rzecze śmiejąc się pan rymarz — a toć pono powinieneś już wiedzieć, że ot i moja i twoja kapota to nie z czego innego tylko z wełny.

Wojtuś zaczerwienił się, że nic jeszcze o tem nie wiedział, ale się też nie wstydził pytać ojca dalej:

— To tę wełnę robią także takie gąsienice jak jedwab?

Walenty spojrzał nato bokiem po polu i rzekł wzkazując palcem:

— Widzisz tam owce, kozy i barany co się pasą na ściernisku?

— A widzę — odrzekł Wojtuś.

— No to pamiętajże sobie, że wełna pochodzi z owiec a także i z kóz. Bo i do czegoż chowali by ludzie te stworzenia? Na samo mięso nie opłaciło by się; a tak ten włos co owce i kozy porasta zestrzyżony, służy nam do wyrabiania różnej przyodziewy. Widzę, żeś o tem jeszcze nic nie słyszał, więc ci co więcej o owcach i o wełnie opowiem.

Tu pan Walenty nawrócił z powrotem do domu, czapkę

zdjął z głowy, bo ciepło i cicho było na świecie, a tak jął opowiadać:

— Od bardzo dawnych czasów umieją już ludzie chodować owce, postrzygać je, a z tej wełny wyrabiać sobie przyodziewy. Więc też rzadko gdzie o taki kąt na ziemi, żeby nie chowano owcy albo kozy; znajdziesz ją i tam, gdzie słońce skwarno dopieka, i tam, gdzie przez większą połowę roku mróz i zima. Są też owce różnej odmiany i *rasy*; a według tej rasy i pożywienia, masz mniej lub więcej wełny.

Najlepsze owce pochodzą z dalekiego kraju, co go zowią *Hiszpanja.* Leży ten kraj na południe, więc też jest w nim gorąco, a dlatego tam owcom nie potrzeba żadnej owczarni, jeno sobie żyją ciągle w górach pod łagodnem niebem. Zowią się te owce *merynosy*, a sprowadzają je także do nas; bo jak dodasz do owiec naszej rasy taką dobrą jak owych merynosów, to się i tutejsze poprawią. Wtem to leży cała sztuka chodowania owiec.

Aleć nie kończy się tylko na mięszaniu ras owczych; dobry owczarz powinien jeszcze wiedzieć: jaka pasza dla owcy zdrowa i pożyteczna, jak ją leczyć na różne słabości, jak sobie postępować przy strzyży, i tak dalej; od tego zależy dobroć zestrzyżonej wełny, a także ile tej wełny będzie. Dobrej rasy i dobrze karmiona owca, może ci dać ośm funtów wełny; choć jak sobie źle i niedbale postępujesz, to będziesz miał ledwo do dwóch funtów!

Koło połowy miesiąca Maja odbywa się u nas *strzyża* owiec. Atoli przed strzyżeniem myje się najprzód owce doskonale w osobnych do tego sadzawkach albo stawach, dalej obsuszasz je, strzyżesz, i rozdzielasz wełnę na dobrą i na gorszą, a potem dopiero pakujesz do takich worów czyli *wańtuchów*, jak owo te, co je tu na brykach wieźli. W tych wańtuchach sprzedaje się wełna kupcom, na osobnych do tego jarmarkach, i tak idzie do fabryk, gdzie robią z niej sukno i inne materje.

Odetchnął tu sobie trochę pan rymarz, otarł chustką pot z czoła i tak mówił dalej:

— Długo by to gadać jak robią sukno i inne materje z wełny. Są do tego osobne fabryki gdzie przędą i tkają: jeno tyle powiem, że fabrykant mydli i parzy poprzód wełnę, zaczem ją weźmie do roboty, a to dlatego, żeby z niej wyprać naturalną tłustość, której nie potrzeba. Sukno zdjęte z warsztatu oczyszcza się z *supłów*, jako że jest bardzo kosmate i nierówne, potem płóczesz go dobrze i farbujesz tak jak ci się podoba; wreszcie na końcu postrzygasz gotowe i prasujesz, aby miało dobry pozór.

Takim to różnym i odmiennym sposobem robią różne materje, które się także i różnie nazywają. Więc naprzód masz *sukna* różnego gatunku, dalej *baję*, *flanelę*, *pytle młyńskie*, *kołdry*, *koce* do okrywania koni, *dywany*, *włóczki* itd. Zaś z wełny czesanej to znowu masz siła innych i cieńszych wyrobów. Nasi też ludzie po wsiach potrafią sobie utkać na warsztatach grube *sieraki*, a to z wełny owych owiec najpośledniejszych, co je *świniarkami* zowią.

Mówiłem ci że i z kozy można mieć wełnę. U nas tego nie robią, bo kóz takich nie ma, ale w innych krajach w *Azyi* i *Ameryce* to są takie kozy i *lamy*, co jeszcze przedniejszą od naszych owiec dają wełnę. Szal na kilka łokci z takiej wełny, to możesz zwinąć w rękach na kłąbek.

— Mój tatusiu — odezwał się Wojtuś, skoro ojciec przestał — to moja kapotka jest z wełny, a mamina spodnica także z wełny?

— Nie mój chłopcze — rzekł Walenty — na matczynej spodnicy jest perkalik, a to z *bawełny*.

— A cóż to wełna i bawełna to nie jedno?

— A nie jedno, nie! Bo *bawełna* to pochodzi z jednej rośliny, co w ciepłych krajach rośnie, nieprzymierzając tak jak u nas len i nici ze lnu; jeno tyle, że ta roślina bawełniana to w całych krzakach albo i drzewach rośnie, a nasz len to bardzo maleńki. Aleć inaczej się to i rodzi jak nasz len, bo rosną najprzód niby duże orzechy włoskie, te pękają w swoim czasie, a we środku jest nasienie owinięte w cieniutką bawełnę. Z jednego krzaka można mieć do *dwóch funtów* bawełny; a tak

skoro z wielu krzaków zbierzesz, to jeno oczyścić trochę, i gotową pakujesz do worów.

Z tej to bawełny wyrabiają takie materje jak: *barchan*, *kartun*, *perkal*, *nankin*, *muślin*, *tiul*, i inne. Nie są to takie trwałe rzeczy jak z wełny, ze lnu albo z jedwabiu, a *perkal* bawełniany łatwo odróżnisz od lnianego płótna, bo zawsze jest więcej kosmaty. —

Skończył na tem Walenty, bo właśnie zaczęli dzwonić na Anioł pański. Cicho było i spokojnie w powietrzu; Wojtuś zdjął czemprędzej czapkę z głowy, a tak wszyscy troje zbliżali się spokojnie ku domowi, szeptając wieczorną modlitwę.

Grześ z Mogiły.

Rady dla gospodarzy.

Znalazłem bardzo starą książkę, i nie po naszemu napisaną. Zajrzałem do niej, i znajduję tu zbawienne dla was rady: proste a mądre. Dla tego też je wam tu wypisuję, abyście z nich korzystali.

Trzeba w czasie przyzwoitym dać ziemi ziarno, aby kiedy potrzeba weszło żniwo, a ty cudzego wsparcia nie potrzebował.

Pracuj, a nie będziesz w potrzebie.

Masz dóm, siedź w nim; — masz pole, doglądaj go; — masz wołu, używaj go do pracy; — narzędzia gospodarskie utrzymuj w całości, żebyś się bez cudzych obył.

Nie odkładaj do jutra tego, co dziś zrobić możesz. Człowiek leniwy nie zapełni stodoły.

Miej parę wołów równych w wzroście i jednego wieku, a to dla tego, iżby pług równo ciągnęły; inaczej gdy jeden słabszy a drugi mocniejszy, naprost skiba nie pójdzie, a pług skruszyć się może.

Podczas zimy zajmuj się robotą wozów, pługów, radeł, bron, soch i innych gospodarskich narzędzi, abyś miał i do użycia, i na zapas, gdy się stare zepsują.

Kiedy czas orania przychodzi, uprzedzaj świtanie, i rznij lemieszem ciepłą i wilgocią ożywioną ziemię. Wznieś wówczas w Niebo oczy, a gdy będziesz prosił Boga o plenność, niech ręce twoje imają się pługa. Nic bez Boga nie zaczynaj, bo bez Boga skończysz. Pamiętaj, abyś dobrze ziemię uprawił, aby ziarno na równą i pulchną padło ziemię.

Podczas żniwa wstawaj razem z zorzą; spiesz się z pracą, abyś co rychlej zwiózł zboże do stodoły. Jedna godzina stracona o głód cię przyprowadzić może. Zorza budzić cię po-

winna, zorza drogę oświecać, zorza początkowi pracy towarzyszyć, nim słońce wschodem swoim świat rozweseli.

Zbożem i sianem napełnij gumna, abyś miał czem żywić dobytek. Lecz czeladzi i zwierzęciu trzeba wygody i spoczynku. Wtenczas miej psa czułego w podwórzu, a nie skąp mu strawy, by czujniej pilnował.

Gdy będziesz miał pojąć żonę, nie spiesz się do trzydziestego roku; bierz ją w dojrzałej porze; nie zapędzaj się daleko po nią, najlepiej uczynisz gdy ją dobrze poznaną w sąsiedztwie wybierzesz. Nie masz droższego skarbu nad żonę poczciwą, ale nierządna największem jest utrapieniem; zniweczy ona jako ogień pożerający męża swego, i wprawi go przed czasem w zgrzybiałość. Z przyjacielem obchodź się szczerze. Jeżeli kto cię pokrzywdzi słowy lub uczynkiem, miej na niego dwie kary: niech błąd uzna, a ty mu odpuść.

Nie wab w dom gości; ale gdy przyjdą, przyjmij ich wdzięcznie. Nie zabieraj ze złymi towarzystwa, cnotliwych zaś od siebie nie odstręczaj.

Język wstrzemięzliwy drogim jest skarbem. Nie lżyj innych, bo sam możesz byc zelżonym.

Trzymaj naczynia domowe ochędożnie, żeby i tobie, i innym w używaniu nie były odrazą.

Szczęśliwy, i stokroć szczęśliwy ten, który swe życie w pracy przepędza, a posłuszny woli Bożej strzeże się złego, żyje bez zakału; bo taki tylko jest miły i Bogu i ludziom. —

(Sz. N.)

✝

Zeszłego miesiąca 21go zmarł nagłą śmiercią **Bruno Bielawski**, były redaktor **Dzwonka**. Cios ten przykry dotknął nas tem bardziej, że **Bruno** umarł za granicą. Czystą jego duszę powołał Pan Bóg do swego królestwa, lecz nam nie dozwolił choć spojrzeć na zwłoki po raz ostatni! Wielka boleść po wielkiej stracie! Najwięcej dotyka on was ludzie od roli, bo dla was poświęcał on swoje siły, was wszystkich ogarniał on swą wielką miłością. Dzieci, módlmy się za czystą duszę jego. Boże, policz mu jego ziemskie zasługi!

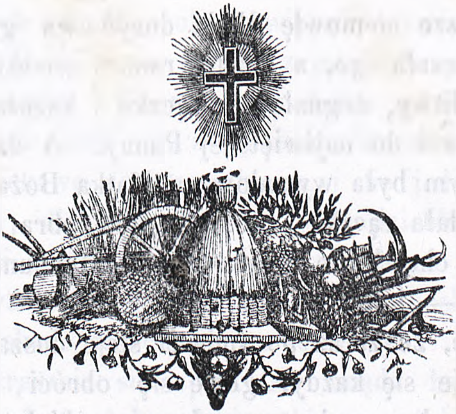
Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. **Nr. 6.**

21. Lutego. **1861.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

TRZY SIEROTKI.

Po jednym zmarłym gospodarzu zostało troje małych dziatek: jedno miało rok, drugie pięć, a trzecie siedm lat. A był ten gospodarz za życia nie złym człowiekiem; nikomu nie zalazł w drogę, nikomu złego słowa nie powiedział, nikogo w niczem nie pokrzywdził, ani chciał naumyślnie Boga i ludzi obrażać. Nie należał też do tych, którzy się wiele modlą a przytem wiele złego robią i myślą, że wolno temu więcej grzeszyć, kto więcej pacierzy zmówi i więcej się razy spowiada. To też lubiono go na plebanii, we wsi i we dworze; a skoro umarł, to ludzie dobrzy pogadali coś cicho między sobą, poszli na radę do księdza i do dworu, i wnet jedna gospodyni wzięła najmniejsze dziecko, dwór wziął średnie, a trzecie najstarsze wziął chłop jakiś, bo sobie pomyślał: ot będzie sierota bydło paść, chałupy pilnować i koło domu robić co nieco.

Aleć ludzie zapominają zwykle, że kto sierotkę weźmie, to trza ją nietylko żywić i ogarnąć, ale trzeba też i o duszyczce pamiętać.

O najmłodsze niemowlę dbała dosyć owa gospodyni: kąpała i myła i czesała go, a każde rano i wieczór składała mu rączki do modlitwy, żegnała go rączką i kazała mu mówić paciorek do Bozia i do najświętszej Panny. A dziecina całowała obraz, na którym była wymalowana Matka Boża z maleńkim Jezuskiem i składała rączki. Cieszyła się dobra kobieta tą dzieciną, ale wnet chciał pan Jezus, aby sierotka umarła a nie biedowała na ziemi — i tak się też stało.

Jak wiecie, że zaraz po śmierci staje dusza na sąd boski i tamto dowiaduje się każdy, gdzie się obróci, to też i dusza sierotki tej stanęła przed panem Jezusem, bieluteńka jak słonko. Anioł ją trzymał za rękę i okrywał ją skrzydełkiem i tulił do siebie, aby się nie bała pana Jezusa jako sprawiedliwego sędziego.

Pan Jezus zapytał sierotki:

— Cożeś robiła dziecino na ziemi?

A ona odpowiedziała z płaczem:

— Co mi kazali, tom robiła: składałam paluszki przed Bozią, co jest w niebie i całowałam matkę Bozia i to dziecię, które trzyma się szyi matczynej. Lubiłam to dziecię bo ono takie malutkie jak ja; tylko mi smutno, że nie chciało do mnie nigdy przemówić.

Na to pan Jezus rzecze do Anioła:

— Weź Aniołku tę sierotkę, i zaprowadź ją do Matki najświętszej. W niebie nie zaginie ta sierotka, zaś na ziemi mogła się była wnet zagubić, bo bez dobrej matki i dobrego ojca bardzo ciężko zostać na ziemi dobrym i pobożnym, i na coś dobrego przydatnym dla Boga i ludzi.

I poszła sierotka do nieba do Matki najświętszej i cieszy się tam, i modli się za rodzicami i za tą gospodynią, która ją wzięła do domu swego i uczyła dobrego.

Jak wiecie starszą sierotkę wzięła pani do dworu. Było jej tam dobrze; pani kazała jej zaraz poszyć koszulki, ubrała jej szyję ładnemi paciorkami, postawiła jej łóżeczko w swojej izbie, i zaczęła powoli uczyć na książce i pacierza i przykazań bożych. Sierotka umiała pieśń poranną i modlitwę przed jedzeniem, i „Kto się w opiekę podda panu swemu,“ i bez myłki

zmówiła paciorek, a każdej soboty wieczór stawiała świecę przed obrazem Matki Bożej, i co piątek zapalała lampę przed panem Jezusem Milatyńskim. Cieszyła się dobra pani tą sierotką, i wszyscy służebni lubili ją, a ludziska dworowi dziwili się, że dziecko takie ciekawe do wszystkiego, i nie jeden tam miał zazdrość w sercu, dlaczego to pani jego dzieciom tak nie robi, choć to brzydki grzech zazdrościć komu czego.

Ależ na wszystko w świecie jest wola boska! Niech nikt nie gada hop! skoro jeszcze nie przeskoczył! Umarła i ta sierotka! Pani strasznie się spłakała, ksiądz bardzo pięknie ją pochował, cały dwór żałował sierotki, nawet i ci, co zazdrościli jej we dworze, także płakali, choć pan Jezus wie tam najlepiej, czy ich łzy były udane, czy szczere.

Skoro dusza tej sierotki stanęła na sąd przed panem Jezusem, zaczęła trząść się ze strachu jak liść osikowy, a Anioł stał blisko niej i czekał na rozkaz pański. Wtedy rzecze pan Jezus:

— Powiedz-no mi sierotko, coś tam robiła we dworze u tej pani? wszak żyłaś całe sześć lat na ziemi?

A sierotka otarła łezkę z oka, i zaczęła chwalić tę panią ze dwora przed panem Jezusem i skarzyć się na tych, co ją bez wiedzy pani potrącali, szturkali, do kłamstwa namawiali i ukraść coś radzili. A potem opowiedziała, że jak ją pani nauczyła odmawiać paciorek i śpiewać pieśni różne, to ona zawsze tak odmawiała każdy paciorek pomału, uważnie, na kolanach koło obrazu cudownego; że świece i lumpy zapalała przed obrazem pana Jezusa i Matki Bożej; że pani słuchała, a nie robiła tak, jak jej na złe dworacy radzili; że wynosiła jałmużnę dla biednych, co pani im dawała, i że się chętnie uczyła na książce.

Na to rzecze Anioł-stróż:

— A wszak raz ledwom cię utrzymał, boś chciała pani wziąść szpilkę; a znowu drugi raz nie chciałaś zaraz i chętnie posłuchać pani twojej; a znowu trzeci raz usnęłaś bez paciorka.

A pan Jezus widząc, że dusza sierotki nie była tu tak bardzo winna i szpilki nie ukradła, rozkazał aby ją wziąść i zaprowadzić do czysca na pokutę. Lecz nato wstawiła się za nią

Matka Boża dla tego, że sierotka modliła się co sobota gorąco przed cudownym obrazem, i robiła wianuszek bławatny i kładła na głowę Matce najświętszej. A pan Jezus sprawiedliwy darował te winy sierotce na prośbę Matki Bożej i Anioła-stróża, bo tak mówili:

— Biedne to dziecko, które jest sierotą na ziemi; a choćby i znalazło dobrych ludzi, to tamci nie mogą dbać tak o dobro jego, jak rodna i dobra matka.

I zaprowadził Anioł-stróż duszę sierotki do Nieba, a ona tam modliła się za rodzicami, za panię z dworu, za dworowych i nawet za tych, co ją potrącali, szturkali i brzydko nazywali.

Jak wiecie, trzecią najstarszą sierotkę wziął do siebe gospodarz na wsi, a to nato, aby mu się wysługiwała. Bo też i osobliwszy był to chłop: u niego tam nie było ani święta, ani nocy, tylko ciągle robota i robota. Zawsze przed świętami w nocy piekła gospodyni chleb i rano we święto dobywała go z pieca; po śniadaniu we święto szedł gospodarz na targ z przędzą, którą słudzy po całych nocach w tygodniu uprzędli, a gospodyni sprzątała aż do południa. Mało kto miał tam czas pacierz zmówić i do kościoła pójść, a sierota ciągle z bydłem w polu, odarta, omurcana i więcej do jałówki podobna niż do człowieka. Ale dobry pan Jezus ma różne sposoby, aby człowieka nie zagubić. Tak też byłaby się i dusza tej sieroty zatraciła, gdyby był pan Jezus nie wziął jej na tamten świat. Umarła sierota, a niedobra gospodyni nie dała jej białej koszuli do trumny, tylko ją włożyli w tych samych łachach czarnych, w jakich chodziła po świecie. A gospodarz zrobił trumnę ze zbutwiałych dylów, i powiązał sznurem żeby się nie rozleciała.

Nikt tam nie płakał za biedną sierotą, jeno słudzy co widzieli jej biedę żałowali ją trochę, ale sobie rozmawiali, że ta i lepiej co sobie umarła i raz skończyła tę biedę. I nikt się nie zapytał, co się też stało z duszą tej sieroty? Oni sobie myśleli, że kto tu bieduje, ten pójdzie do nieba; a bieda sama nie zaprowadzi do nieba, jeżli nie ma przy niej zasługi dobrej i dobrych uczynków.

Poszła też dusza i tej sieroty na sąd pański. Już tam daleko stał od niej Anioł-stróż, i już ta dusza nie była podo-

bną do tamtych; już były różne winy na niej, o których dobrze wiedział pan Jezus.

I zapytał ją pan Jezus:

— Cożeś ty sieroto robiła na ziemi? wszak żyłaś dziesięć lat? Były tu na sądzie twoje dwie młodsze siostry, a ty nie wiesz, gdzie one się obracają, tyś ich na ziemi nie znała dobrze?

Na to rzecze sierota:

— Jam biedowała strasznie: miałam złego gospodarza, a tam mię uczono złego, tam mię uczono drugim szkodę robić, kraść, i przeklinać. Ja nie znała święta, ja nie byłam ani w kościele, ani w szkole nigdy — ja nic nie wiem, tylko tyle, że gdzieś w Niebie mieszka pan Jezus!

Na tę skargę rozpłakał się Anioł stróż, i padł na oblicze przed panem Jezusem, mówiąc:

— Nie potępiaj Boże tej sieroty, bo ona nie jest winną we wszystkiem! Ona miała złych opiekunów, o nią nikt nie dbał, nie znalazła ona serca u ludzi, ani dobrej macochy nie miała, ona nie wie nic o swej matce, o ojcu, i chrzestnych ojcach, a ludzie myśleli, że jej najlepiej u onego chłopa. A jeżli kiedy płakała, to się nikt nie zapytał o to, i nikt też nie dbał o duszę tej sieroty, która stoi teraz winna przed Tobą.

Ale pan Jezus wydał wyrok, aby dusza winna i nieczysta nie weszła do nieba, ale aby się oczyściła i zmazała winy swoje. I byłoby może potępienie spadło na sierotę, tylko ją Anioł-stróż wyprosił od zguby przez to, że wyprosił śmierć tej sieroty u pana Jezusa i że prosił na sądzie za nią.

I odeszła dusza tej sieroty, i poszła na pokutę. Jak na ziemi nie miała matki, ojca, ani krewnego, tak była sierotą i na tamtym świecie. Anioł-stróż pilnował ją, aby się oczyściła z win swoich. Płakała ona, błąkała się, ażci raz spotkała ją jakaś pani.

— Czego ty płaczesz? zapyta ją.

Sierota rzecze:

— Muszę tu pokutować, bom na ziemi zawiniła. A pan Jezus nie skazał mię do piekła, a to dla tego, żem nie miała ojca, matki ni krewnego żadnego co by mię nauczyli żyć i postępować

w dobrem. Źli ludzie buntowali mię, a ja słuchała — więc tylko o tyle jestem winna, iżem się sama nie chciała uczyć.

Na to rzecze ta pani:

— Chodź zemną, ja cię otulę moim płaszczem i będzie ci przy mnie weselej. Jeżeliś nie miała na ziemi dobrej matki, to możesz ją mieć teraz we mnie.

Sierota zbliżyła się do tej pani, a pani ją okryła płaszczykiem i poszły obie drogą daleką, i strudziły się, a pani to ocierała pot z czoła sierocie, to ją niosła na rękach swoich. I stanęły wreszcie obie przed bramą złotą. Na pukanie otwarła się ta brama, a sierota zobaczyła Niebo.

A wiecież kto był tą panią? To Matka najświętsza ulitowała się nad sierotą i na tamtym świecie, tam jej łezki otarła, tam jej rączkę podała, tam ją otuliła, tam ją zbłąkaną i pokutującą znalazła, i zaprowadziła do Nieba. —

Ks. Wojciech z Medyki.

O dobroci Boga.

Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz: bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje.
Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo dla Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował,
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował;
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioły rozlicznemi.

Za Twojem rozkazaniem morze w brzegach stoi,
A zamierzonych granic przekroczyć się boi;
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień, a noc ciemna, swoje czasy znają.

Tobie k'woli rozliczne kwiatki wiosna rodzi:
Tobie k'woli w kłosianym wieńcu lato chodzi:
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twej łaski, nocną rosą na mdłe zioła padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywi snadnie;
Z Twoich rąk każde zwierze patrzy swej żywności,
A Ty każdego żywisz z Twej szczodrobliwości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie,
Twoja łaska, Twa dobroć, nigdy nie ustanie,
Chowaj nas póki raczysz na tej nizkiej ziemi,
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi. —

Jan z Czarnolesia.

Król Jan Trzeci
w Jaworowie.

Franek i Staszek udzierają się zapamiętale o Zośkę, córkę bogatego kowala w Jaworowie. Obadwa chłopcy jak się patrzy, tylko że na Franka kmieca rola przypada, a Staszek parobczakiem jeno przy swoim stryju podwójcim. Toż i nie dziwota, że stary kowal i żona jego trzymają stronę bogatego Franka; choć Bogiem a prawdą Staszek się im uczciwie podobał. Zośka jak każda młoda a dobra dziewucha nie umiała zaradzić sobie w tej biedzie. Za Franka każą iść ojcowie, a tu Staszek jak na przekór do serca się zakrada. I jużcić musiało być tak a nieinaczej, bo Franek zadzierał głowę a mówił:

— Jak mi kowalowie nie dadzą wypędzić kijem parobczaka od podwójciego ze swojej chałupy, to noga moja więcej u nich nie postoi! Boć mnie wstyd z nim razem dobijać się o jedną dziewczynę. He, he, kowal tego kiedyś pożałuje, bo drugiego Franka jako żywo dla Zośki nie ułowi.

Tak się Franek odgrażał, ale Staszek nie zważał na to, tylko spozierał w czemby Zośce dogodzić. Ona też była mu rada a na Franka z ukosa patrzała, gwoli hardego po wsi całej gadania.

Nadeszedł mięsopust; dla chłopców nowa uganianka. Staszek z Frankiem zaczęli drzeć koty, a robić sobie na przekorę. Jak jeden tak, to drugi siak, a wszystko byle dogryść jeden drugiemu. Trafiło się też na hulance w gospodzie, że Staszek z Zośką zabrał się do krakowiaka, a Franek dalejże do muzyki i każe grać obertasa. Rozżalił się Staszek, dobył czerwieńca ze szczerego złota i dorzucił go basiście jakby grosz nieprzymierzając, żeby tylko na swojem postawić. Muzyka też miarkując, że po basach czerwieniec dzwoni zagrała krakowiaka, a zawstydzony Franek zwiesił nosa i z kąta się przypatrywał, jak Staszek z Zośką uwija i przyśpiewuje.

Nie podobała się taka rozrzutność starszym co po za stołem siedzieli, więc stryj staszka podwójci ozwie się do kumotrów:

— Co prawda to i nie grzech powiedzieć, że nie ma szeroko chłopca nad Staszka: Boga pochwali, pracuje, nie napija, i mnie dobrze życzy, zato kocham go jak własne dziecko. Jedną przecież ma wadę, że grosz krwawo zapracowany gwoli tej Zośki na muzyce roztrwania. Chciałem go ożenić jak wiecie z Szymkowę Marynką; dostałby chałupę, gruntu kawałek i grosza na zapomogę, tymczasem na moje zmartwienie a swoją biedę wlazła mu kowalka w głowę, a kowal się droży że aż strach.

Zośka też szepnęła Stachowi podczas tańcu, że grosza szanować nie umie; ale on ją ujął serdecznie za rękę i cicho dopowiedział:

— Moja Zosiu, naco żałujesz marnego czerwieńca, kiedyś mi serce z kretesem zabrała. Ja bym sobie oczy wydłubał i rzucił basiście coby tylko z tobą potańcować.

Na to spuściła dziewucha oczy ku ziemi:

— Mój Stanisławie — odpowie — toć przecie wiecie że szczerze o was myślę, jeno ojcowie! ojcowie!

Ale nic tam to kochanie nie pomogło; kowal obstawał za Frankiem, i jużci jednej niedzieli miał dać na zapowiedzi, aż tu naraz rozeszło się po całym Jaworowie, że ma tędy przejeżdzać król Jan Sobieski, wojak tęgi, pan pobożny a nadewszystko kochający naród polski, którym mu Pan Bóg rządzić pozwolił. Toteż i zapomnieli wszyscy o zapowiedziach, a rwetes się zrobił po całym Jaworowie, boć to niesłychane znaczyło się szczęście

oglądać takiego wojownika. A trzeba też wiedzieć, że król Jan wracał właśnie z pod Wiednia gdzie Niemców od niewoli Tureckiej wybawił. Cały świat cieszył się okrutnie z tego zwycięztwa, bacząc że tam nie tylko o samych szło Niemców, ale zgoła o wszystkich Chrześcijanów, bo jak o tem już wiecie, Turcy są narodem pogańskim, a kogo tylko zwyciężą, na swoją ladajaką przymuszają wiarę.

Więc gromada Jaworowska umyśliła sobie przyjąć należycie swojego dobrego króla i Pana, coby sponiewierany wojną i niewczasem widział, że ludzie mu przychylni zatęsknili za nim jak dobre dzieci za ojcem. Duchem więc, wysłali naprzeciw króla dwunastu żwawych chłopców na tęgich konikach, w kapeluszach z białemi i czerwonemi wstążkami. Staszek był także pomiędzy nimi, a starsi z gromady oddali mu zarząd nad resztą widząc, że z niego chłopak najtęższy i najbardziej rozgarniony. Jechał też Staszek w pierwszym rzędzie po prawej stronie jak jenerał jaki, nie mogli mu się wszyscy napatrzyć. Zośka rozbeczała się z uciechy, udając że jej mucha wpadła do oka.

Staszek popisał się zuchowato. Skoro ujrzał, że król Jegomość zjeżdża z pagórka, kazał chłopcom przypuścić koniki, a jak się już zbliżyli, dopieroż wszyscy zawołali jednym głosem, chociaż ich nikt nie uczył:

— Witaj nam witaj najmiłościwszy królu i Panie! — a potem jak każdy mógł najserdeczniej: Witaj nam witaj!

Niezmiernie był rad król Jegomość z tego powitania, toteż uchylił swojej czapki złocistej i zawołał:

— Jak się macie chłopcy!

Odpowiedzieli:

— Dobrze! z łaski Boga najwyższego i twojej miłościwy królu. — I w te tropy rozsunęli się zwinnie we dwa rzędy tak, że sześciu jechało po jednej, a sześciu po drugiej stronie powozu króla Jegomości.

Niepotrzebuję wam mówić, że przy królu moc panów i to jeszcze jakich mój Boże! panów jechało, ale ustąpili miejsca owym chłopcom, żeby przy boku króla mogli się ucieszyć. Toż i przyjaznem okiem spoglądał na nich król Jan, a nachyliwszy się do starszego, który obok niego po lewicy siedział, prawi:

— Jakżeż nie mam bić nieprzyjaciela, kiedy na tej ziemi takie zuchy się rodzą. Ten oto — dodał skazując na Staszka — dziesięciu wrogów przetrzyma.

W ten sposób jechali aż do wsi kędy już czekała cała gromada z księdzem, a serdecznie witała króla. Wtenczas kazał król Jegomość stanąć, sam wyszedł z powozu, uczciwie wszystkich witając: poczem go ksiądz proboszcz pobłogosławił, dał krzyż pański do pocałowania, i święconą wodą pokropił.

Po tem wszystkiem zaprowadzono przy muzyce króla, a z nim panów i starszych z gromady do izby suto zastawionej, lud zaś i muzyka zostali na polu, żeby ciasnoty w izbie nie robić. Ale się to nie spodobało królowi Jegomości; toteż poszedł w tej chwili ku oknu przemawiając łaskawie, że dla wszystkich dość miejsca, żeby tylko śmiało weszli, kiedy się z nimi chce dzisiaj ucieszyć.

Więc też weszli dziękując. Dopiero odezwie się król Jan do chłopców:

— Kto w tańcu walny, ten i na koniu nie chybi; żwawo tedy chłopcy każcie zagrać, a pokażcie co umiecie.

Wraz nato ozwała się muzyka; skrzypiciele wiedą smykiem od ucha, basista poci się przy ogromnych basach, a chłopcy krzeszą w podkówki i uwijają z dziewuchami, że jeno się miga. Nadarzył się taniec królowi Jegomości, bo się ciągle uśmiechał a poprawiał sutego wąsa:

— Walne chłopcy — prawi do swoich — dziewuchy też chwackie!

Kiedy król tak chwali, a chodzi po izbie jak po złoconych salach w zamku Krakowskim albo Warszawskim, spostrzegł Zośkę, że się w niego jak w obraz zapatrzyła, i ani oka nie spuści. Zbliżył się więc ku niej i zapyta łagodnie:

— Czyjażeś ty dziewuszko?

— Kowalowa — odpowiada Zośka poczerwieniona jak burak.

A król Jegomość rzecze podając rękę dziewczynie:

— Nijako nam stać próżno, kiedy wszyscy wesoło się bawią.

Dziewucha wytrzeszczyła oczy, ale kiedy ją król ła-

skawie ujął za rękę, poprawił złocistego pasa i ślicznego wąsa podkręcił, a na dobitek nogą przytupnął, toć Zośka zaczęła przy nim najprzód nieśmiało podskakiwać, a potem jak się patrzy hulać. Przed muzyką stanął król Jegomość, rzucił w basy kilka talarków, a ująwszy się za pas złocisty zaśpiewał:

A z kądżeśty — z Jaworowa,
A czyjaśty — kowalowa,
Kowalowa z końca,
A chodźże do tańca,
Kowalowa Bóg daj zdrowa!
Bóg daj zdrowa, kowalowa!

I nuże dalej w taniec z innymi, aż się wam ślicznie zarumienił. Dopieroć odprowadził Zośkę na miejsce, a za taniec grzecznie podziękował.

Widząc to ludzie rozpłakali się z uciechy od najmniejszego do największego, bo też mieli słuszną przyczynę radować się z wesołości dobrego króla. Nigdy on nie miał czasu zabawić się spokojnie. Wiecznie jak ten prosty żołnierz tłukł się po granicach odpędzając Turków Tatarów i wielu innych nieprzyjaciół, co ustawicznie dybali, żeby jeno rabować naszą ziemię. Moiściewy, taka wielka osoba, taki człek wielki a pracował aż strach nie dla siebie ale dla narodu całego, a tu niejeden przykrzy sobie, kiedy się schyli do roboty, kiedy mu przyjdzie zapracować na siebie i dzieciska własne.

Nasz Staszek stoi sobie w kącie, i widzi łaskawość króla Jegomości dla Zośki. Wesoło mu to było, ale zaraz pomyślał sobie:

— Mój Boże kochany, teraz dopiero kowalowi pohardzieją! Mój Boże kochany, Zośka już nie moja! — Tak sobie Staszek pouważał i wyszedł okrutnie markotny z izby, a Franek jeno zęby wyszczerzył od śmiechu.

Na króla Jegomości był już czas wyjeżdzać, bo słoneczko śmiało się ku zachodowi, a on jeszcze o wiele mil dalej miał stanąć na nocleg. Chce więc z izby wychodzić, mile spoglądając w około, aż tu gromada wyprowadza przed okna, trzy pary siwych wołków w drabiniastym wozie, a do tego pług i

bronę. Dopieroż występuje wójt przed króla Jegomości, a pokłoniwszy się nisko tak rzecze:

— Najmiłościwszy królu nasz i Panie! Pozwólże od gromady podziękować sobie za łaskawe nas odwiedzenie, i cudne obejście się znami. Nie umięć składnie mówić, to prawda, tyle tylko powiem, że prędzej na śmierć nam przyjdzie zapomnieć jak na dzień dzisiejszy. Mamy tylko jedną prośbę od gromady do Was miłościwy królu, a bojemy się żebyśmy prostym rozumem a szczerem sercem rozważając nie chybili.

Tu się wójt znowu skłonił a król Jegomość rzecze:

— Śmiało wójcie do mnie przemawiajcie, gromada bardzo mi się podoba.

Na to skłonił się wójt po drugi raz i dalej tak mówił:

— Słyszeliśmy miłościwy panie, żeście się siła potracili na wojnie. Otóż bez urazy waszej, daje wam tu gromada przezemnie statek kmiecy na zapomogę, bo za statkiem panie, idzie i dostatek. Dla królowej Jejmości składamy też kołacz i wieniec z lasowych orzechów.

Niesłychanie uradowała króla Jego Mości przemowa wójta i podarek od gromady. Byłby chętnie każdego wołu dziesięć razy zapłacił, ale wiedział, że ich tem wcale nie ucieszy. Toć mu tylko łzy w oczach stanęły jak dwie perełki; pokręcił wąsa wedle zwyczaju, a położywszy rękę na ramieniu wójta rzekł:

— Kochany wójcie i cała gromado! Podarek od was przyjmuję z takiem sercem z jakiem wy go dajecie. Da Pan Bóg będzie nam lepiej jak tylko nieprzyjaciół raz na zawsze od naszej kaszy odpędzimy. Złota wam nie daje, bo by was to uraziło, aleć przecie przyjmijcie i odemnie pamiątkę. Owóż od dzisiaj daruję wam wszystkie daniny, jakie mi macie płacić.

Po tych słowach pożegnał król Jan gromadę i wsiadł do powozu. Co tam było uciechy, a i smutku od razu, że król odjeżdża to i mówić nie trzeba.

— Niech żyje król Jan, niech żyje! — wołało pocałej wsi, skoro już powóz ruszył z miejsca i toczył się jak wiatr.

Kiedy tak król Jegomość jedzie, zda mu się spojrzeć na prawo, aż tu widzi spartego o poręcz chłopca w kapeluszu z czerwo-

nemi i białemi wstążkami. Stoi zasumowany, a oczy rękawem ociera. Wten raz poznał król Staszka, toć zdziwiony kazał stanąć a sam woła:

— Chłopcze co tu robisz?

Staszek się zerwał, zciągnął czemprędzej z głowy kapelusz i skłonił się ku ziemi, a król Jegomość pyta:

— Czemuż się mazgaisz jak baba; co tu robisz powiadaj!

— Wyszedłem — odpowiada Staszek — jeszcze raz obaczyć naszego najmiłościwszego Pana, bo mi prócz tego co prawda cały świat niczem.

Dopieroż zaczyna Staszek rozpowiadać o Zośce, i że od tego czasu jak król Jegomość z nią tańcował, bez niej żyć nie może, że ona go kocha i że tylko przez ubóstwo swoje dostać jej nie może.

Król Jegomość pouważał sobie chwilkę a potem rzecze:

— Idźcie mi po kowalów — zaś Staszkowi podaje woreczek z dukatami:

— Masz to na początek; resztę ci Pan Bóg przy pracy udzieli.

Staszek się wzbraniał wziąść, bo myślał, że się dobry król szkoduje, ale go inni panowie ośmielili żeby wziął i podziękował, a król Jegomość przykazał, coby się z tem nie wydawał aż odjedzie.

Niedługo przychodzą kowalowie i kłaniają się, ciekawi, po co ich wołano. Odwrócił się król Jan i pyta ich prędko skazując na Staszka:

— Podoba wam się ten chłopiec?

— Rzetelny sobie co prawda — odpowiadają bez namysłu.

— A tobie Zosiu, bo takie ci miano.

Zośka poczerwieniała spozierając nieśmiało raz na ojców, drugi raz na króla Jegomości a ukradkiem na Staszka, który stał niecierpliwy jak na rozpalonych węglach.

— Więc ci się nie podoba — żartując sobie zapytuje król Jegomość.

Staszek zląkł się takiej mowy, toć cały pobladł i woła:

— Ona nie śmie powiedzieć! Gadajże Zosiu bo umrę. Mój ty mocny Boże to mnie już nie kochasz!

— Hola mój chłopcze — żartuje sobie król Jegomość znowu — ty mi jak widzę bałamucisz dziewczynę; z tego nic nie będzie. Powiedz Zosiu sama a wyraźnie, podoba ci się albo nie?

Kowalowie, Staszek i wszyscy przytomni wytrzeszczyli jeszcze bardziej jak przedtem na dziewczynę oczy; toć się jeszcze więcej zmieszała i dopiero po chwili bawiąc się fartuszkiem spuściła na dół oczy, i rzeknie z cicha i skromnie:

— Podoba.

— Miłościwy panie! chłopak grosza nie ma — wymawia się kowal.

A król Jegomość na to:

— Pieniądze Pan Bóg daje i odbiera, ale pracowitego i uczciwego nigdy nie opuści! Chyba dajcie waszą Zośkę Staszkowi.

Wtedy pokłonił się kowal i powie ze szczerego serca:

— Niech się dzieje wola Boska! Nie chcę już większego bogactwa dla mojego dziecka nad to jaki mu przynosi ten chłopak. Jużcić ich Pan Bóg miłościwy nie opuści, kiedy im miłościwy Panie jak ojciec kochający błogosławisz.

— Dziękuję wam kowalowie — prawi król — że moje swaty nie były daremne. A ty Stachu szanuj Zośkę i starych kowalów, cobym się nie powstydził żem za tobą przemawiał. — Tak skończył i pożegnał ludzi.

Ledwie im znikł z oczu, aliści ściska Staszek kowalom kolana i pokazuje co dostał. Cała gromada i kowalowie gniewali się zrazu na Staszka, bo wszyscy tak jak on myśleli, że się król Jegomość bardzo poszkodował. Dopieroć ksiądz proboszcz bronił Staszka a tłumaczył, że pieniądze wziąść musiał nie chcąc obrazić miłościwego pana. Nie uspokoili się przecież dobrzy ludziska, aż na odwet w tem miejscu gdzie ich dobry król ostatni raz pożegnał postawili figurę Matki Najświętszej z napisem: „Pod Twoją obronę oddajemy Ci, mizerni słudzy Twoi, Panno najświętsza, miłościwego króla Jana III.“

Staszek dostał Zośkę a Pan Bóg widocznie mu błogosławił, bo jeszcze z bielutką jak śnieg głową mógł podczas Mszy św.

modlić się za swego dobrodzieja, a po nieszporach w niedzielę dzieciom i wnukom rozpowiadać o nim.

Franek poznał, że kmieca rola za wszystko nie obstoi, to też odtąd nie potrącał dziewczętami jak uleżałkami, ale obejrzał się za pobożną i pracowitą a wreszcie znalazł. Zaś cała gromada porosła w pierze, bo już żadnych danin i podatków od niej nie wybierano, tak jak król Jegomość im przyrzekł.

Siła lat minęło od czasu jak Pan Bóg króla Jana przyjął do chwały wiekuistej, więc i kapliczki już nie ma o której wspominałem. Aleć serca ludzkie nie z cegły ani z kamienia, toć w nich przenigdy pamięć o dobrym królu polskim Janie Sobieskim nie wygaśnie, bo on bronił naszej świętej twiary, bo on zasłaniał kraj nasz od nieprzyjaciół, bo on nas kochał jak rodzony Ojciec!

J. T.

RÓŻNOŚCI.

Pożar. Miesiąc temu wybuchł ogień we wsi *Łużnej* w obwodzie sandeckim. Było to już wieczór między siódmą a ósmą godziną; gospodarz Jan ze żoną i z trzema synami spał już w izbie, gdy naraz niewiedzieć zkąd, cała zagroda stanęła w płomieniach. Za póżno już zbudził się gospodarz, a choć i sąsiedzi zlecieli się na ratunek, toć przecie nietylko że dobytku, ale i ludzi wszystkich z ognia nie mogli wyciągnąć. Sam gospodarz wyskoczył, ale srodze poparzony; żona żyła jeszcze jak ją wydobyli, aleć tylko do drugiego dnia; zaś co synów to i dostać nie można było. Zginęli straszną śmiercią w płomieniach! Nie wiedzą ludzie dotąd z jakiej to przyczyny zajęło się tak nagle, aleć utyskują nad tem nieszczęściem, bo to aż czworo ludzi naraz, to straszny wypadek!

Zawzięta kumeczka. – Wiecie sąsiado, powiem wam nowinę.

— No, cóż takiego? a spieszcie się, bom strasznie ciekawa.

— Oto Janek zachodzi do Kacprowej, wdowy po Kacprze z Okalnicy, i powiadają, że się będzie z nią żenił.

Oj! daj go Bogu, to mi to dopiero nielada nowina. Niby to Jankowi pierwszyna zachodzić do wdów? A nie chodził do Walkowej? Nie chodził do Pawłowej?

— Ej! chodził bo go opasały mlekiem, chlebem z masłem, i kiełbasą, ale nie na zalecanie się.

— On może tak myślał, ale równie udawał, że się zaleca.

— Moja sąsiado, jak porzucił tamte, tak samo porzuci i Kacprową, bo inna rzecz zalecać się, inna żenić, a ludzie to dawno powiedzieli bardzo mądrze:

Co się radzi zalecają,
Nie radzi się żeniają.

Ale choćby się zalecał, to mu nigdy do Kacprowej nie pozwolę, bo to baba, Panie odpuść, *ni do tańca ni do różańca.*

— Ej! nie bajcie też, nie bajcie moja sąsiado, a cóż to jej brakuje?

— Wszystkiego, wszystkiego, czy to urodna? czy zabiegliwa? Dzieciska ponurzane w brudzie, ni to ogarnięcia na nich, ni starunku, a wielka, że strach do niej się przybliżyć, niby dragan. Tyle też w niej i zgrabności co w draganie, niech Bóg uchowa.

— Może tam i jest trocha prawdy w tem co mówicie, ale równie przesadziliście, boć kobiecisko radzi sobie jak może, i przecież nic ta potwornego o niej po wsi nie chodzi.

— Nie brońcie jej też, nie brońcie, a ja Jankowi wszystko o niej opowiem, i jeszcze więcej, niech wie co to za ptaszek.

— Moja sąsiado, chyba że Kacprowa weszła wam czem w drogę, kiedy tak na nią bijecie, bo w mówieniu waszem więcej przytyczków jak prawdziwości.

— Nie obstawajcie po próżnicy za Kacprową, bo to nic nie da. Oj! kobieta to kobieta, a plotkarka, a obmównica, a bajbuga! Przecieć jak mój szedł do mnie w zaloty, to jak z zazdrości zaczęła na mnie wydziwiać przed nim niestworzone rzeczy, tak ino cośmy się z sobą nie rozeszli; i gdyby nie brat Józek, co powiedział memu wtedy, że mu łeb rozwali, jeżeli się zemną nie ożeni, tak by było po kochaniu między nami.

— Oj! takie ta rzeczy będziecie jej pamiętać?

— Moja sąsiado, *dobre długo się pamięta, a złe jeszcze dłużej.*

— Tak to prawda, ale mówią także ludzie, że *kto na ciebie kamieniem, to ty na niego chlebem.*

— To tak mówią, ale tak nie robią, bo chcąc za złe płacić dobrem, to trzeba być nie człowiekiem, ale świętym.

— Nie sąsiadeczko, nie świętym, tylko chrześcijaninem i religiantem, takim jakim być nauczył Chrystus Pan w Ewangielji Świętej. Bo nie modlenie i posty robią człeka chrześcijaninem, ale uczynki chrześcijańskie. Wy modlicie się, pościcie, odmawiacie pacierze, ale wszystko to nic nie znaczy, kiedy tak małej rzeczy Kacprowej nie możecie zapomnieć. Kochanie, to chrześcijaństwo, ale nie zawziętość.

(Km.)

Zdania i przypowieści.

Niejeden w swej starości obumiera z głodu,
Że się nie chciał ni uczyć, ni pracować z młodu.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. Nr. 7.

1. Marca. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ukarana chciwość.

Było to w lecie, a późnym już wieczorem. Wedle cerkwi siedział sobie dziad biedaczek i szeptał pacierze na koronce. Torba na chleb, dobrze już stara i wytarta wisiała u boku, przerzucona przez ramię, a na ziemi leżał kostur dziadowski i dziurawy kapelusz słomiany.

Przeszeptał dziadek swoje pacierze, a potem spojrzał po czystem niebie, po gwiazdach i jasnym miesiączku, a różne myśli chodziły mu w głowie:

— Hej, hej — dumał sobie dziadowina — żeby to z tych gwiazd wszystkich zrobiły się bite talarki, a wpadły mi tu do torby, to bym ja nie siedział pod kościołem, anibym nie chodził w łachmanach. Miły mój Boże, mieszkałbym sobie w pałacu, a ludziom bym dobrze czynił, a już ani grosza bym nie wziął od nikogo, jeno bym sam rozdawał wszystkim.

Spojrzał tu dziadek po chałupach, i spojrzał na dwór pański a dumał sobie dalej:

— Przecież to niesprawiedliwie dzieje się na tym świecie. A toć tam we dworze mieszka sobie pan bogaty, różne ma wygody i dostatki, ledwie że się we winie nie kąpie a na srebrnych misach jada: a ja biedny dziadowina gryzę chleb suchy z torby, i muszę mieć dosyć tego co ludzie rzucą z litości. A tu znowu Sołtys, miły Boże! rozparł się jak kokosz na grzędzie, i ma wołki po oborach, koniki po stajniach, miód w pasiece a zboże w śpichlerzu, i żyje sobie jak u Boga za piecem. A przecież pan Sołtys nie najadł się jeszcze temi bogactwami, a pienia ludzi i chciwy jest na cudze, żeby zgoła i z garła wydarł sąsiadowi.

— O świecie, o ludzie niesprawiedliwi, a kiedyż się opamiętacie! — wołał dziadowina. — A toć miły Boże, żebyś mnie dał jeno tyle coś dał Sołtysowi, tobym już siedział spokojnie, i chwalił Cię w pokorze, a ludziom czyniłbym wygodę z miłości chrześcijańskiej.

Tak sobie duma biedny dziadek, aż tu zda mu się w bok spojrzyć i aż struchlał od strachu, a ręką zrobił krzyż święty. Z za cerkwi wyszedł jakiś starowina, bielutki jak gołąbek, i w bielutkiej jak śnieg przyodziewie, a idzie prosto ku biednemu dziadowinie. Chciał zrazu porwać się dziad i uciekać, aleć onemu staruszkowi patrzało z oczów tak jakoś słodko i wielmożnie, że dziad został na miejscu.

Zbliży się wreszcie ów starowina i rzecze:

— Słyszałem dziadku, jak tu dumasz nad twoją niedolą, a wiem żeś człek poczciwy i chciałbym ci pomódz.

— O mój złoty, o mój srebrny tateńku — zawoła dziadowina — a pomóżcież, pomóżcie!

— Więc zdejmże twój worek — rzecze biały staruszek — a nasypię ci dukatów do niego.

Dziadowi zaświeciły się oczy z radości; zdarł worek ze siebie i rozwiązał go, a nadstawił drżącemi rękami.

— Jeno pamiętaj sobie — ozwał się znowu staruszek — że tylko to twoje co wpadnie do worka; a to co wyleci na ziemię zmieni się zaraz w marny proch, z którego wszystko powstało.

Dziadowi zaczęły się ręce trząść jeszcze mocniej.

— Oj, będę uważał mój tateńku — prawi, a spojrzy świecącemi oczami zkąd tu ma lecieć owe złoto.

A w tejże chwili nachylił się biały starowina, i zaczął trząść swojemi rękami, a oto dziwo wielkie, z próżnych rąk zaczęły lecieć dukaty, żółte i błyszczące, a het bez końca.

Worek był już blisko do połowy nasypany, więc staruszek rzecze:

— Mój dziadku, może dosyć? Macie już więcej bogactwa niż Sołtys; a worek stary i przetarty to gotów pęknąć pod większym ciężarem.

— Oj mój tateńku, dosypciesz jeszcze trochę, boć tego nie wiele — prosi dziadek a spojrzy litościwie na staruszka.

Więc starowina trzęsie znowu rękami, a tu dukaty sypią się, i sypią, i worek już blisko pełny. Więc przestał sypać staruszek a znowu rzecze:

— Spojrzyjcie no dziadku, bo mi się widzi worek nie wytrzyma. Macie już więcej bogactwa jak sam pan we dworze.

— Oj mój staruszku — woła dziad — ta dorzućcie tę odrobinkę do pełna!

— Ej dziadku, dziadku, przypatrzcie się że złoto już świeci przez worek, a mało co go nie oberwie; będziecie mieć dosyć. Bo jak się też przedrze to nic ze wszystkiego.

— Mój tateńku — woła dziad — jeszcze aby kilka, aby troszkę pełniej!

Więc biały staruszek machnął jeszcze ręką, i zleciała jeszcze kupka dukatów, ale też naraz chrast! przerwał się worek i złoto sypie się na ziemię. Przeląkł się dziadowina; jedną ręką worek podtrzymuje, a drugą chce zbierać ze ziemi dukaty, aleć owe rozwiały się w proch szczery. Więc chce sięgnąć do worka, a tu właśnie reszta wysunęła się z onego, i już nic nie ma ani na ziemi, ani we worku. Chwycił się dziad za głowę i spojrzał przed siebie, aleć staruszka już nie było, jeno głos ozwał się jakby z góry:

— Tak to wszystkim bywa co są łakomi i chciwi! Chciwość prowadzi do grzechu i do zbrodni, a pan Bóg ją srogo karze i tu i na tamtym świecie. Najmądrzejszy i najceno-

tliwszy ten, co przestaje na swojem, a nie żąda skarbów i nie zazdrości drugiemu, jeno potrafi być szczęśliwym i przy suchem chlebie, bo takiego jest królestwo niebieskie. Strzeżcie się chciwości i łakomstwa, bo one zatracą duszę i poprowadzą ją na potępienie wieczne!

Ukląkł dziad i słuchał tych słów pokornie, a potem usiadł przed kościołem i odmawiał pacierze, i był już dziadem do końca żywota.

Spiewka o pracowitym Franku.

Franek chłop nad chłopy, gospodarz nie lada,
Za pół nie obstoi, a za pięciu jada;
Wyjdzie z pługiem w pole, pożal-że się Boże,
Inni siać skończyli, a nasz Franek orze.

Hej święta Zofija
Kłosy już rozwija,
A nasz Franek śpiewa
I rolę obsiewa;
Hej o świętym Wicie
Już pół ziarnka w życie,
A na Franka roli
Puszcza się powoli.

Przyszedł czas do żniwa, sąsiad zbiera z pola,
A u Franka żytkiem zieleni się rola;
Franek butny chodzi, pychą ludzi bodzie,
Bo żytko mu rośnie jak włosy na brodzie.

Hej od świętej Hanki
Chłodne już poranki,
A Frankowe żytko
Skurczyło się wszytko;
Przyszedł święty Idzi,
W polu nic nie widzi,
Jeno coś nie zdrowe
Żytko Franciszkowe.

Franku nieboraczku, co ci się to stało,
Teraz nic już nie masz, dawniej-ś miał choć mało;
Żona lamentuje, rzuca się jak żmija,
Franek dzieci tłucze, a babę omija.

Przyszedł święty Jędrzej,
Nauczył go mędrzej:
Franek w dworze młóci,
Aż się cały poci.
A w święto Barbarki
Zdjął sanice z górki,
I ze dworu drogą
Jedzie z zapomogą.

Grześ z Mogiły.

POGADANKA STAREGO ROLNIKA.

Nie wiem, czy sobie przypominacie wieś Marusice i w niej poczciwego i mądrego Jana Goździaka, co to do niego schodzili się różni ze wsi ludzie, jak Józef Bąbała, Wojciech Gajda, Franek Guz i inni gospodarze? Otóż w jedno święto po obiedzie, i jak już słonko przestało dopiekać, Janek wyszedłszy w pole, żeby obejrzeć żyto, co było już na dojrzewaniu i jeszcze zieleniejącą pszenicę, spotkał się ze znajomymi gospodarzami, co równie po tym samym wyszli interesie. Każdy ochotnie przyglądał się swej pracy; ale chociaż urodzaju Pan Bóg nie poskąpił, toć przecie najpiękniej wyglądał połanek Jankowej oziminy, tak, że przy przejeździe drogą każdemu najpierwiej wpadał w oczy. Gajda tylko wzdychał i skrobał się w głowę, a Bąbała oblizywał usta, jakby co smakował i podnosił w górę ramiona, co zobaczywszy, Janek rzekł:

— Bóg, moi sąsiedzi! jakoś pięknie w polu znaczy, ale największa piękność to jest czyste, spokojne sumienie, kiedy człowiek żadnej krzywdy, żadnej łzy ludzkiej, ani przekleństwa na sobie nie dźwiga. Ale ludzie choć się temu nie sprzeciwiają, równie jednak nie tak starają się o czyste sumienie, jak wypada i przynależy. Każdy goni jeno za zyskiem, za zarob-

kiem, a nie baczy, że Bóg miłosierny, nasz Stworzyciel wielki i niepojęty patrzy na nasze sprawy, i prędzej czy później wytknie wszystkie błędy.

— Oj! prawda mój sąsiedzie, prawda — potwierdzili obadwa, a Gajda dodał: — ale patrzcieno mój kumie, jak to pszeniczka równo kwitnie, że aż się serce śmieje z uciechy, iż praca nasza na marność nie poszła.

— A jak to u każdego ziarnka — odezwał się Bąbała — wisi kwiatuszek, niby cieniutkie nitki jedwabiu. Mój Boże, że to tak Bóg na świecie nic w jednej mierze nie utrzymuje, jeno wszystko przeinacza, że ta w niczem jedno do drugiego niepodobne. Ot na ten przykład człowiek jak posieje, to najprzód ziarnko kiełkuje, potem zamurawia się niby trawa na łące, potem idzie w kolanko, potem kłosuje, nareszcie kwitnie, dojrzewa, i żeby człowiek nie zebrał tego z pola do stodoły, toby ziarno opadło i wszystko poszło na marność.

— Oj! dziwniście — odezwał się Gajda — dziwicie się tak temu, jakbyście nie wiedzieli, że wszystko rośnie na świecie. Przecieć i człowiek przychodzi na świat maluśkiem dzieckiem, a potem jak się zapędzi w lata, to wychodzi na dziada, jak nieprzymierzając my jesteśmy.

— To się wie — odrzekł na to Bąbała — ale człowiek pożywia się nieladajako i tem i owem, ale takie zboże, co nie ma ani gęby, ani zębów do zgryzienia...

— Oj! wybyście radzi — przerwał Gajda — żeby zboże co rośnie, tak jadło ziemniaki, barszcz, albo sztukę mięsa, jak wy jecie. Ono inny bierze pożywioł...

— Ba! jużcić ja wiem mój Wojciechu, że bierze pożywioł ale jak go bierze i z czego?

— Jużcić z ziemi — odrzekł Gajda — ale jak go bierze, to jeno jeden Bóg wie Wszechmogący.

— Dobrzeście powiedzieli — odezwał się na to Janek Goździak — że jeden Bóg wie to najlepiej; ale widzicie moi sąsiedzi, Bóg dał ludziom rozum, i dlatego jak ludzie zaczęli dochodzić wszystkiego i patrzeć na wszystko i podglądać, to doszli wiele rzeczy: jak ze lnu zielonego zrobić koszulę, z rudy żelaznej wytopić żelazo, a potem zrobić z tego lemiesz, nóż,

kosę, albo kozik i jeszcze innych wiele rzeczy. Otóż w gospodarstwie jak ludzie zaczęli dochodzić, tak co jeno mogli, tak już podochodzili i to pospisywali w różne książki. Że zaś moi sąsiedzi wiecie, iż umiem dobrze czytać i pisać, i że uczyłem się jak gospodarować, to wam opowiem o roślinach, jak się żywią, jak pokarm idzie dla nich z ziemi i z powietrza.

— Z powietrza? — przerwał Gajda razem z Bąbałą z wielkiem zadziwieniem — co wy też mój Janie mówicie?

— Tak jest moi ludzie! z powietrza — odrzekł Jan — ale że o tem dłuższa troszkę rozgadka, żeby więc wam wszystko dobrze przełożyć, pójdziemy do domu i tam o tych rzeczach z sobą pomówimy, a przekonacie się, że to i ciekawe i nauczające i pożyteczne, bo wyłoży, jak co robić w gospodarstwie, i dla czego tak robić a nie inaczej.

Niedługo spora gromadka ludzi zebrała się w znanej nam chałupie Jana Goździaka, bo i inni gospodarze zobaczywszy go idącego z pola, poszli odwiedzić swego sąsiada, gdyż lubili pogawędzić z nim o tem i owem, bo zawsze im do głowy choć troszkę rozumu przybyło. Pogawędziwszy więc nieco o różnych frasunkach gospodarskich, wszyszcy uciszyli się i zwrócili oczy na starego Janka, a on się namyślał od czego ma zacząć, i po chwili milczenia tak też się odezwał:

— Wiecie moi ludzie, że zanim człek nauczy się dobrze chodzić za pługiem lub radłem, to wprzódy uczy się poganiać, potem przypatruje się, probuje, wprawia, aż wreszcie weźmie za czapigę i hala! w pole. Tak samo dzieje się i z uczeniem gospodarstwa: kto chce umieć chodzić wedle orki, mierzwienia, zasiewu i zbiórki żyta czy innej rośliny, to musi najprzód wiedzieć jak się to żywi i jak to rośnie, żeby temu umieć dogodzić. Otóż więc będę wam mówił o roślinach, co całą ziemię przykrywają, jakby najpiękniejszym przyodziewkiem, a przytem dają człowiekowi wszystko, co do jego życia i wygody potrzebne.

Przy tych słowach Janek umilkł i wszyscy się bliżej niego przysunęli. Bąbała przechylił głowę i otworzył tak szeroko u-

sta, żeby mógł wlecieć w nie cały gołąb. Po chwili Janek zaczął mówić:

— Moi sąsiedzi, kiedy weźmiecie garść siana albo zboża i spalicie, to wiecie dobrze, że z tego zostaje bardzo mała garstka popiołu.

— A jużcić prawda, prawda — potwierdzili wszyscy dokoła, a Janek mówił dalej:

— Żeby popiol ten przyszło zważyć, tobyście się łatwo przekonali, że ze snopka zboża, co na ten przykład ważył dwadzieścia funtów, to popiołu podobno i funta nie będzie. Gdzież się więc reszta podziała? Bóg bowiem raz tylko stworzył świat i wszystko co na nim widzimy, więc nic nigdzie zginąć nie może.

— Gdzie się podziała reszta? — odezwał się Franek Guz — jużcić ogień ją strawił.

— To się wie mój Franku — odrzekł Janek — ale równie musiało się gdzieś podziać. Bo na ten przykład, człowiek jak siedzi nad miską barszczu i zajada, to choć potem na misce nic nie zostanie, równie wiemy, że barszcz z niej nie zginął, jeno że go człowiek potroszku, po łyżce wlał do brzucha i tam teraz siedzi. Tak samo dzieje się z ogniem: choć on snopek zboża strawił jak powiadacie, równie jednak nie połknął go, jeno jedną część z niego zostawił w popiele, a reszta poszła w powietrze, albo jak my mówimy, że poszła z dymem. Otóż z tego ludzie się przekonali, że w każdej rzeczy przez Boga stworzonej, czy to w człowieku czy w zwierzęciu, czy w roślinie, zbożu albo trawie, znajdują się dwie rzeczy: jedna ta, co zostaje popiołem, a druga, co uchodzi z dymem w powietrze. Popiołu, jak już o tem mówiliśmy, daleko znajduje się mniej, bo na stu funtach jakiej spalenizny, czasem będzie dwa, albo nieco więcej popiołu; zaś wszystko idzie z dymem w powietrze, i tej części jak widzimy znacznie jest więcej.

— Dobrze to wszystko mój sąsiedzie — odezwał się na to Gajda — ale zawdy co idzie z dymem w powietrze, to jużcić ginie, bo człek tego potem ani dojrzeć, ani uchwycić w garść nie może.

— Nie ginie mój sąsiedzie, odrzekł na to Goździak — bo

na świecie co jeno Bóg stworzył, nic nie ginie, tylko się przeinacza to w to, to w owo, i raz człowiek widzi to oczami, dotyka się, drugi raz całkiem nie widzi, jeno czuje nosem, albo wreszcie ani widzi ani czuje. Ot na ten przykład, kiedy bryłkę soli w barszcz wrzucicie, albo w inne jakie gotowanie, toć że ona się potem rozpuści, nie powiecie, że zginęła, jeno że się rozpłynęła w wodzie i zawdy potem językiem poczujecie, że ona tam jest w każdej choćby najmniejszej kropelce. Tak samo się dzieje i z tem, co z palącej się jakiej rośliny idzie z dymem w powietrze; więc to nie ginie, jeno rozpływa się...

— Jużcić tak być musi, skoro tak mówicie — przerwał Bąbała — ale równie nie może mi się pomieścić w głowie, jakim sposobem to rozpływa się w powietrzu, kiedy tego ani oczami, ani smakiem nie poczuje, chociaż tyle dzień w dzień ludzie drzewa i różnych rzeczy spalą?

— A jak się sól rozpuści w wodzie, czy ją widzicie? — zapytał Janek.

— Ba! jużcić nie widzę; woda na oko zawdy jedna pozostaje, ale w smaku pomiarkuję, czy osolona, czy bez soli. Wreszcie mój Janie, co woda, to nie powietrze; bo wodę jużcić widzę, że jest, naleję ją do garnka, a powietrze to jest nic, to jakże ma się w niem co rozpuścić?

— Źle mówicie mój sąsiedzie — odezwał się na to Goździak — że powietrze jest niczem, bo właśnie jest tak jak woda jeno delikatniejsze i lżejsze od niej. Bo weźcie na ten przykład butelkę i prędko zanurzajcie ją w wodzie, to widzicie, że woda jeno bulbocze, co tak wlatuje do niej, a na wierzch wody wydobywają się bańki. Bańki te, to widzicie powietrze, co go woda wypycha z butelki: więc to pokazuje, że powietrze nie jest niczem, jeno właśnie jest czemsić takiem jak woda albo co innego; bo żeby w butelce nie było powietrza, toby się woda do niej wlała bez żadnego bulbotania. Że zaś z butelki ucieka jak woda wpada i w wodzie idzie pod górę, aż do samego wierzchu, to dla tego moi sąsiedzi, że powietrze jest lżejsze od wody; ot jak na ten przykład jaka tłustość, co choć ją wlejesz dowody, i pomięszasz choćby nie wiem jak, a zawdy

potem cała pójdzie do góry i uszykuje się na wierzchu wody.

— A jużcić prawda, jużcić prawda — potwierdzili wszyscy ale ktoby tam mógł pomiarkować, żeby powietrze było tak na świecie, jak nieprzymierzając woda, zboże, kamień...

— Tak samo moi sąsiedzi — przerwał Janek — tak samo, tylko z tą różnicą, że jest bardzo delikatne, przeźroczyste, lekkie i bezfarbne, więc w oczy nam tak nie wpada, jak kamień, drzewo, albo woda. Że jednak jest, to się możecie przekonać każdej chwili. I tak: zatrzymajcie w sobie dech, to się zaraz zaczniecie dusić, czyli jak głodny, łaknąć odetchnienia. Żeby więc powietrze było niczem, toby człowiek nie potrzebował oddychać, a że oddycha i widocznie coś wciąga w siebie, więc musi być czemsić. Zacznijcie znowu rękoma albo płachtą machać, to prawda, co się to wiatru narobi? Otóż widzicie wtedy z powietrzem dzieje się jak z wodą, którąbyście skotłosili w jakiem naczyniu; więc powietrze nie może być niczem, skoro raz jest spokojne, to znowu porusza się zwolna, albo znowu świszczy, zdziera strzechy, przewraca domy, wyrywa drzewa, kiedy ludzie mówią, że wielka burza na świecie. Z tego więc wszystkiego możecie się moi ludzie przekonać, że powietrze jest to taka rzecz jak każda inna, i że z każdej rośliny, lub innej jakiej spalonej rzeczy w popiele zostaje się na sto funtów czasem ino 2 do 3 funtów popiołu, a najwięcej 10 funtów, a reszta wszystko idzie z dymem w powietrze. Owóż to tym powietrzem żywią się rośliny, i do wdychania mają liście, a w liściach takie maleńkie dziureczki, co i zobaczyć trudno, chyba przez bardzo dobre okulary. A toć tak dla rośliny trzeba tego powietrza, tak jak równie i dla każdego człeka, bo i roślina przecie rośnie, rozwija kwiatek i rodzi owoce, zgoła żyje, jeno tyle co się ruszać nie może bo ma korzeń; a tym to korzeniem bierze pożywienie z ziemi, co jest rozpuszczone we wodzie, i idzie rurkami, het po całej łodydze. Więc też można by przyrównać że roślina ma liście tak jak my nos i gębę do oddychania powietrzem, a zaś korzenie i łodygę tak jak my gardło do połykania.

A teraz wybaczcie mojej szczerości — dodał Goździak—że wam powiem, iż jakem wracał z kościoła, to ekonom trzymał

płachtę z chwastem, a w niej pół na pół było zielonego jęczmienia, co go jakaś kobieta narwała, i jak zobaczyła ekonoma, tak płachtę porzuciła, a sama uciekła.

— A która to taka? — zapytano dokoła, bo nie nasza, bo my wiemy, że co szkoda to grzech.

— Ja wiem moi sąsiedzi — odrzekł Janek — że to nie z waszych domów taka szkodnica wychodzi, bo wy macie sumienie i religią, i wiecie, że krzywda zawdy jest krzywdą, czy chłopu czy dworowi, i zawdy ją Pan Bóg skarze. Ale równie miejcie na oku innych, przestrzegajcie ich, żeby dwór widział w nas życzliwych dla siebie, żeby nas przez to kochał. Oj! bo bez dworu, co w nim przestrzegają życzliwości i poczciwości dla ludowiny, toby strasznie dla chłopa było nijak, bo gdzieby się obrócił chłop wtedy, żeby mu poradzono, poratowano?

— Oj! prawda, oj prawda — potwierdzili inni gospodarze a Guz dodał:

— Mój Janie, nie wiecie czy bestyję złapali? Bo żeby wiedzieć która to taka, to jej dwadzieścia dać batów, a swoją znowu drogą gospodarzowi trzydzieści. Przez jednę bowiem niepoczciwą, to my wszyscy chodzimy w posądzeniu, i już dobrego oka dla siebie nie mamy. Cóż to, czy my nie gospodarze, czy my nie wiemy, że to grzech nawet ręką robić szkodę?

— Prawda, prawda — potwierdzili wszyscy i dodali — oj! żeby tę bestyję złapać, tobyśmy się z nią dopiero ucieszyli.

Bąbała tylko jeden, na te rozprawy mało dawał znaczenia. Idąc za drugimi wolną drogą, to machał ręką, to znowu zatykał nos i usta, i potem rozczerwieniony chwytał ustami powietrze, albo wreszcie wciągał w siebie i potem smakował, jakby coś miał w ustach.

— Cóż sąsiedzie Bąbało — zapytał Gajda przysuwając się do niego i przypatrzywszy się dobrze różnym jego sztuczkom — probójecie, czy Jan wszystko nam mówił z prawdziwością?

— A jużcić mój Wojciechu — odrzekł Bąbała — ani słowa; z machania robi się wiatr; jak przyduszę gardziela, to zdaje się, co mnie krew zaleje; ale co do smaku, smakuję w

powietrzu i smakuję, i zawdy jedno i jużcić. To jeno to jedno, co Janek jakoś dobrze nie zgadł.

— Cóż wybyście chcieli, żeby było w powietrzu? Żeby powietrze było tak, jak barszcz ze szperką, albo ziemniaki?

— Ej! nie! równie przecie, żeby jaki taki smak miało — odrzekł Bąbała, a Gajda uśmiechnął się i szepnął półgłosem:

— Oj! głupich się wam rzeczy widzę nie chce; ale wielka to łaska Pana Boga, że powietrze nie ma żadnego smaku, bo w łykaniu wybyście nie przestawali, i póty byście łykali, że z pewnikiem namby zabrakło powietrza.

Wszyscy się na te słowa uśmiechnęli, nawet i Bąbała bez gniewu pogroził palcem, przykulił ramion, i każdy udał się do swej chałupy.

Czyt. N.

PIĘKNE PRZYKŁADY.

Kmieć Golik.

Dużo było biedy i narzekania, skoro nam Moskale rozbili naszą Polskę, i sami się w niej rozgościli. Niejeden tam bronił z całej siły, jak tylko potrafił, aleć wszystko to już było za późno i na nic się nie przydało. Kto się tylko opierał, a nie chciał uznać Moskali za panów, tak też go zaraz albo zabijali, albo wysełali na Sybir, gdzie wieczny śnieg, wieczny mróz, głód i straszna nędza.

Był też we wsi *Górze* za Wisłą niejaki pan Ignacy Dembiński, a ten siadywał we warszawskim sejmie, i razem z innymi rajcami Moskalom się sprzeciwiał, a obstawał za wolnością dla wszystkich. Więc też skoro Moskale bardzo nas przysiedli, a już sobie na piękne w naszej Polsce rządzić zaczęli, tak wysłali kozaków do Góry, a kazali złapać pana Dembińskiego, i pognać go prosto na Sybir. Aleć dowiedział się o tem zawczasu pan Dembiński, zabrał żonę i dzieci i co mógł na prędce; resztę zostawił na łaskę bożą, a sam przeprawił się przez Wisłę i

stanął w Galicji, bo tu już Moskalom nie wolno było chodzić.

Sądny to dzień był skoro kozacy napadli na Górę. Sadzą prosto do dworu, a tu pustki we dworze. Wtedy wściekłość ich porwała, że im umknął pan Dembiński, podłożyli ogień, i puścili z dymem wszystkie budynki dworskie, a nawet cębrzynę w studni co była w dziedzińcu od dołu spalili i potem ziemią zasypali. Po takiem więc spustoszeniu obrócili się i poskoczyli czemprędzej do plebanji. Żal ściska człowieka za serce powtórzyć te straszne rzeczy. Kozacy wyciągnęli księdza proboszcza Borzęckiego i zbili go nahajkami, nie dbając na jego stan duchowny, a wreszcie zrabowali i spalili kościoł. Aleć nie dosyć im było tego, taka ich wściekłość opanowała, że im się wymknął pan Dembiński. Popełniwszy już tyle bezprawia i świętokradzkich zbrodni, dopuścili się jeszcze najgorszej, bo chcieli jak szatani kusiciele uwieść i do złego namówić całą gromadę.

Owóż przywódzca kozaków, zwołał wszystkich gospodarzy Góry, i w te się do nich odezwie słowa:

— Wasz pan jest buntownik i rebelant; sprzeciwiał się nam prawornym Moskalom, dlatego chcieliśmy go złapać i zawieźć na Sybir, ale szelma wymknął się z rąk naszych. No, i tak nie ujdzie on swojej kary, ale dla was chamy wielkie się tu patrzy szczęście. Pozwalam wam, ażebyście się podzielili gruntami pańskiemi i pasieką! Rozumiesz jeden z drugim? — dodał kozak i wywinął nahajką.

Gromada pochyliła głowy od samego strachu, a przywódca obrócił konia i poleciał z kozakami jak na złamanie karku.

Skoro już kozaków nie było widać, jęli się ludzie oglądać, a tu pola żółcą się ślicznym żytkiem, i przeniczka zarasta gęsto żeby się i wąż nie prześliznął, a w pasiece uli że ledwo zliczyć można. Więc niejednemu zaiskrzyły się oczy, a ktoś z gromady odezwie się:

— Dobrze mówił kozak, nie zawadzi podzielić się gruntami.

— O, ta przecie marnie tego nie zostawimy — ozwie się drugi — a toć panu i tak nic z tego kiedy go tu nie ma.

Wystąpił na takie gadanie, Golik, kmieć zamożny, spojrzał i zarumienił się od gniewu, a potem tak rzecze do gromady:

— Nie macie chyba Boga w sercu moi kumowie i sąsiedzi, a sam czart wam kładzie do ust takie słowa, z jakiemiście się właśnie odezwali. A toć kiedy pana nie ma między nami to wam się zdaje, że możecie na gadanie lada kozaka heretyka, podzielić się dobytkiem pańskiem, tak jak owi zbójcy pod krzyżem płaszczem Chrystusa pana? O moi sąsiedzi, lepsze ja miał rozumienie o was! Nie wiedziałem że tak mało miłości bliźniego jest w waszych piersiach. Wam się zdaje, że kiedy pan odjechał to mu już nic nie brakuje? A on tam może nie ma co jeść dać swoim dzieciom, a musiał odbiegnąć zboża na pniu i miodu w ulach przed moskiewską nienawiścią, jeno dlatego że obstawał za nami a sprzeciwia się, coby nas Moskale nie ciemiężyli! Oj, ludzie, ludzie, sama myśl o takiej zbrodni to już jest grzechem u Boga.

Szmer się rozeszedł po gromadzie, a niejeden ocierał oczy końcem sukmany, i już po tej przemowie nie było ani jednego, coby chciał dzielić się dobrem pańskiem. I owszem, na przedstawienie Golika wzięli się wszyscy do zebrania pańskiego ziarna, a sumiennie i uczciwie przechowali go między sobą, dopóki pan z Galicji się nie upomniał o ten swój dobytek.

Z wdzięczności zaś dla samego Golika, co potrafił odwieść ludzi od złego, darował mu pan Dembiński spory łan gruntu na wieczne czasy, a choć to temu z górą lat sześćdziesiąt i ośm, to Golikowie zawsze ten grunt we wsi Górze posiadają, i są zamożni i uczciwi.

Syn tego pana Dembińskiego był potem wielkim jenerałem, i nieraz bił się z Moskalami i przelewał krew swoją za naszą ziemię. To też każdy Polak pamięta sobie na jenerała Henryka Dembińskiego, co żyje teraz w cudzym kraju; a choć i on się już dobrze postarzał, to przecie nie zapomniał na poczciwą rodzinę Golików, i na onego ich przodka, co ojca jego dobytek przed chciwością ludzką uratował.

Grześ z Mogiły.

RÓŻNOŚCI.

Królewski trefniś. Jak *Stańczyk* na dworze króla *Zygmunta*, tak też i przy królu Janie Sobieskim był dowcipniś czyli *trefniś*, co rozweselał wszystkich swojemi dowcipami, a zwał się *Winnicki.*

Trafiło się raz, że szedł do króla jakiś nieznany na dworze pan, bogato i suto ubrany. A że to był pan wielki i nie lada komu z drogi ustępował, więc głowę zadarł do góry i tak szedł w królewskie komnaty.

W samych drzwiach potrącił o natręta Winnickiego, więc przystanie i spojrzy nań groźnie.

— Kto waść jesteś pyta urażony.

— Krawiec nadworny — odrzeknie trefniś.

— Więc szyjesz szaty królowi Jegomości?

— Nie — prawi Winnicki — ja umię tylko przypiąć łatkę jak komu potrzeba.

— Ty jak widzę żartujesz? zawoła pan rozgniewany.

— Nie — prawi Winnicki — jestem krawcem, a umię także i kurtę skroić, jak komu potrzeba.

— Ty sobie za dużo pozwalasz! — zawołał pan zaczerwieniony od złości.

— Nie, bo mnie i królowi to wszystko, wolno! Jestem Winnicki, trefniś króla Jegomości.

Po tych słowach zadarł głowę do góry nadworny blazen, obrócił się poważnie i wyszedł z komnaty.

Kto nie ma chęci, ten wie jak wykręci. — Mój kumie, pożyczcie mi też dwa cwancygiery, bo mi potrzebne na wykupienie płótna od tkacza.

— Dajcie mi pokój, a zkąd się u mnie spodziewacie pieniędzy?

— Mój kumeczku złoty, oddam wam jak tylko odbiorę kwartalne zasługi, mój kumeczku.

— Kiedy nie mam powiadam wam.

— Ale macie, macie, boście wczoraj przedali wieprzka na jarmarku.

— Choć mam to nie pożyczę.

— A i dlaczegoż tacyście zawzięci i nieużyci?

— Bo was kocham mój kumie.

— I z kochania nie chcecie mnie poratować?

— Z kochania; bo przecie powiadają: *chcesz przyjaciela stracić pieniędzy mu pożycz.*

— Tak, ale ludzie także mówią, że *kto chce psa uderzyć to kija znajdzie.* Wy chcieliście się od pożyczki wykręcić, a i wykręciliście się gadką ludzką.

Jakto bywa gdzie indziej. Z za morza z *Anglii* piszą, że tam wieśniacy, rzemieślnicy i wszelkiego rodzaju wyrobnicy, każde Święto po nabożeństwie zwykle przepędzają na czytaniu różnych pism jak *Dzwonek* i innych pożytecznych książek. Z dzieci zaś ich, każde chodzi do szkółki, i różnych nauk nabywa, a przytem w domu rodzicom pomaga w pracy. Skutkiem tego ludzie tam coraz stają się lepsi

i moralniejsi, czego najlepszym dowodem jest to, że z każdym rokiem spraw różnych kryminalnych, jak: o złodziejstwo, rabunek, oszustwo, i innych podobnych niegodziwości, co raz mniej bywa tak dalece, że spodziewają się, iż po pewnym czasie sądy kryminalne i więzienia zostaną zniesione, bo nie będzie ich dla kogo utrzymywać, tembardziej, że już dziś urzędnicy sądowi nie wiele mają co robić, a więzienia i w połowie nie są więźniami zajęte.

U nas inaczej, więzień nie kasuje się, ale liczbę ich prawie powiększać trzeba, a pójść do tych co są, to więźniowie roją się jak pszczoły w ulu. Czytajcie więc i uczcie się, nauczajcie dziatki wasze, a i wy doczekacie się z nich pociechy, ludzie wygody, a Bóg im i wam błogosławić będzie.

Zdania.

Dla tego żyją drudzy, kto dla drugich żyje,
Bo jak mówi przysłowie: ręka rękę myje.

Dziś tak, jutro inaczej; dlatego rozumny
W nieszczęściu nie rozpacza, w szczęściu nie jest dumny.

Dziś pracuj, dziś czyń dobrze; jutro dzień niepewny,
Nie zbierze plonu z roli, kto siał w czas niesiewny.

Czyń dobrym i złym dobrze; mając to na względzie,
Że ci pierwszych *przybędzie* a drugich *ubędzie*.

Praca skarb najpewniejszy; o nim miej staranie,
A będziesz miał chleb w życiu, i jeszcze zostanie.

Nie sądźcie o człowieku z pozornej postawy:
Często karzeł z postaci, olbrzymem ze sławy.

Bóg zawsze cię pocieszy, albo serca doda;
Do niego wznoś więc serce, gdy przyjdzie przygoda.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. Nr. 8.

11. Marca. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Złote i czarne kłosy.

W jednej wsi żyło dwoje rodzeństwa: brat i siostra. Siostra starsza i owdowiała, dobre kobiecisko, a brat młodszy nieożeniony, człek był tęgi ale twardego serca. Tak owóż było, skoro ich podstarzali ojcowie odumarli; więc zły brat chwycił się zaraz procesu z rodzoną siostrą, wdową, i kłamał po sądach, że ojciec jemu całą rolę zapisał, a jej tylko kilka zagonów.

Bogaty był brat, więc miał ludzi i niesprawiedliwego sędziego po sobie, bo jak to mówią: *kto smaruje ten jedzie.* A ona znów, biedaczka wdowa niezamożna, cóż miała nieboga poradzić, choć sprawa była po jej stronie? Jak stanęła przed sądem, to jeno płakała i płakała, bo ją straszny żal ściskał za serce, że jej brat taką krzywdę czyni. I choć się zaklinała, to ją źli świadkowie oskarzali i przegadali przed sądem.

Tak też stało się po niejakim czasie, że brat wygrał niesprawiedliwie. Sąd mu przyznał cały grunt, i biednej wdowie zostało tylko małych kilka zagonków.

Dręczyła się siostra nieboga swoją biedą, bo dzieciom nie

było co jeść dawać; chodziła gdzie mogła na zarobek, a nie przeklinała i nie pomstowała brata, ale wszystko ofiarowała panu Jezusowi. I zeszło tak lat kilka, a zły brat obsiewał wziąż całą rolę, a pił i hulał po karczmach, a wszystkim się chwalił że postawił na swojem. Ale pan Bóg co na wszystkich, a osobliwie też na wdowy i sieroty litościwem patrzy okiem, ulitował się i nad tą biedną niebogą.

Trafiło się, że jednej jesieni poszedł był zły brat do lasu, a tam się czy zaziębił czy oberwał, dość że zaniemógł okrutnie. Więc legł chory śmiertelnie. Znoszą różne leki, ale się mu nic nie użyywa, a sąsiedzi pomrukują że czas myśleć o księdzu. Aleć nim zdążyli jeszcze pójść po księdza, tak się onemu coś stało, że ani znaku życia nie dawał: niby nie konał, ani nie ziewnął, jeno leży wyciągnięty i zimny jak lód.

— Stało się — pomyśleli ludzie — umarł nieborak!

Aleć ktoś z boku rzekł, żeby mu lusterko przed ustami potrzymać, to będzie na niem para skoro jeszcze trochę dycha. Więc też biorą lusterko do ręki, patrzą, a tu para, oczywiście para, a więc ujrzeli że go jeszcze dusza nie odeszła; zaś ksiądz proboszcz powiedział, że to jest *letarg*, albo *przeumieranie*, i że pan Bóg da, to się z niego do doby ocuci.

Jak dobrodziej przyrzekł, tak się też i stało: dwie nocy i jeden dzień przeleżał przeumierający, a drugiego dnia się ocknął. A skoro tylko oczy otwarł, tak się opamiętał i prosił żeby po księdza posłali, bo ma wielką rzecz objawić dobrodziejowi i im wszystkim.

Przyszedł ksiądz proboszcz, a on zły brat wyspowiadał się pięknie, przyjął ciało i krew pańską, a potem pomodliwszy się gorąco tak jął prawić:

— Słuchajcie mnie moi gospodarze mili! Usprawiedliwiłem się za łaską Boga i oto dobrodzieja przed panem Jezusem, ale muszę jeszcze przed wami odkryć rzecz wielką, i wielką łaskę, jakiej mi pan Bóg użyczył, abyście sobie, i starsi i co tu są najmłodsi dobrze to pamiętali, i kiedy mnie już nie stanie, jeszcze to dzieciom swoim opowiadali.

Widzicie moi ludzie, kiedy mnie ten sen wziął to nie wiem, ale mi się zdało, żem się nagle ujrzał na tamtym świecie.

I szedłem sobie, szedłem het sam przez jakąś straszną puszczę, aż mi się już i cnęło, bo nigdzie ani jednej duszyczki. Wtem zda mi się spojrzeć, a tu przedemną na drodze siedzi bieluśki jak śnieg Aniołek, a skrzydełka tak mu się szklą, że aż patrzeć trudno. Tuż przy tym Aniołku, leżała po prawej stronie maluśka kupka kłosków złocistych, ale to takich ślicznych, co aż blask bił od nich; a po lewej stronie leżała wielka kupa kłosków, ale czarnych jak węgiel. Aniołek siedzi sobie i rachuje, i rachuje kłoski jedną rączką, a drugą co raz to łzy obciera. Więc ja widząc to, nie mogłem dłużej od ciekawości wytrzymać, i pytam się:

— Aniołku Boży, powiedz mi co to tu na drugim świecie znaczą te kłoski, i czego ty Aniele szczęśliwy płaczesz nad niemi?

Anioł nazwał mię po imieniu i rzecze:

— Widzisz człeku, ja jestem twoim Aniołem stróżem i płaczę nad tobą, bo cię widzę blisko zguby wieczystej. Oto te kłoski czarne co je rachuję, wiesz ty co znaczą? To są te wszystkie, któreś zbierał niesprawiedliwie z pola wydartego siostrze. Każden kłosek, to cały rok ciężkich twych mąk w czyscu; i otóż płaczę, bo się ich nawet dorachować nie mogę. A oto te drugie złote kłoski, to są twojej siostry ubogiej wdowy. Jej stróż-Anioł złożył tu tę małą garsteczkę, i niezadługo przyjdzie, a uwije z nich prześliczną koronę złocistą, i w niej zaprowadzi ją przed samego pana Jezusa do nieba.

Oh, jakem to od mojego Anioła-stróża usłyszał, to mnie szczery żal pochwycił, i gorące łzy puściły mi się z oczów. Zacząłem przestrasznie żałować tej swojej okrutności i łakomstwa, i pomyślałem sobie w duszy z wielką skruchą:

— O mój Panie Jezusie, żebym się też jeszcze na tamten świat choć na minutkę wrócił, to bym wiedział jak tę krzywdę naprawić.

A skorom sobie tak myślił, to mój Aniołek niby mnie skrzydłami owionął, i mnie się leciutko zrobiło, i otworzyłem oczy ze snu ciężkiego.

Więc teraz najprzód przed dobrodziejem, i przed wami przyznaję się do winy i żałuję, bom widział oto we śnie przez

Boga zesłanym, jak to na złe wychodzą niesprawiedliwe zbiory. Dzisiaj zaraz wracam mojej biednej siostrze wszystkie jej zagony com z nich dotąd zbierał; a wiele lat zbierałem z nich, przez tyle z moich własnych zagonów odsądzę jej, aby broń Boże i jeden kłosek niesprawiedliwy nie ciężył mi na tamtym swiecie. A zaś te łzy, co z mojej winy wylała, będę się starać całe życie nagrodzić dobrem sercem, jak mi Pan Jezus żyć pozwoli.

I dotrzymał przeumierający brat słowa, jak się patrzy: pogodził się pięknie ze siostrą, nagrodził jej wszelaką krzywdę, życie swoje poprawił; a odtąd o kilka mil w tej okolicy, nikt się nie prawował po niesłuszności, bo się jaki taki lękał owych czarnych kłosków.

O, bójmy się i my, i strzeżmy wyrządzania, choćby najmniejszej krzywdy bliźniemu, a szczególnie tych brzydkich prawowań, a które się często zdarzają nawet między rodziną, byle o zagonek, byle o skibę. Lepiej ustąpić swego, niż co masz grabić, a Anicłek zato nagromadzi nam złotych kłosów w niebie, jak to dla tej biednej wdowy uczynił.!

Ludka z Myślenic.

Co mówił Zrzęda.

Mieszkał Zrzęda za borem;
Raz tak prawił wieczorem:
— Moi mili włodarze,
Nieraz sobie ja marzę:
Gdyby u was ochota,
I chęć szczera i cnota,
Nie tak szła by robota.

Bo rozważcie no przecie:
Jakto dzisiaj na świecie?
Ucisk, zdzierstwo, mitręga
Powyż głowy już sięga;
Co zarobisz, nie twoje;
Dzieląc w dwoje, we troje,
Biorą, niszczą człowieka,
Że grosz grosza nie czeka,
Jeno leci jak zwiany
I gnie w obce gdzieś ściany.

Ale Bóg wam daj zdrowie,
Dobrze wam tak gazdowie!
Bo i z panem we dworze,
I z sąsiadem wy w sporze.
Zawsze wam się wydawa
Że swój na was nastawa,
Że pokrzywdzi, podkupi —
Tak zwykł myśleć człek głupi,
I brnie w błoto i grzeszy,
A czart i wróg się cieszy.

Ej gazdowie nie tędy!
Posłuchajcie-no Zrzędy:
Najpierw zgodź się z sąsiady,
Potem z braćmi z gromady,
Potem z panem, coć bratem
Tak przed Bogiem jak światem,

Potem wam się zgromadzić
I nad biedą poradzić,
Potem Bogu się skłonić
I precz licho nagonić.

Teraz Bóg wam daj zdrowie!
Idźcie w pole gazdowie.
Idzie wiosna; pług w dłonie!
Krajcie skiby w zagonie,
Potem siejcie i włóczcie,
A rozumu się uczcie.
Bóg wszechmocny nad nami!
Pójdziem kosić kosami,
Kosić trawę i licho.
Idźcie teraz spać cicho
Moi mili gazdowie,
Bóg daj rozum i zdrowie.

Jaśko Żuczek.

Jako i u nas też są złodzieje.

Opowiadanie Joachima Sobeckiego szewca z Wadowic.

Z jednego drzewa krzyż i łopata;
Przed krzyżem klękają, a łopatą gnój wyrzucają.

Marna dusza w marnem ciele
Nabroi wiele.
Kto ubogi a poczciwy
W tym mieszka Bóg żywy,
Ale zły ubogi
Djabłu na rogi.

Stare przysłowia.

Wicek. Żebyście wy wiedzieli ludzie co się to dzieje w mieście! A to przecie za głowę się brać, co tam ci żołnierze nie wyprawiają. Oj wesołyż to naród wesoły, aż ci się kręci w oczach kiedy się na nich patrzysz, i myślisz sobie: nie ma to jak żołnierski stan; jako to nic nie robisz, przez cały dzień ani za wołami nie zmarnujesz, ani cię od cepa kości nie zabolą, ani się spocisz przy zwózce, ani co. Siedzisz sobie na szlabanie w kordygardzie, fajeczkę sobie ćmisz i nogą sobie kiwasz, a jak ci jaki łyk miejski słowo powie, to złapiesz za co za to i wygrzmocisz skórę jako cesarski człowiek, i naferfluchtujesz się jeszcze i jesteś zdrów.

Na kwaterze też się nie zmocujesz, bo jak jeno po execerunku tak jeść, a zjadłszy to się przewrócisz do góry brzuchem oczy sobie zasłoniwszy, żeby ci słońce w nosie nie zakręciło, i spisz tak długo jak ci się spodoba. A jak się obu-

dzisz to pójdziesz sobie na psie figle i wszędy masz prym, bo ci się boją nieprzymierzając jak żaby, kiedy ona zajączyna nad wodę przyleci, i słuchy nastawi i wejrzy.

To jak ja sobie rozmyślam o tem, to widzę że mi się bardzo zdaje ten żołnierski obowiązek. Ojciec matka zawdy mi wróżyli że wyjdę na złodzieja, i zawdy mi gadali: nie chcesz słuchać ojca matki, będziesz słuchał psiej skóry. Otóż ja im pokażę co nieprawda, i zrobię się cesarskim żołnierzem i będę miał czako i niebieskie pluderki, i pałasz na białym pasie wykrydowanym, co aż strach! I jeszcze im dokażę więcej, że mnie się co lepszego godzi niżeli chłopskie kartofle i żur, co po nim kot przejdzie suchą nogą; ja im pokażę co dla mnie kura i gęś tak samo jak dla pana ze dworu, bo ciarach same tylko kurczętka żre i różne frykasy na maśle.

Bartek. Mądryś ty Wicku, mądry, ale co ja, to chyba mądrzejszy.

Wicek. Albo to prawda! A kiedyś mądrzejszy to powiedzże mi jakim sposobem?

Bartek. A to takim sposobem, co ja i do wojska nie pójdę i będę robił co mi się przyśni. Dzisiejszej nocy to mi się przyśniło, żeśmy Ciarahczyznę podpalili.. krzyk, a ja i Bartoch Zabijaka, i Stach Kuc i Jędruch Kozicki zaraz z cepami łup, cup, już go nie ma. Wyleciało dziecko a Kozicki krrra... i leży jeno co raz to nóżką fik, dwa, trzy razy. Ale z matką tośmy się nawodzili ode dworu do stawu, aż mi włosy do garści poprzylęgały, prawie ze krwią; okrutnie była mocna. Dopiero wtedy pij, jedz, co jeno żywnie chcesz, wódki baryłkę całąśmy wyciągnęli i potem jeszcze napsocili i poszli, bo już nie było nic tylko dym i smród ze spalonego zboża. To ja sobie tak myślę...

Wicek. Łepski z ciebie smyk Bartku, jeno widzisz co za taką sprawkę, tobyś się nauczył po powietrzu nogami przebierać. Jakby cię cyrkułowy złapał, to za samo gadanie jużby cię zapakowali w kozi róg i świata-byś nie zobaczył, a jakby ci codzień przynieśli *waserzupy*, co ja to wiem, bo jużem tak trzy dni odsiedział też za gadanie, tobyś się wszystkiego odprzysiągł. Bo to teraz inne czasy, nie tak jak dawniej; złodziej przywłoka pod-

mówi cię albo jaki zły, i ty myślisz że ci nic nie będzie, a temczasem halt, już cię mają. Dlatego ja myślę co lepiej być żołnierzem i regularnie sobie wszystko robić: zechce mi się czego, a to któż mi zabroni, a jeszcze na Węgierskiem albo w Majlandzie.

Bartek. No, to jest prawda, ale czego się ty na żołnierskim chlebie dorobisz? Na wojnie kulką złapiesz, nogę oderzną albo rękę, odrzucą jak flak, a nie, to wrócisz do chałupy na urlop i będziesz się na ojcowe patrzał. A toćże ja byłem na werbunku, słucham a sierzant wyśpiewuje:

Sem tem, rem tem basa maleńki,
Za grosz piwa za dwa paleńki.
Hulaj, prystaj do hułana!

i zaraz namawia żeby czapkę przymierzyć i zadatek w rękę wtyka, ale ja nie głupi i pytam się tego sierzanta: a cóż ja będę miał najlepszego w wojsku? A on powiada:

Będziesz patrzał na porucznika,
Będziesz patrzał na kapitana,
Będziesz patrzał na pułkownika,
Będziesz patrzał na jenerała,
Będziesz patrzał sem na samego tisara...

Tak ja jemu powiadam: to i cóż mi tam z tego przyjdzie! A on mnie hop, więc ja w nogi, jako ja mam swój rozum w nogach.

Wicek. Głupiś ty jest i koniec na tem! Powiadasz co na wojnie nogę urąbią albo rękę, a to jednemu urąbią a drugiemu nie, a jak po batalji to dopiero nawyciągasz zegarków, pierścionków naodrzynasz takich co ci żyd za jednego przez całe życie w karczmie pić pozwoli; a jak napadniesz na jakiego jenerała co ma w kieszeni nie cwancygiery ale same szczere złoto, to co! A to przecież wszystko idzie na żołnierskie ręce! I cóż ty sobie myślisz mądralo! I wieszże ty co gadasz? A jak się miasto jakie weźmie, gdzie kobiety najśliczniejsze w świecie, złoto, srebro, to się już nie pardonuje. A nie widziałeś to u Rocha Bęsia czterech zegarków i pierścienia co się tak świeci, żeby nim mógł w nocy zapalić? To dlatego żołnierski obowiązek jest co najlepszy, a jakaś *rabacja* to zawsze psem śmierdzi i niepewna rzecz.

Gadanie które tu spisałem, a które leżąc w rowie wysłuchałem cierpliwie aż do końca, zatrzymało chwilkę dwóch podpiłych ludzi wracających z jarmarku z Wadowic. Było to w lecie 1849 roku. Wieczór był śliczny, jak Opatrzność boska i gwiazdy przyświecały, bo pan Bóg cierpliwy, i chociaż nie rychliwy ale sprawiedliwy, i spokojnie się patrzy równie na dobrych jak i na gałganów. Wiaterek zalatał zkądciś aż się błogo robiło, ale nie bardzo, bo to jednakowoż człowiekowi przykro, kiedy widzi że gwiazdy świecą, że pan Bóg jest, a tu ludzie samochcąc djabłu na pazury włażą. Bo przecież wiadoma rzecz, że on nieprzyjaciel rodu ludzkiego niczego innego sobie nie życzy tylko tej jednej rzeczy: żeby duszę ludzką jak najprędzej na grzbiet sobie zarzucić i hajda do piekła na sam spód, gdzie tylko smoła parkocze. Przykro mi było strasznie słyszeć owych ludzi opiłych i bezbożnych, bo co jeden to gorszy, i nie wiedzieć który z nich godniejszy żeby go powieszono. Jako to jeden był zbój prosty a drugi przebiegły, i takem sobie myślał: mój ty Boże ulituj się też nad nimi! I szedłem z daleka, jako ja też jestem szewskiej kondycyi, i w wojsku służyłem i po różnych kątach się poterałem, ale mi nigdy ani zbójectwo ani obdzierstwo do głowy nie przyszło, za co panu Bogu dziękować i też prośbom nieboszczki matki, co była taka regularna kobieta, że boże broń złego ducha nie wymówiła żebyś jej nie wiem co robił.

Otóż tedy idę, a ci dwaj przedemną zaganiają po drodze, a dogadują sobie co im tam djabeł poszepcze, aż przyszli do samego sadu. Jak przyszli tak stój, patrzą, i ja się przybliżyłem i mówię: pochwalony. A ci nic jakby pogłupieli albo jak niemowy, chociaż nieprawda, bo na złe to mają oni gardziele ale na pochwalony Jezus Chrystus to nie mają A no tak pytam ja się:

— Cóż wy się tu przypatrujecie! a toć nie ma nic, jeno co się lampeczka z olejem przed krzyżem na ogrodzie pali, jak zwyczajnie w sobotę na pamiątkę nieboszczyka co go tu zamłócili, i od tego czasu świnie chodzą po ogrodzie, i kto chce to gospodaruje. Pani nieboszczka pomarli i tylko stary Maciej Bliźniak w ich niedopalonem domostwie siedzi. A ów co to się wybierał grabić i zabijać powiada:

— Ale, albo to lampka! To trupia główka po ziemi się przewraca a oczami mruga, a cała jak z rozpalonego żelaza.

Drugi zaś co się do żołnierskiego obowiązku sposobił, powiada:

— I mnie też się widzi co to głowa, jeno że oczów dopatrzeć się nie mogę.

A ja sobie myślę: Oj nie głowa to ludzka, ale wasze złe sumienie, i chciałem im coś powiedzieć, ale cóż tu z takimi gadać! Więc nic nie mówię tylko patrzę na lampkę i po swojemu odmawiam: Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imie twoje, przyjdź królestwo twoje ... za duszę nieboszczyka, aż tu po chwili spojrzę, lampka zgasła, nie ma nic tylko liść szeleści, bo wiatr zaczął wiać duży; a moje chłopy jak nie drapną, to jakby ich złe gnało. Polecieli niewiedzieć gdzie na złamanie karku, ja zaś poszedłem dalej swoją drogą jaka tam idzie koło ogrodu, potem na prawo jak smętarz. Nic, cichuteńko i tylko w sercu jakoś markotno jakby skórę obdzierał.

Nie mówiłem o tem ani żonie ani nikomu, bo na co się to przyda; aż dopiero jakoś w parę tygodni kiedy ja znowu niosę obuwia na rynek, kobieta siedem par juchtów, a ja cztery, jako ja znany jestem że mocne buty robię, patrzym, a tu policjant, z jednej strony jeden, a z drugiej strony drugi, i moje ptaki obydwa ręce w tył siedzą na wozie. Tak mnie ciekawość wzięła i pytam się:

— A cóż ci ludzie zawinili? — A policjant powiada:

— Na cóż jeden przystał do wojska, ukradł płaszcz cesarski i uciekł złodziejską naturą, a drugi pokradł we dworze różne rzeczy? Odstawia ich się do urzędu.

I pojechali, a ja dopiero kobiecie nuż opowiadać ... I tak dosyć natem, że i z naszego ludu djabeł swoją dziesięcinę wybiera, bo co prawda że u nas jest dobrych dużo, ale są też i złodzieje.

Joachim Sobecki,
majster obuwia szewskiego, starszy cechowy.

Jarmark w Myślenicach.

W tych Myślenicach, choć to miasto niewielkie, a przecie jarmarki bywają częste, i to wam mówię jarmarki nie lada. A jak się ludku Bożego, a osobliwie górali pogranicznych naschodzi, to czasem tak pełniutko w rynku, jak nieprzymierzając na odpuście, choć rynek wielki, co się zowie. Ale ja czegoś nie bardzo rad widzę jarmarki, bo to przy takich okazjach, to często gęsto, przyjdzie do obrazy Boskiej i rozmaitego złego. Trafi się, że jeden drugiego powiedzie na kwatereczkę, trzeci i czwarty się przypląta, półkwaterek za półkwaterkiem: i już ci głowy się podchmielą, ochota jeszcze do więcej przyjdzie, a nie jeden człek, co to i owo sprzedał, powróci nieraz do domu. Dlatego to turbacja niepotrzebna, a szkoda grosza i zdrowia.

A choćby już i nie szkoda pieniędzy, to szkoda czasu drogiego, co się po próżnicy zmitręży. Bo najwięcej się dzieje, że na te jarmarki to połowa przychodzi bez żadnej ważnej sprawy, jeno ot tak, aby przecie być na jarmarku. Ale darmo, nie za nas powstało, nie za nas zaginie. I jarmarki są potrzebne, bo jakżeby handle między ludźmi szły; tylko jak się rzekło, żeby na nich po próżnicy czasu, zdrowia i dobytku nie tracić. A potem u nas w Myślenicach na jarmarkach, to się ludek bardzo skromnie i uczciwie zachowuje, i byłaby to wielka rzecz, żebyś Boże uchowaj, ujrzał pijanego gazdę, coby się taczał i o sobie zabaczył. O nie, u nas takich nie ma.

I owóż właśnie w ten ostatni jarmark, co jakoś przypadł w pierwszy Poniedziałek postu, przyszła mi czegoś ochota pójść do Myślenic i popatrzeć, jak się to ludkowie roją po tym rynku, niby mrowisko. Każden tam prawi, i rozgaduje; ten o tem, ten o owem: ot jak to na tym Bożym świecie. Nareszcie kupka jakichś porządnych gospodarzy stanęła sobie niedaleczko odemnie, a widać z ich miny, że o czemś poważnem rozmawiają. Nadszedł też właśnie z drugiej strony także jakiś porządny gospodarz, pochwalił pana Boga, i spytał:

— A o czem że to tak rozprawiacie sąsiedzi?

— Ej, widzicie Macieju — rzekł jeden z nich — rozma-

wiamy o tem, że się to gdzieś coś na tym świecie na jakieś odmiany zabiera, a dosyć już i tak ciężkie życia. Hej, jakby jeszcze miało być gorzej, to jakże się nie turbować; toć by cię człeku już właśnie nie stało żeby jaki taki starunek mieć o to życie.

— Ha, wola Boska, Wojciechu — odrzekł Maciej — przecie może da Pan Jezus co jak nie lepiej, to pewnie gorzej nie będzie.

— No jużcić prawda — rzecze znów Wojciech — że bez woli Pana Jezusa nic się nie stanie; ale jak Bóg chce kogo ukarać, to mu rozum odbierze. Otóż tak i to, co byli przed niedawnym czasem nabajali, że panowie chcą pańskie przywrócić. Ja tam temu do razu nie wierzył, a potem mi też w naszej wsi ksiądz proboszcz dokumentnie wytłómaczył, że pańskie to już szlachcie wypłacone, a choćby i nie było opłacone, to by go już panowie jako życie nie chcieli. Bo też im teraz oczywiście gospodarka z najemnikiem i z maszynami lepiej idzie, jak bywało przed laty kiedy pańskie robili, i gdzie jaki taki dzień odciułał jak chciał. Wtedy szlachcic, że go to nic nie kosztowało, to sobie nie dopilnował tak roboty jak teraz, a przez to i panom i nam źle było. A potem, jak mi to proboszcz powiedział, to już nigdzie, przenigdzie nie ma pańskiego, tylko jeszcze u upartego Moskala. Więc z pańskiem raz na zawsze wieczne odpoczywanie. Ale cóż kiedy to o różnych, a różnych innych rzeczach prawią ludzie, co to człek tego nie rozumie, więc się też i boi. Jak i po urzędach, co to tam o jakichś wyborach gadali, a nie powiedzą tak dokumentnie i wyraźnie, aby człek zrozumiał, to się potem naturbuje, naturbuje, bo się wszystkiego boi, że jak się każą na co podpisywać, a potem by to źle było, to cóż człowiek biedny zrobi?

— No jużcić prawda — ozwie się na to trzeci gospodarz, co dotąd tylko słuchał — że to i w urzędzie człek się nie dowie jak się patrzy. Już to tak prawdę powiedziawszy, to się człowiek czegoś zmięsza i straci wszelaką rezolutność, jak stanie przed urzędem, i trzeba żeby ci kto kilka razy jakową rzecz wyłożył, abyś jakoś spamiętał, i zauważył sobie cały interes. A tu jeszcze na nieszczęście panowie starsi po urzę-

dach nie umieją jeszcze jak się patrzy naszej rodowitej mowy, to ta człek słucha i słucha, a nie mądry z takowej rzeczy. Tak też choćby pan urzędnik chciał i najlepiej co przełożyć, to skoro nienauczny polskiej mowy jak się patrzy, to mu już tak gładko nie idzie. Więc też i o tych wyborach, to tam zapowiadali coś po *Becyrkach,* aleć z tego nikt nie mądry. I na co to te wybory moi ludzie, co to moc ludu spisują? Czyby znów niby rekrutów na jaką wojaczkę, czy co?

— Ale nie bójcie się Michale! — odrzekł znów Wojciech. — Żeby na wojaczkę spisywali, to by jaki starszy od wojska był przy takiej okazji; a potem, to by tylko młodych spisowali, a tu wam mówię, że w naszej wsi to jednego zapisali, co już ma 70 lat okładem. To i cóż pleciecie, żeby na rekrutów! A nareszcie że to spisują niekoniecznie po *Becyrkach,* ale i po gminach, i po magistratach.

— Ej ludzie, ludzie — ozwie się na to Maciej — co wy też to bajecie aż strach, bo nic nie wiecie, co się do czego patrzy. Żebyście się znali na piśmie, to byście to wszystko wyrozumieli, bo to teraz takie pisma przeróżne wychodzą, co ludzi w tej rzeczy objaśniają. Prawda że ta i ja nie piśmiennik, i nie znam na książce, ależ mościpanku skoczyłem po rozum do głowy, i myślę: pójdę do organisty, co teraz jest u nas i w szkole uczy, i będę go prosił, aby mi też co poprzeczytywał, i wytłumaczył. Wiem zaś, że organista nie zdradzi, i prawdę powie, bo człek uczciwy, a do tego z naszego wiejskiego stanu pochodzi i ze sąsiedniej wsi, a nawet z jego rodzicem, niech z Bogiem odpoczywa, tośmy byli kumotrowie. No, i poszedłem był w Niedzielę po nieszporach do niego, pochwaliłem Pana Jezusa, i jąłem ci go pięknie prosić, aby mi to wszystko dokumentnie wyłożył, co to teraz ma nastać za odmiana, i co to wszystko znaczy? Tak też on dopiero przeróżne drukowane pisma odczytał, co to tam uczciwie i na wyrozumiałość w nich piszą, a jeszcze mi do reszty wszystko wytłumaczył.

Otóż tak mi prawił. W y b o r y, to widzicie znaczy to: Spisują ludzi co przecie mało wiele mają swój rozum, na ten przykład takich, co już nie są w latach dziecinnych, ani też niedołężnych na zmysłach, albo znów takiego człeka co się już

na niego jaka zła sprawka pokazała, że Boże uchowaj siedział w kryminale. Otóż dopiero, jak tych co zdatniejszych pospisują na te wybory, to dopiero każą tym wybranym, znów jednego albo dwóch, jak tam kędy wypadnie, już co najrzetelniejszych wybrać, i ci dopiero mościpanku pojadą do Lwowa, na taki sejm, czyli obrady co będą w kwietniu we Lwowie. I to widzicie, taki wybór pada na kogo bądź, bo do tego wszyscy należą. Padnie na pana to na pana, na księdza to na księdza, na chłopa to na chłopa, na mieszczana to na mieszczana; byle był tu rodowity, a człek rzetelny, dla tej ziemi i dla nas życzliwy, zaś miał głowę na karku i rozum w głowie, a nie zawadzi gdy też jest w czytaniu i pisaniu nauczny.

Dopiero widzicie na tym sejmie, to będą radzić o wszelakiej naszej biedzie, co by pomódz na to wszystko, aby było dobrze. Bo widzicie jak nasi panowie jeździli do Wiednia do Najjaśniejszego Cesarza, to sobie tam takowy sejm uprosili i to, aby po urzędach po polsku mówili i pisali, i jeszcze o jedną rzecz prosili, a co im nasz Cesarz przyobiecał, ale że nie mogę sobie przypomnieć... Aha, zaraz, zaraz, a... a... *autonomja.*

— O mój Macieju, ażem gębę rozdziawił, co was tak pilnie słucham. Bo tak gadacie jak z książki, i jużcić to tak musi być nie inak, skoro wam organista w ten sposób opowiedział. Prawił też i u nas coś dobrodziej, tylko że zaniemógł, to już teraz z nim pogadania nie ma. A i o tej autonomji tom słyszał także, ale się czegoś boję tego słowa, bo go nie rozumię, i nie wiem co to znaczy. Nie nasze to słowo, więc ja sobie myślę, czy to znów nie będzie jaka nowa, na ten przykład a k c y z a albo jaki S z t a j e r a m t.

— Ale ja wiem mój Wojciechu, co to autonomja! Organista mi i o tem wytłómaczył i powiedział jak się patrzy.

Autonomja, to słowo jakieś cudzoziemskie znaczy tyle co *samorząd.* Jak to kraj od swego cesarza otrzyma, to wtedy rządzi sam po swej woli, a monarchę swego uważa jakby ojca, co patrzy i cieszy się, że jego dzieci same ładnie się rządzą. Tak na ten przykład wieloletni synowie, co się sami rządzą, i opiekunów nie mają, tak też i przy tej autonomji to kraj sam wie o wszelakiej potrzebie, a zaprowadza po urzędach i

po szkołach swoją rodzoną mowę, i swojaków sobie na urzędników bierze, a nie pozwoli żeby się i najbiedniejszemu dziadowi krzywda jaka działa. W takim kraju, to przed obliczem Boga i prawa każden równy, od chłopa aż do największego pana. Otóż to widzicie, o taką rzecz pojechali nasi panowie prosić Najjaśniejszego Cesarza, i on im to przyobiecał, a przy takiej rzeczy da Pan Jezus doczekać, to nam wszystkim będzie dużo lepiej jak teraz.

— O Panie Boże, Najświętsza Panienko Myślenicka dziękuję Ci — rzekł Wojciech. — Kiedy to tak ma być, to się przecie człek jeszcze czego dobrego doczeka.

— Ale Macieju — zapytał się Michał — przy takowej rzeczy nie będzie zaś jakich buntacji albo rebelji?

— A uchowaj Boże — rzekł Maciej — będzie spokój jak w niebie. I coby zaś jakie buntacje miały być, kiedy to wszystko stanie się z wolą naszego Cesarza. Buntacje to są tylko ot po głupich głowach i u złych ludzi, zgoła zbójów, co to o tem pańskiem mówią i na panów podwodzą.

— Oj, mój złoty Macieju, niechże wam Pan Jezus nagrodzi, żeście nam tę rzecz dobrze wyjaśnili — odezwali się wszyscy. — Toż przecie będziemy spokojnie spać, i głowy sobie próżnemi strachami nie nabijemy. Ale za to Macieju, pozwolicie z nami do sklepu, napijem się po kapce wina, bo gorzałki nie piję już z dawna, odkąd się jej wyrzekłem.

No i wzięli się gospodarze do sklepu, a mnie aż łzy w oczach od radości stanęły, że Pan Jezus taki dobry i miłosierny, że przecie się znajdzie mało wiele jaki człek, co ludzi oświecić umie w niewiadomości i uspokoić, jak ten ot organista, co tak wszystko na wyrozumiałość temu gospodarzowi Maciejowi wyłożył.

Taki człek jak ten organista, to już będzie w łasce u Boga i u ludzi na wieki.

Obowiązki wyrobników.

Nie wszyscy mogą mieć gospodarstwo; o tem pamiętaj szczególnie ty, który nieraz narzekasz: że nie masz kawałka własnej ziemi, że ciężko masz pracować jako wyrobnik lub komornik. Lecz namyśl się tylko dobrze, obejrzyj się po świecie a zobaczysz, że wielu gospodarzy przez lenistwo, pijaństwo i rozpustę straciło gospodarstwa i zostało wyrobnikami lub komornikami. A niejeden pracowity, oszczędny, trzeźwy i pobożny wyrobnik i komornik dorobił się tyle, że sobie kupił kawał ziemi, wybudował się, i pracuje w swojem. Przeto bracie mój, nie narzekaj, tylko pracuj a oszczędzaj, a Bóg ci pobłogosławi.

Ztąd wypływa najpierwszy twój obowiązek, t. j. pracuj, a nie rób dla pana lub gospodarza byle jak, ale rób jak dla siebie, nie aby zbyć: bo na złej twojej pracy gospodarz źle wychodzi, a ty jeszcze gorzej, bo drugi raz zarobku nie dostaniesz, albo komorę utracisz, i głodu się z żoną i dziećmi namrzesz.

A strzeż się krzywdy ludzkiej, bo ta parzy sumienie, a cudzy grosz wyciągnie ci i twoje poczciwie zapracowane z kieszeni. A wiesz ty, czem ty najbardziej krzywdzisz gospodarza lub pana? Oto wtenczas, gdy źle robisz, albo nic nie robisz, gdy pan nie patrzy na ciebie. Krzywdzisz tem pana swego, i powinieneś się tego spowiadać, a pilniejszą i dłuższą pracą tę krzywdę powetować. Paweł S. woła na nas:

— Nie pracujcie na oko, jakoby się ludziom podobając, ale jako słudzy Chrystusowi, czyniąc wolę Bożą z serca. —

Te słowa mogą być też wam pociechą w wszystkich utrapieniach waszych, których nieraz w tem życiu doznajecie. Znoście upał dnia i niewygody, znoście cierpienia i ubóstwo, znoście różne przykrości z męztwem chrześcijańskiem. A Bóg wszelkiej pociechy doda wam, siły i otuchy, że pracując dla drugich, pracujecie tem samem i dla siebie, i skarbicie sobie obfite zasługi w Niebiesiech.

(Sz. N.)

RÓŻNOŚCI.

Parobki hulajdusze. — A gdzie wy chłopcy idziecie?

— Idziemy na gościniec do karczmy, posłuchać jak gra muzyka, a ludzie tańczą.

— A który został przy koniach i wołach?

— Ej! nie ma tam żadnego, wszyscy poszli na gościniec.

— I pozwolili to wam tak wszystkim pójść za zabawą?

— Pana nie ma, pojechał, ekonoma także, a karbowy śpi i chrapi, że się aż rozliga.

— A jak będzie jaki wypadek, czy z koniem czy z bydlęciem, to cóż zrobicie?

— To się ta troszkę wyprosiemy, troszkę wytłumaczemy, troszkę znowu wymyśli się co takiego, i pomału człek się wykręci przed panem i ekonomem, że my niczemu nie krzywi.

— Oj! źle chłopcy, widać że starzy ludzie mieli rozum kiedy powiedzieli:

Bezpiecznie myszy biegają,
Gdy kota doma nie mają.

Wielki doradzca. Pamiętacie majstrze, jakeśmy stawiali stodoły dworskie?

— No pamiętam, albo co?

— A nie mogę się naszej roboty nachwalić, i powiadają panowie, że nigdzie nie widzieli takiego wiązania dachu.

— Nasztuderowałem się też głową, mój kochany dowolna, za nim go wypenetrowałem.

— Oj! prawda, ale i ja se głowy dobrze przy tej robocie napsował.

— A i nad czem? bo przecieć ja majstrowałem, a ty mój kochany tylkoś chodził z siekierą i to nie codzień.

— Ale! jednak zarówno z wami pracowałem, pamiętacie w nagłówku, co wam poradziłem przybicie dubeltowego kołka.

— Ty widzę mój kochany, to jak w przypowieści: *chrzan co się przechwalał, dobry ja z miodem. A miód na to: kat cię prosi, dobry ia i bez ciebie.*

Leniwy Wojtuś. Dziś Wojtusiu jak wstałeś, nie zmówiłeś pacierza, nawet nie przeżegnałeś się, a to niedobrze, Bóg takim dzieciom nie będzie błogosławić.

Wojtuś śpiewając, mruczy. Ej!

— Nie umyłeś się, nie uczesałeś, i teraz nic nie robiąc siedzisz z założonemi rękoma, zamiast wziąść się przecie do czego.

Wojtuś mrucząc. Ej!

— Nie grzecznie tak Wojtusiu mruczyć, kiedy starszy mówi do ciebie, bo dzieciom co nieszanują starszych, Pan Bóg nie błogosławi i wypuszcza je ze swojej opieki. Jak zaś za młodu przyzwyczaisz się do takiego mruczenia, to zostaniesz mrukiem na całe życie, bo:

Czego się zrazu skorupka napije,
To się z niej potem długo nie wymyje.

☞ *Każdy powinien wiedziec, jak ta ziemia wygląda na której mieszka: a że nie każdy ma czas żeby ją obejść i oglądnąć, to trzeba o tem w książce czytać. Więc Grześ z Mogiły dla wygody waszej opisał tę naszą ziemię kochaną i podaje to drukiem. Do dzisiejszego „Dzwonka“ dodajemy pierwszy arkusz tego opisania. Trzeba go przeczytać, a schować i czekać aż będzie więcej, żeby potem wszystko razem dać w książeczkę oprawić, coby się dzieci miały z czego uczyć.*

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. Nr. 9.

21. Marca. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Swięty Kazimierz.

Święty Kazimierz urodził się na polskiej ziemi. Ojcem jego był Kazimierz Jagiellończyk, król polski, a braćmi Olbracht, Aleksander i Zygmunt stary: także królowie polscy, i jeszcze dwóch innych, a z tych jeden był królem czeskim i węgierskim, zaś drugi najstarszym arcybiskupem na całą Polskę. Jak więc widzicie pobłogosławił pan Bóg dzieciom Jagiellończyka.

Kazimierz święty żył w Krakowie i mieszkał w zamku swego ojca, króla; będzie temu dobre lat czterysta. Już jako małe chłopię był tak pobożnym, że codzień musiał pójść do kościoła na mszę świętą, tam odmawiał prócz pacierza inne przeróżne modlitwy, a nieraz w nocy zaszedł sobie po cichu pode drzwi kościoła, klękał na gołej ziemi i zalany łzami modlił się aż do rana. Kiedy zaś był na zwykłej mszy w kościele, to sobie klękał między ludźmi, razem z nimi śpiewał, a po mszy odmawiał Anioł pański. A skoro wypadło jakie święto do Najświętszej Panny, to już cały dzień był w kościele i modlił się do Matki Bożej, a wilje jej pościł szczerze i spowiadał się.

Że ten Kazimierz został świętym, to stało się dlatego, iż

miał matkę bardzo pobożną, dobrego i dbałego o dzieci ojca, dobre przykłady w domu, i nauczyciela bardzo dobrego i uczonego, który był biskupem a napisał mądre księgi o naszym narodzie. To też Kazimierz był codzień lepszym, kochał swoją matkę i swego ojca, kochał braci i siostry, uczył się dobrze, a gdy miał czas po nauce, to brał książkę do nabożeństwa i modlił się w domu, albo szedł do kościoła. Służył do mszy świętej biskupowi i nie wstydził się tego, choć był królewiczem. Zawsze część śniadania, obiadu i wieczerzy chował dla ubogich, i z płaczem rozdawał im to; a skoro się dowiedział, gdzie jaki ubogi mieszka w Krakowie, to po cichu tam pobiegł i dał mu jałmużnę lub potrzebną odzież, a robił to tak, aby nikt z ludzi o tem nie wiedział.

Ileż to dobrego robił ten królewicz! Miał on dużo pieniędzy, boć był synem bogatego króla polskiego, a on tych pieniędzy nigdy nie dał na żadne zabawy, ani na żadne światowości, tylko wszystko obracał na chwałę bożą, na jałmużnę i inne dobre uczynki. Nie stroił on się, jak to robią pyszni i światowi ludzie; nie był takim, aby tylko myślał o dobrem i zbytkowem jedzeniu, o dobrym napitku i długiem spaniu, i o zabawkach różnych przez cały boży dzień, jak to robią ludzie nierozumni i światowi. Jego jedzenie był chleb i skromna jaka potrawa, a reszta szła dla biednych wdów i sierot lub podupadłych rzemieślników, albo nieszczęśliwych chłopków koło Krakowa; jego suknia to koszula nie lniana ani konopna, ale włosienna, którą nosił na gołem ciele; jego łóżko to prosty siennik, czysto nakryty, jego napój to czysta i zdrowa woda. Cały dzień boży schodził mu na nauce potrzebnej, na nabożeństwie, na odwiedzaniu biednych i chorych, na usłużeniu każdemu w czem dobrem; zaś noc schodziła na cichej modlitwie przed obrazem Najświętszej panny, przed ukrzyżowanym panem Jezusem, a ledwo kilka godzin obracał na spanie. Choć mu dał pan Bóg i urodę i bogactwo, to on się tam z tego nie pysznił, ani się do tego świata nie przywiązywał. Nie był on ani księdzem ani zakonnikiem, ale sam dobrowolnie ciągle się modlił, o żadnych złych rzeczach ani pomyślał, i uczynił sobie sam taki ślub, aby się nigdy nie żenić, ale duszę swoją białą, bez pla-

my i grzechu ofiarować Najświętszej pannie i panu Jezusowi na wieczne czasy.

Zawsze sobie powtarzał święty Kazimierz te słowa, które sam pan Jezus powiedział: „Cóż pomoże komu choćby miał i cały świat, jeżliby przez to duszę swą zagubił?“ A tak był pokorny, że się nie uznawał za królewicza, ani za coś większego, choć ojciec jego i czterej bracia byli królami, a mawiał sobie te święte słowa: „Nagi narodziłem się, z płaczem przyszedłem na ten świat, tak jak każdy inny człowiek, jestem też tylko człowiekiem i nic więcej, a cała moja zasługa to dobre i bogobojne życie.“

Nie pozwolił mu pan Jezus długo żyć na świecie i opiekować się tą polską ziemią. Żył tylko 25 lat a umarł w Marcu; dla tego też i święty dzień jego jest 4 Marca każdego roku, a jeszcze świętszym jest dla nas, bo rocznicą polskiego świętego, naszego rodaka!

O święty Kazimierzu! Ciebie karmiła ziemia ta, która i nas karmi; tyś pił z tych samych źródeł, z których i my pijemy; tyś mówił tą samą mową, którą i my rozmawiamy: więc pojmiesz łatwo niedolę i boleść naszą. O święty nasz rodaku, wstaw się za nami do ojca Najwyższego, a za Jego wolą wszechmocną przywróć nam dolę i lepsze czasy przodków!

Ks. Wojciech z Medyki.

Pieśń do św. Kazimierza.

(Na nutę jak o świętym Janie Nepomucenie.)

Przezacny święty patronie
Polskich dzieci opiekunie!
Witaj święty Kaźmierzu,
Ty niebieski rycerzu!

Ciebię Polska urodziła
Chlebem swoim wykarmiła,
Dała Ci swoje cnoty,
Te najdroższe klejnoty!

Z Jagiellonów ród twój płynie,
Których imię w Polsce słynie,
Tyś ozdobą ich rodu,
I polskiego narodu.

Pogardziłeś dostatkami,
Dworem, państwem i zbytkami,
Żyłeś w świętej prostocie
W całym twoim żywocie.

Byłeś ojcem dla ubogich
Kmiotków, sierot i wdów mnogich,
Oni przez Cię zbawieni,
I w niebie umieszczeni.

Życie twe było bez skazy,
Bez występku i bez zmazy,
I tak piękne tak czyste
Jak to niebo gwiaździste.

Módl się do Boga za nami
Twemi grzesznemi ziomkami!
Podaj nam twoją rękę
I skróć niedoli mękę!

Wstaw się i do Bożej matki,
Za nas wszystkich, polskie dziatki,
Boś ty ją czcił w pokorze,
A ona nam pomoże.

Amen.

Ks. Wojciech z Medyki.

Wróż.

W wiosce jednej o milę od Rzeszowa odległej, mieszkał przed kilku laty zamożny gospodarz imieniem Józef Barciak, człowiek pobożny, uczciwy, gościnny, szanowany od wszystkich, słowem szczęśliwy w chałupinie swojej. Ale jak to powiadają: *nieszczęście nie chodzi po lasach tylko po ludziach*, więc też padło raz i na niego, a nabawiło go niemało zmartwienia i kłopotu.

Dnia jednego, było to po godach zimową porą pod sam

prawie wieczór, weszła do izby podróżna kobieta, powitawszy panem Jezusem, prosi gospodarstwa, by jej pozwolili z godzinę u siebie odpocząć, i ogrzać się trochę, bo już parę mil zrobiła drogi, a koniecznie do Rzeszowa nadążyć musi.

Przyjęli ją chętnie poczciwi ludziska, a uraczyli nawet jadłem, jakie tylko było. Po odpoczynku i posileniu, dziękując im owa kobieta za gościnę zabiera się do wychodu, a razem zapyta:

— Mościewy, a powiedźcież mi jak się nazywacie, bym wiedziała komu też mam odsłużyć?

A gospodarz odpowie:

— Jestem Józef Barciak kmieć, a razem przysiężny tutejszej gromady.

Na te słowa owa kobieta z zadziwieniem klasnęła ręką w rękę, stanęła jak wryta, i zadumała się. Pytają się gospodarstwo, coby to znaczyło, a ona z pewną lękliwością zaczyna cedzić słowo po słowie:

— Powiedziałabym wam, ale mi nie wolno, chyba że nic nie wydacie.

Zaręczają więc gospodarstwo, że nikomu nie powiedzą, a ona wtenczas cichuteńko rzecze:

— Oto mąż mój, który ma tę łaskę od pana Boga, że różne rzeczy wie i zgadnie, i już niejednego z biedy wyratował, będzie temu z pół roku, mówił mi, że u Barciaków więc niby u was tu w tej wsi, są wielkie pieniądze zakopane.

Rozdziawił gębę Barciak, a szerzej jeszcze Barciakowa, i nuż kobietę prosić a nalegać, żeby tu męża sprowadziła, a że jemu i jej fatygę zapłacą, gotowi nawet konie posłać, gdyby zażądali. Ale na to rzecze kobieta:

— Nie tak to łatwa z moim sprawa, jeszczeby się na mnie zgniewał, i wydziwiał niestworzone rzeczy, żebym mu tak wprost powiedziała. Ale poczekajcie: Za dwie niedziele w wilią Gromnicznej pójdziem z mężem do Rzeszowa, bo się tam ofiarował do Matki Boskiej Bernardyńskiej, ale nie tędy, tylko tamtą drogą od Błażowej. Wyjedźcież wtenczas na górę Tyczyńską koło południa, i niby to trafunkiem się spotkamy, ja

was poznam, wy mnie, od słowa do słowa, zapoznam was z mężem, i tak nas do siebie zaprosicie.

— Zgoda! doskonale! — zawołali gospodarstwo; a potem Barciak wściubił jej cwancygiera z matką Boską, a Barciakowa obwinęła spory kawał placka w szmatę, i pożegnali się z dobrą kobietą.

Po owych odwiedzinach Barciakom robota w ład nie szła: coś ciągle ze sobą po cichu szeptali, czeladź nawet uważała, ale przyczyny domyśleć się nie mogła. Nareszcie nadszedł dzień wyznaczony. Ledwie słonko zeszło, zaprzągł Barciak parę koni do sani i wyjechał na Tyczyńską górę. Przez trzy blisko godziny tam i nazad jeździł, wracał i nawracał, bo mróz setny parzył go po gębie, aż tu naraz pokazuje się od dołu dwoje ludzi. Stanął Barciak, coś niby koło sani i koni poprawia, tymczasem owi ludzie zbliżyli się, a kobieta go poznaje, i wita. Barciak zpode łba popatrzy i poznaje, a kobieta nuż przed mężem rozpowiadać o gościnności Barciaków, a mąż nuż dziękować za dobre serce ku jego kobiecie.

— Za mało — rzecze Barciak — a jeźli łaska, to i teraz może mię nawiedzicie!

Spierał się wróż chwilę i wymawiał, ale party silnie przyjął zaprosiny, więc siadają wraz wszyscy i jadą.

Ledwie że przed chałupę zajechali, a Barciaczka biegnie do drzwi:

— A kogo żeś mi tam przywiózł? — pyta się męża.

— A zgadaj? — Więc Barciaczka wpatruje się a rzecze:

— A to niby ta kobieta, co niedawno u nas była?

— A ona, a tu jej mąż.

— No proszę, proszę! A dokądże pan Bóg prowadzi? może się jaka przygoda w drodze stała? bo to o nieszczęście nie trudno.

— Nic dziękować Bogu — rzecze wróż — tylko idziemy do Matki Boskiej Bernardyńskiej, gdzieśmy się ofiarowali, a mąż wasz spotkał nas skrzepniętych, i do siebie zaprosił.

— A dobrze zrobił — prawi Barciaczka — bo gościa w dom zawsze przyjąć należy. Ale czemże ja gości przyjmę? Nieprzyładowałam się, a tu do tego post. Ale co Bóg dał, na to proszę.

Dziękują wróżowie, a mówią że oni też z postem.

Więc zastawiła Barciaczka na troje, i postawiła sporą flaszkę wódki i pozasiadali. Stały dwie szklaneczki, nie wymawiał się wróż od większej, bo skrzepnął od zimna, a choć post, to wódka nie z omastą, gładko więc jedną po drugiej wychylał. Gdy już poobiadowali, a powstali i przeżegnali się, rzecze wróż.

— Co tu macie czy komorę, czy izbę drugą? bo to moja godzina, chciałbym chwilkę tam pomodlić się.

I otworzyła mu Barciaczka komorę: wszedł tam, i przymknęła drzwi, a wróżka tymczasem opowiedziała Barciakom, jako mąż jej wszystko z Panem Bogiem robi, i że za łaską bożą pewnie się im sam oświadczy, jako że go ukontentowali swoją gościnnością.

Serdecznie pocałowały się obie kobieciny, a po chwili wychodzi wróż, i mówi:

— Komu droga temu czas; ale ponieważ trafiłem na poczciwych ludzi i Opatrzność Boża tak zrządziła, żem tu do was zaszedł, to chcę wam za to zostawić pamiątkę, i odkryć wam wielkie skarby, jakie w waszym ogrodzie są zakopane.

Gdy się wszyscy rozciekawili, tak wróż kazał drzwi na haczek założyć, by jaki zły człowiek na zdradzie nie stanął i prawi dalej:

— Dawne już temu lata, dziedzic tutejszy wybierał się na wojnę, przywołał dziadka waszego dziadka, i rzecze mu. — Szymonie! ja wyjeżdżam na wojnę, córkę moją odwożę do ciotki za Sanok; przy domu i gospodarstwie zostaje podstarości: wierny-to człowiek ale że już latowy, złemu człowiekowi oprzećby się nie potrafił, umyśliłem przeto skarby moje u ciebie przechować. Idź wybierz spory dół w swoim ogrodzie, a gdy się zmierzchnie, przyjdziesz do mnie i poprzenosimy. Wrócę z wojny, tegoć nie zapomnę; a zginę to oddasz córce mojej, a ona o tobie pamiętać będzie. Rozpłakali się obadwaj, bo się bardzo nawidzili. Poszedł Szymon dół kopać, pytali się ludzie na co? ale on odrzekł: Biorę ziemię do wyrównania boiska. Tymczasem się zmierzchło, uciszyło się wszystko, noc była ciemna;... i na trzy razy przenieśli w skórzanych worach same srebro i złoto,

bo to wtenczas papierków nie znano, i wszystko to zakopali. Pan zginął na wojnie, Szymon w drodze umarł, i dotąd te skarby u was w ziemi spoczywają.

Barciaków aż mróz po plecach przeszedł od niespodzianego szczęścia.

— A gdzie też owe skarby? — pytają wraz.

— Moja w tem głowa — rzecze wróż. — Patrzcie! cała sztuka w tej lasce. Na końcu tej laski jest taki magnes, aż z góralskiego kraju, co wszystko do siebie ściąga. Może tu macie jaką igłę, szydło lub kawałek gwoździa? połóżcie na stole.

Wyszukują Barciakowie i kładą, a wróż przykłada magnes i dziwo wielkie, bo oto szydło i gwóźdź przyczepiają się do niego; więc wróż prawi dalej:

— Jeszcze bardziej przyciąga ono do siebie srebro i złoto; bo jest delikatniejsze. Tę laskę wbija się po samą główkę w miejscu, gdzie pieniądze są zakopane, a najdalej do trzeciego dnia na wierzch wychodzą. Jak też ja będę miał czas potemu, to przyjdę, i wszystko sprawimy.

Zatrwożyli się Barciakowie tą zwłoką, i nuż go prosić i nalegać aby już za jednym zachodem sprawił; ale wróż się wymawia, że jutro pod wieczór musi być u jednego chorego pod Kańczugą, i nijako mu ten czas pogodzić. Więc rzekną Barciakowie:

— To was podeślemy naszemi końmi, i na powrót do nas zjedziecie, a my pewnie dosadnie waszą fatygę odpłacimy.

A wróż nato:

— Ja się tam za płacą nie oglądam, bo komu mogę co dobrego zrobić to zrobię, a tembardziej wam, bo mi się podobacie. — Nareszcie myśli, myśli i rzecze: — Ha! niechże i tak będzie. Weźcież Józefie rydel, siekierę i kół jaki, i chodźmy do ogrodu, a kobiety niech się tu tymczasem zabawią.

I wyszli do ogrodu, a wróż stanął i pyta się:

— W którym miejscu stara chałupa stała? bo ta widzę nowa, i gdzie tu wschód i gdzie zachód?

— Stara chałupa — odpowiada Barciak — stała niżej, a wschód tam, a zachód jak widzicie.

— Hm ! dobrze ! — Spoglądnął na wszystkie strony, cofnął się o dwa kroki, i mówi :

— Odmiećcie tu śnieg, i sprobójcie rydlem albo siekierą odrąbać z wierzchu zmarzniętą skorupę, zabijcie kół... a co... idzie czy nie ? Uderzcie jeszcze raz, wyciągcie! — Przeżegnał i laskę wpuścił w dziurę, zabił ją obuchem po samą gałkę w ziemię, i przykrył dziurawą donicą, by parowało.

Powrócili do izby. Z uśmiechem rzecze wróż do Barciaczki :

— No, zastawiłem już łapkę na myszy. W dobry dzień zaczęliśmy robotę, bo to wilija do Matki Boskiej, więc chyba nie będzie jak nie wyjdzie.

Potem przysuwają się do niego Marynka córka Barciaków, z Jagusią Szpalanką z drugiej chałupy, całując go w rękę i proszą : by im też co powiedział. Uśmiechnął się wróż, machnął ręką, zasiadł i rzecze :

— Wiem ja czego wy chcecie, za kim to dziewczęta wyglądają ? Dajcież rękę, nie tę, tamtę lewą od serca.—Patrzy po dłoniach, nareszcie mówi : — Ty Marynko ! pójdziesz na drugi zapust za mąż, przyjdzie kawaler z tamtej strony rzeki, a ciebie Jaguś jeszcze tej jesieni weźmie jeden z końca.

Zaśmiali się wszyscy, a wróż powstał, pożegnał się z wszystkiemi, i przyrzekł, że na drugi dzień przed południem przybędzie. Odprowadzili go wszyscy do drogi, i uściskali serdecznie.

Jagusia pobiegła czemprędzej do domu, wpada zadyszana i woła :

— Mamunieczku ! był u Barciaków wróż, i wywróżył mi, że tej jesieni pójdę za mąż, a kawaler mój będzie z końca wsi.

— A któryżby to był ? — rzecze matka—jeden tylko jest Staszek, a ten z Marynką zaręczony.

— Marynka dostanie innego — odezwie się Jagusia—z drugiej strony rzeki. Tak wszystko u Boga być może, jużci by tam mnie nie gadał, żeby nie wiedział.

— O moje dziecko kochane ! pójdziesz mi dziś wcześnie spać, wywczasuj się, byś mi jutro dobrze wyglądała. Jak pój-

dziesz jutro do kościoła, wdzieję na ciebie lepsze nieco chusty, a ja zdala uważać będę, czy będzie za tobą spoglądał. —

Tymczasem Barciakowie zaczęli między sobą radzić, żeby to jakoś utraktować wróża skoro powróci; ściągali się z ostatniego a kupowali różne przysmaki, to wieprzowinę, to wina garniec od Mendla, to słodkiej wódki, żeby tylko się pokazać.

Nazajutrz od samego rana przyrządzali już wszystko do obiadu, nawet do kościoła nie poszli, co niektórzy ludzie uważali, a drudzy stając kupkami na cmentarzu przed kościołem, o tym wróżu już cuda rozpowiadali. Bo choć stara Szpalina dziesięciom, córka pięciom, a Barciakowa czterem sąsiadkom pod wielkim sekretem się zwierzyła, trudno było zapobiedz, by dalej się nie rozgłosiło. Niejedni już przemyślali, jakim sposobem by go do siebie sprowadzić, i nie w jednym kawałku się go poradzić.

Jeszcze suma w kościele stała, a już wróżowie z Rzeszowa przybyli, prosili tylko, aby nikogo do izby nie wpuszczać, bo bardzo są sfatygowani, dlatego postawili na warcie poganiacza Bartka, który każdego odprawiał.

Gdy zasiedli do obiadu, gościli się wesoło. Co tam jedli i wiele tam wypili? to na tem nikomu nic nie zależy, dosyć że się bardzo zaprzyjaźnili; a Barciakowa rozciekawiła się nawet zapytać wróża, wiele też tam jutro tych pieniędzy wykopią? i czy za nie wieś kupić będą mogli. A wróż nato:

— Oj więcej jak jedną, moiściewy, bo przez tak długie lata, musiało złoto i srebro bardzo w ziemi napęcznieć; a ponieważ teraz wszystko na wagę idzie, to na rachunek bardzo dużo wypadnie. Ale żebym też na czas jutro przyjechał każcie zaprzęgnąć, by mię gdzie na działach noc nie zapadła.

Tymczasem wstał, poszedł do komory, by zwyczajem swoim pomodlić się. Czy się modlił? niewiedzieć. Pastuch tylko przez szczelinę z sieni wypatrzył, że po coś ręką sięgał na wysoką pułkę. Gdy wyszedł z komory to już Bartek stał przy zaprzęgniętym wozie. Barciak bojąc się o wróża, by się nie przeziębił, przywdział na niego swój nowy kożuch, a Barciaczka za fatygę zawiesiła wróżce na pamiątkę kilka sznurków pięknych

korali, bo się już nie prędzej aż na wesele Marynki zejść miały. I siedli na sanie, i w imie Boże pojechali.

Zostali Barciakowie sami, Marynkę wyprawili na nieszpory, i zasiedli do rady.

Barciak. No żono! wszystko się nam wiedzie, więc potrzeba nam się zawczasu naradzić, co za te pieniądze zakupimy? Jabym myślał tu się wyprzedać, a pójść gdzie na równie, tam dobrą wieś zakupić; by było dużo lasu na opał i budowlę jak się patrzy.

Żona. Jabym wolała, by tu zostać, a daleko się nie przewozić! Pan nasz chce wieś sprzedać, już jest kilku kupców, a my na nich nałożymy, i zakupimy. Niemać tu wprawdzie lasu, tylko krzaki, ale na opał nam wystarczy.

Barciak. Ej kiedy mnie się nie wydaje między temi krewniakami.

Żona. Co ci tam chodzi o krewniaków? O tych dwóch stryjków? Oni są i zostaną Barciaki, a ciebie jak wieś kupimy, w metrykach przepiszą na Barciakowskiego, i żadnego z nimi nie będziesz miał interesu. Ot szkoda że pańskie skasowali, bo teraz by nam się przydało.

Barciak. No, pańskie to już nie powróci, ale ja i tak dam sobie radę, bo znam wszystkie kręty chłopskie, co to różnie bywa, i przy zbiórce, i przy młocce i przy orce: to się dopilnuje.

Żona. Jabym tam tylko najbardziej dla tego pragnęła pańskiego, cobym nie jednej babie za to odpłacić mogła, że mi na honor nastąpiły. Na ten przykład: Marcinowej i Wojciechowej. W pierwszy zaraz tydzień rozkazałabym im plewić w ogrodzie, a sama bym nad niemi stała. Tożbym im dopiero dopiekła.

Barciak. A cóż one ci winny? —

Żona. Oho! uzbierało się nie jedno. I tak jakeśmy były na wywodzinach u Filipki, potrzeba było że mnie usadowili koło okna; ona poźniej przyszła, a chciała tam usiąść i rzecze mi: Ustąp mi ty żebraku! że to niby mię ubogą dziewczynę za żonę wziąłeś. A ja jej na to: A ty co za jedna? Jak jej nie powiem jedno i drugie, co to bywało a o czem ludzie już za-

pomnieli, to ona wtenczas dopiero pysk stuliła, jakby jej kto klejem zasmarował. Nie się potem nie chciała odzywać, tylko cały czas sapała.

Barciak. A cóż masz do Wojciechowej?

Żona. Do tej najwięcej, bo gdzie może przed ludźmi to mnie udrze i obmówi. Spotkam się z nią, przegadam, to ona nic nie rzeknie, tylko jak żyd splunie. A że bogaczka, na każdem weselu swaszczy i wszystkim kumuje, to sobie przybrała do głowy, że jej się tylko wszystko patrzy. Jak idzie do kościoła, i powdziewa na siebie krase chustki, to już nie wie jak ma stąpać. Nikomu nie da przyjść do słowa, tylko sama rozprawia, a rzadko kiedy o kim dobrze.

Nawet w kościele, i tam chce być pierwszą. Jak do procesyi roznoszą światło, to przebiera i wybiera która większa świeca, potem idzie i wykręca się na wszystkie strony, by się na nią patrzyć jak paradnie. I śpiewa i wywodzi, i myśli że pięknie, a tu się drze jak wrona. Potrzeba było, jak był ostatni odpust, a ciżba była wielka, żem się tam zatrzymała gdzie księża idą. A ona mię szturk ręką na bok, żem się aż zatoczyła. Tu ludzie patrzą a ja cała aż czerwona, tak mi się boleśnie na sercu zrobiło. Oj gdyby to nie było na świętem miejscu! Odpłacę ja jej za to!

Barciak. No, terazby już tak nie uchodziło; musimy sobie z pańska poczynać. Jak to nasi państwo pięknie z każdym pogadają, pocieszą, poradzą, chorego sama pani lub która z córek nawidzi, ziółek przyniesie, kropli lub maści...

Żona. To źle robią. Jabym tam tak nie robiła; albo oni to uznają; albo oni tego warci?

Barciak. No, moja żono! przecie nie wszyscy są jednacy.

Żona. To prawda że nie wszyscy, bo jak są Józefowie i Wójtowie, to bym się ich i potem nie wypierała. Ale też co wszystkim innym to nie daruje; ho, ho, dosyć gorącego sadła zalali mi oni za skórę, więc też pokażę im jak ja to umiem kiedym sobie pani.

I tak nie mogli sobie rady dać Barciakowie z temi skarbami. Wielkie państwo chodziło im po głowie, radzili i radzili

co to oni zrobią, a o pacierzu i o chwale bożej to na piękne przepomnieli.

A co też dalej uradzili, i jak się to państwo skończyło, to wam opowiem w następnym numerze.

Co rozpowiadał siwy dziaduś z za Wisły.

Niedawno temu, przyszedł siwy dziadek do Skawiny pod Krakowem, a szedł prosto z za Wisły, z Jasnej Góry, od cudownego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. A skoro przyszedł do Macieja Kafara, co go zna nie od dzisiaj, co z nim nie raz i nie dwa razy chodził za Wisłę, tak dopiero tutaj jał opowiadać historje niesłychane.

A że to była Niedziela święta, i u Kafara siedzieli właśnie Grzegorz Miąsik i Bartłomiej Kozak, tak też i oni obadwaj słuchali co dziadek opowiadał, a zrazu nie chcieli nawet dać wiary, tak im to było dziwno; tylko że dziadek składał na krzyż palce a przysięgał, że to wszystko słyszał, słowo słowo od księdza na Jasnej Górze.

— Moiściewy, tak to było — jał dziadek opowiadać. — Kiedy ja zeszłej niedzieli zeszywałem sobie torbę i naprawiałem buciska, żeby się ruszyć kędy w drogę, tak mię spotkał u drzwi ksiądz Gerwazy, co mię zna dobrze, bo nieraz tam pomagam w robotach kościelnych, a smutną miał minę. —Wybierasz się w drogę? rzecze on do mnie. — A ja mu nato: — Jużci mój Jegomościuniu — a takem spojrzał na niego, jak żebym mu chciał powiedzieć że smutny. Tak on musiał mnie zrozumieć, i rzecze: A zostańże do jutra, bo odprawiamy mszę żałobną za poległych w Warszawie. A skoro ja się go spytał za jakich poległych, tak on mi dopiero jał opowiadać, co wam tu słowo w słowo powtórzę:

— Mój stary — mówił do mnie ksiądz Gerwazy — niesłychane stały się rzeczy w Warszawie. Wiesz pewnie o tem, że będzie trzydzieści lat temu jak nasi bili się z Moskalami, i pobili ich pod *Grochowem*. Stało się to 25 lutego. Więc też

tego roku zebrali się Warszawianie, i chcieli odmówić w kościele paciorek za dusze zabitych pod Grochowem. Tak ci więc stało się, że pomodliwszy się pięknie w kościele, wyszli z procesją i choręgwiami, a śpiewając nabożne pieśni, chcieli obejść po mieście. Ludu było wiele, ale każdy tam był spokojny i z nabożeństwem na ustach, więc wszystko szło porządnie i cicho: aż tu nagle wypadną Moskale na koniach, i nic nie powiedziawszy, dalejże napadać, tratować i rąbać modlących się ludzi. Było tam tej obrazy boskiej siła, aż też się pospólstwo rozbiegło, a na placu zostało dużo rannych i kilkoro zabitych.

Straszna boleść chwyta wszystkich za serce, że to wojsko pałaszami uderzało na ludzi, co jeno nabożną pieśnią wstawiali się do nieba za swoimi braćmi. A przecież tam nikt nie porywał się do bicia, bo człowiek czysty na sercu nie boi się napaści, a ufa panu Bogu i Boskiej wyczekuje zemsty na niesprawiedliwość ludzką. A żeby też pokazać czyste, dla chwały Boskiej poświęcone serca, tak mieszkańcy Warszawy nie odstąpili swego, i we dwa dni później zebrali się w innym kościele chcąc pomodlić się do Boga, choćby i za wrogów zbójeckich.

Ale zły duch widać opłatał moskiewskie głowy. Napadli oni i tutaj na bezbronny naród, a straszne wydziwiali rzeczy: Kozacy łamali krzyże i obrazy Świętych, a księży bili nahajkami; strzelono także do ściśniętego ludu, więc zaraz kilku padło zabitych, kilku ranionych, a reszta rozbiegła się, zanosząc skargę do Boga, na taką niesprawiedliwość.

I znać pan Bóg poruszył sumienie Moskali, bo ujrzawszy swoją robotę, usunęli się przestraszeni, a nie ukazali się już więcej. Zaś lud Warszawski tak jak męczennik za wiarę Chrystusa, podniósł się bardzo na sercu, i nie wyrzekał Bogu. Drugiego tego miesiąca odprawili pogrzeb pięciu ludziom, których Moskale zabili, a jak Warszawa Warszawą to nie widziała takiego pogrzebu. Szli biskupi i niezliczona moc księży, nawet rabini żydowscy szli przejęci także tą boleścią, a ludu było jak mrowia, a na barkach ludu pięć czarnych trumien. Bo myśleli sobie Warszawianie: żebyśmy mieli zginąć wszyscy to pójdziemy. Niech cały świat wie jako cierpimy niesprawiedliwie. Ale Moskale już się nie pokazali i nie stali w przeszkodzie, więc

nabożnie i w cichości odniósł lud swoich męczenników na wieczny odpoczynek. Widzisz więc mój stary — prawił przy końcu ksiądz Gerwazy —trzeba nam pomodlić się za tych zabitych we Warszawie, i oddać ich dusze dobroci i łasce Najwyższego Boga.

Więc ja zostałem się jeszcze na drugi dzień, a widziałem jak księdzu Gerwazemu ciekły łzy po twarzy, kiedy mszę odprawiał, i mnie samemu ciepło zrobiło się w oczach.

Skończył opowiadać siwy dziadek, a teraz i Miąsik i Kozak mieli łzy w oczach, a stary Maciej Kafar podniósł ręce do góry i zawołał:

— O Panie, kiedyż się nad nami zlitujesz!

RÓŻNOŚCI.

Rozum gromadzki. Na granicy Litwy i Wołynia była jedna wieś strasznie uboga i zaniedbana. Dawny dziedzic gdzieś przepadł, nie było ni dzieci ni krewnych, a rząd, i to jeszcze taki ostry rząd moskiewski wziął całą wieś w swoją opiekę. Więc też niszczył role i budynki, ludzi na żebry wypędzał, lasy przeogromne, co dawnym dziedzicom najwięcej się wypłacały, wytrzebił do czysta, a głodem wymorzył obory i stajnie.

Ludzie nie wiedzieli co im czynić wypada, taka była bieda, taki skwierk i lament. Chcieli już nawet zabrać się, i iść z resztą dobytku gdzie na kraj świata; aż tu naraz skoro już we wsi nic nie było prócz świętej ziemi, wypuszczają urzędniki wieś na licytację. I owoż trafiło się, że jakieś poczciwe panisko kupił wieś na licytacji, a wydał grosz ostatni, by tylko uwolnić ten lud od moskiewskiej opieki.

Jakoż ów panisko, wypłaciwszy urzędnikom, zabrał swoich dwóch służących, a jedzie zobaczyć jak ta jego własność wygląda. Aleć skoro przyjechał, to aż się za głowę chwycił, tak tam było wszystko zniszczone i nędzne.

— Cóż ja sobie pocznę!—zawołał nowy dziedzic ze smutkiem.— A czemże ja obrobię moje pola, a zkądże ja naprawię te budynki, kiedym wydał wszystko na zakupno ziemi.

Słyszała jego turbacje gromada, boć właśnie wyszła, przywitać swego nowego pana. Rada była, że się już moskiewskiej opieki z karku pozbędzie, aleć znowu świeży ją smutek ogarnął, słysząc że pan nie zamożny, a tu gospodarstwo bez wo-

łu choćby jednego, i bez konia choćby ślepego a łogawego.

— Trzeba mi jechać z powrotem do miasta — wołał dziedzic dalej — bo ja tu nic nie poradzę, a zdrowie na darmo bym tracił.

A wtedy gromada zaczęła coś szeptać między sobą, a potem pokłoni się panu do kolan i rzecze:

— Wielmożny panie, a toć bez urazy waszej, gdybyście chcieli nas wysłuchać, a nie pogardzili radą naszą, tobyśmy może wam i co nieco pomódz mogli.

— I cóż wy mnie pomożecie, wy sami biedacy — mówił nowy dziedzic zafrasowany.

— Ot, prawda że my biedacy — ozwał się wójt — aleć przecie potrafimy jeszcze udzielić ze swego. A jeżelibyście też chcieli przyjąć krowinę od jednego, a konia od drugiego, to tam każdy wedle swej zamożności, może wam dać co na zapomogę.

Zadziwił się radośnie nowy dziedzic, i aż łzy mu w oczach stanęły:

— A gdzież ja was mogę tak krzywdzić? A toć rychlej mnie jednemu szkodować na tem, niż wam wszystkim dla mnie.

Ale gromada rzuciła się do nóg dziedzica i jęła wołać:

— O wielmożny panie, a nie chciej też nas opuszczać, bo nam przyjdzie jęczeć pod moskiewską ręką. A przyjmże to od nas na zapożyczkę, a przecież my wiemy że jak porośniesz w pierze, to nam stokrotnie oddasz, chętnem i życzliwem sercem.

Więc dobre panisko, nie mógł się już wymówić; nachylał się, obejmował i ściskał swoich gospodarzy, a przyjmował od każdego, co mu tam który przyniósł na zapomogę. A skoro w parę dni później przyjechali do niego przyjaciele w odwiedziny, to im otworzył oborę i pokazał sześćdziesiąt sztuk bydła, i mówił:

— Patrzcie, to mi dała wieś moja na zapomogę! — i serce się w nim radowało, i wieczną przyjaźnią rozgorzał do swych gospodarzy.

A pan Bóg błogosławi i ludziom we wsi i dziedzicowi, bo nasz wszechmocny Ojciec kładzie tam zawsze dobrotliwą rękę, gdzie jest przyjaźń i miłość braterska.

Dawne przysłowia i przypowieści.

Kto chleba nie chce, nie godzien kołacza.
Kto nie rad robi, temu zawsze niedziela.
Trzeba się zmaczać, kto chce ryby łowić.
Nie szyj sobotnim sztychem, na niedzielny targ.
Sama się robota w palcach robi, kiedy się z ochotą pracuje.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. Nr. 10.

1. Kwietnia. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Chrystus nam zmartwychwstał, Alleluja!

Przezwyciężył Syn Boży wszelką moc pogaństwa! Przybili Go na krzyż między łotrami, przeszyli bok Jego, i koronę z cierni kładli Mu na głowę, a owo złożony w zimny grób kamienny, powstał z martwych cudem, i rzucił postrach na złe i niewierne.

Alleluja, zmartwychwstał! I zostawił po wiek wieki świadectwo dla świata, że większą jest siła Boża na ziemi, niż chytre podstępy szatana, syna ciemności. I zostawił naukę dla całego świata, że wszelka miłość i wszelka prawda są nieśmiertelne; a choćby ją fałsz i podstęp zwyciężył, i zabił a pogrzebał: to przecie zmartwychwstanie w swoim czasie wielka światłość prawdy, a rozprószy ciemności fałszu i grzechu!

Zmartwychwstał Jezus Chrystus, i rozprószył ciemności grzechu i fałszu, lecz ludzie padają znowu w otchłanie, a uginają się pod ciężką ręką karzącego Boga! Corocznym obchodem Wielkiej-nocy upomina was Chrystus, syn Boży, jakoście winni powstawać z błędów, i z grzechu, a choćby cierpieniem za cnotę i za prawdę, dawali świadectwo całemu światu, że świa-

tłość i prawda są nieśmiertelne, że nieomylną jest nauka Chrystusa Pana!

Wstań, który spisz i powstań z martwych, a ożywi cię Chrystus! Tak woła Apostoł święty na ziemię całą, aby odwróciła oczy od fałszu, a w prochu własnej znikomości ugięła kolana przed prawdą, i obudziła się ze snu grzechów. Człowieku, rozjaśnij twe czoło, i przetrzyj oczy ze snu; inaczej będziesz chodził zawsze jak wół w jarzmie niewoli, będziesz całował rękę, która batogami twój grzbiet smagać zwykła. Spiący i niedbały, będziesz zawsze ponurym i ociężałym; wstań z martwych, a Chrystus cię ożywi!

Miłością i zgodą niech wzrastają serca wasze, a zmartwychwstanie w was światłość prawdy, i przejrzą wasze oczy niewidome. *Chrystus zmartwychwstał!* mówi Mazur; *Chrystos woskres!* woła Rosin, i dzielą się jajem i paską święconą, a jedną myślą witają Pana nad Pany w Jego chwili zmartwychwstania. Czysty i biały powinien tu każdy być w swojem sercu, bo inaczej bluźni Bogu, co zna tajemnice ludzkie, sprzeciwia się prawdzie i bije pokłony szatanowi. A serce w obec Boga nie może mieć nienawiści; Prawda i Miłość, Światłość i Zgoda: to śpiew anielski w chwili zmartwychwstania.

Budzi się ziemia ze snu zimowego; stopniały śniegi i trawa strzela już zielona; budzą się ptaszęta panu Bogu chwałę wyśpiewując, i lecą bociany na rodzinne gniazda. Budź się i ty człowieku, a zmartwychwstań. Uczyniłeś spowiedź, i oczyściłeś serce twe przed Bogiem, czy masz-że dalej spać w barłogach grzechu i zbrodniczej nienawiści? Bóg skarze cię srogo, gdy w chwili przejrzenia i zmartwychwstania twej duszy, nie podasz rękę bratu, czy to w zagrodzie czy to we dworze, i nie napełnisz serca twego bratnią miłością.

Idą chmury od zachodu, a kto wie co one tam w sobie niesą. Jeżeliś czysty w sercu, miłujący a szczery, to spuści pan Jezus ciepłą rosę na twoje łany, i będzie ci wzrastać żyto i zazieleni się rola pszeniczką. A skoro zostaniesz nieczysty i pełen grzechu w twojem sercu, to drzyj przed sprawiedliwością Boga. Gradem zniszczy on twoje zasiewy, a piorunami zagrodę, gdy zechce ci ukazać swoją twarz zagniewaną. A kiedy ci się nic

nie stanie, pomimo tego że złym będziesz w sercu, to drzyj i módl się, byś uszedł wiecznej ciemności.

Alleluja, alleluja, zmartwychwstał nam Chrystus, zmartwychwstała nam wiosna, i zmartwychwstało w nas serce czyste po świętej spowiedzi. Korzmy się przed Bogiem, przed światłością i prawdą, a uznawajmy Jego dobrodziejstwa w bliźnim naszym, miłując go jak siebie samego! Bóg twój, człowiecze, przelał krew za ciebie na krzyżu hańby; więc i ty nie skąp krwi serca twego dla bliźnich, a rozradujesz Boga. Kto ciemności i grzechowi służy, dla tego wieczna ciemność i potępienie.

Alleluja, alleluja! Chwała Synowi Bożemu na wysokościach, który nam dziś zmartwychwstaje!

Alleluja!

Ciało Chrystusa złożyli w grobie,
I ciężki z góry przywalą głaz;
Cieszą się zbrodnią i mówią sobie:
— Już jego bóstwa skończył się czas! —
Aż dnia trzeciego w ciemnej pieczarze
Wielka się światłość z grobu ukaże:
Chrystus syn Boży
Zmartwychpowstaje,
A straż się trwoży,
Ducha oddaje,
Krzepnie w niej krew;
A w górze wieniec Aniołów buja
I wznosi śpiew:
Alleluja! —

Zadrzyj radością ziemio drzemiąca,
Wypłyń-że słońce z wysokich gór;
Zawitaj zorzo złotem kapiąca,
Niech się rozbudzi wszelaki twór:
Niech wszystko chwałę opiewa Bożą,
Niech modły w cnotach ludzi pomnożą!
Za wieczne życie,
I śmierć bezpieczną,

I grzechów zmycie,
I światłość wieczną
Niebieskich dróg;
Niech nasz głos czysty w powietrzu buja:
Zmartwychwstał Bóg,
Alleluja! —

Wróż.

Późno już w nocy było, a Barciakowie siedzieli przy stole i gawędzili o wielkiem szczęściu, co przybędzie, skoro tylko pieniądze wykopią. A że też im i ochotnie było, więc wygonili Marynkę spać do komory, a sami kazali przynieść poganiaczowi Bartkowi kwartę miodu od Mendla, i tak się we dwoje traktowali, a rozprawiali o tem, co się też z Marynką stanie, jak będą panami.

— Taże Marynkę już Staszkowi poręczyliśmy? — rzeknie Barciak.

— O, nie miałabym roboty, aż za chłopa córkę wydawać — zawołała żona. — Ja myślę, że się o nią, bo to jedynaczka, panicz dworski pokusi. Nawet jak tu kiedyś przychodził, to do mnie samej mówił: ładne dziecko wychowaliście sobie. Potem jak jej wróż z ręki czytał, to świadczyło na niego, bo któżby inny był z drugiej strony rzeki? A Jagusi wskazywał na Staszka.

Barciak. Ta u Boga nic niepodobnego.

Żona. Tylko jabym chciała, żeby ją na kilka niedziel do Rzeszowa dać, coby się tam wyuczyła, jak to się przybrać i wymuskać. Ot, na ten przykład Wikta Kulikowna, takie niezgrabne pastusze, nie ma kilka miesięcy, jak tam służy u jakiegoś urzędnika na nowem mieście, a jak się wybrała! Toć u Borowców na weselu w jesieni, aż ją ludzie nie poznali. Nie chciała za innemi tańcować, tylko aż się rozstąpili, to poszła z młynarczykiem, i tak się wykręcała, że się ludzie napatrzeć nie mogli.

Barciak. Ona-bo na obręczy spodnicę nosi, to się bała, by jej który chust nie zaczepił, nie rozdarł, albo nie przydeptał.

Żona. Potem żeby znała na książce, i umiała czytać. Muszę jej nawet w tych dniach kupić książkę do nabożeństwa, taką z świecącym krzyżykiem a z panem Jezusem na wierzchu, jak ma młynarka z Białej, żeby to już była i na niedzielę.

Barciak. Ale kiedy nie umie czytać.

Żona. Nic za to, ale będzie umiała; bo jak dobrze zapłacić, to tak pokażą, że wnet litery pozna.

Barciak. Jak ty tam wszystko masz na pamięci.

Żona. Potrzeba nam i o sobie pomyśleć, coby sprawić.

Barciak. Mnie by najrychlej przydał się zegar, bym wiedział kiedy południe, bo czasem pastuch zaspi, i późno z pola zgoni. I to taki, żeby był z kukułką, albo z graniem, co to co godzina pokazuje się na zegarze Krakowiak w pięknej czerwonej czapeczce na cztery rogi, w karazyi niebieskiej, w pasiku z kółeczkami; zegar mu Krakowiaka gra, a on żwawo podskakuje i w podkóweczki bije. Potem potrzebny mi kalendarz, i strój inny jak tam krawiec poradzi.

Żona. Mnie najpilniej trzewiki z pończochami, rękawiczki, i taki przydaszek o jednym kiju, co to większy od deszczu, a mniejszy od słońca. Trzeba mi też i żwierciadła dużego, cobyśmy sie w niem z Marynką całe widzieć mogły.

Barciak. Nie jedno przyjdzie mieć na głowie.

Żona. Bo też to powiadają: chłopi pracują rękami, a panowie głową.

Barciak. Mnie bo już coś głowa zaczyna pobolewać; trzebaby ją wzmocnić. Pono tam zostało jeszcze coś wina w flaszce? miałoby do jutra skwaśnieć, to lepiej dziś niem się uleczyć.

Żona. A jest, jest. Wystarczy poprawić po miodku. Do ciebie mężu! ... jeno jakoś piecze w gardle.

Barciak. Bo to takie imbierowate z Dukli, ale zdrowe. (pije) Coś mi się na wesołość zbiera. Gdyby była muzyka, to bym sobie zaśpiewał.

Żona. Mój mężu! Zaśpiewaj też, bo to u ciebie nie trudno poskładać.

Barciak (śpiewa):

Idzie wiosna idzie,
Koniec mojej biedzie;
Od świętego Jana
Wyjdę już na pana.

Przyjdzie jesień, w kompanii
Z państwem się zabawie,
A gromadzie z mojej łaski
Wieńcowiny sprawię.
Hop! ha!

Żona:

I ja sobie także
Wielką panią będę,
W niedziele w kościele
Z dziedziczką zasiędę.

Baby będą mi zazdrościć,
A ja pyszna nadmę minę,
Będą wściekać się i złościć,
Jak mi ksiądz poda patynę.
Ej ha!

Razem:

Piechotą już więcej
Łazić nie będziemy,
Czy na kiermasz, czy na jarmark
Koczem pojedziemy.

Gdzie nas ludzie ujrzą,
To przy drogach stają,
Państwu Barciakowskim
Nisko się kłaniają.

Barciaczka nie mogła się opamiętać z wielkiej radości; nuż się mężowi wieszać na szyi i całować:

— O mój mężu śliczny! Ładnie też to będzie ci być panem, bo z ciebie taki figurant, jakiego nie ma.

Barciak pogłaskał żonę po twarzy i chciał jeszcze coś powiedzieć, ale go czegoś po miodzie sen wielki rozebrał, więc przewalił się na posłanie jak długi, i zaczął chrapać i sapać niby miech kowalski. Nie mogła się też już i Barciaczka utrzymać na nogach, toż więc niezadługo było już cicho i ciemno w chałupie Barciaków.

Nazajutrz raniutko wpada Marynka i woła:

— Matusiu! Tatusiu! wychodźcie prędko opatrzyć, bo donica już odwalona.

Biegnie Barciak, utknął na progu, upadł, i nos sobie zakrwawił, Barciakowa znowu zawadziła o zasuwkę i koszulę rozdarła; wybiegają do ogrodu, a tu im zachodzi pastuch drogę, i rzecze, że wieprzak wybiegł z chlewa, i z swojej świńskiej ciekawości odtrącił pyskiem skorupę, i poruszał trochę ziemi. To zawstydziło cokolwiek Barciaków, jakoż powrócili do izby.

Dzień się już zrobił wielki: wyglądają niespokojni powrotu wróża, aż tu daje się słyszeć jakiś krzyk i płacz chłopczyny. Wybiegają Barciakowie, a tu idzie Bartek z lamentem, pytają się go, co się takiego stało? a on włazi do izby, i nuż opowiadać:

— Jakeśmy wjechali w las Zabratowski, kazał wróż stanąć i koniom spocząć, a sam poszedł z żoną za ścieżką niby do znajomgo leśnego zagrzać się trochę. Po małej chwilce wrócił sam wróż i mówi: Zbiegnij i ty tam na dół do chałupy a przeisz co; ja tu już będę przy koniach. Tylko się tam długo z żoną nie bawcie, ale wnet wracajcie, by nas noc nie zapadła. — Biegnę, chałupy żadnej nie widzę; wracam, a tu już i wróża nie ma. Wołam, biegam, krzyczę, nikogo ani uświadczyć. Już się zmierzchło; a to szczęście dla mnie, że leśniczy jednym koniem sankami nadjechał, i wziął mnie na noc do siebie.

Barciakowie zgłupieli z podziwu, a potem dopieroć okropny rozpoczął się lament.

— Hej mój kożuch nowiuteńki -- woła Barciak — kosztował mnie dwadzieścia pięć srebrem!

— A moje korale po babce, com je dla Marynki chowała!

— A moje konie! moja klacz źrebna, jeszcze po cesarskim!

— Oj hoj! — zawodzi żona i wyrywa włosy — zastawił łapkę zastawił, i połapał nas zamiast myszy.

— Oj hoj! — zawodzi Barciak — miał-ci magnes z góralskiego kraju, ale nie w kiju, tylko w rękach, co mi 60 cwancygierów z Matką Boską w komorze z górnej pułki ściągnał, jak się modlił.

I tak bez ustanku rozpaczają Barciakowie, zawodzą a lamentują, że aż chałupa się trzęsie. Zbiegają się ludzie, słuchają i zrazu się uśmiechają, a potem ich żal za niemi rozbiera. Wojciechowa tylko z Marcinową stały za płotami i przedrwiwały, że ich dziedziczkę okradło, ale inni radzili by go szukać, jeno nadarmo, bo ktoż tam wie gdzie. Od Błażowy przyszedł, w drugą strone ku Kanczudze pognał.

Ku wieczorowi nadchodzi dziadek szpitalny z kartką od księdza proboszcza, żeby Józefowie nazajutrz rano po mszy św. do niego się stawili. Domyśleli się po co, zaraz rano poszli, byli w kościele, zachodzą do księdza proboszcza, a ten po chwilce wychodzi do nich, i rzecze zwolna:

— Witajcież Józefowie! jak się tam macie! co tam u was słychać, coście tak smutni? a nawet widzę, zapłakani?

Nic nie odrzekli Barciakowie, tylko ciężko westchnęli; więc ksiądz proboszcz rzecze:

— Wiem o wszystkiem! Nie chcę powiększać żalu w sercach waszych, bo widzę, że sami dosyć czujecie. Muszę wam jednak jako pasterz otwarcie powiedzieć, żeście wielki grzech popełnili i mocno obrazili Boga. Zgrzeszyliście przeciwko pierwszemu przykazaniu, które mówi: nie będziesz miał Bogów cudzych przedemną, a wyście we wróża uwierzyli. Sprowadziliście na siebie pośmiewisko, hańbę dla całej parafji, a mnie starego, który lat 40 u was pracuję, i zawsze was od wróżów ostrzegałem, nabawiliście smutku nie małego. Bo cóż będą mówić po sąsiednich parafjach, że u mnie jeszcze takie zabobony się utrzymują? Moja rada: udać się na drogę pokuty, by Boga najpierwej przebłagać. Uczyńcie sobie dziś w domu rachunek sumienia, a jutro przystąpicie do spowiedzi i do komunji świętej; potem wieczorem w przejeździe do dworu, wstąpię do waszej chaty i odwidzę was. Będą ludzie wiedzieć żeście przeprosili Boga, że i ja wam przebaczyłem, przebaczą wam i oni i uspokoją się.

Dopełnili wszystkiego Barciakowie i uspokoili się. Niektórzy sąsiedzi naradzali się by zrucić po kilka groszy, i Barciakowi sprawić kożuch, a kobiety chciały zsypać po parę pa-

ciorków korali, by dać Marynce, ale Barciakowie podziękowali i rzekli:

— Gdyby to przez jakie nięszczęście ta szkoda się stała, to byśmy waszem sercem nie gardzili, ale tu my sami zawinili, więc nie warciśmy tego. Trzeba żebyśmy to odpokutowali, a Bóg nie opuści nas,

Więc ludzie choć na wiosnę zaorać mu pomogli; a Marcinowa się prędzej pojednała, a Wojciechowa jakiś czas się jeszcze urągała, ale i jej złodzieje lepsze chusty skradli, a mąż innych sprawić nie chciał, bo i nie miał za co: tak też i ona spuściła nos na dół, i pogodziła się.

W pół roku potem wybrali się Barciakowie w kompanji z innymi na odpust na Siewnę, do Starejwsi. Pierwszego zaraz dnia po nieszporach spotkali się z wróżami, a prawie że wleźli na siebie. Nie stracił Barciak głowy, pochwycił wróża za kołnierz od kożucha, a Barciaczka znowu wróżkę za korale, i o mało jej z skórą ze szyi nie zdarła. Byłoby nawet może do jakiej biedy przyszło, ale byli i inni ludzie z tych stron jako to: Dudek, Ziaja, Płonka, Szwed, Borowiec i Kutas, a ci ujęli się za niemi.

Wróż zręczny wyciągnął prędko ręce z rękawów, i strzelił między ludzi, puściła i wróżka korale; jeden sznurek się przerwał, pozbierali co mogli, i poszli wszyscy na noc do jednego gospodarza. Tam w stodole wszystko przepatrywali. Siedm tylko skrajnych małych koralików brakło, zapewnie ludzie gdzieś zadeptali, aleć resztę zaraz Marynce matka na szyi zawiesiła. Kożuch trochę był przesmolony ale cały; pod kożuchem spostrzegli przyczepioną małą kieszonkę, a w tej było parę zakręconych gwoździ, i witrych, co świadczy że wróż pewnie złodziejską sztuką narabiał. Były też i dwa papierki na pięć reńskich, co Barciaka nie mało ucieszyło.

Na drugi dzień wracali do domu. Barciak wstąpił po drodze do swego proboszcza, opowiedział wszystko, i radził się, czyby nie dobrze było opisać to, i do gazet podać, by się ludzie od wrożów strzegli; a ksiądz proboszcz poradził tak:

— Macie pisarza swego we wsi; zaproś go do siebie, opowiedz całą historję od początku do końca, niech wszystko spisze i mnie przyniesie, a ja poszlę do Lwowa, by wydrukowali

w *Dzwonku,* bo tę gazetę wszędzie po wsiach ludzie czytają, więc wyczytają i to zdarzenie, i będą mieć naukę.

Pobiegł Barciak, zaprosił nazajutrz pisarza i kilku dobrych sąsiadów, a opowiadał wszystko w całym porządku, a pisarz pisał za nim.

Kpił sobie chwilami Barciak z żony, a ona z niego, a osobliwie, jak na radę przyszło, i na śpiewkę, co poskładali, więc też i naśmiali się wszyscy do syta. Ja zaś wszystko to od słowa do słowa rzetelnie spisałem, by ludzie strzegli się wróżów i złych ludzi, a trzymali się wiernie przykazań Boskich i kościoła świętego. Jeden taki dokument na drugą rękę w skrzynce gromadzkiej na pamiątke zostawiłem, a ten tu na świadectwo prawdy własnoręcznie podpisuję:

Fabjan Klus,

pisarz gromadzki, razem starszy brat Różańcowy.

BOŻA-MĘKA.

Długą ulicą topolową szła zwolna, oparta na kiju stara kobiecina; sakwy zawieszone na plecach, i torba u pasa pokazywały żebraczkę, ale na twarzy wyraz spokojny, łagodny, prawie wesoły. Kiedy weszła do wsi, wszystkie gospodynie wybiegły na próg chaty, i albo zapraszały ją do izby, albo wynosiły czem komora była bogata: ta miseczkę grochu, tamta miarkę mąki, owa kawałek chleba; najuboższe nawet komornice nie przepuściły ją z niczem, i po pare kartofli do sakwy dorzuciły. Ona wszystkim uprzejmie dziękowała, każdą po imieniu nazwała, każde dziecko pogłaskała, i szła dalej z błogosławieństwem i modlitwą na ustach.

Jedna z starszych gospodyń zapytana, zkądby była ta staruszka, odpowiedziała: — A toć to jest Babusia z N.... znana na całą okolicę; dawniej mieszkała we wsi sąsiedniej, teraz dalej o granicę się przeniosła, ale często tu przychodzi odwiedzać stare kąty, pomodlić się pod Bożą-męką, którą wystawiła, a każda z nas chętnie by ostatni kawałek chleba z nią podzieliła.

— Zdaje się być już starą?

— Pono dziewięćdziesiąt lat blisko; byłam jeszcze dziewuchą kiedy ona już była wdową, a przynajmniej ludzie mówili, że jej mąż nieżyje, bo kiedy tam i gdzie umarł, nikt tego nie wie.

— Jak to było, proszę?

— Jeśli posłuchać chcecie, opowiem: Maciej Bednarczak, mąż Babusi, był rodem z tych okolic, młodo wstąpił do wojska i jeszcze za jedności był żołnierzem w Warszawie; później powrócił w swoje strony i ożenił się z tą oto Barbarą Michalczak. Ona była urodziwa i niczego dziewczyna, dobra do pracy, on pracowity, nie pijak, dostali po rodzicach zagrodę, i jak to w owe czasy bywało, dobrze się mieli. Ale niedługo to trwało, wojna wybuchła, Maciej w domu wysiedzić nie mógł, i zaciągnął się do wojska. Zwiedził Niemcy, Francyą, Hiszpanią, wszędzie dostał rany, lecz Bóg przy życiu zachował. W kilka lat potem wracał do domu boso, w wytartym mundurze, ale mówią, że miał zaszytych w podszewce dużo złotych pieniędzy; zkąd je tam wziął niewiedzieć, bo nigdy ani żonie nie powiedział. W drodze także się z pieniędzmi wcale nie wydawał, bo wówczas po wojnie dużo było włóczęgów, a nuż by go który obdarł! więc szedł sobie boso, żył o czarnym chlebie, czasem szklaneczkę piwa wypił i tak zbliżał się do granicy. Ale im bliżej był kraju, tem jakoś niespokojniejszy, pieniądze mu ciążyły, jakby się ich wstydził, i nie śmiał się z niemi pokazać poczciwej żonie, pod rodzinną strzechą. Już było widać słupy graniczne, Maciej zatrzymał się, usiadł na dużym kamieniu, co leżał na polu przy drodze, myślał długo, nareszcie wypruł pieniądze z podszewki, pięć sztuk złota do kieszeni schował, a resztę zakopał pod kamieniem, i potem już lżejszy i weselszy, w dalszą puścił się drogę. Trzeciego dnia był już w rodzinnej wiosce; zastał Basię cichą, poczciwą, pracowitą jak dawniej, ale wynędzniałą i schudzoną. Pod niebytność gospodarza bieda od dawna zagnieździła się w chacie, zagroda opustoszała, pola nie uprawne, bydełko rozmaicie wymarniało, w domu pańszczyzna nie odrabiana, i dwór przez wzgląd tylko na Maciejów, nie obsadzał kim innym zagrody. Co tu robić? Maciej biedził się długo z myślami, wybierał się żonie coś powiedzieć, pieniądze z kieszeni wyjmował, i znowu milczał i złoto do kieszeni schował.

Nareszcie dnia jednego przyszła egzekucya za dawno zaległy podatek, nie było w domu czem zapłacić, zabierano pościel, Basia nie skarżyła się, tylko cicho płakała. Nie mógł dłużej wytrzymać Maciej, wydobył pieniądz złoty i zapłacił podatek. Egzekutor przyjął, nie zdał reszty, że strata na zagranicznych pieniędzach, i jakoś z ukosa na Maćka spoglądał, lecz ten mu rzekł na boku: milcz, a zarobisz grubo! Gdy odszedł, Maciej wyznał żonie, że ma jeszcze cztery takie sztuki złota przy sobie, a wiele więcej zakopanych pod kamieniem, kazał jej być dobrej myśli, opowiadał jak to chatę wyporządzą, bydła nakupią, wóz kowany sprawią i zaczną gospodarować na nowo. Basia nie uśmiechnęła się na te obietnice, tylko zapytała ze łzami: — A nuż na tych pieniędzach krzywda boska, lub ludzka? Żebyć tam już wcale krwi na nich nie było, odrzekł Maciej, tego nie powiem, ale co wojna, to wojna! — zamilkł, zmarszczył brwi, splunął i dalej tak mówił: Ale bądź spokojna, nie rabowałem kościołów, tego nasi nigdy nie czynili! Teraz nie mam czego czekać, dziś jeszcze wyjdę w drogę, za tydzień najdalej powrócę, a wtedy spodziewam się, że moja Basia już więcej biedy mieć nie będzie; tymczasem zostawiam ci te kilka sztuk złota od przypadku. — We dwie godziny Macieja już nie było w chacie, ale tydzień jeden i drugi, miesiąc jeden i drugi upłynął, a Maciej nie wracał, ani żadna wieść o nim nie doszła. Basia oczy wypłakać chciała z tęsknoty i zmartwienia. Na przednowku chleba nie było w domu, a jednak pieniędzy złotych ruszyć nie chciała; zdawało jej się zawsze widzieć na nich krwawe plamy, lękała się o zbawienie męża, o własne.

Za rok wrócił tenże sam egzekutor po na nowo zaległy podatek. Basia dała sobie pobrać resztę ubogich sprzętów, pieniędzy zostawionych od męża nie ruszyła. Wtedy to gruchnęła wieść między ludźmi, że Maciej umarł gdzieś tam w dalekiej stronie, a żonie wielki majątek zostawił, tylko ona się ztem wydawać niechce. W tej nadziei kilku parobków posłało w swaty do Basi, ale nawet wyjść do nich nie chciała, a kiedy rok i sześć niedziel minęło, oddała dworowi zagrodę i rolę, mówiąc: że wdowa poradzić sobie nie może z gospodarką, a potem poszła do proboszcza, i złożyła u niego co tylko miała

pieniędzy na mszę za duszę męża i wystąwienie Bożej-męki, co ją ot tam widać na początku wsi między brzózkami. Tak się ogołociwszy, poszła w służbę do poczciwych gospodarzy, i pracowała uczciwie, póki jej sił starczyło; gdy siedmdziesiątka minęła i ręka osłabła do pracy, wzięła kij żebraczy, i odtąd obchodzi nasze wioski, często się modli pod krzyżem, który wystawiła ostatkiem wdowiego mienia, a każda z nas chętnie się z nią dzieli czem może, choć i czasem Pan Bóg urodzajem nie pobłogosławi.

Kobieta skończyła. Babusia tymczasem już minęła wioskę. W kilka tygodni później, było to we wrześniu, Babusia wróciła z odpustu Matki Boskiej, i wedle zwyczaju ile razy ŚŚ. Sakramenta przyjmowała, poszła się modlić za duszę nieboszczyka męża pod krzyżem. Tą razą dłużej się modliła, wieczór już zapadł, a ona jeszcze z kolan się nie podniosła; nareszcie owa kobieta się zbliżyła, chcąc ją na spoczynek do swego domu zaprosić — a staruszka już była usnęła na wieki.

(Z Roku wiejskiego.)

Jakto Jacenty Gajowy
z próżniaka Franka zrobił poczciwego gospodarza.

Na pagórku pod laskiem, leżał Franek syn włodarza, okrutny próżniak, co po całych dniach wybierał gniazda ptakom, albo za chłopakami kamieniami ciskał, a nic mu się robić nie chciało. Korciło to poczciwego włodarza, że miał takiego nicpotem syna, i gdyby nie miał Boga w sercu, jużby go był dawno wygnał z chałupy. Nameczyła się z nim niemało matka, ba nieraz i sąsiad jaki za włosy go wytarga, ale to wszystko nic nie pomagało, Franek po całych dniach nic nie robił.

Kiedy właśnie leżał na trawie i podparłszy brodę, suszył sobie głowę jakby tu jaką nową psotę wymyśleć, nadszedł Jacenty, stary gajowy, siadł przy nim i rzekł:

— Nad czem to tak rozmyślasz mój Franku?

— A no, myślę sobie o tem, panie Jacenty, żeście wy bar-

dzo szczęśliwi, co macie taką piękną fuzyję, i chodzicie sobie przez cały dzień nic nie robiąc, a jeno wypatrujecie gdzie ptak jaki się- dzie, i buch w niego.

— Tobyś ty może rad strzelcem został? — zapytał gajowy zapalając fajkę.

— Ba, i cóżby nie, jużbym się nie potrzebował włóczyć za koniskami, a matusia ani tatuś nie przewodziliby nademną, bobym im codzień przyniósł jaką zastrzeloną bestyję, i byłoby tyle roboty.

— A umiesz strzelać?

— Leżałbym sobie to tak na trawsku, gdybym rozumiał użyć fuzyi ale? mi się widzi, że to nie wielka sztuka, ba ta jeno pociągnąć za tę kurcabę, to i juści zając leży.

— A kiedy tak, to dobrze, widzisz na krzaku srokę, pal do niej.

— Ba, albobyście wy to pozwolili? — zawołał niedowierzając Franek.

— Pal, mówię ci — rzekł Jacenty dając mu fuzyą.

Franek chwycił ją z radością, obracał na wszystkie strony, pociągał tu i owdzie, ale i wystrzelić nie umiał i sroka tymczasem uciekła.

— A czy tam grzesi z taką robotą — rzekł zawstydzony kładąc strzelbę — takie niezdarne fuzyjsko, co ani wystrzelić nie umie.

— Ba — zawołał Jacenty — toś to ty chłop niezdarny, jak wół do karety, a patrzajno.

I porwawszy fuzyą, przymierzył, wycelował i palnął, a piękna wilga zleciała z drzewa.

Franek poskoczył, przyniósł wilgę i wydziwić się nie mógł, czemu on do sroki wystrzelić nie umiał.

— Oj jeślibyście mię nauczyli strzelać, to jabym wam też ślicznie podziękował.

— Dla czego nie mój Franku, ale widzisz, trzeba nam upleść cel z wierzbowych gałązek, a ja nie mam czasu.

— To ja go zrobię! — zawołał uradowany Franek.

— Natnijże łoziny i przynieś do mnie, ja ci pokażę jak się plecie.

I tak się stało: Franek naniósł pręcia, upletli z tego cel

okrągły, a duży jak dno od wielkiej beczki. Cel był, ale cóż kiedy ani prochu, ani śrutu nie było, a Jacenty dać nie chciał. A że się Franek, ochoczo pracując uczył pleść ochotnie, to też z pomocą Jacka zrobił dwa proste kosze ręczne i zaniósł do miasta, a sprzedawszy je kupił prochu i śrutu.

Stary Jacek uczył go strzelać, ale wciąż na proch kazał pleść koszyki. Wreszcie zachciało się Frankowi mieć fuzyą własną, więc przez trzy miesiące plótł i sprzedawał koszyki, aż i fuzyą kupił; a tymczasem wyuczył się i przyzwyczajał do roboty. Gajowy uprosił dziedzica, żeby Frankowi pozwolił co niedziela po nieszporze chodzić na ptaki, ale pod warunkiem, żeby Franek przez cały tydzień nad koszykami siedział. I tak też było, aż i Franek przyuczył się do pracy, i stał się pierwszym na całą parafię koszykarzem i niezgorszym strzelcem. Dziedzic go też zrobił gajowym; Franek ożenił się, a wyplatając z dziećmi kosze, do pięknego grosza przyszedł i zawsze mawiał: — Co też to za zmyślny człek z tego Jacentego, jak on mię sztuką zaszedł! Gdyby nie on, tobym już dawno albo umarł z głodu, albo chwycił się złodziejstwa, i jeszczeby mię w końcu obwiesili na piękne. Boć to nie było większego próżniaka jako ja, a teraz nie ma pracowitszego chłopa, jako on próżniak Franek.

(*Km.*)

RÓŻNOŚCI.

Rok wiejski. W owem mieście *Gnieźnie*, kędy to pierwszy książę polski białe orły w gnieździe znalazł, a co teraz pod Prusakiem w W. księstwie Poznańskiem zostaje, drukują też dobrzy ludzie różne śliczności, z historyi naszego kraju i żywotów świętych, i powieści o złych i dobrych ludziach, a czasem też wiersze i śpiewki, co tak słodko jak miód w ustach się rozpływają. Wychodzą tam te książki w takich dniach, kiedy ludzie po wsiach dużo czasu wolnego mają, coby na czytanie obrócić go mogli. Więc najwięcej w czasie świąt, czy Wielkanocnych jak teraz, czy Zielonych świątek, czy Narodzenia Bożego, jedna książeczka, podpisana: *Rok wiejski*, a ludzie czytają i cieszą się temi ładnemi rzeczami. Ja wam też wydrukowałem z tego *Roku wiejskiego* ową historyjkę: *Boża męka*, co tu w tym numerze stoi, bo sobie myślę: kto ma dużo

czasu a i pieniędzy mu nie brak, albo jest szkółka we wsi, kędy dzieciom książeczek do czytania potrzeba, to nie zawadzi podać mu to do wiadomości i zachęcić, żeby mógł kupić w księgarni, to jest w sklepie, gdzie książki sprzedają.

Święcone. — Mój Wojciechu, a toć jedzcie przecie! A doczegożeśmy to jaj nagotowali, i kiełbasy kilka łokci kupili, i słoniny połeć. A do czegoż to moja paski i strucle popiekła; a toć przecie na to żeby się zjadło.

— Dziękuję wam też za gościnność i za dobre serce, ale zjem tylko kawałek jaja, bo jak was też kocham tak, nie mogę. Byłem już i u Goździaków i u Kogutów, i najadłem się tam do syta.

— Oj, oj, a pocóżeście do nas przyszli; a przecieć święta nie na co innego są, jeno na to, żeby sobie raz w rok choć dobrze podjeść. Zjedźcie też, zjedzcie i wy choć kruszynkę.

— Słyszę ja mój kumotrze dziwne rzeczy od was. Mówicie mi, że święta są na to, aby sobie podjeść? A cóż to wy serce w brzuchu macie? Bo ja we święta sercem pana Boga chwalę, jako że ku Boskiej czci wszystkie święta są postanowione.

— He, he, mój Wojciechu, a powiedzcież mi, dla czego ludzie w czasie świąt tyle jadła gotują i pieką? Jużci to dla ludzi żeby jedli a pamiętali na święta.

— A jużci że dla ludzi, ale nie na to coby się obżerali jak nieprzymierzając prosięta, a zalawszy pałkę jeszcze się może swarzyli i pobili. Jużci zakazuje nam kościoł pracować we święta tak jak w dzień powszedni, ale to dla tego, żebyśmy mieli czas rozmyślać sobie o wszystkich dobrodziejstwach pana Boga, jakie na nas zseła, i o własnem sumieniu, i o własnych uczynkach, jako powinny być zawsze sprawiedliwe i miłości pełne. Są też święta na to, aby słabych odwiedzać, aby bliźnich a biednych wspomagać radą i uczynkiem, i pouczać się wzajemnie.

— No, aleście mi zawsze nie powiedzieli Wojciechu, czemu się to tyle jadła na Wielkanoc ładuje.

— Widzicie mój kumotrze, na Wielkanoc ładuje gospodyni jadło dla miłych gości, bo w naszej kochanej Ziemi zawsze tak bywało i bywa że: *gość w dom Bóg w dom*, a to znaczy, że każdy gość Boga ze sobą przynosi, więc go też i uznać i przyjąć należy. Ależ trzeba żeby każdy skromnie, a nie wiele zjadł, bo to grzech wielki kazić się we święta obżarstwem lub pijaństwom; a wy mię do tego namawiacie jako że jestem syty. I nie dość na grzechu; ale i grzeszne ciało łatwo zatracić można, boć niejednego po świętach choróbska schwytają i czasem śmierć napada, a to z tego tylko, że się obżerał jak nieboskie stworzenie! —

Na to mądre gadanie nie odezwał się już kumoter; zjadł tylko z Wojciechem kawałek święconego jajka, a ściskali się przytem i życzyli sobie dosiego roku.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. | Nr. 11.

11. Kwietnia. | 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zygmunt August i Barbara.

Choć włoszka *Bona* w puchach wychowywała swego syna Augusta, toć przecie sprawdziła się na nim ona gadka ludzka: *jakie drzewo taki klin, jaki ojciec taki syn*, bo w Auguście ostały się cnoty ojcowskie, a tak też byłci on godnym potomkiem wielkich królów polskich!

Młody królewicz, jako że książę litewski, był właśnie na Litwie i to w głównem mieście Wilnie, skoro mu doniesiono, że ojciec jego, król a pan miłościwy umarł. Zasmucił się syn nie mało, ową śmiercią dobrego ojca, aleć wnet ofiarował smutek swój panu Bogu, a sam jął się krzątać koło królestwa, jako że tron i rządy nad całą polską Ziemią spadały teraz na niego. Więc też rozsyła pisma i dworzanów swoich, a zaprasza wszystkich na zamek wileński, kędy go już jako króla i pana powitać mają.

Zjeżdżają się panowie i dworzanie, i wchodzą na pokoje królewskie, a witają pana swego, lecz dziwno im, bo obok króla widzą jakąś nieznaną niewiastę.

Skoro August ujrzał tę ich dziwność na twarzy, tak weźmie oną niewiastę za rękę, i rzecze wskazując na nią:

— Oto *Barbara*, córka *Radziwiłłowa*; była ona żoną Gasztołda, lecz mąż ów umarł, więc ja wziąłem ją teraz za towarzyszkę moją, i przysiągłem jej wierność przed ołtarzem.

Zdziwili się panowie jeszcze bardziej na te słowa królewskie. Wiedzieli oni, że August miał niemiecką księżniczkę za sobą, ale że owa umarła; zaś o tej nowej żonie żaden z nich ani słyszał. Więc król rzecze dalej:

— Nie dziwcie się moi panowie; pojąłem ja dawniej już za małżonkę tę moją Barbarę, lecz nie ukazywałem jej światu, bo wiem że byłby mi może ojciec na to nie zezwolił, jako że Basia nie jest żadną królewną ni księżniczką, jeno polską szlachcianką.

A wtedy jedni z panów jęli szemrać, a inni co życzliwsi prawią:

— Miłościwy panie, wiesz jak my tobie zawsze dobrze życzymy, a i teraz Boga prosić będziemy by wam obojgu błogosławił, jedno nam markotno, żeście to panie tak pokryjomu zrobili, i bez błogosławieństwa ojców waszych.

Tknęło to w serce Augusta, aleć przecie nie tracił nadziei w Bogu, więc też i nie frasobliwy o Jego łaskę niebieską, pojechał do Krakowa na pogrzeb ojca swojego, a ztamtąd ruszył zaraz do miasta *Piotrkowa*, kędy panowie zwołali *sejm*, żeby się naradzić co tu najpilniejszego jest do roboty.

Aliści tymczasem dowiedziała się królowa Bona o tem małżeństwie swojego syna; a że też była kobieta pyszna, a bogactwa i honorów chciwa, tak ją to do żywego obruszyło, że król polski pojął prostą szlachciankę za żonę!

— A co też do niego przystąpiło? czy oszalał czy co? — wołała zaperzona włoszka. — Nadaremnom ja to widzę samemi łakociami karmiła, a między niewiastami chowała! Nie ma w nim krwi królewskiej i mojej książęcej.

Nie spała też chytra białogłowa, lecz dalejże podmawiać panów na swego syna, ażeby go koniecznie z tą szlachcianką rozwiedli; a wszystko im tłumaczyła, że król już sobie ich za nic nie ma, i robi co mu się tylko podoba. Jakoż gadanie takie musiało

nie jednego poruszyć, a cała burza zahuczała dopiero na sejmie w Piotrkowie.

Zebrali się panowie na obrady, a skoro tylko młody Zygmunt August zasiadł na tronie, zarazci wystąpił jeden z panów imieniem *Boratyński*, a w te odezwie się słowa:

— Urodziłeś się wasza Królewska Mość w królewskim domu, do którego nic nigdy nie weszło czegoby ludzie chwalić nie mieli; ojciec wasz miłościwy panie słynął wielkiemi cnoty, a oto teraz jest już różnica między nim a wami. Wzięliście sobie miłościwy panie szlachciankę, a takie małżeństwo między panem a poddaną nie idzie z Boga, bo nie dla siebie, jeno dla dobra kraju królowi żenić się przystoi. Błagamy cię więc miłościwy panie, abyś porzucił Barbarę, a wziął sobie żonę z królewskiego domu, bo tak zawsze u twoich przodków bywało.

Dobrze mówił na one czasy Boratyński, boć wtedy nie mogło się jeszcze ludziom w głowie pomieścić, że każdego człowieka jednako z bolem na ten świat matka rodzi, i że każdy tu z jednej gliny ulepiony i w jeden proch się obróci. Teraz wiedzą już ludzie, że tylko ten kto poczciwy a pobożniejszy, a miłosierniejszy, to więcej ma wagi w niebie i na ziemi; ale w on czas ważyli człeka po majątku i rodzie, więc też im to dziwno było, że się król żeni z poddanką.

Jakoż rozżalił się August na te mowy panów, a tak się odezwie:

— Co się już stało, odstać się nie może. Wam nie przystało prosić mię abym żonie wiarę złamał, bo czybyście mogli wierzyć że ją i wam dochowam? Przysiągłem żonie, tej nie odstąpię, póki mię pan Bóg na świecie zachowa: a milsza mi jest wiara moja, niż wszystkie na świecie królestwa! —

Widząc panowie że król taki stały, nie ranili mu już więcej serca swojemi prośbami, a owszem przystali na to ożenienie, bo też i markotno im było, żeby król miał wiarę łamać. Więc było już wszystko dobrze, jeno co jedna Bona nie mogła się zgodzić, a groziła, że rychlej z kraju wyjedzie, niż coby miała prostą szlachciankę synową swoją nazywać! Prosił król matkę

o przywiązanie ku Barbarze, aleć nic to wszystko nie pomogło, bo na upór włoszki nie było już rady.

Tak więc Barbara gryzła się bardzo owym gniewem swojej świekry, a że też była już mdła i delikatna z urodzenia, toć wnet popadła i w słabość. I tak ukazało się już w tem pokaranie znać boskie, bo nie było błogosławieństwa ojców na onem małżeństwie.

Niezadługo przyszło do koronowania Barbary na polską królowę. A choć coraz słabszą była owa pani, toć przecie posłuszna mężowi, poszła do kościoła, a tam włożył jej arcybiskup koronę na maleńką główkę. Więc potem był już nasz Zygmunt August nad wyraz szczęśliwy, bo widział swoją Basię nietylko żoną lecz i królową obok siebie. Aleć nie długo dał mu się pan Bóg radować.

Wkrótce po koronacyi, położyła się młoda królowa, tak ją osłabiły strapienia i różne boleści. August zasmucony chodził koło swej Basi, zwoływał doktorów, ale nic nie pomagało, jeno coraz gorzej i gorzej.

Raz wchodzi król do komnaty Barbary, a ona bledziutka jak śnieg na twarzy, i uśmiechnięta jak owo dziecię co raj boży we śnie zobaczy. Więc król się do niej po cichu przybliży i pyta:

— Jakże się masz moja Basiu!

A królowa otwarła oczy jak dwie gwiazdy, i szepnie słodkim głosem:

— Dziwnie mi dobrze, mój drogi; już czuję, że niezadługo przyjdzie mi ujrzeć niebiosa, cieszę się, a bierze mię też i trwoga na oną jasność niebieską. Jakaś słodka muzyka leci mi koło uszu, to jakby ostatnie pożegnanie tej marnej ziemi.

Król połykał łzy gorzkie, ale jął cieszyć niebogę:

— Moja Basiu, ty ozdrowiejesz, mnie i krajowi na pociechę.

Ale ona podniosła białą rączkę, i sparła na jego dłoni i szepła jeszcze ciszej:

— Oj, nie żyć mi już więcej z tobą i z moim ludem kochanym. Pamiętajże ty kochać tę naszą ziemię za siebie i za mnie, a bądź jej zawsze dobrotliwym ojcem...

Nie mogła już dłużej mówić młoda królowa; westchnęła tylko kilka razy, i oddała panu Bogu niewinną swą duszę.

Co tam było lamentu i płaczu, to trudno opowiedzieć. Król ponury w boleści nie mógł i słowa wyrzec; a łzy jak dziecku sunęły mu się po twarzy. A skoro ta pierwsza boleść przeminęła, więc zebrał August siła panów i dworzan zamkowych, i tak z wielką wystawą i okazałością odwiózł martwą Barbarę do Wilna, kędy ją pogrzebiono.

Bona przypatrywała się tylko temu, a w duszy była rada że pan Bóg zabrał synowę do siebie. Lecz widać sumienie ją gryzło że to jej wyrzuty i zgryzoty wpędziły młodą królowę do grobu, więc też umyśliła jak przódy, wybrać się z Polski do swych włoskich krajów. Jużci tej tam jej woli nie byłby się nikt sprzeciwiał, boć nawet i syn stracił do matki serce, a Bogiem a prawdą nic tam w Polsce po takiej chytrej Włoszce; lecz skoro panowie zobaczyli, że Bona chce siła skarbów niby to swoich do Włoch zabierać, tak dalejże do króla, a nuż Włoszkę prosić i zaklinać żeby została. Aleć wszystko jeno groch na ścianę: darmo ją zaklinali i prosili, darmo jej grozili, uparta Bona zabrała swoich Włochów i kilkadziesiąt wozów bogactwa, i wyjechała z tem do dawnej swej ojcowizny. Znać zaparło się serce w starej kobiecie, co ani do syna, ani do tej ziemi gdzie mąż jej królował nie czuła żadnej przyjaźni, i tak bez żalu zdołała to wszystko opuścić.

Więc potem został król sam, smutny, bez żony i bez matki, a to go tylko przy życiu utrzymało, że mu została tą ziemia kochana i ten lud boży.

Halczyna śpiewka.

Zosia grzędy w ogródeczku kopie,
Z rozmarynem rutkę sobie sadzi;
Za ogrodem sieje Jaś konopie,
Śpiewa sobie, ze Zosią się wadzi:

—Słoneczko na niebie
Jak opatrzność Boska,
A mnie wielka troska,
Bom pokochał ciebie.

A Zosia rączką z twarzy komary odgania:
— Dobrze mi u matusi, nie chcę ja kochania!
A Jasio spracowane ręce sparł na płocie:
— Oj Zosiu, za rok za dwa, a przyjdę ja po cię.

Zrosła rutka nad rozmarynami,
I konopie wyrosło jak świeca;
Jaś do Gdańska pojechał z flisami,
A do Zosi drugi się zaleca.

— Hej płocha dziewczyno,
Czerwona jagodo!
Za wiślaną wodą
Łzy Jasiowe płyną...

I wrócił Jasio wrócił, twarz ma strasznie bladą;
A ludzie ze zrękowin wychodzą gromadą.
Hej Zosia stroi główkę w rozmaryn i róże,
A Jasio na konopnym kołysze się sznurze.

Halka z Podgórza.

Zły syn.

Daleko znali ludzie Stanisława Stępę we wsi Zagórnem. Uczciwą pracą i błogosławieństwem pana Jezusa dorobił się on znacznego majątku. Bo też był z niego człowiek trzeźwy i przykładny, a już nad wyraz sprawiedliwy. U niego było tak: co Bogu to Bogu, a co ludziom to ludziom; aby za życia nie pokazywali palcem złym na niego, a już po śmierci to żeby duszy nie zatracić. Miałci on grunt ładny i zawsze dobrze poorany i zasiany, chałupę oblepioną białą glinką, ładnie ogrodzoną, a stodoła jego taka była, jak nieprzymierzając gumna dworskie lub plebańskie. Był tam i komin w chałupie, i izba jedna bez dymu, i osobna stajenka dla bydełka boskiego i jego, a tak było czysto koło chałupy, w sieni i izbie u niego, żeby tam mógł i pan lub ksiądz siedzieć.

Dochował się Stępa jednego syna, i na tego miało spaść to wielkie gospodarstwo. Aleć wiecie o tem, że nie raz dużo chleba i pieniędzy psuje głupiego; tak też i ten syn nie był

podobny do ojca! Za młodu toć jeszcze jako tako; ale skoro podrósł, to już ojca nie słuchał, czapkę na bakier zawsze nosił, do kościoła chodził bez książki choć umiał czytać i pisać, a już co Niedziela musiał być na muzyce w karczmie, i tracił tam niejeden grosz, co go brał ojcu potajemnie z kaletki u pasa. Płakał na to nieraz stary Stępa, skarżył się przed księdzem i przed panem, ale syn rozkoszny ani słuchał słów ojca ani dbał na jego płacz. Tak też ludzie zaczęli radzić biednemu ojcu, a mówili mu:

— Ożeń go gdzie dobrze, daj mu gospodarstwo, a to go może utrzyma w domu przy pracy, że nie będzie takim hultajem.

Posłuchał stary ojciec, wziął syna na pogwarkę przy matce i sąsiadach, i rzekł mu:

— Jeżeli nie przestaniesz źle robić, to pamiętaj, że mię i matkę do grobu wpędzisz, i ta praca moja pójdzie het w poniewierkę. Aleć umyśliłem ja ożenić cię i zdać na ciebie całe gospodarstwo, a dla nas obojgu starych zostawiam sobie wymowę trzech stajanek, i izdebkę małą i jedną krowinę, abyśmy mieli żyć z czego.

Wtedy sąsiedzi mówili staremu:

— Hej nie róbcież tego Stanisławie, abyście synowi wszystko zdali, bo zobaczycie, że na wielką biedę przyjdziecie.

A stary rzecze:

— Niech się ta dzieje wola pana Jezusa! Przecie mi moje rodne dziecko nie da z głodu umierać i nie wyściga z tej izbiny! — i zapłakał stary na taką swoją mowę.

A matka starucha nic się nie odzywała na to, ale w myśli była rada z tego, że syn się ożeni i przyprowadzi synowę jaką, co im będzie drugiem dzieckiem, a może lepszem od hultaja syna. Boć zwykle bywa, że matka lubi niezmiernie każde swoje dziecko i radaby mu samego nieba nachylić. Więc stary Stępa rzecze wreszcie do niej:

— No matko! jakże wy uważacie, wszak by to nie źle było, gdyby się ożenił nasz syn, a my oboje już sponiewierani robotami, siedzielibyśmy sobie cicho i zajmowali się więcej zbawieniem duszy.

Stara matka kiwła głową na to Jakoż wybrali zaraz dziewkę za żonę przyszłą dla syna, zrobili mu ogromne wesele i sprowadziła się synowa do nowego domu na gospodarstwo.

Ale ktoż tam zgadnąć może, gdzie go co złego spotka? Ta synowa była jeszcze gorszą od swego męża hultaja. Harda strasznie, nie dała nigdy dobrego słowa ojcu i matce, odłączyła ich od stołu swego a rzuciła im najgorszą skrzynię na schowek. Ba więcej! pozabierała im deski złóżka, a wybite okna kazała im szmatami pozatykać, wzięła im kłódkę, którą sobie ojcowie zamykali skrzynię, odmieniła im krowę dając im najgorszą, zabrała im ze skrzyni lepsze chusty dla siebie, a gorsze im pokładła: zgoła była dla nich osą i kosą. A bywało nieraz wieczorami, to tak gada mężowi:

— Oj ty gamoniu, niezdaro! Dałeś starym najlepsze stajanka na wymowę, a sobie wziąłeś gorsze! Oni już stare graty, nie jedzą i nie piją, dla nich tam już mało co potrzeba; weź im tę wymowę, a daj im mniej i w innem miejscu.

I posłuchał mąż i zabrał ojcom wszystko. Lecz owoż na tę krzywdę wielką umarła drugiego tygodnia stara matka ze zgryzoty... Umierając wołała syna, aby poszedł się z nią choć pożegnać, mówiąc doń słodkiemi słowy:

— Chodź dziecko moje; ja się nie gniewam, ja ci daruję, niech ci tego pan Jezus nie pamięta! Chodź, abym cię ostatni raz widziała i pocałowała. Ja na tamtym świecie będę się modlić za was i wasze dzieci!

Poszedł syn do łóżka Stępiny, ale czy żałował starej matenki, to wie sam pan Jezus! Przyszła i synowa, podała rękę, ale zaraz odeszła i mruczała sobie:

— Bodajeście już raz umarli, i to oboje razem!

Umarła stara matka, a dzieci nie dały jej nawet dobrej koszuli do grobu; ze zgniłych okrajków zbili trumnę dla niej i kazali parobkowi wóz złożyć i wywieźć trumnę przed kościoł do pokropienia. A stary ojciec w podartej i brudnej płótniance szedł boso za trumną i płakał i wspominał sobie, jak mu to dobrze radzili sąsiedzi, aby nie zdawał synowi wszystkiego gospodarstwa, ale pamiętał i na swoje stare lata. A wtedy wszyscy ludzie strasznie przepowiadali synowi:

— Tać to musi kiedyś pan Jezus odpłacić taką krzywdę ojca i matki! — mówili — mój Boże! co to się dzieje teraz na świecie, że już nie ma sądu i kary dla takich dzieci! Ale gdzieżby tam pan Jezus zapomniał komu o takich grzechach!

Wrócił parobek z próżnym wozem ze cmętarza, a stary Stępa napłakał się dosyć nad grobem swej starenkiej żony, a dzieci nie szły za trumną; jeno dzwonek mały zadzwonił na kościelnej dzwonicy na wieczny odpoczynek dla nieszczęśliwej matki, a grobarz przywalił grób i było cicho na wsi... Ale w niebie zapisał sobie pan Jezus czerwonemi literami ten pogrzeb na sąd przyszły dla dzieci.

Tak starowina skulony wrócił do swej izby. Żył ci jeszcze dosyć długo, żywił się więcej u dobrych ludzi niż w domu, a niejedna dobra gospodyni wyprała mu i ponaprawiała koszulę grubą, i przenocowała w swoim domu. Boć nad takim staruszkiem każe się pan Jezus miłosierny bardzo litować i pamiętać o nim. I zły syn doczekał się dzieci, alеć tam ojciec niebieski rządzi sercem ludzkiem, nieraz zły ojciec doczeka się dobrych dzieci, a dobry ojciec opłakuje gorzko grzechy złych dzieci. Jużci wina tu i rodziców i ludzi innych, ale zawsze wszystkiem opiekuje się pan Jezus i wie co robi.

Otóż trza było, że starowina rozchorzał raz mocno, ani syn ani synowa nie zazierali tam do jego ciemnej izbiny, starowina leżał na słomie na ziemi, bo po śmierci jego żony zabrał mu syn stare łóżko i kazał się na ziemi poniewierać. Aleć wnuki pilnowały dziadka, donosiły mu chleba, sera, mleka, wody, a wszystko pokryjomu, bo matka krzyczała za to na nich, lecz ów drobiazg nie dbał na krzyki, a w nocy nieodstępował dziadka; od sąsiadów przynosiły mu te dziecięta w garneczkach coś ciepłego, i posługiwały mu ciągle. Dostrzegła to zła matka i nuż radzić mężowi:

— Ot widzisz, widzisz ty drągalu! chłopcy nic nie robią, tylko dziada pilnują, po nocach chodzą, z komory chleb wynoszą, zamiast iść do roboty w pole, to siedzą przy drzwiach izby dziadowskiej, a ty im zato marnego słowa nie powiesz. Każ ztąd wynieść pod stodołę tego dziada, bo mocno stęka i kaszle, że aż do nas słychać.

Więc zawołał ojciec swych dwóch synaczków i tak im rzecze:

— Pomożecie mi dziś wieczorem wynieść dziadka pod stodołę, tam mu będzie lepiej na świeżem powietrzu.

A synaczkowie na to:

— Mój tatusieńku! nie róbcie tego biednemu dziadkowi! Tam mu deszczyk pociecze w same oczy, tam go krowa pobodzie, tam go wiatr odkryje, i jeszcze bardziej będzie kaszleć.

Lecz ojciec tupnął nogą:

— Cicho, trza go wynieść, bo ja i matka nie możemy spać w nocy, tak dziad stęka.

Tak też posłuszne wnuki pomogli wynieść dziadka pod stodołę, a w jego izbinie stanęło teraz młode żrebiątko. Oj płakałże starowina płakał, a gdy usnął, to mu się śniło, że Anieli zbierali mu łzy z jego oczu i przykrywali go skrzydełkami, i przynosili mu posiłek z Nieba, i srebrnym głosem śpiewali mu:

— Nie smuć się staruszku! Ty umrzesz niedługo, ale znoś to cierpliwie, nie przeklinaj dzieci, daruj im to złe, a proś pana Jezusa za temi dziećmi, co ci posługują.

Skoro się staruszek ocucił, to otarł łezki, popatrzał na niebo, przeżegnał się i nie miał urazy do dzieci. Aleć pan Jezus jest zawsze sprawiedliwym! wszystko złe ma swój koniec na świecie! Otoż nagle zachorował i sam gazda domu, ów zły syn Stępy. Zaczął stękać, skarzył się na kolki, i krzyczał od bolu. Więc synaczkowie skoro to ujrzeli, dalejże radzić ojcu, aby się kazał wynieść pod stodołę, koło dziadka na świeży wiatr. A zły syn rozpłakał się wted[illegible] na prawdę i mówił:

— Moje dzieci! nie wyn[illegible]ście mię tam, bo jabym tam jeszcze prędzej umarł, [illegible] wybyście były sierotami!

Na to się od[illegible]ezwało starsze dziecko:

— Mó[illegible]wiliście sami, że tam dziakowi lepiej jak w izbie i kazali[illegible]ście go wynieść? To widać, że wyście nam źle radzili i do śmierci dziadka się przyczynili.

A drugie dziecko rzekło:

— Chodźmy zaraz, wygońmy żrebie z tej izby, a znieśmy tu naszego dziadka! Cóż wy tatusiu każecie nam?

Rozpłakał się chory ojciec, przypomniał sobie wielki grzech i nic nie mówił, a matka zacięta także nic nie rzekła na to, bo sama była w wielkim strachu aby ją pan Jezus nie skarał za krzywdę rodziców. I przynieśli chłopcy dziadusia, położyli na łóżku i chodzili koło obu chorych. Przybył i ksiądz z panem Jezusem do dziadka i ojca. Dziadek darował synowi krzywdę, ale jakże miał zrobić syn z takiemi grzechami? Czy jemu podarował pan Jezus tak, jak dziaduś?

Otoż zobaczycie! Dusze tych dwu stają na sądzie pańskim, bo na ziemi umarł już dziaduś Stępa i gospodarz syn Stępy; o jedną godzinę pierwej umarł ojciec przed synem. Zaczęła teraz zawodzić żale gospodyni, płacze teraz na prawdę, inaczej niż na pogrzebie babki starej, którą zagryzła; została wdową z sierotami, więc tak sobie zawodzi:

— Cóż ja teraz pocznę? może i mnie dzieci wygonią z chałupy, jak ja wyganiałam matkę i ojca? może ja umrę za karę gdzie pod cudzym progiem?

Lecz synowie ją cieszyli, mówiąc:

— Nie płacz matko! my tobie tak nie zrobimy, jak ty naszym dziadkom robiła, boby nas pan Jezus ukarał jak ciebię teraz, że umarł nasz ojciec.

We dwa dni odbył się pogrzeb dziadka i złego syna wraz. Dwa groby stanęły blisko siebie na cmętarzu; spuścili trumny do grobów i rozeszli się ludzie i było cicho. A gdzież to dusze ojca i syna?

Oto patrzcie! Stanął pierwej dziaduś na sąd boży, otoczyli go Anieli, pan Jezus słuchał go, ale dziaduś przed śmiercią darował synowi wszystko, więc nic nie mówił: a skoro życie jego całe była pobożne i dobre, rzekł pan Jezus:

— Weźcież moi Anieli tę duszę dziadusia i zaprowadźcie do Nieba, bo na ziemi żył on uczciwie i wszystkie krzywdy znosił cierpliwie. Tam jest jego żona już dawno.

A teraz przyszła kolej na syna. Już Aniołów nie było przy nim. Otworzył pan Jezus niebieską książkę i czytał, co tam było czerwonemi literami na tego syna zapisane! Straszna godzina, wyrzekł pan Jezus wyrok potępienia; a wtedy dusza dziadusia upadła na kolana przed panem Jezusem i wołała:

— Boże, nie potępiaj mego dziecka, ja mu darowałem!

Ale pan Jezus zawołał Aniołów i powiedział:

— Pokażcie te łzy, które babka i dziaduś wylali po całych nocach na swoje dzieci!

A Anieli przynieśli pełne naczynia wody czyściutkiej, a to były łzy, co wypłakali rodzice z oczu i serca na złe dzieci za życia; a choć one padały na ziemię, choć ją babka i dziaduś suchą ręką ocierali z oka, choć nieraz udusili w sobie i niewypłakali: toć przecie żadnej tam nie zabrakło w niebie! I niepomogły prośby! Rozłączył się dziaduś od syna na wieki! Dusza jedna szła złotą drogą do Nieba, a druga szerokim gościńcem do piekła, i płakali oba oglądając się na siebie. Dziadusiowi żal było syna, a syn drżał na wyrok potępienia. I wnet zaparły się bramy Nieba i piekła.

Miłujcie wy dziateczki rodziców i dziadków waszych, aby was także i pan Bóg miłował, a przyjął po śmierci do nieba!

Ks. Wojciech z Medyki.

Ciekawy Wojtuś.

Gołębie.

Było to jakoś koło południa, kiedy Wojtuś przyszedł do domu ze szkoły, a twarz miał uśmiechniętą, i chował coś pod kapotką.

— I cóżeś ty taki wesoły? — zapytał pan rymarz Walenty chłopca, skoro tylko weszedł do izby.

— A, bom coś dostał — rzecze Wojtuś.

— No, no, cóż takiego?

— A niech tatuś zgadnie!

— Eh, durny jesteś chłopcze — rzekł pan Walenty krzątając się koło swej roboty. — Nie mam czasu zgadywać.

— No, to wam pokażę — rzekł Wojtuś, i wyciągnął z pod kapotki ładnego gołębia z czubkiem.

— Od kogoż to ? — zagadnął ojciec poglądając na synogarlicę.

— Darował mi organista, zato że mu czasem pomagam śpiewać na chórze — odrzekł Wojtuś całując w głowę gołębia

— A wieleż będzie teraz wszystkich?

— Pięć będzie mój tatusiu!

— Ha, to nic potem — rzeknie pan rymarz — bo gołębie powinny być zawsze do pary.

— A czemuż to mój tatusiu?

— Długo to gadać mój chłopcze; aleć prawie została godzina do obiadu, a ja moją robotę skończyłem, to ci jeszcze mogę opowiedzieć. Idź puść gołębia do drugich, a sam wracaj chyżo.

Zwinął się Wojtuś duchem, i za chwilkę był już z powrotem w izbie; więc ojciec usiadł i tak jął prawić:

— Jużci najzabawniejszym ptakiem z tych wszystkich, co się wedle domu chowają, jest gołąb. Pociecha jest patrzeć jak gołębie sobie leciutko i wspaniale latają, a czasem i figle w locie wyrabiają, boś przecie nieraz widział, jak to twój ten czerwony w powietrzu koziołki wywraca. Chętnie one trzymają się domu, ale tylko gromadą, bo to już taka ich natura, że po osobności żyć nie mogą. Także musi ich być zawsze do pary, bo tam każdy samczyk ma swoją samiczkę, i żyją zgoła tak jak mąż z żoną, a nie jak inne ptaki, nieprzymierzając wróble, co się różnie między sobą gnieżdżą. A widać że to już tak pan Bóg chce, aby gołębie złym ludziom na przykład, parami zgodnie i w przyjaźni żyły, bo samiczka znosi zwykle dwa jaja naraz, z których się znowu para: samiec i samica wylęga.

Skoro samica z gniazda jeść zleci, to ją co tchu wyręcza samiec a sam siada, żeby się gniazdo nie wyziębiło; a jak tylko wylęgnie się owa parka, tak oboje stają zaraz do siebie dzióbkami, zgoła jak kochające się rodzeństwo. Jeżeli zaś trafi się przypadkiem że z dwóch jaj dwa samce lub dwie samiczki się wykłują, tak ów drobiazg siada w jedną stronę dzióbkami obrócony, pczem taką niedobrą parę zaraz poznać można.

— A czy to wszystko jedno dzikie gołębie a nasze? — zapytał ciekawie Wojtuś.

— A jakżeś chciał? Musi być wszystko jedno, bo z dzikich gołębi przyswoił sobie człowiek domowe. Ta jest tylko różnica między niemi, że przy domu często różne rodzaje gołębi ze sobą żyją, więc też i różne ztąd wychodzą; białe, brunatne,

czarne także i nakrapiane; zaś między gołębiami dzikiemi zwykle jest jeden do drugiego podobny. Te co po skałach i starych rozwalinach żyją, mają podgarle błyszczące, jakby stalowe, spodem nieco białe, a przez skrzydła dwie czarne prążki; zaś owe co się po lasach gnieżdżą, są niebieskawo-popielate, pierś mają winnego koloru, a zielonawo połyskają na podgarlu i po bokach szyi. Między naszemi domowemi gołębiami rozróżniają: *garłacze*, *bębenki*, *grzywacze* i inne. Niektóre z nich są bardzo sprytne; trafiło się że gołębiowi przywieszono list na szyi, a on go het daleko, z jednego miejsca na drugi przenosił. Co największym z naszych dzikich gołębi jest *głuszec*; będzie on przeszło łokieć długi, pierze na sobie ma przeważnie czarne, jeno po bokach szyi dwie białe plamy, a główne piórka także z białemi brzeżkami. Żyje on w górzystych lasach, a pączki z drzew najlepiej mu smakują. Mięso z tych dzikich gołębi bardzo jest wyborne.

Przerwał tu Walenty, bo żona zaglądnęła do izby, a zawołała do jedzenia. Więc pan rymarz podniósł się ze zydla i śmiejąc się, rzecze do Wojtusia:

— No, chodźmy jeść mój chłopcze. Nie będzie tam dzikich gołębi, ale kasza nasza także jest zdrowa i dobrze smakuje! Po objedzie będzie chwilka czasu, to ci jeszcze opowiem ciekawe rzeczy o innych gołębiach, co na drugim końcu świata w *Ameryce* żyją.

Ruszył ojciec naprzód, a syn za nim, ciesząc się i skacząc, że znowu coś ładnego po obiedzie usłyszy.

Co zaś Walenty po jedzeniu opowiadał, to wam i ja za drugą razą powtórzę.

Pogadanka wiejska.

Wojciech. Już to mnie najgorzej na świecie; nic człowieka nie cieszy, wszystko nie tak jakby pragnął.

Józef. Ej! Wojciechu nie grzeszcie, nie ma tam u was wielkiego państwa to prawda, ale wielu ludziom gorzej od was.

Wojciech. Albo to prawda.

Józef. Macie żonę poczciwą, macie dobre dziatki.

Wojciech. No, ani gadania że i żony drugiej takiej nie znajdzie, i dziatki dobre, niech im Bóg błogosławi.

Józef. A widzicie, a wieluż jest takich, co i żona niepoń i dzieci hultaje.

Wojciech. No to prawda, ale oprócz tego to wszystko lepiej u ludzi.

Józef. Pracujecie poczciwie, więc chleba wam Bogu dzięki nigdy nie brakuje, a u drugich to taka nieraz bieda, że siekierę by ną niej zawiesił.

Wojciech. A bo próżniaki! hultaje! U nas chleba dosyć, tylko mało ochoty do pracy.

Józef. Macie zdrowie mój Wojciechu, i chałupa wasza nie zna co choroba.

Wojciech. To też tylko tyle mego bogactwa, a zresztą wszystko lepiej u ludzi.

Józef. Ej! nie grzeszcie mój Wojciechu, bo i ja kiedyś tak jak wy mówiłem, i z tego wyrzekania tak straciłem ochotę do wszystkiego, że mi się nic nie chciało, tylko zawsze wyrzekałem i wyrzekałem. Wtedy dopiero przyszła na mnie prawdziwa bieda, tak że buty z nóg zleciały, bo nie było drugich za co kupić, a że wypadło mi iść w drogę, więc nie było rady i wybrałem się na bosaka. Pamiętam jak dziś, było to jesienią, rano nawet chwytały przymrozki, i droga zmarznięta bryłami kłuła jak szpilkami. Krzywiłem się więc, kurczyłem, wyrzekałem, bo nogi od podeszew kłuło a z wierzchu mroziło, ale nie było rady; interes był pilny, trzeba było dalej bosakiem się obchodzić. Wtenczas dopiero jużem był pewny, że nie ma nieszczęśliwszego człowieka nademnie, bo przy bosaku jak się domyślicie, było głodno w brzuchu, chłodno na grzbiecie, a pusto w kieszeni. Więc idę, idę i stękam i płaczę nawet, i tak dowlekłem się do miasteczka, i kiedym chciał wejść do kościoła, patrzę, a tu siedzi na drodze jakiś ubogi i nie ma nóg tylko szczudła. Oj! zaraz umilkłem, bo przekonałem się dowodnie, że są jeszcze nieszczęśliwsi odemnie. Na pamiątkę tego nauczyłem się małej bajeczki, którą wam powtórzę i radzę się nauczyć.

Podróżny i kaleka.

Nie skarżyłem na ludzi, nie skarżyłem na losy,
Choć musiałem iść w drogę ubogi i bosy,
W tem gdy razu jednego do Kościoła wchodzę,
Postrzegłem, leży żebrak bez nogi na drodze.
Nauczył mię tem bardziej milczeć ów ubogi,
Lepiej mnie bez obówia, jak jemu bez nogi.

Od tego czasu mój Wojciechu, zaprzestałem narzekania a chwyciłem się pracy, i Bogu dzięki ani chleba, ani grosza, nigdy nie brakuje. Tak i wy mój Wojciechu nie narzekajcie, tylko pracujcie i nie patrzcie na tych ludzi co im się lepiej od was dzieje, ale na takich, co im gorzej na świecie.

Wojciech. Ha! — może i przy was prawda mój Józefie, więc sprobuje.

Józef. Sprobujcie, sprobujcie, a zaręczam, że kiedyś mi podziękujecie za poczciwą radę.

(*Km.*)

Zdania z pisma świętego.

Temu, kto się pana boi, będzie się dobrze działo na ostatku, a w dzień śmierci swej będzie błogosławiony.

Sześć rzeczy jest, których nienawidzi Pan, a siódmą brzydzi się dusza jego: oczu wyniosłych, języka kłamliwego, ręką przelewających krew niewinną, serca wymyślającego myśli złośliwe, nóg prędkich na bieżenie ku złemu, świadka fałszywego, który mówi kłamstwo, i tego, który sieje rozterki między bracią. Bojaźń pańska nienawidzi złości; pychą i hardością i drogą złą, i usty dwujęzycznemi brzydzi się.

Zdania moralne.

Zacznij z Bogiem, bo bez Boga, jest niepewna każda droga.
Kto się zdał na wolę Bożą, tego piekła nie zatrwożą.
Pamięć tego nie umiera, kto biednemu łzy ociera.
Co nas cieszy, co nas boli, wszystko to jest z Bożej woli.
Kłamca ma za kłamstwo karę, że na zawsze traci wiarę.
Językiem ludzi obędziesz, lecz sumienia nie pozbędziesz.
Kto na małem nie przestaje, temu zawsze nie dostaje.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. Nr. 12.

21. Kwietnia. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zygmunt August,

II. Dalszy jego żywot i śmierć.

Het na północnej stronie ziemi polskiej, powyż Litwy i Żmudzi, jest kraj niewielki co go zowią *Inflanty*. Owóż do tego kraju, tak jak Krzyżacy do Prus, przywlekli się Niemcy mnichowie, i na piękne się rozsiedli; a że im się dobrze powodziło, i już ich zgoła owies kłuł w zęby, tak też w owem szczęściu zapomnieli na prawą wiarę Jezusa Chrystusa, i przeszli na lutrów. Więc z tej przyczyny dużo tam było obrazy boskiej, co owi lutrowie wymyślali na naszych katolickich księży; bo gwałtem im się zdało przeciągać naszych ludzi na swoją ladajaką wiarę.

Trafiło się, że Arcybiskupem w Inflantach był cioteczny brat naszego króla Augusta; z tym się więc spierał najstarszy z owych lutrów, a wnet przyszło do wojny, gdzie Luter pojmał naszego Arcybiskupa, i wsadził go do więzienia.

Jak się tylko dowiedział o tem król Zygmunt August, takci zbiera zaraz wielkie wojsko na Litwie, i sunie do Inflant, aby tam

przytrzeć trochę rogów swawolnemu Niemcowi. Jakoż najstarszy mistrz owych mnichów nie wyczekiwał już naszego wojska, bo mu aż zimno po plecach chodziło, na samo wspomnienie takiej siły, aleć skromniutki i pokorny wybrał się do obozu naszego Augusta, i tu ukląkł, a przysiągł już spokojnie się zachować, i Arcybiskupowi wszystkie krzywdy nagrodzić. Tak też nasz dobry król udobruchał się ową pokorą mistrza, a owszem weszedł z nim w gadkę o Moskalach, drapieżnych sąsiadach, i obaj radzili jakby się tu bronić od ich napaści.

— Straszny to naród te Moskale — mówił mistrz niemiecki do naszego króla — ale już co najstraszniejszym to sam ich *car Iwan*. Co ten okrutnik nazabijał, natruł, albo głodem zamorzył ludzi, to aż straszna rzecz wspominać. Do tego już przyszło, że jakby źwierz jaki drapieżny każe po dwadzieścioro ludzi na dzień brać na męki i strasznie mordować, a naród jak trwożliwe owce od bojaźni drzy i patrzy się tylko na te zbrodnie. Owoż i ja się lękam—mówił mistrz dalej — żeby też ów drapieżny zwierz i na mój kraj nie napadł.

Nasz król August dawał dobrą otuchę mistrzowi niemieckiemu, i tak rozjechali się w zgodzie. Aliści ledwie król wrócił do siebie, napadł car Iwan Inflanty, spustoszył kraj mieczem i ogniem, a samego mistrza wziął do niewoli, i w więzieniu go zamorzył. Więc widząc to nowy mistrz, że się takim drapieżnym sąsiadom nie obroni, prosił naszego króla Zygmunta Augusta, coby Inflanty do polskiej ziemi przyłączył, i miał je w swojej opiece. A że nasi radzi byli zawsze udzielać pomocy chętliwym, skoro tylko po przyjaźni do nich przyszli, więc i mistrza inflantskiego nie odesłali z kwitkiem. Tym sposobem zostały Inflanty już przy polskiej ziemi, choć o to potem była nie jedna turbacja i bitwa, jak nie z Moskalem to z Szwedem.

Wróciwszy król do kraju, przesiadywał sobie w Litwie, bo mu ta część królestwa z młodych lat najulubieńszą była. Owoż siedząc tutaj, przyglądał się z uwagą wszystkiemu nasz dobry August, i widziało mu się niesprawiedliwie, że w innych częściach królestwa większe są wolności i lepsze całe urządzenie jak w Litwie, gdzie wszystko po staremu zostało. Tak więc zwołał król wielki sejm do miasta Lublina, bo sobie postanowił

wszystko tak wyrównać, aby już każdy widział, że Litwa a Polska to jedno.

Siła różnych ludzi zjechała się na ten sejm do Lublina, a tu dopiero zaczęli wszystko porządkować w ten sposób, żeby w całej polskiej ziemi, jednaka wolność była i jednakie prawa. Dużo tam było targów i kłótni, bo Litwin obstawał przy swojem, a Mazur i Rusin także przy swojem; choć w końcu pogodzili się wszyscy, i podpisali pismo, gdzie była wyrażona zgoda i braterstwo aż do samej śmierci. Była to już ostatnia walna sprawa, Augusta. Słabował nasz król potem, różnemi strapieniam i turbacjami zwątlały, a gdy wypadł znowu sejm we Warszawie, i król tam jechał, choć już mocno słaby, więc prawie na granicy Litwy i Mazowsza w miasteczku *Knyszynie* zapadł tak mocno na zdrowiu, że już nie mógł dalej się ruszyć.

Było to 1572 roku. Król zbiedzony i wynędzniały leżał na pościeli, a nie pomagały mu już żadne leki i żadne doktory. I wspominał sobie August na swoje młode lata, boć właśnie tutaj do tego samego Knyszyna chętnie na łowy wyjeżdżał, i na koniku zdrów i czerstwy uganiał. A teraz nie słychać myśliwskiego rogu, smutne stoją dęby po niezmiernych kniejach, i cichy wiater żałośnie liściem szeleści i wróży sumutek całej Polsce.

Oj wywróżyłeś wietrze, wywróżyłeś! Niedługo męczył się król schorzały, a wnet oddał Bogu ducha, spokojny o swój żywot wieczny, bo wiele dobrego po sobie zostawił w całej polskiej ziemi.

W ciężkim smutku zjechali się panowie do Knyszyna, i wieźli ztąd ciało zmarłego króla na krakowski zamek, gdzie w okazałych kaplicach grzebiono wszystkich królów polskich. Prawdziwie królewski odbył się tu pogrzeb. Strapienie było wielkie po całym kraju; bo nie tylko, że takiego króla dobrego zabrał pan Bóg do siebie, ale i potomka żadnego nie zostawił coby się mógł dalej osieroconym opiekować krajem. Za marami szła tylko siostra króla Anna, i siła płaczącego ludu, boć to grzebano ostatniego pana z rodu Jagiełłów, z których tyle dobrych i bogobojnych królów rządziło tą naszą ziemią jedyną.

Pieśń do św. Wojciecha.

(Na nutę, jak: Kto się w opiekę.)

Święty Wojciechu Polaków patronie,
Tyś pierwszą gwiazdą na polskiej koronie.
Choć ziemia czeska na świat cię wydała,
To ziemia polska tak cię ukochała,
Że cię przyjęła jak syna dobrego,
Uznając w tobie patrona przyszłego. —
Byłeś pasterzem dobrym, miłosiernym,
Dla chłopków ojcem i doradzcą wiernym,
Cały majątek niosłeś im w ofierze,
I utwierdzałeś w chrześcijańskiej wierze.
Jako Apostoł pierwszy w pruskiej ziemi
Burzyłeś bożki słowami boskiemi,
Niejedną duszę między poganami
Zyskałeś niebu swemi naukami.
Pogańska ręka życie ci odjęła,
W kawałki ciało twe święte pocięła,
A krew twa święta przyniosła zysk taki
Że później wiarę przyjęli Prusaki.
Król zwiózł twe ciało do Piastów stolicy,
Do miasta Gniezna, blisko od Kruszwicy,
Kmiotki je wzięli na swe polskie ręce,
Złożyli w złotej kosztownej trumience.
A odtąd Gniezno jest miastem żałoby,
Tam polskich królów tam i świętych groby;
Tam też kmieć polski, pan, król i cesarze
Chodzą na odpust niosąc serce w darze.
Święty Wojciechu przyczyń się za nami
W naszej niedoli twojemi modłami;
Abyśmy Ojców trzymali się wiary
I nie skąpili dla biednych ofiary,
Za dobro braci byśmy życie dali,
Dla ich zbawienia chętnie krew przelali,
A potem z tobą w Niebie królowali,
I wraz z świętemi Boga wychwalali! Amen.

Ks. Wojciech z Medyki.

Zagroda.

Wszędzie dobrze ale doma najlepiej! Niejeden z was moi mili chodził między obcymi, napatrzył się i nadziwił różnym pięknym rzeczom, ale wiem żeby mu tam przecie zostać się nie chciało, ani nawet w Italji, choć to mało gdzie tak pięknej ziemi jak tam. Nieraz oczy gapiły się na piękności, ale w sercu to się tam myślało o chacie ojców, choć okopconej, gruszy przed domem, to o miłym sąsiedzie: i człek modlił się gorąco w duszy żeby czem prędzej do nich wrócić, a kiedy list przyszedł od rodziny, to się go prawie jadło oczami. I cóż to tak człowieka ciągnie do ojczyzny, do domu? Oto ta dziwna jakaś miłość jaką Bóg dał człowiekowi, miłość do ziemi, na której się człowiek urodził i uchował, i do ludzi, między którymi żył. A ta ziemia i ci sąsiedzi to nasza ojczyzna.

Ludzie tacy co mają jedną ojczyznę, mają także jedną mowę, bo Bóg już tak chciał, aby ludzie, co mają żyć ze sobą razem, mogli się także rozumieć; a innym to dał znowu inne mowy aby się nie mieszali ze sobą, i nie wydzierali jednemu to co się drugiemu należy. Między obcymi człekowi nudno i smutno, bo chociaż co boli lub cieszy, to tego obcym ludziom wypowiedzieć nie umiesz, bo cię nie zrozumieją, a choćby i zrozumieli to nie znają ani ojców twoich, ani rodziny twojej, ani ziemi twojej, więc ich też nic nie obejdzie, co dla ciebie jest najmilszem. Toteż każdy człowiek lgnie do ojczyzny jak ryba do wody!

Popatrzcie jeno na biednego górala, kiedy za zarobkiem zejdzie na doliny, to taki nieswój a tak się wciąż na góry ogląda, jakby się bał że mu one uciekną tymczasem; bo góral kocha swoje góry choć w nich głodno i chłodno. I każdy człowiek kochać powinien swoją ziemię, a chyba by już Boga w sercu nie miał, żeby inaczej myślał.

Za młodu to się tam człekowi wydaje, że wszędzie by mógł żyć i byłoby mu dobrze, ale później niejeden gorzko zapłacze zdala od własnej ziemi i od ziomków. Popytajcie jeno

Marcinka Oboda, co w naszej wsi mieszka, a nagada się wam tak, że choćbyś był kamienny tobyś się musiał rozbeczeć.

Posłuchajcież! Marcinek był sobie walny a łepski chłopak i najtęższy w całej wsi. Do roboty jedyny, do bitki gotowy, półkwaterka za kołnierz nie wylał, a do tańca i do zalotów nogi i serce się rwało. Ale w głowie było pstro, ot zwyczajnie jak u młodego, i nie zagrzał długo miejsca: to się na furmanki wyrywał, to po jarmarkach i odpustach jeździł, a doma nigdy długo nie siedział. Ojciec stary chciał mu już dać grunt i namawiał go do żeniaczki, by na stare lata odpocząć przy Marcinku, ale Marcinek zawsze:

— Ej poczekajcie tatusiu, jeszcze mi tam czas do żeniaczki i do gruntu, może mnie pierwej na wojaka wezmą!

— A mój Marcinku, coby cię zaś mieli brać, toć ty jedynak, a ja stary: toby chyba ci ludzie Boga w sercu nie mieli, żeby cię wzięli odemnie.

— Ej nie gadajcie, nie gadajcie — mówił Marcin — czy to źle być wojakiem czy co? Ta to człowiek siła świata obieży i napatrzy się różnościom, że jest potem na całe życie co opowiadać jak ano Maciek, co mu się nigdy gęba nie zamknie, a i honor między ludźmi inszy jak człowiek z cudzych krajów przyjdzie, a jeszcze grosz uzbierany pokaże.

— Co też ty gadasz Marcinku! I ty byś miał sumienie zostawiać starego ojca, opuszczać rolę, w której by nie było komu pracować?

Marcinek zadumał się, i żal mu się zrobiło ojca, ale wnet pomyślał: Tatuś nieprożny trzos mają w skrzyni, to się pieniądz na najemnika znajdzie, a że mnie kilka lat nie zobaczy, to mu tam nie wiele ani pomoże ani zaszkodzi. Tak myślał Marcinek i zawsze tak się stało, że ojciec swoje a on swoje.

Raz był na wieczorynku u Maćka, przysłuchiwał się jak ów opowiadał o Italji i to co widział a więcej jeszcze tego co nie widział, i tak go wzięła chęć do drogi, że całą noc potem spać nie mógł jeno myślał jakby się tam dostać. Przyszła mu nareszcie myśl, żeby się sam zaciągnął do wojska. Taki wartogłów jak Marcinek niedługo się namyślał; poszedł do miasta i został wojakiem. Trzeba wam było widzieć jak ojciec starowina

rzewnemi zanosił się łzami z żalu, że go jedyne dziecko opuszcza na starość, i Marcinek sam wyrzekać począł, że źle zrobił, że bez woli ojca wstąpił do wojska, ale już było po niewczasie. Pułk, w którym Marcinek służył, wymaszerował daleko, więc i on musiał iść za pułkiem.

Dużo lat minęło, i w świecie i we wsi dużo się odmieniło. Stary ojciec ze smutku za synem i z ciężkiej pracy rozniemógł się i umarł, a zapisał Marcinkowi grunt i chałupę. Ksiądz proboszcz napisał o tem śliczny list do Marcinka, i kazał mu wrócić. Marcinek wrócił, ale dziwnie się odmienił. Gadał ni to po polsku ni po niemiecku, że sąsiedzi ledwie mogli wyrozumieć czego chce od nich, a na chłopów z góry poglądał i nosem kręcił.

— Oj nie tak tu wygląda jak tam gdzie ja byłem — mawiał. Więc też gromada krzywo patrzeć zaczęła na Marcinka urlopnika i widocznie stroniła od niego, i nikt z nim nawet półkwaterka wychylić nie chciał. To też Marcinek sam pijał w karczmie, i z żydem nie po polsku szwargotał, i klął gromadę i wygadywał na nią co się zmieściło. A mądry Icek mu przytakiwał i mówił: — Ot! bydło nie rozumie się na niczem. Wielmożny panie kapralu, to szkoda żyć między takiemi chamami, co godnego człowieka uszanować nie umią.

Marcinowi trafiła do smaku ta mowa karczmarza, i odtąd częściej go nawiedzał i późną nocą wracał z karczmy, pijany i klnący na sąsiadów. A że roli mało przypilnował toteż i nie urodziło mu w polu. Zmartwił się tem i poszedł na zmartwienie do karczmy pić, a przy półkwaterku nuż lamenty przed żydem rozwodzić:

— Ej nie ma to jak wojaczka! Djabli człekowi przyjdą z tej roli, pracuje człek, morduje się, a tu nic z tego nie przyjdzie.

Arendarz dolewał półkwaterek i mówił:

— Że też to panu kapralowi chce się z jego delikatnem zdrowiem pracować na roli, jakby to już wielmożny pan kapral nie był zdolny do czego innego.

— Ha, cóż robić — mówił Marcinek dobrze już podchmielony — tatuś nie zostawił pieniędzy (licho wie gdzie ich podzieli) jeno gruntu trochę i chałupę, to trzeba żyć z tego jak można.

Żyd zrobił jeszcze grzeczniejszą minę, poprawił mycki i przysunął się do Marcinka:

— Jakto, tatuś nie zostawił pieniędzy? Przecie grunt i chałupa, to także pieniądz na dzisiejszy czas, gdyby pan kapral chciał sprzedać...

— Sprzedać mówisz?—i spory łyk wódki pociągnął jakby chciał zalać sumienie co mu gadało: nie daj się skusić — sprzedać mówisz, to prawda, ale ktożby to chciał teraz kupić?—

Arendarz zatarł ręce, uśmiechnął się i prawi:

— Możeby się i znalazł kupiec, jabym go sam nastręczył.— I żydówka wyszła z alkierza, przysunęła się do Marcinka i nuż mu radzić nuż go namawiać; ale Marcinek choć pijany nie miał odwagi sprzedać domu, gdzie go urodziła matka jego, i gdzie skonał ojciec jego; coprędzej wyszedł z karczmy do domu.

W domu Marcinka nie było już tak jako ongi za czasów ojca. Dawniej zagroda była zasobna we wszystko, a teraz wszystko się postarzało, poopalało, a Marcinkowi nie chciało się nic pracować i ponaprawiać. I w izbach było czarno, pusto, bo co było sprzętów to wyniósł do karczmy. A choć sprzętów brakło, to żyd i tak dawał na burg.

— Będziesz ta odbierał — mawiał do siebie nieraz Marcinek i śmiał się z głupiego żyda, ale głupi żyd śmiał się jeszcze bardziej z mądrego Marcina i nie raz szwargotał do żony:

— Jaki to głupi ten Marcin, chałupy sprzedać nie chciał, ale wódkę bez pieniędzy pije, i jak tak jeszcze z miesiąc potrwa, to i pieniędzy nie dam a chałupa będzie nasza.

Lecz Marcinkowi ani w głowie nie było, że z każdem półkwaterkiem pozbywał się coraz więcej swej chaty, i pił wciąż, bo po pijanemu to mu się jakoś weselej w świecie widziało. A bywało że nietylko sam pił, ale i innych parobków ciągnął ze sobą: bo — mówił — u Icka wódka nic nie kosztuje.

Oj, nie tak mówił potem, kiedy arendarz na św. Michał przyniósł mu cały spis jego długów i powiedział, że mu dłużej czekać nie będzie; Marcinek wypchał żyda za drzwi i pobił jeszcze, ale ów poszedł do sądu i zaskarżył urlopnika osobno o pieniądze, osobno o pobicie. Z początku Marcinek nadrabiał

mina, ale potem stracił fantazję i nuż chodzić po sąsiadach, by mu pożyczyli pieniędzy dla żyda. Ale jaki taki pożałował, ale pieniędzy nie dał, bo każdy bardziej rad sobie, a i tak Marcinka we wsi nie lubili. Więc też Marcinek proces przegrał i jednego dnia przyjechał komornik z żandarmami i wyrzucili Marcinka z ojczystej zagrody, a karczmarz jeszcze tego samego dnia przeprowadzał się do niej.

I wyszedł Marcinek dziadem ze wsi, gdzie jego ojciec był zamożnym kmieciem, wyszedł z niej z małym tobołkiem a uciekał prędko, bo go wstyd było popatrzeć w oczy sąsiadom.

Różnie mu się działo w świecie i źle i dobrze, ale więcej źle, bo mało ludzi coby dobrego więcej mieli na ziemi niż złego. Był i stróżem w mieście, i służącym, i pędził życie z dnia na dzień, ale nie był to już ten wesoły i raźny Marcinek, za którym dziewki oczami rzucały. Posmutniał biedaczysko, a ciągle jeno w ziemię patrzał, tak się bał i wstydził ludzkiego wzroku. Lecz nie na tem się skończyło. Marcinek zachorował, z litości oddano go do szpitala. Chorował długo i ciężko, a tu ani znajomej twarzy koło jego łóżka, ani pociechy dla niego. I gdy tak leżał, śniło mu się raz, że przyszedł do niego ojciec jego i mówił mu:

— Oj Marcinku, czemu ty nie konasz w ojczystej zagrodzie między swojemi!

I śniło mu się jeszcze, że się zobaczył w swojej chałupie. Leżał na słomie, a nieboszczka matusia coś mu gotowali na kominie. Więc mu się zrobiło w duszy bardzo błogo, że się to już nie tuła między obcemi; przebudził się i czuł się znacznie zdrowszym. Ale nie zobaczył w koło siebie ani ścian rodzinnej zagrody ani matki ni ojca. I tęskno mu się zrobiło jak nigdy jeszcze za tą chatą, co ją tak bez żalu rzucał. Więc jak go tylko puszczono ze szpitala, tak zaraz wziął kij i poszedł ku rodzinnej wiosce, a po drodze mówił:

— Choćbym miał służyć u żyda, to mi zawsze milej będzie żyć w chacie gdziem się urodził, i umrzeć.

Jak mówił, tak zrobił. Żydowi trzeba było parobka, więc przyjął Marcina, bo i tak bieda była o służących we wsi.

Wstyd było Marcinowi, że na to jego poniżenie patrzą ci,

co go bogatym znali; a kiedy wspomniał sobie jeszcze, że on parobkiem u żyda w swojej własnej chałupie — to się chciał pod ziemię schować z boleści. Więc stronił od ludzi, zdziczał i patrzał z pod oka. Ale raz, kiedy w polu robił, nadszedł ksiądz proboszcz, pochwalił pana Boga i nuż z Marcinkiem w gawędkę, a zawsze kierował ku temu, zkąd też Marcinek na taką biedę przyszedł, że aż za parobka służyć musi. Gadał ksiądz i gadał, a z każdem słowem to jaśniejszy był wzrok Marcinka, za każdem słowem proboszcz go za serce chwytał, więc się rozbeczał i nuż proboszczowi sumitować się, że on bez rodzinnej zagrody żyć nie może, że służyć musi, żeby nie umrzeć z głodu. Ksiądz proboszcz stał nad nim i myślał o czemś długo, i aż pod wieczór się rozeszli. Długo potem nie słyszał Marcinek nic o proboszczu, aż jednego dnia przybiegł po niego kościelny z plebanji. Poszedł Marcin, ale jakże się zdziwił, kiedy zastał u proboszcza starszych gromady i samego dziedzica, którego dość nie lubił. Ksiądz proboszcz przyszedł wtedy ku niemu i rzekł:

— Źle zrobiłeś Marcinie żeś chudobę ojców oddał w ręce cudze. Wstyd to nietylko dla ciebie ale i dla gromady. Dlatego więc gromada złożyła się tu na ciebie jak mogła, a dziedzic dołożył resztę, abyś mógł znowu wrócić do ojczystej zagrody. Ale pierwej przyrzeknij tu gromadzie, że będziesz żył uczciwie i spokojnie, że będziesz pracował pilnie.

Marcinek się wypłakał, dziedzica i starszych gromady za kolana ściskał i niedługo potem poszedł do spowiedzi, a inny odtąd zaczął prowadzić żywot. Wprawdzie było tam jeszcze dużo zachodu, bo się arędarz z chałupy nie skoro ustępował, ale koniec końcem Marcinek grunt i chałupę dostał napowrót, i dzisiaj jest jednym z najporządniejszych gospodarzy we wsi. Na jego dachu komin, przed domem ogródek, w domu porządek aż miło. Ale wspomnij mu tylko o cudzych krajach to ci zaraz powie:

— Ej, siedziałbyś człeku jak grzyb w trawie, a nie mówił, że gdzieindziej lepiej jest jak u nas.

Wszędzie dobrze, doma najlepiej! Oj najlepiej! i co nasze to dobre a co obce to djabła warte.

Stach.

Ciekawy Wojtuś.

Gołębie.

Ledwie że pan majster gębę po jedzeniu utarł, już Wojtuś zaczął skakać koło stołu, i nuż prosić ojca, żeby mu co rychlej o owych gołębiach w *Ameryce* opowiedział.

— Ho, ho, w gorącej wodzie kąpanyś mój chłopcze! — zawołał Walenty — pozwólże mi choć odsapnąć po jedzeniu; opowiadanie i tak ci nie ucieknie.

Wojtuś chwycił ojca za rękę:

— Mój tatusiu, bo ja też muszę iść do szkoły za godzinę, a kto wie jak to długo potrwa.

Pan Walenty nałożył sobie fajeczkę, zapalił węglem z pod komina i usiadł:

— Ha to siądźże sobie i ty koło mnie, a słuchaj — rzecze do Wojtusia, i dalejże w ten sposób:

— Najprzód musisz wiedzieć, że owe gołębie o wiele są silniejsze od naszych, tak jako to bywa, że każdy zwierz co sobie na wolności pod okiem Boskiem żyje, silniejszy jest i zdrowszy od tego, co się przy ludziach chowa. Ztąd też będąc całe silniejsze, mają tamte gołębie szybszy lot od naszych, bo są w stanie przelecieć dziesięć mil na godzinę; przytem wzrok mają nad podziw doskonały, a z wysoka już lecąc, widzą ziarna i inne pożywienie na ziemi. Nieprzejrzanemi gromadami latają te gołębie z jednego miejsca na drugie za pożywieniem; jak się czasem ruszy taka chmura, to jej na milę szerokości będzie, a jak się spuści na ziemię, to zalega całe pola i niezmierne lasy. Możesz sobie też wystawić, co to gołębie wojsko jadła potrzebuje, i jak wszystko objada po tych miejscach kędy się spuści.

Odetchnął trochę pan rymarz, i tak mówił dalej:

— Każde stworzenie ma swego nieprzyjaciela na tej ziemi, mają go też i owe gołębie w *Ameryce*. Są to jastrzębie czarne, które gonią za całemi gromadami i napastują je w locie. Lecz nato mają gołębie swoje sposoby: a tak gdy ujrzą czarnego jastrzębia za sobą, to się zbijają do kupy i dopiero przyspieszają lotu,

a raz spuszczają się niby na ziemię, to znowu wzbijają się do góry że ich ledwo widać: i tak długo sobą w tę i ową stronę rzucają, dopóki jastrzębia nie zmylą, albo też tak nie zmęczą że daleko po za niemi zostanie.

Trafia się, że takie stada gołębi mają swoje ulubione miejsca kędy przesiadywać lubią; zwykle więc wylatują na cały dzień szukać sobie żywności, a pod noc wracają znowu do swego siedliska.

Tu przerwał znowu Walenty; podniósł się z siedzenia i poszedł do szafki, gdzie było za szkłem kilkanaście książek.

— Czy to już koniec? — zapytał Wojtuś smutnym głosem.

— Zaraz mój chłopcze — rzekł pan rymarz wracając z książką w ręce — resztę ci przeczytam, co o tych gołębiach pisze taki, który tam był, i wszystko na własne oczy widział.

Wojtuś klasnął w ręce z radości, a Walenty zasadził okulary, i w ten sposób czytał z owej książeczki:

„Zwiedziłem raz miejsce spoczynku gołębi. Była to najpiękniejsza część lasu, w której drzewa wyrosły do znacznej wysokości na pniach prostych i oddzielnych; nie było tam żadnej gęstwy, która by mogła lot utrudniać. Przebywszy znaczną część tego lasu, mało spostrzegłem gołębi, ale mnóstwo myśliwych na koniach, z wozami naładowanemi bronią i prochem. Urządzono obozy w miejscu, gdzie się spodziewano najwięcej gołębi. Dwaj dzierzawcy przypędzili z okolicy trzysta świń, ażeby je w krótkim czasie zabitem ptactwem utuczyć. Najwięcej zdziwiła mię wiadomość, że gołębie przylatują z okolic co o sześćdziesiąt mil oddalone, aby tylko w tym lesie noc przepędzić, nie zważając na myśliwych i na śmierć jaka ich tu czekała. Jakoż widać że tu często nocowały, bo cała przestrzeń owego siedliska bieliła się od gołębiego pomiotu.“

„Zbliżyła się pora łowów; wszyscy myśliwi byli gotowi, każdy wedle naznaczonej sobie powinności. Jedni nieśli siarkę w żelaznych garnkach, inni byli opatrzeni w żerdzie, lub tłuste smolaki sosnowe. Pierwsi myśliwi mieli po dwie i trzy strzelby.“

„Słońce już zaszło, a jeszcze żadnego ptaka nie było widać. Nagle ozwały się głosy: Już lecą! Szum, jaki zbliżając

się czyniła owa chmura gołębi, był podobny do świszczącej burzy; kiedy przelatywały ponad moją głową, uczułem jakby silny wicher. Wnet od strzałów padło tysiące ptaków, pomimo to stado zwiększało się coraz bardzej. Ognie ze wszech stron zapalone oświecały ten straszny i wspaniały widok. Miljony gołębi przybywały jeszcze, cisnęły się jedne na drugie, jak pszczoły podczas rojenia; gałęzie łamały się pod ich ciężarem i padały wraz z niemi na ziemię, a spadając druzgotały znowu inne gałęzie i siedzące na nich gołębie. Wśród tego gwaru, trzasku i zamieszania, napróżno było odzywać się do sąsiada, bo choćbyś i krzyczał, to krzyk się gubił zupełnie. Czasem tylko słychać było wystrzały myśliwych.“

„O północy dopiero przestały się gołębie zlatywać na to miejsce. Polowanie trwało aż do białego dnia. Gdy świtać zaczęło, odezwał się znowu szum i łoskot: całe stado podniesło się do góry, lecąc znowu w swoją zwykłą drogę. Ledwo tam było znać, że cały las zarzucono zabitemi ptakami.“

Przestał Walenty czytać, złożył książkę i zaniósł ją na swoje miejsce. Wojtuś siedział jak niemy z podziwu; pan rymarz przystąpił i poklepał go po ramieniu:

— Widzisz Wojtusiu jak to różnie bywa na tym szerokim świecie. Pan Bóg co krok to inne drzewa i zwierzęta, narody i obyczaje stworzył, zaco niech Mu będzie chwała na wieczne czasy!

Wojtuś zerwał się z ławki:

— Ale to już czas będzie do szkoły — zapytał ojca.

— Prawie druga godzina — rzecze Walenty — idź, idź mój chłopcze, a ucz się, żebyś to wszystko później umiał co ja ci opowiadam, lecz żebyś umiał lepiej odemnie, boś jeszcze młody i masz chęć do pracy.

Wojtuś pocałował ojca w rękę, zabrał książki i wybiegł do szkoły, a pan Walenty wrócił do swego warsztatu.

Grześ z Mogiły.

GOSPODARSKA POGADANKA,

O warzywach.

— Dziwno mi że wy tylko jadacie groch, kapustę, kluski, kiedybyście mogli cały rok jeść najpiękniejsze ogrodowiny, i w jadle tak odmieniać jak i ci co w miasteczkach mieszkają, byleście tylko sami chcieli. — Tak mówił pleban w Bułkowie do Wojciecha, spotkawszy go w polu, gdy szedł do kapusty i narzekał, że mu ją gąsienice do ostatka zjadły.

— Ej, tak się to dobrodziejowi zdaje; któż może to jeść czego nie ma — rzecze Wojciech.

— Właśnie też to chciałem powiedzieć — mówił pleban — jako w tem chybiacie, że sobie nie chcecie przysposabiać lepszego jadła niż zwykle. — I wdał się też dalej ksiądz proboszcz z Wojciechem w rozmowę, a tak mu mówił o chodowaniu jarzyn :

— Bardzo łatwo każdy w swym ogrodzie czy kapustniku, przysposobić sobie może na cały rok nietylko kapusty, marchwi, brukwi, ale nawet selerów, cebuli, różnych rodzajów grochu, ogórków, buraków, szpinaku, czerwonej i niebieskiej kapusty, a nawet kalafiorów, iżby w niedzielę czy święto, mógł się przecie czem lepszem uraczyć, jak zwyczajną strawą. O to tylko chodzi, aby pracy i kilku groszy na nasienie nie żałować, i dzieci przypilnować aby pełły i podlewały. Gospodyni także miałaby czas zatrudnić się ogrodem, gdyby gospodarstwo z bydłem było lepsze: bo nie trzebaby jej tracić pół dnia nad szukaniem trawy dla krowy. Jeno zważać trzeba na to, żeby ogród nie zabierał tej mierzwy, co ma iść na rolę, bo to rolnikowi robi krzywdę; należy się przeto tak urządzić, aby mierzwy coraz więcej było a wtedy o ogrodzie pomyśleć.

Wysłuchał Wojciech wszystkiego, a wreszcie poskrobał się w głowę i rzecze :

— Mój Jegomościuniu, kiedy to siła zachodu wedle tego, dużo też trzeba różnego naczynia, a nato człeka nie stać choćby chciał z całej duszy.

— Wymawiacie się byle czem — odezwał się pleban —

a to wszystko jeno mało dobrej woli, bo wam się lepiej widzi leżeć do góry brzuchem na słonku, jak kopać grzędy w ogrodzie. Robicie tylko tyle aby z głodu nie umrzeć, ot tak byle z dnia na dzień pociągnąć z żoną i dzieciskami. Całe naczynie do ogrodu to jest: rydel, grabie drewniane, a jak lepsze to żelazne, parę motyk do ogrzebywania, taczki do zwożenia gnoju, konewka do polewania, wreszcie sznur do robienia bruzd i zagonków. Ot, tyle świecy i wosku! Do tego jak gospodarz zręczny a pracowity, to sobie połowę tych rzeczy sam potrafi zrobić. I tak rydel wystruga ładnie i gładko, a znajomy kowal okuje mu go mocno i nie drogo. Tak samo też z grabiami i innem narzędziem; można w domu zrobić, a nietrzeba wielkiego na to majątku. Zresztą porządny gospodarz choćby nie miał ogrodu, to siła z tych narzędzi w domowem gospodarstwie potrzebuje: bo też grabiami można wygrabać barłog z podwórza, liść na jesień w sadku, mech na łąkach, ścierniska na polu, a to wszystko przymnoży mierzwy i słańska; zaś motyki popotrzeba do ziemniaków, do wytępienia zielska, a taczkami można sobie zwieść mierzwę, darń z pod płotów, i muł z rowów na omastę ziemi, i tak z każdem innem a narzędziem.

— Jeno zkąd czasu na to wszystko mój dobrodzieju — ozwał się zaturbowany Wojciech. — A choćby i czas, toć człowiek nie nauczny we wszystkiem...

Ksiądz proboszcz przerwał turbacje gospodarz mówiąc:

— Mój Wojciechu macie czworo dzieci, dwóch chłopców już sporych, dwie dziewuszki mniejsze, to nie ma co narzekać, gdzie pan Bóg dał tyle rąk do roboty. Najstarszemu każcie kopać, młodszy może się wziąść do grabi, a dziewuszki chętnie wezmą się do konewki podlewać w skwarne dnie warzywa i kwiatki. Miło potem będzie dzieciom patrzeć, jak się wszystko pięknie zieleni i rośnie jak na drożdżach w ogródku, który codzień skrapiają i podlewają. Miło będzie dziewczętom ustroić się w niedzielę w kwiatki, co za ich staraniem rozkwitły; miło będzie chłopcom jeść rzepę i marchew z własnego ogrodu.

Co zaś do tego, żeś nie nauczny mój gospodarzu, to bajka! Każdy człowiek uczy się od urodzenia aż do samej śmierci, a dużo się nauczy jeśli mu się chce tylko. Żebyś się zaś i ty mój

Wojciechu nie miał czem wymawiać, to przyjdę wieczorem do was, a powiem wam szeroko o każdej jarzynie z osobna, jak się z nią obchodzić. Zostajcież z Bogiem, do wieczora!

— Panu Bogu oddaję!

RÓŻNOŚCI.

Jak car Iwan groźny posły przyjmował. Że to car Iwan w tym samym czasie Moskalami rządził, jak dobry Zygmunt August naszą polską ziemią, więc wam tu opowiem, jak on okrutnik z posłem sobie raz postąpił.

Trafiło się, że pewien kniaź moskiewski imieniem *Kurbski* wojował z Polakami i przegrał bitwę; a że był w służbie u cara Iwana, więc myśli sobie: — A pocóż mi wracać, chyba po śmierć jedną! — Tak pomyślawszy zabrał ów kniaź nogi za pas i hajda do Polski.

Przyjął go nasz August otwarcie i gościnnie, że mu zgoła i ptasiego mleka nie brakło, więc kniaź skoro był bezpieczny, myśli sobie: poczekaj ty poczwaro jedna, ty carze Iwanie! Muszę ja ci napisać, żebyś aż w piętach poczuł! — Tak też pomyślawszy wziął kawałek papieru, pisze, pisze, i napisał carowi, że go pan Bóg srogo ukarze po śmierci, że będzie siedział w smole wrzącej po uszy, za wszystkie swoje zabójstwa i okrucieństwa. Jak też napisał, tak zawołał wiernego sługę, a list mu oddaje, i do cara z nim jechać każe.

Stareńki, jak gołąb siwiutki sługa zabrał pisanie, pojechał, i zajechał aż na dwór Iwana. Groźny car siedział na pysznym tronie, a w około bili mu słudzy pokłony głowami. Więc ów sługa stary przystąpi i list podaje, a oczami mierzy w cara oczy:

— Zkąd ty? — zawołał Iwan groźny. — Od kniazia Kurbskiego list przynoszę — rzecze sługa. Car zesiniał i zezieleniał od złości, wyrwał list z ręki starego i rozerwał pieczęcie. A miał w ręce laskę grubą w ostre żelazo okutą, więc gdy go wściekłość przy czytaniu pisma owego porwała, tak oparł ową laskę o bosą stopę stareńkiego sługi, i zaczął w niej wiercieć jak w drzewie. Zgrzytnął starowina z bolu, czuł jak mu się kości rozchodzą, ale z pogodnem czołem i jasnem okiem spoglądał na ponurego cara. I był ten sługa wówczas większy od tego pana choć w koronie, bo wyższą jest zawsze czysta niewinność od drapieżnej złości. A car gdy spojrzał na staruszka, schmurzył się, spuścił oczy, i dał mu iść wolno.

Jak to z skowronków złe bywa jedzenie. Nie mają tam w Niemcach takiego poszanowania dla bożego ptactwa, jak u nas. Czy śpiewa czy nie śpiewa, to złapie, chrast po gardle, i dalej na pieczyste. Niezbyt dawno atoli, ukarał pan-Bóg Niemców za takie łakomstwo.

Pewna rodzina upiekła sobie aż ośmnaście skowronków, i zjadła ze smakiem; aleć niedługo potem żarłoki owe takiego dostały bolu w żołądkach, że gdyby nie dobry doktor, to by im było przyszło het na tamten świat wędrować. Później dopiero pokazało się, jaka ku temu przyczyna. Skowronki żywią się pod jesień ziarnami z lulku, blekotu i innych podobnych roślin, co człowieka na miejscu otruć może, a owym ptaszynom nic nie szkodzi. Niechże więc panowie Niemcy skowronków nie jedzą kiedy mają co innego, bo *nie dla psa kiełbasa, ni dla kota sadło*, ani dla człowieka takie ptaszę, co chwałę panu Bogu śpiewa.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. Nr. 13.

1. Maja. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wdowa z sierotką.

Był biedny komornik, który żył z dziesięciu palców. Nie miał on ani zagonka swego, ani chałupki, ani nie umiał żadnego rzemiosła, a tu trza było wyżywić troje ludzi: siebie, żonę i dziecinę małą. Jużci tu na ziemi różni są ludzie! Jednym się nie chce robić, tylko radziby, aby im do gąbki leciały pieczone gołąbki, a jak czego brak, to bodaj i ukraść albo wykręcić, żeby dzień boży było czem przeżyć. Ale komornik biedny był sobie poczciwy! Czy to młócił we dworze czy u gospodarza, to on tam i ziarneczka nie wsypał za cholewę ani do kieszeni, ani zapazuchę. Gdy był na zarobku w polu to nie ruszył nikomu ani główki kapusty, ani kłoska ani trawki. Co sobie rękami sprawiedliwie zarobił to spożywał z czystem sumieniem z żoną i dziecinką. Czasem przyszła mu do głowy smutna myśl, co to będzie robić w chorobie jakiej albo na starość, ale pocieszał się tą gadką:

— Kogo pan Jezus stworzy, tego głód nie umorzy, jeżeli on trzeźwy, pracowity i pobożny.

To się też ludziska darli za komornikiem do roboty, bo robił żwawo i za dwu leniuchów, a zawsze sobie gadał:

— Za dwie rąk i dziesięć palców, za dwie uszy i oczy i za jeden język, trzeba kiedyś zdać rachunek po śmierci przed panem Jezusem.

Aleć kto tam zgadnie, jak mu jutro wypadnie? Umarł komornik, a została wdowa z dzieciną. Zda wam się, że ją ludzie żywili i wspierali? Oj nie tacy tam wszyscy ludzie dobrzy i miłosierni, aby z serca pożywili i odziali biednego! Bo choć pan Jezus nakazuje i w kościele uczą dobrze, to przecie inaczej się dzieje. Wdowa nie mogła tak robić, jak jej nieboszczyk, to też mało kto brał ją do roboty. I byłaby z biedy zginęła, gdyby nie pani co ją wzięła do dworu i kazała żywić i nocować z zdzieciną. Aleć trudno to wiedzieć jakie komu przygody zgotował pan Jezus za życia! Umarła pani, i wdowa poszła ze cmętarza zapłakana na cudzą wieś, i stanęła komorą także u jednej wdowy. Ona się modliła codzień za duszę pani, bo ta darowała koszulki dla sierotki a dla wdowy chusty jeszcze niczego, i trochę grosza dała jej, kiedy już miała konać. Lecz jakież mogło być życie tej wdowy, co mieszkała u drugiej takiej samej biedaczki? A przecież nieraz prędzej biedny biednego poratuje niż bogaty, bo głodny wierzy głodnemu, a kto biedował kiedy to wie, co to znaczy bieda. Otóż i te dwie wdowy jak mogły, tak się ratowały, nieraz sobie razem zapłakały, a często gęsto gadały o nieboszczce pani, która miała miłosierne serce i lubiła wspomódz biednego, i wzdychały wtedy do pana Jezusa za jej duszyczką.

Trafiło się, że był blisko tych wdów zły chłop, który niesprawiedliwie wygrał proces i wygnał z chałupy obie kobiety. Ani płacz ani prośby nie pomogły. Jedna poszła do krewnych swoich, a ta druga komornica poszła między ludzi z sierotką swoją. Rozeszły się z wielkim płaczem, bo się obie bardzo lubiły: jedna przed drugą nie zamykała skrzynki, ani nic nie chowała; jedna drugiej dawała ostatnią okruszynkę chleba, pożyczały sobie nawet kożucha lub butów, jak trza było gdzie wyjść między ludzi, a tą sierotką cieszyły się obie, jak gdyby obie były jej matką.

Nie wygadywały biedne wdowy na tego chłopa niesprawiedliwego, ani go nie przeklinały za tę krzywdę, lecz sobie mówiły:

— Wie tam dobrze o każdym pan Jezus w niebie, on go poratuje w każdej potrzebie. A temu niedobremu chłopu niech pan Bóg niepamięta tej ślepoty i łakomstwa. On nie weźmie do grobu tej chałupy.

Bywa to, że na świecie dostanie się nie raz kara i niewinnemu! Tak już ustanowił sam pan Jezus na tej ziemi, że jednemu lepszemu idzie nieraz źle a drugiemu idzie jak po maśle, choć u ludzi tego nie wart. Najlepiej zaś wychodzi ten, kto się zgadza z wolą boską i zawsze to robi, co się do niego patrzy.

Oj biedaż bo bieda była teraz niebodze wdowie z tą sierotką! Źli ludzie dawali jej takie rady:

— Weź, skalecz tę sierotkę: albo złam jej rączkę, albo wybij jej oczko, i noś ja między ludźmi, a tak ci prędzej da kto cobądź dla kaleki.

A ona zapłakała, i kiwając głową prawi:

— O niech mię pan Jezus Milatyński broni! O moja Panno najświętsza Częstochowska! Czyż jabym mogła kaleczyć moją dziecinę? O nigdy, nigdy!

I całowała sierotkę przyciskając ją do piersi i zakrywając rękami, a sierotka brała matkę za szyję, i tuliła się do niej chowając główkę pod chustkę. Niewiedziała biedna sierotka, że źli ludzie stali jej na zdradzie.

Inne baby niedobre tak jej znów gadały:

— Nie daj jeść tej sierotce, aby była mizerną i suchą; nie pierz dla niej koszulki nigdy, ale oblecz ją w najgorszy łach, a jak gdzie przyjdziesz do chałupy, to uszczypnij dziecko, albo go igłą ukłuj, a ono zapłacze, i prędzej ci ludzie dadzą co dla sieroty. Lecz ty nosisz dziecko czerwone jak burak, a białe jak lilja, i samaś oprana i okryta, to cóż ci kto da?

A wdowa aż się przestraszyła na takie gadanie i odpowiadała babom:

— Widziałyście w chałupie waszej, jak tam kotka lizała swoje kocięta, jak je myła języczkiem i łapką przednią głaskała; widziałyście jak tam suczka brała psiątka w pyszczek pomału i przenosiła na drugie miejsce, a nigdy ich nie rzuciła w błoto albo na proch. Toż jabym miała być gorszą od tej kotki lub suczki? Jabym miała kłuć igłami moją sierotkę, albo ją mo-

rzyć albo ją obedrzeć z koszulki, i patrzałabym się na jej wyschłą twarzyczkę, na suche rączki i nóżki? Jabym miała rachować zioberka w jej boczkach, jabym miała żebrać i żywić się z mizeroty tej drobnej dzieciny, tego aniołeczka i buziaczka mego? —

I puściły się jej łzy po twarzy, a dziecina koszulką swą ocierała jej mokre oczy i zaczęła mocno płakać, a matka ją ciszy i mówi:

— Cisio! cisio! moje dziecię, ja ci tak nie zrobię, jak mi radzą te czarne i złe baby. Ja cię zawsze nakarmię, opierę i dopilnuję jak oka własnego.

I poszła het daleko z tej wsi, gdzie byli tacy niedobrzy ludzie, co ją do złego namawiali. I szła sobie codziennie na zarobek, a sierotkę brała z sobą i sadzała na ziemi koło siebie, albo kładła ją do słomy, okrywała łachami i usypiała, a potem krzątała się, aby więcej zrobić i zarobić na siebie i na życie sierotki. I tak żyła biednie, bo biednie, ale nie obrażała pana Jezusa nigdy grzechami jakiemi wielkiemi. Cały tydzień robiła, a co sobota to wyprała dla siebie i sierotki chusty wszystkie, sierotkę wyczesała, omyła i ogarnęła jak się patrzy. W świętą Niedzielę szła z sierotką do kościoła, a sierotka umiała już paciorek, przykazania i sakramenta, i wiedziała, że jest Bozio nad głową a pan Jezus na krzyżu w kościele, i każdy krzyż całowała. Po święcie znowu szła na zarobek dzień po dniu, a choć uboga nie ukradła nigdzie nic, ani nie skrzywdziła nikogo, a przy robocie to sobie mówiła pacierz i nie ośmiewała ani nie ogadała nikogo, jak to zwyczajnie ludziska robią, gdy się gdzie zejdą.

Była sobie więc szczęśliwa, choć nie miała ani chałupy, ani zagonka, bo szczęście jest wtedy dopiero prawdziwe, kiedy człowiek nie dużo pragnie, a żyje pobożnie i pamięta, że Pan Jezus nie da nikomu marnie zginąć, jak kto sam tego nie chce. Tymczasem coś się stało tej sierotce że zachorowała. Wyschło to biedne dziecko tak, że zdało się, iż można na wylot przez niego widzieć. Wdowa nie mogła zarabiać tyle, trza było pilnować sierotkę, a tu głód dokuczał. Przyszła wtedy jakaś stara baba do niej i gadała:

— Co mi dasz, to ja ci powiem, co się stanie z tem dzieckiem?

A wdowa popatrzyła na nią i rzecze:

— Czy ty Pan Bóg, abyś wiedziała takie rzeczy? To się stanie zemną, i z tobą i z każdym, co Pan Jezus zechce, i jak sobie zasłużymy.

A stara baba mówiła jej dalej:

— Weź, wyrzuć to suche dziecko do stawu, a będziesz miała wolne ręce i pozbędziesz się ciężaru i płaczu.

A wdowa na to:

— Idź ty czarownico! bo to pewnie zły duch mówi z ciebie ale nie dusza ochrzczona. Ja bym mego dziecka do grobu sama nie włożyła, gdyby mi go Pan Jezus wziął, a nie do stawu, i to jeszcze żywe. Idź sobie odemnie, bo mnie strach bierze na taką mowę!

I poszła baba stara, ale tę mowę wypowie jej Pan Jezus kiedyś na sądzie. Wdowa została sama z sierotką, poszła ona to do dworu, to na plebanią i ratowała sierotkę, jak tylko mogła, zaniosła ją do miasta do doktora i przyniosła leki rozmaite ale to wszystko nie pomagało. Zaczęła się modlić nad sierotką:

— Boże! nie bierz mi tej dzieciny! choć ona biedna tutaj, choćby jej w niebie było lepiej, choć ja bieduję dla niej, to nie bierz mi jej; cóż ja sobie pocznę sama jedna, jak to dziecię umrze i ja zostanę samiutka, wdowa i sierota?

I zasnęła tak w płaczu wielkim, aż tu śni jej się aby to dziecię zaniosła do Pana Jezusa Milatyńskiego i tam go ofiarowała. Ależ do Milatyna daleko, jak tu nieść na rękach chore dziecię? o czem tam iść? Wstała, włożyła sierotkę w niecki wielkie, przywiązała te niecki do szyi swej i trzymała rękami główkę sierotki, aby się nie ruszała, i szła, szła i płakała i ciągle się modliła, aby zajść do Milatyna. A żeć to kto chce co dopiąć, to dopnie, jeżli się to zgadza z wolą Boską, tak też i wdowa stanęła na miejscu, i złożyła ostatnie trzy trojaki do skarbonki pod krzyż pański. Potem dobyła białą koszulkę, oblekła w nią sierotkę, sama się omyła to z błota to z potu, to z łez swoich, poszła do św. spowiedzi i komunji i wtedy położyła sierotkę pod krzyż Pana Jezusa, a złożyła ręce i nachyliła głowę pokornie, i zaczęła się modlić i modlić. Już się

nabożeństwo skończyło, już się i ludzie rozeszli a ona sama klęczała i modliła się; to patrzała na twarz sierotki, to się dotykała ręką nóg Pana Jezusa a potem tę rękę kładła na główkę sierotki aż sierotka zawołała: — pić! Matka nazbierała łez swoich do dłoni i te wpuściła do gęby sierotce i mokrą dłonią omyła twarz biedactwu, i zdało jej się, że sierotka kona. Aby nie widzieć konania wyszła matka za kościół, odwróciła się od sierotki i mało co że nie padła na ziemię od wielkiego żalu. Aż wtedy patrzy, a tu idzie ku kościołowi jakiś dziaduś niski z laseczką krótką. Włosy jego i broda jak śnieg, a chusty na nim tak, jak by dopiero co świeżo uszyte. I wszedł do kościoła, zmaczał sobie palce w święconej wodzie, przeżegnał się, ukląkł i pocałował świętą ziemię i zbliżył się tam, gdzie sierotka była. Wtedy i matka wróciła się do sierotki i myślała, że już nie żyje. A dziaduś pytał ją:

— Zkąd wy matko? po co wy tu przynieśli to dziecię?

Na to matka rzecze:

— Ja nie mam ani chałupy, ani wsi, tylko tę sierotkę; dziesięć mil niosłam ją tu na rękach. Kazali mi źli ludzie utopić ją, to umorzyć, ale ja się boję pana Jezusa i nie zrobiłam tego; śniło mi się, abym tu zaniosła tę sierotkę, a oto podobno już umarła! — I zaczęła płakać, a dziaduś jej powiedział:

— Weź sobie matko sierotkę, boś ty dobra matka i widać kochasz to dziecię. Ono ci nie umrze, boś sobie uprosiła i zasłużyła w niebie, aby ono żyło i ciebie tak kochało, jak ty go kochasz. Ci ludzie, co cię wyganiali z komory, co cię krzywdzili już nie żyją, już są osądzeni; a ci źli, co ci radzili utopić, kaleczyć lub umorzyć tę sierotkę, staną jutro na sądzie pańskim i odbiorą zapłatę. Ci zaś, co cię wspierali i do chałupy przyjmowali i pamiętali o tobie i twej sierotce, ci już albo są w niebie albo tam przyjdą, jeżeli tak zawsze będą litośni dla wdów i sierot, jak byli dotąd. A ty biedna matko doczekasz się pociechy z tego dziecka. Oto masz tu ten woreczek: kiedy ci co będzie potrzeba, to tylko włóż tam palce, a znajdziesz dukata. Ale ci powiadam, że w tym woreczku nie znajdziesz nic, jak tylko na coś złego jeden groszyk wydasz, albo jak kiedy miniesz biednego, osobliwie sierotę małą.

I znikł dziaduś, a matka wzięła sierotkę na ręce choć ono biedactwo samo chciało stać na ziemi. I powróciły te dwie sieroty, a dokąd? oto woreczek dostarczał wszystkiego. Sierotka urosła, matka miała wsparcie u niej, szły dukaty na ubogich, na sieroty, tak jak dziaduś nakazał, i ani groszyk się nie zmarnował. I było szczęście i błogosławieństwo, a dopiero później poznała matka, kto to był ten dziaduś i dla czego to on mówił tyle na niedobrych.

Wy też ludkowie miłujcie sierotki i biedne wdowy, a i wam tak zapłaci sam pan Jezus z nieba.

Ks. Wojciech z Medyki.

WIOSNA.

Słońce dogrzewa,
Ludzie het orzą:
Skowronek śpiewa
Na chwałę Bożą;
Choć zniknie oku
W śrebrnym obłoku,
Jakby z innego
Czystszego świata,
Piosenka jego
Perłami zlata.

Tak ślicznie dzwoni
W błękitnej toni
Ptaszyna droga:
Jakby tam w górze
W czystym lazurze
Zobaczył Boga!

Gdzie zwrócę oko:
Czy na te niwy,
Czy tam, wysoko,
Takim szczęśliwy!
Oczy łzawemi
Patrząc przed siebie,
Nie wiem czym w niebie
Czy też na ziemi.

W koło piosenka
Brzmi wciąż radośna!
Tu brzoza pęka,
Tam pachnie sosna;
Tu woda wzbiera,
A zpod tej wody,
Złoty świat młody
Z fali wyziera.
Tam klucz żórawi
Ciągnie zdaleka,
Tu płochych kaczek
Para ucieka.

Lecą bociany,
Drozdy, słowiki;
Pełno przedziwnej
Żywej muzyki.

W górze rozlane
Błękitne morze,
Powietrze szklanne,
Czyste... Ach Boże!
W jakiemże słowie
Człowiek wypowie:
Rozkosze wieśne,
Polne i leśne.

T. L.

DZIADY.

Po nabożeństwie odpustowem na dniu Zielnej Matki Boskiej, w kościele XX. Dominikanów w Borku odprawionem, wracali ludzie małemi kompaniami do domów swoich. Upał był bardzo dokuczliwy, więc zatrzymało się ich kilkanaścioro przed domem Zawiły w Kielnarowy, i tam pod rozłożystą lipą, ochładzając się studzienną wodą, usiedli na chwilę i poczęli rozprawiać, to o tem, to o owem, co im na myśl wpadło, lub co osobliwego na odpuście pouważać mogli. A że tam było między nimi ze sześcioro, co znowu z Leżajska wracali, i razem się zeszli, więc zapytuje się ich Grzegorz:

— A jaki był odpust w Leżajsku? mówią że byli obadwa Biskupi z Przemyśla?

Borowiec. Nie było żadnego.

Grzegorz. Ale musiała być ciżba wielka, kiedy siedmioro ludzi się udusiło.

B. Nikogo nie udusili, nawet niebyło tą razą ludzi wiele, bo jedna część na Kalwaryę poszła, a z tamtej Polski nikogo nie wpuszczali. A któż wam to gadał o Biskupach, i że siedmioro ludzi udusili?

G. A dwa dziady, co dzisiaj ztamtąd przyszli.

B. Że to te dziady muszą zawsze coś nakłamać. To my później bo już po rannej mszy świętej wyszli; fura nawet nam się trafiła, to my jechali, a oni pierwej pognali, a może nawet tam nie byli, skądże więc o tem wszystkiem prawić mogli?

Szymon. To prawda, że dziadom nie można we wszystkiem wierzyć. Alboż to mało narozprawiają po chałupach, jak gdzie który zajdzie? A to z umysłu, aby się przychlebić i większą jałmużnę wycyganić. Niespisałby wszystkiego, co oni tam nieraz nabają.

Borowcowa. Jak to i mnie w jesieni co tylko jeden na śmiech nie wystawił. Właził do izby, i niby to w sekrecie szepcze mi do ucha, że jak był o dzień pierwej na Drabiniance, to wysłuchał, jak pewien zamożny gospodarz z żoną swoją umawiali się, że zamyślają syna swego jedynaka u mnie żenić! My-

ślę sama w sobie; Zkąd? ani żadnej z nimi znajomości nie mam; może się dziad przesłyszał? Aż tu po chwili nadbiega kuma moja z czwartej chałupy uradowana co jej dziad prawił, a niewiedząc, że mię pierwej już z tą samą nowiną spotykał, i cieszy się że ją pan Bóg tak opatruje, bo już się troszczyć poczynała, co z swojemi czterema pocznie córkami? Ja jej na to: nie bądźcie skorą do dawania wiary, byście zawiedzeni, potem bardziej się jeszcze nie zmartwili. Ale ona nie posłuchała mię, tylko zaraz na drugi dzień bieży na targ do Rzeszowa, tam schodzi się z owym gospodarzem, i sama go zagadnie. Ten oczy wytrzeszcza, wypiera się wszystkiego, ta się zapłoniła i zmięszała: aż mi żal było kobiety, a wszystko przez dziada.

Michał. A u nas zeszłego roku, to przylazł jeden dziad, powiedział że kościoł w Staromieściu zgorzał, to znowu że Moskale do Rzeszowa przyszli, a wszystko było kłamstwem.

Maciej. A co mnie jeden dziad drab zrobił? Dwa lata minęło w zimie pod sam wieczor wszedł do izby i prosi żeby go przenocować. — A czemużby nie? — rzekę. Moja mu nawet kolacyę dała, i pokładliśmy się wszyscy spać. Rano przebudzamy się, dziada niema. Wybiegam na dwór, niema go. Biegam, szukam, ani słychu. Wracam do izby, patrzę, mego kożucha i moich butów nie ma, tylko jego łachy lężą. — A bodajcic sto kaduków wzięło! Tu zima, do kościoła nie ma w czem pójść, pieniędzy także nie było, by nowe posprawiać, musiałem aż się zapożyczyć, com sobie lada jaką kożuszynę i bucięta kupił.

Skowronkowa. A u nas w Siedliskach to znowu jedna jałmużnica podobnie zrobiła. Przyszła pod noc, przyjęli my ją, a ta zrzuciła z siebie gałgany, a przywdziała świeżo pomaglowane chusty gospodyni, co właśnie przyładowała dla siebie na odpust do Boguchwały i uciekła. No i pożałuj że tu takiego!

Grzegorz. Ja wam tu ładniejszą opowiem historyę, dopiero się uśmiejecie. Będzie temu ze trzy lata, był odpust na ś. Rocha w Słocinie. Byłem tam i ja wtenczas z żoną moją, i więcej luda z naszej wsi. Dziad jeden usiadł sobie przy samej furcie, jednę nogę miał obwiązaną szmatami jak kaleka, dwie kule do podpierania leżały przy nim, ale śpiewał tak głośno, że wszystkich przegłuszał, wszystko się ku niemu cisnęło, wszystkie

jałmużny on zagarniał, a inni słabsi mało co, a może i nic nie dostawali. Bo jak zaczął przemawiać i prosić, to znowu dziękować i błogosławić, to jak jaki kaznodzieja. Po nabożeństwie, już po nieszporach kiedy się wszystko skończyło, wracało nas dużo ludzi ku domowi. Na zaleskiej karczmie na poprzecznej drodze słyszymy śpiew i muzykę. Dla ciekawości zaglądamy przez okno, kto tam taki znieważa dzień święty? Spostrzegamy tylko dwóch urlopników, a ci jak to zwyczaj bywa, przenajęci i poczęstowani od żyda, chcąc by ludzi swym zwabić hałasem, wyśpiewują i do tańca się chcą zabierać. Wtem włazi do szynkownej izby i ten dziad, co na odpuście wszystkich zajmował. Kule stawia w kącie, i woła na żyda:

— Arendarzu! dajno mi porcję dobrej wódki, ale dobrej, takiej co to ma korale na wierzchu. Muszę się pokrzepić, bom sie strasznie na odpuście skrzyczał.

Już nam sie to nie podobało, ale czekamy co dalej będzie? Aż on woła na muzykę:

— Zagrajże mi mazurskiego! — Tupnął nogą o ziemię, wywinął pare razy ręką po nad głową swoją, i zaczyna śpiewać. Nie dobrze ja to spamiętał, jak śpiewał, ale wychodzi tak:

Dziadek sobie jestem, po odpustach chodzę,
Choć mam obie nogi zdrowe, to o jednej nodze.

Skoro to ludzie usłyszeli, tak mówią z cicha do siebie. — A cóż on to zamyśla? To jakiś dziad okpisz? — Muzyka mu przegrała, a on ciągnie jakąś kobietę za rękę do tańca, i śpiewa dalej:

Siędę pod figurą, drę z całego brzucha,
Niech mi kto grajcara nieda, naklnę mu do ucha.

Jedni ludzie zaczynaja się śmiać, ale drudzy pomrukują:

— Co on sobie będzie tak pozwalał? Za drzwi z nim! Ale ja rzekę: — Czekajmy dalej. — Wykręcił się kilka razy w koło, staje i znowu śpiewa:

Choć zagonów nie mam, regularnie żyję;
Dobrze sobie jadam, jeszcze lepiej piję.

— A ty urwipołciu — odzywa się Woźniak — to my chociaż mamy po kilka zagonów, musimy dobrze zapobiegać, by się wypłacić, jeszcze nieraz na przednowku i zadłużyć się, a ty za ludzkie grajcary, za świętą jałmużnę będziesz spijał?

Już i mnie brakło cierpliwości. Jak skoczę i pochwycę go za kołnierz:—Co ty sobie myślisz? — A i drudzy za mną przypadli do niego, a on się jeszcze zuchwale stawia mówiąc:

— Czego mnie szarpiecie? to mi tak płacicie za to, że ja się dziś za wami modlił?

— A ty grzeszniku, co twoja modlitwa warta? — A on:

— Albobyście mieli byli taki ładny odpust, gdyby nie ja?

— A cóż ty, czyś kazanie miał? Dalej z nim na dwór!

Wyprowadziliśmy go, położyli na trawniku i nuże go paliczką, a on:

— A dla Boga! — A my:—Drzej się teraz z całego brzucha, a po piątej paliczce: no teraz wstań, i naklnij nam od ucha. Wstał, zaczerwienił się i rzecze ze złością:

— Jak powrócę teraz do dom ku Tarnowu, wszędzie opowiem jakie wy tu grubiany. — A ja na to:

— To ty od Tarnowa jesteś? Może jeden z tych, co to przed czternastoma laty rabowali i zabijali skoro tak bluźnisz i śpiewasz?

A on wtenczas czegoś zbladł, nogi się pod nim zachwiały, pytamy się go, co ci jest? on nic tylko ciężko westchnął, zwolna usiadł, i wsparł głowę na ręku. Domyśleliśmy się co to znaczy; odeszliśmy, on się podźwignął, szedł po za gęstwinę, położył się krzyżem; wzdychał, i aż ku zachodowi tam przeleżał.

Na drugi dzień moja żona była w Rzeszowie, i widziała go w kościele XX. Bernadynów jak we łzach, z ciężkiem wzdychaniem, przybliżał się do konfessjonału, i prosił o spowiedź świętą. Tak to złe sumienie ściga wszędzie człowieka, i niczem się ugłaskać ani przekupić nie da. Strzegłeś nas dotąd Boże, strzeż i na dal od wszystkiego złego, byśmy nie zagubili dusz naszych, ale oglądali zbawienie wieczne!

Skończył Grzegorz, i wszyscy ludzie westchnęli, bo każdemu przykre się przypomniały czasy. Chwilkę było cicho, nareście powstanie znowu Grzegorz, a rzecze:

— Trzeba wspierać ubogich, ale prawdziwie ubogich, ciemnych, chorych, staruszków i kaleki, ale tych co mogą jeszcze robić bo są silnymi, to pędzić do roboty, niech nie zabierają, nie zjadają tego chleba, co się prawdziwie biednym i kalekom

patrzy. Jeśli dajesz zdrowemu włóce jałmużnę, to w nim powiększasz tylko lenistwo i odwodzisz go od uczciwości. Weź takiego do siebie, ale pilnuj go żeby ciężko pracował, i dawaj mu jeść tyle żeby głodu nie czuł, to może ci się uda naprowadzić go na drogę cnoty, a wtedy miałbyś zasługę u Boga.

Słońce już nie dopiekało tak mocno; wszyscy też dosyć sobie odpoczęli w chłódku, więc powstali, pożegnali się z sobą, i każdy poszedł ku domowi swemu, a rozpowiadał co widział i słyszał na odpuście, i powtarzał tę pogwarkę o dziadach.

GOSPODARSKA POGADANKA.

O warzywach.

Jak ksiądz proboszcz obiecał, tak się też i stało, bo wieczorkiem przyszedł na podwórko Wojciecha, a siadłszy wedle drzwi na ławie jął rozpowiadać dokładnie a szeroko, o każdej jarzynie z osobna. Słuchał Wojciech, słuchała kobieta jego i dzieci też posiadały, a dobrodziej tak prawił:

— Po naszych ziemniaczkach co je tak biedny jak i bogaty uprawia, są najwięcej rozpowszechnioną jarzyną ***buraki*** czyli ***ćwikła***. Już-ci każde z was musi znać buraki, a jeśliście się dobrze przypatrywali, to buraki w polu sadzone są zwykle odmienne od tych, co w ogrodzie. Jakoż dwa są główne gatunki buraków: białe i czerwone czyli bure. Najwięcej pożytku jest oczywiście z wielkiego i mięsistego korzenia, bo jest on pożywnym pokarmem tak dla ludzi, jak dla bydła i trzody. Z białych zaś buraków jest ten największy pożytek, że wyrabiają z niego słodki cukier w osobnych ku temu fabrykach co się *cukrowniami* zowią.

Oprócz korzenia u buraków, jest jeszcze wiele pożytku i z liścia. Ćwikła ma dużo liści, a są one wielkie i soczyste, dlatego służą za wyborną paszę dla krów, które od nich wiele dają mleka, i dobre. Jest więc burak bardzo użyteczną rośliną tak dla każdego gospodarza, jak i dla każdej gospodyni, potrzeba zatem poznać, w jaki sposób hodowany być powinien, aby jak najlepiej się udał.

Burak jest zagraniczną rośliną; gdyby był rośliną swojską, znajdował by się dziki na polach naszych. Sprowadzono go do nas z obcych krajów tak jak i ziemniaki, tylko prędzej od ziemniaków. Ale jak żyto, pszenica, tatarka, proso i inne użyteczne rośliny z obcych krajów do nas sprowadzone już się przyswoiły, tak się przyswoił i burak, i tak się przyswoi jeszcze niejedna użyteczna roślina, której dziś w naszym kraju nie znamy. Jako więc sprowadzona roślina, wymaga ćwikła więcej starania, niż trawa na łąkach, chrzan, i inne swojskie rośliny.

Najlepiej się ćwikła udaje na gruntach gliniastych, i na gruntach mocnych a niewilgotnych. Na zimnej i wilgotnej roli niszczeje. W ogrodach założonych choćby na lekkich gruntach, ale dobrze doprawionych, i z zielsk wyczyszczonych a gnojem podsyconych, ćwikła także się urodzi. W polu można sadzić ćwikłę na świeżej i na przeszłorocznej mierzwie. Sadzona na przeszłorocznej mierzwie lepsza jest na cukier. Najlepiej rolę przeznaczoną na ćwikłę zaraz po żniwach zorać, aby się odleżała, potem na św. Michał zradlić i zawlec, przed samą zimą znów zorać, składając zawsze po dwie skiby na kupę. Aby woda na roli nie stała, trzeba porobić przegony. Gdy tak spulchniona rola odpoczywa przez zimę aż do wiosny, to skruszeje doskonale.

Jeżeli ziemia jest czysta, można zaraz ćwikłę sadzić na wierzch skiby; ale jeżeli rola nie jest jeszcze czysta i pulchna, to trzeba ją po zimie jeszcze raz w poprzek zradlić i uwlec.

Jak się ćwikła sadzi na roli, to najlepiej przypatrzeć się w polu doświadczonemu gospodarzowi. Pamiętać tylko trzeba, aby już nie sadzić głębiej nad cal. Uważać też należy jak zejdzie, że gdzie więcej niż jedna roślinka czyli rozsada z ziarna wyrosła, to trzeba ją wszędzie powyrywać, a po jednej tylko zostawić. Wyrwaną można wsadzić tam, gdzie nic nie zeszło, albo na próżnym zagonku w ogrodzie. Skoro zaś lepiej już podrośnie, trzeba ją oczyścić ze zielska i ziemię poruszać motyką, albo naumyślnie do chwastów urządzonym pługiem. Gdy się tak kilka razy zielsko wyniszczy, wtedy sama tylko ćwikła się rozrasta i wystaje nad ziemię.

Skoro się już burak bujnem pokryje liściem, natenczas można te liście z brzegów obrywać i dawać krowom jako wyśmieni-

tą karmę, a krowy dobrze będą doić. Trzeba zważać aby tylko nie urwać środkowego liścia, bo by mógł zniszczyć cały burak.

Taka dobrze uprawna ćwikła może bardzo obrodzić, a wtedy wydaje i 300 cetnarów z morga, choć zwykle morg na 100 cetnarów się liczy. Latwo więc sobie wystawić, jak wielki można mieć pożytek z ćwikły, która jest wyborną paszą przez całą zimę dla maciorek, dla krów, dla wołów i dla trzody. Krowy dają od niej dużo mleka, owce dostają tłustą wełnę, a maciorki dużo pokarmu dla jagniąt. Jest też z buraka i dla człowieka pokarm, choć biały jest za słodki a lepszy dla bydła i na cukier; zaś z czerwnego smaczne i zdrowe jest jadło, a jeszcze lepszy barszczyk zwłaszcza jeśli go gosposia dobrze ukisić potrafi, a do tego świeżą śmietaną podbije.

Skończył ksiądz proboszcz o buraku, i spytał się Wojciechów i dzieci czy zrozumieli i czy pamiętają o wszystkiem co im tu naopowiadał.

— A toć przecie uważaliśmy doskonale pamiętamy sobie wszystko — odpowiedział Wojciech.

Więc ksiądz proboszcz zapytał o to i owo to Wojciecha to dzieci, na próbę czy też co spamiętali z jego opowiadania, a skoro się przekonał, że im to na pożytek idzie, tak jął im rozpowiadać jeszcze o innych warzywach.

Pieniacze.

Wojciech (do jadącego wozem Józefa.) A zkąd to sąsiedzie wracacie?

Józef. A zkądżeby? a jużcić z miasta.

Wojciech. Z miasta? dziś sobota, w mieście nie ma targu, to i cóż wam za niewola była mitrężyć?

Józef. Oj! niewola, prawdziwa niewola, lecz ja temu nie krzywy, jeno kochany Waluś; ale ja w dubelt jeszcze stracę, a swego nie daruję.

Wojciech. To zapewne jeździliście gwoli procesu?

Józef. A jużcić mój Wojciechu, bo gdzież by człek chciał w powszedni dzień mitrężyć? Jeździło się, bo się musiało.

Wojciech. Ej! gdzie się ta musiało, kiedy ludzie świadomi wszystkiego, powiadają że prawujecie się ale więcej z upodoby jak ze sprawiedliwości.

Józef. Co, ja nie mam racyi? prawuję się jeno z upodoby? a bodaj was Bóg kochał i z waszą taką gadką. To chyba że nie wiecie jak to było?

Wojciech. Powiadano mi ta trochę, ale...

Józef. Poczekajcie, poczekajcie, to ja wam przełożę wszystko dokumentnie, a sami rozsądzicie przy kim sprawiedliwość. Jeno słuchajcie. Zaraz po Wielkiej nocy, jakoś we środę oboje Walkowie byli w mieście. Ojcowie mojej kobiety, spodziewając się, że i my tam przyjedziemy, przywieźli nam całą wędzoną kiełbasę i bułkę pszenną z rodzynkami. Ale myśmy nie pojechali, bo kasztanowi memu zadarło się kopyto, więc kulał. Jak więc ojcowie pomiarkowali że nas w mieście nie będzie, tak tę kiełbasę i bułkę pszenną dali Walkom żeby nam je zawieźli. Walkowie ta jak Walkowie, przyobiecali wszystko ojcom, ale jak tylko w pierwszej karczmie napili się wódki, tak pościągali jeszcze i tego i owego i jak się nie chwycili kiełbasy i bułki, tak zjedli wszystko do okruszyny, a nam nawet poczciwego słowa od ojców nie przywieźli.

Coś potem w parę tygodni, jestem w mieście jest i ojciec i pyta się, czy dobra była kiełbasa i bułka co nam przez Walków posłali?

— Jaka kiełbasa, — rzekłem, — jaka bułka? kiedyśmy nic a nic nie widzieli.

Rzecz się więc cała wydała, ale Walkowie zamiast wytłumaczyć się, przeprosić i oddać co zjedli nie swego, to jakem tylko wszedł do ich chałupy, i wsiadłem na nich z wymówiskiem bo ze złości to ażem dygotał, to mój Wojciechu jak oboje nie wsiędą na mnie, to jeno co się mnie nie chwycili. A co było przytem przezywań różnych, co pomstowania, co obrazy Boskiej, bo jeżeli oni wrzeszczeli to i darłem się co tylko gardła starczyło, to powiadam wam że aż ludzie przystawali. Jakem też przyszedł do domu, tak uderzyłem pięścią i rzekłem:

— Poczekaj Walusiu pójdziemy w prawo, a nie daruję swego i żeby mi przyszło pójść w świat z torbami, to pójdę, a

ciebie zprocesuję, zniszczę, a rozumu nauczę i swego nie daruję. Od tego też czasu probujemy się z sobą, i ja jemu pozew o kiełbasę, on mnie o nachodzenie domu; ja jemu pozew o szkodę w grochu przez gęsi, on mnie o zabicie młodej gęsi; ja jemu o kury, on mnie o źrebię, ja jemu komornika, on mnie to samo, tak że nie ma żaden z nas ani konia, ani wozu, ani powrozu żebyśmy się o to nie prawowali z sobą. Kosztuje mnie to bo kosztuje i zboża poszło nie mało, i krowinę przedałem, a dziś zastawiłem korale, żeby było czem dalej się prawować, ale przecież muszę dojść sprawiedliwości, a jego zniszczę z kretesem.

Wojciech. W tem wszystkiem widzę żeście oba zawinili: on że zjadł to co nie było jego, wy żeście z taką zajadłością napadli go w domu.

Józef. Upominałem się przecie o swoje, a za swojem to by człek w ogień poszedł.

Wojciech. A we dworze byliście?

Józef. A jakże byłem, ale we dworze tak rozsądził dziedzic, żeby Walek albo mi oddał ze swego wieprza kiełbasę, albo za nią zapłacił, a ja jeszcze chciałem, żeby w dubelt zapłacił karę. Ale dziedzic nie chciał tak zasądzić, my więc poszli w prawo, i prawować się będę do ostatniego żeby tam nie wiem co.

Wojciech. Ha! to i prawujcie się, i niech wam ta Bóg dopomaga, ale to prawowanie się to musiało was już kilka złotych kosztować?

Józef. Przeszło pięćset złotych mój Wojciechu, przeszło pięćset.

Wojciech. A kiełbasa co mogła być warta?

Józef. A była warta przynajmniej dwa złote jeżeli nie więcej.

Wojciech. A i macie wy rozum, żeby odebrać kiełbasę wartującą dwa złote, wydawać pięćset?

Józef. To trudno mój Wojciechu, bo tu nie idzie o kiełbasę tylko o honor. Wio! szkapy, wio! zostańcie z Bogiem.

Wojciech (kiwając głową za odjeżdzającym.) Oj! procesowniki, procesowniki, a pamiętajcie jak to ludzie mówią: *Lepsza słomiana zgoda niż złoty proces*! Pamiętajcie, że każdy procesownik *wprzód straci gęsiora, zaczem weźmie kaczora.*

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. Nr. 14.

11. Maja. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Święta Zofja i trzy jej córki.

Dawne to już temu czasy, jeszcze za panowania cesarzów pogańskich, jak żyła w kraju włoskim pobożna niewiasta imieniem Zofja. Sto i dwadzieścia lat mijało właśnie od męczeńskiej śmierci Chrystusa Pana, Zbawiciela naszego, a w pogańskich narodach rozchodził się dopiero słaby blask Jego wiary świętej. Poganie powstawali w obronie bożków swoich, i walczyli mieczem i ogniem wszystkich tych, co w sercu swojem zaszczepiali miłość i wiarę Chrystusową, i było ztąd na całej ziemi dużo skarg i boleści i okrutnych męczeństw.

Aleć wytrwali, i w cnotach lubujący ludzie, nie dbając na męki i prześladowania, chwytali tem bardziej złotą prawdę nauki chrześcijańskiej. I byli w tem zgoła jak owe ryby co chwytają za wędkę chociaż ich kaleczy; i na nich sprawdzały się słowa Jezusa Chrystusa, gdy mawiał o sobie, że jest rybakiem serc ludzkich.

Więc i ona też niewiasta Zofja nie bała się wyznawać wiary Chrystusa Pana, i w wierze tej żyła z mężem, cnotliwa, cicha i bogobojna. A skoro mąż jej miły umarł niezadługo, to

choć sama słaba niewiasta trwała stale w tej wierze, i wychowywała w niej trzy córki swoje, które wedle zwyczaju czasu onego zwały się: *Wiara, Nadzieja i Miłość.* A tak matka i córki, choć piękne były na ciele, to jeszcze piękniejsze na duszy; dobrych świętych obyczajów, wszelkiej uczciwości i bojaźni Bożej pełne; iż każdy spojrzawszy na nie, powtarzał znaną przypowieść: *Jakie drzewo takie róžczki, jaka matka takie córki.*

Lecz gdy tak w łasce u Boga i u ludzi kwitnęły, a służby chrystusowej nie taiły, poganie obrócili na nie oczy, i donieśli do samego cesarza, jakoby niewiasty owe gardziły dawnemi bogami, a nowotnego Jezusa wyznawały. I wnet posłano sługi po nie, aby się stawiły przed sądem.

Zmięszał na razie ten rozkaz owe słabe niewiasty, lecz wnet matka i córki jak sercem tak i ciałem nierozdzielne i jakby w jeden wieniec uplecione, padły na kolana wzywając Boga, który się bać nie kazał tych, co tylko ciało zabić mogą. Jakoż przeżegnawszy się krzyżem świętym poszły za sługami, i stanęły odważnie przed pogańskim starostą. A ów widząc niewiastę i trzy niedorosłe dzieweczki tak nie lękliwe, zdziwił się bardzo i pytał zkądby by były i jakiej są wiary.

— Jestem sługą Chrystusa, w wierze jego wychowaną — rzeknie święta Zofja — Chrystusowi poświęciłam swoje miłe córki, i chcę wraz z niemi prawdziwemu Bogu wiernie dotrwać do końca.

Więc nato kazał starosta wszystkie trzy wrzucić do ciemnego więzienia. Aleć zamiast przestrachu w onem więzieniu, obudziła święta Zofja w sobie i w córkach większe męztwo i stałość.

— Pomnijcie najmilsze dziatki — mówiła ona do córek — żem was nietylko wyżywiła i odziała, alem też wyuczyła was bojaźni Bożej, pisma świętego i nauk Chrystusowych; teraz się na was pożytek nauki mej pokazać ma, żebyście się żadną krzywdą, męką i obietnicami uwieść do złego nie dały. Zbawiciel nasz który z wami jest i będzie, da wam posiłek niezwyciężony, a tak uczynicie ochłodę starości mojej a sobie wysłużycie niezwiędły wieniec nieśmiertelności i szczęścia. Bo któżby się wahał za trochę krwi wylanej wiekuistej dostąpić radości!

A córki ściskając matki kolana dziękowały jej za te upominania i mówiły:

— Módl ty się matko za nami i nie odstępuj nas, a ziści słowa twoje Jezus, da nam moc swoją i my słabe dzieweczki podepczemy niezbożność i otrzymamy zwycięztwo!

Tak minęły trzy dni, a po trzech dniach kazał starosta wieść przed siebie matkę wraz z córkami, i chciał je najprzód zmiękczyć łagodnemi słowy i pochlebstwem:

— Patrząc na nadzwyczajną piękność waszą — mówił poganin — upominam was ojcowskiem sercem, abyście mnie słuchały i bogom naszym czyniły ofiarę; inaczej poginiecie, matce waszej czyniąc smutek.

Ale panienki tak mu odpowiedziały:

— My wiecznie Chrystusa nieśmiertelnego oblubieńca chcemy kochać, i nie lękamy się cierpieć dla niego. Ani matce naszej, ani nam szkody nie uczynisz, choćbyś nas też i śmiercią ukarał; bo jej nic milszego nad wiarę córek i cnotę, a nam młodość nasza na lepsze obrócić się nie może, jak żebyśmy za krótką boleść wieczną radość odebrały.

Więc pogański sędzia zawrzał strasznym gniewem na taką odpowiedź, a gdy najstarsza z panienek nie chciała żadną miarą odstąpić swojej wiary, tak kazał ją bić srodze, kłaść na rozpalone węgle i innemi dokuczać mękami. A skoro panienka wszystkie bole mężnie i cudownie przetrwała, zawsze stojąc przy świętym uporze swoim, rozkazał aby jej głowę ścięto.

I nie widać było wtenczas ani w panience onej, ani w matce ani w siostrach rozpaczy i boleści niewieściej. Dzieweczka wesoło i ochotnie podała pod miecz młodą szyję, i poszła do nieba po wieczną nagrodę; a matka modliła się w tej chwili, a siostry wzdychały radośnie do ojca niebieskiego, prosząc o męztwo i wytrwałość.

Bezbożny sędzia, zwyciężony od tak młodej panienki, chciał hańbę swoją na innych nagrodzić; więc obiecywał średniej z siostr różne nagrody, byle się pokłoniła bogom pogańskim. Ale ona nad wiek młodociany stateczna, stała niewzruszona:

— Czy myślisz — mówiła mu — żem ja nie jest siostrą

tej, którąś zabił? Nic innego sobie po mnie nie obiecuj, tylko to coś w niej widział.

Jakoż wytrzymała również srogie męki jak siostra, a wśród katuszy wołała:

— Nieszczęsny krwi żarłoku, panienka słaba i młoda śmieje się z twojej mocy, bo ufa Bogu swojemu!

Rozjuszony temi słowy sędzia kazał jej ściąć głowę, a ona słuchając świętych napomnień matki, z wielkiem sercem dostąpiła chwały męczeńskiej.

Przyszła kolej na trzecią. Widząc sędzia tę słabą dziecinę, miał więcej nadziei, że ją nawróci do pogańskiej wiary. Alećdaremne były jego namowy, bo dziecię odpowiadało:

— Próżno słowa tracisz, jam rożczka jednego pnia, co i siostry moje; jednej matki córki jesteśmy, nie chcę je zawstydzić i okazać się wyrodną.

Więc poganin kazał ją chłostać i katować, a ona dziecina modliła się tylko do pana Jezusa, i Imię święte Jego wymawiała. A matka jej dziwna, święta Zofja, nie pomnąc ani na chwilę na sieroctwo swoje, czekała tylko żeby i na tej trzeciej pocieszoną była, i wołała do niej:

— O prawa moja córko, która czcisz rodziców twoich, któż cię wysławiać nie ma? Idź do oblubieńca po wieniec niezwiędły; oto już czekają na cię aniołowie, którzy cie poprowadzą.

A gdy i ta trzecia córka szyję pod miecz podała, matka uklęknąwszy zawołała tylko wielkim głosem:

— O jakąż ja ofiarę trójcy świętej posłałam w Niebo!

A owo i sędzia okrutny poprzestał na tej ofierze, i puścił matkę wolną, a dozwolił jej nawet pobrać ciała córek swoich, i oddać im cześć, jaka przystała ich męczeńskiej śmierci. Lecz śmierć miłych córek, była gorszem męczeństwem dla serca matczynego, niż wszystkie cielesne katusze. A skoro trzeciego dnia zaszła św. Zofja na grób swoich dzieciątek, tak modliła się tam długo, aż wreszcie oddała duszę czystą panu Bogu, i połączyła się na wieki z córkami swemi.

Pamiątkę tej świętej pańskiej obchodzimy 15go Maja; módlmyż się więc dzieci na dniu tym do świętej Zofji, do tej matki

wielkiego serca, aby wstawiła się do Boga wszechmocnego i za nasza matką, za tą ziemią ukochaną a nieszczęsną!

PIEŚŃ

do Najświętszej Panny.

Niebieskiego dworu Pani,
Do Ciebie z płaczem wołamy;
Ewy synowie wygnani,
Litości Twojej żądamy.

Na wielu nam rzeczach zbywa,
Nędza człowieka uciska;
Tylko swą nagość okrywa
Tem, co z łaski Stwórcy zyska.

Ty najbliższa twego Syna,
Powiedz mu o naszej doli;
Niech wad naszych zapomina,
Lepszego bytu pozwoli.

Matko, my dziećmi twojemi!
Patrz na stan nasz, nie na winę;
Módl się za nami grzesznemi,
Teraz i w śmierci godzinę.

Krzywda sieroca.

Już słoneczko na zachód się chyliło, z plebanji dzwonek na Anioł Pański dzwonił po rosie ludziom na dobranoc panu Bogu na podziękowanie, i ludzie i bydło wracało z pola. Słonko jeszcze przystanęło nad lasem, i ogląda się jakby mu żal było odchodzić z tych miejsc. Bo też cudne było to miejsce: sioło zasobne, w sady schowane, ziemie żyzne na około. Ale cóż, kiedy nie zawsze na dobrej ziemi dobrzy ludzie mieszkają, i nie każdemu dosyć tego, co mu pan Bóg dał, choć mu dał pełną garścią.

Otóż i w onej wiosce było dwóch braci: Szymek i Walek,

co im za ciasno było siedzieć w ojcowiznie, za mało pola, bo każdego z nich kłuło szczęście drugiego. Więc dalej w pozwy, procesa, i kilka lat włóczyli się po sądach. Już to prawdę powiedzieć trzeba, że Szymek zawsze chętniejszy był do zgody jak Walek, i chętnie chciał ustąpić połowę tego łanu, o który się prawowali, bo Szymek miał już żonę i dzieci, to jemu tam nie chciało się jeździć po cyrkułach, a kłaniać się wciąż i pieniądze na stemple i pisarzy wydawać; jemu lepiej się zdawało robić w roli i spokojnie chwalić pana Boga. Ale Walek pędziwiatr, nieżonaty jeszcze a hulaka wielki, niechciał słyszeć o zgodzie, zwłaszcza, że mu jakiś pisarek urlopnik, co się po wsiach włóczył, ciągle obiecywał, że mu cały grunt po ojcach wyprocesuje. To też Walek łożył a łożył ostatni grosz na procesa, a co nie dał na proces, to przepił z pisarkiem, mówiąc:

— Dziś przepiję, to jutro wygram i znów będzie za co hulać.

Ale nie tak się stało. Szymek wygrał proces, a Walek kiedy przyszło koszta zapłacić to i swój grunt sprzedać musiał i do takiej przyszedł nędzy, że za parobka służyć musiał u zagrodnika.

Lecz i Szymkowi nie na pociechę była wygrana. Jak mu tyle gruntu przybyło, tak jeszcze bardziej zeskąpiał i jeszcze więcej chciał mieć. Więc pracował od świtu do zmroku, i żonę słabowitą napędzał do roboty, bo czeladzi trzymać nie chciał, a ciągle narzekał, że biedny, że ciężkie czasy, a to wszystko tylko dla tego, żeby mu ludzie nie radzili pomagać bratu, co w biedzie był wielkiej.

Co mu sąsiad który napomknie o bracie to Szymka jakby licho opętało tak się rzucał i gniewał:

— To się ta mógł nie procesować — mawiał wtedy — nie bylibyśmy oba na biedę przyszli.

— Ej Szymku nie grzeszcie tak — mówili sąsiedzi — ta wy macie dziękować Bogu i chałupę i grunt, a on uczciwszy uszy golec.

— Mam, to swoje — mawiał Szymek — i na to ciężko pracuję; a on że biedny to sam tego chce, czemu nie pracuje?

Sąsiedzi wtedy kiwając głowami odchodzili od niego, a

Szymek dalej jak skąpił tak skąpił, pracował jeszcze bardziej i grosz chował do skrzyni, i byłby ogromnym bogaczem został, tylko że to pan Bóg z góry patrzy na sprawy człowieka i karze takich, co nie pamiętają o nim i jego przykazaniach. Więc i na Szymka przyszła kara Boża, bo się oberwał i ciężko zachorował. I co dzień to bardziej słabiał i widział, że umierać trzeba i myślał sobie wtedy:

— Mój Boże, toć ja zbierał i zbierał jakby człek tu wieki miał mieszkać, a na niebo niczem sobie nie zasłużyłem.

I tknęło go sumienie i przyszedł mu na myśl brat, więc się ozwie do żony.

— Małgorzato! niedługo mnie tu na ziemi! Nim ksiądz proboszcz przyjdzie z panem Jezusem poślij po Walka, co bym się z nim pojednał, bo mi jego krzywda bardzo na sumieniu leży.—A działo się to właśnie tego wieczora kiedy to słonko tak pięknie zachodziło.

I niedługo weszło w izbę Szymona ludzi kilkoro, i ksiądz pleban i za nim brat Szymka, bo proboszcz go tu przyprowadził z własnej woli, chcąc ich pogodzić przy śmiertelnym łożu.

— Walku! — rzekł Szymek — pokrzywdziłem cię bardzo, ale krzywda nie wyszła mi na dobre, bo ano pracowałem jak bydle by jeszcze więcej mieć, i ukarał mnie pan Bóg, żem nie zaznał spokojnego życia choć mogłem. Zostawiam kobietę słabą i sierot dwoje. Bądźże ty im ojcem i opiekunem. Połowę gruntu tobie daję, a drugą niech mają sieroty, oddasz im jak dorosną.

Potem Szymek uściskał płaczącego Walka, ludzie się pobeczeli, i niezadługo potem Szymek żyć przestał.

W rok po nim i żona jego zaniemogła bardzo i umarła, więc Walek sam został z sierotami i pracował uczciwie dla nich i dla siebie. Ale nieszczęście chciało, że Walkowi wpadła w oczy praczka ze dworu. Na wyżynku, czy w karczmie, nieraz za nią chodził i czapki poprawiał i częstował, a ciągle mówił:

— Ej! panno gdybyś ty chciała być moją!

Praczka zrazu na chłopską sukmanę nosem kręciła, bo jako we dworze uchowana pańskość miała w głowie, ale że była mądra więc sobie myślała:

— Nieźle by to było być sobie kmietką na swoim chlebie!— Jeno jej sieroty solą w oku były; więc mówiła Walkowi:

— Ej, gdybyś ty był uczciwym gospodarzem a nie parobkiem, to bym się tam może i niewiele namyślała.

Walek otworzył oczy i gębę, bo mu się nie mogło pomieścić we łbie, zkąd panna Kunegunda jego zamożnego gospodarza parobkiem nazwała. A Kundzia nuż się przymilać a tłumaczyć, że jak sieroty dorosną to go z gruntu wypędzą.

— Oj, co nie wypędzą to nie wypędzą — mówił Walek — ta przecie widzą, że ja dla nich długi czas pracował, a wreszcie toć mi ich ojciec a mój nieboszczyk brat połowę zapisali, więc nam wystarczy na uczciwe życie panno Kunegundo — i to mówiąc poklepał ją po plecach.

— A gdzież masz zapis? — zapytała roztropna Kundzia.

Walek się zasmucił, bo rzeczywiście zapisu nie miał, więc panna Kunegunda dodała:

— Ja na biedę pójść nie chcę, wolę do śmierci służyć. Wyprocesuj sobie grunt, to pójdę za ciebie.

Powiedziała, obróciła się na jednej nodze i wyleciała z karczmy. A Walek zmartwiony wrócił do domu, siadł na ławie i począł rozmyślać. To mu Kundzia chodziła po głowie, ale żal mu się wnet robiło sierot; to znowu myślał sobie: — Nieźle by to było mieć chałupę i rolę, to by człek miał i Kundzię i poszanowanie u ludzi i przytułek na stare lata, a tak człeka byle kiedy mogą z chałupy wygnać. — Myślał i myślał, a co sierotki do niego przyjdą to się na nie gniewa i odpędza od siebie, bo te sierotki przypominały mu, że on u nich służy, i smutne twarzyczki sierot były mu strasznym wyrzutem.

— Co to wam tatusiu?—pytała Zośka, bo tatusiem nazywały go sieroty — coś wam musiało nie wydarzyć się w polu, boście tak pomarkotnieli jak tamten nasz tatuś, kiedy mu w polu nie urodziło.—Dziwna rzecz, że Walkowi wydało się, że słowa sierotki były mu zarzutem, że nie pracuje w polu dla nich, że opuszcza się w gospodarstwie: więc się rozgniewał i wrzeszczał na czeladź i dzieci, jakby chciał zakrzyczeć sumienie co w nim wciąż mówiło: — Oj źle chcesz zrobić Walku.

Dobrze to mówią ludzie:—gdzie djabeł nie może tam babę

pośle — toteż posłał do Walka babę ale nie starą jeno urodziwą, ładną pannę Kunegundę. Panna Kunegunda od tego czasu coraz częściej niby przypadkiem nawijała się na oczy Walkowi. To idąc do kościoła spojrzała do jego sieni; to go nadybała u przełazku w ogrodzie, kiedy Walek wracał ze dwora; a zawsze mu się przymiliła, białe ząbki szczerzyła do niego, że się biednemu Walkowi aż gorąco robiło pod czupryną. Ale co się do niej zbliży, co chce uścisnąć i zapyta: — Panno Kunegundo kiedyż dać na zapowiedzi? — to panna Kunegunda zgrabnie mu się z rąk wywinęła i mówiła:—Będą zapowiedzi jak ty kmieciem zostaniesz. — I dotąd gadała, gadała, aż się Walkowi w głowie przewróciło. I dla sierot był coraz gorszym; aż jednego dnia zabrał papiery po nieboszczyku bracie i pojechał z niemi do miasta. A z miasta wrócił pijany ale nie sam jeno z owym pisarkiem. Jak zaczęli się kręcić, kłaniać, płacić, tak też i proces wygrali, bo i świadków przekupili napitkiem i obiecankami, jako że w świecie o złych ludzi nie trudno. A sierotki biedaczki ani wiedziały jak ich stryj obdarł z majątku.

Idzie spowiedź wielkanocna, a tu na Walka strach, bo jakże tu nie iść do spowiedzi, a na spowiedzi jakże nie powiedzieć dobrodziejowi, że pokrzywdził sieroty. A dobrodziej wtedy pewnie nie dałby rozgrzeszenia i majątek wrócićby kazał, a jakby wrócił, toby się Kundzia znowu odwróciła od niego. Myślał i myślał i biedził się, aż tu przy wódeczce w karczmie nuż mu pisarek perswadować:

— Głupi Walek, i czegoż ty się boisz. Wygrałeś proces to rzecz jasna, a jeżeli niesprawiedliwie, to nie twój grzech jeno sędziów, bo to nie ty sądziłeś; więc na co proboszczowi wiedzieć żeś ty proces wygrał.

Uradował się Walek na takie słowa i bez trwogi poszedł do spowiedzi, a nie pomyślał nawet że to nie sędziowie grzeszyli, jeno on grzeszył, że sędziów i świadków przekupił. I wziął hostję przenajświętszą, ale na potępienie siebie jak to wnet zobaczycie.

Po Wielkiej Nocy było wesele z panną Kunegundą. Sąsiedzi krzywili nosami że Walkowi się zachciało panny ze dwora, a gardził porządnemi dziewkami kmieci, ale na weselisko przyszli

licznie, bo co im to szkodziło najeść się i napić nie za swoje pieniądze. A u Walka wesele było sute, jadła i napitku co niemiara, a sieroty, za których pieniądze Walek sprawiał wesele, siedziały w komorze w brudnych odzieniach i płakały, że ich wypędzono z izby. Biedne sierotki nie płaczcie, bo pan Bóg z wami! I zesłał sierotom pan Bóg Aniołów stróżów, i Anioły stróże uspiły dzieciątka, i dzieciątkom śniły się otwarte niebiosa, i matka i ojciec w białych szatach szli do nich i karmili rajskim chlebem głodne dzieciątka.

Po weselu panna Kunegunda, a teraz pani kmiotka Walkowa, zabrała się na ostro do gospodarstwa i do Walka. I wnet pieniądze przeszły z trzosa Walkowego do skrzynki Kundzinej, i czeladź cała jeno na gospodynię uważała, a biedny Walek spuścił uszy i robił co kazała Kundzia.

Jednego dnia Kundzia przysiadła się do Walka i nuż gadać:

— Walku! masz żonę lepszego rodu więc po co tobie być chłopem. Ot lepiej przebierz się w kapotę, pojedziemy do miasta, kupimy dom: ty będziesz furmanił, ja prała i będziemy jakoś w większym honorze u ludzi, i dzieci nasze nie będą już prostemi chamami.

Nie chciało się ta bardzo Walkowi usłuchać żony, ale jak zaczęła lamentować, że jej świat zawiązał, że ona tu między chamami nie wysiedzi, a w końcu jak mu zaczęła dogadywać jaką on to ma pańskę minę, żeby nikt nie poznał, że on cham — tak też Walek i przystał. Smutno mu się ta zrobiło, kiedy sprzedał ojcowiznę i wychodził z chaty, gdzie jego tatuś żył; ale pocieszał się tem, że zostanie szlachcicem, i dzieci jego nie będą chamami. Sąsiedzi kiwali tylko głowami, i pokazywali sobie palcem, że biednemu Walkowi w głowie się przewróciło.

Ale najgorzej stało się naszym dwóm sierotom. Póki Walek był na wsi, to żywił je i chował, bo bał się wyganiać z domu, żeby o tem we wsi niebyło dużo gadania; ale teraz do miasta brać ich nie chciał, bo nie wiedział coby tam z niemi zrobił. Jednego więc dnia dał im po bochenku chleba i po kilka groszy, i wygnał z domu mówiąc:

— Dość już najedliście się mojego chleba.

A stało się raz potem kiedy już w mieście mieszkali, że Walkowi przypadła daleka droga, a żona została w domu złożona obłożną chorobą. Pomyślnie się wiodło na furmance Walkowi; pieniędzy nazbierał dość i wracał do domu. Jechał przez las i myślał sobie o żonie, o dziecku, które miał zastać za powrotem, i myślał sobie jak to wiele jemu trzeba będzie zarabiać, żeby mógł dzieci swoje wyprowadzić na panów, żeby mogły jeździć powozami jak grafowie. Myślał i myślał, aż tu zajdzie mu drogę dwoje sierot, dzieci brata jego w łachmanach i boso, i nuż prosić:

— Zlitujcie się też nad ubogiemi sierotami! — Nie mówiły tatusiu, bo nie poznały stryja tak go zmieniła kapota z pętlicami, wąsy i czapka na bakier. Ale Walek poznał dobrze sieroty, przeląkł się ich chudych twarzy i sumienie poczęło mu głośno gadać: — Oddaj coś wziął tym sierotom! — Ale Walek oddać nie chciał, bo Walkowi potrzeba było pieniędzy dla własnych dzieci, które chciał widzieć panami, zaciął więc konie i pojechał by nie słyszeć prośby sierot i zapomniał nawet rzucić im jałmużnę. I sierotki zostały na drodze płacząc. A płacz sierocy to przekleństwo Boże i nie długo czekał na nie Walek. Zajeżdża przed dom a tu drzwi i okiennice zaparte. I wyszła ku niemu przekupka, co siedziała obok jego domu.

— Oj Walenty, Walenty! — mówiła — nie wiem czem wy tak zawinili u pana Boga że was tak srodze ukarał, bo oto żonę waszą zawieźli wczoraj do szpitalu warjatów, a dziecko nowonarodzone na cmentarz zaniesiono.

Zdrętwiał Walek z przerażenia i niewyraźnie bełkotać począł, a przekupka ciągnęła dalej:

—Bardzo była chora wasza kobieta. Nawiedzałyśmy ją nieraz i pocieszały. Jeno ciągle sny miewała przeokropne. Aż jednej nocy jakoś przed niedzielą złodzieje wyłamali okiennice i zakradli się do izby. Kobiecina wasza nagle się zerwała i krzyczeć poczęła, a kiedyśmy nadeszły już od rzeczy mówiła i dzieciątko nowonarodzone nieżywe przy niej leżało.

Nie potrzebuję wam mówić moi mili, co się działo w duszy Walka. Wszak nie jeden z was ma żonę, dzieci, to wie co to za boleść człowiekowi widzieć własną kobietę, jak patrzy na ciebie

wielkiemi oczyma niby nierozumne bydle a niepoznaje cię i gada, że się jedno drugiego nie trzyma. A pomyślcie no jeszcze jak Walek rad był doczekać się dziecka. A tu dziecka ani zobaczył nawet, a już w chłodnej usnęło mogile.— To też nie dziw, że Walek zaturbował się strasznie i z turbacji wielkiej pić począł i przepił chudobę swoją, a na starość tułał się po żebraninie i spał pod ławą w karczmie lub w błocie. Tak to strasznie pan Bóg ukarał go za to że pokrzywdził sieroty. Nie pokarał go zaś pan Bóg dlatego żeby poznał swój grzech, ale żeby innym był przestrogą i przykładem.

A sieroty wzięła jedna dobra pani na wychowanie. Dzieweczka wyrosła i poszła dobrze za mąż, a chłopczyk gdy dorósł nie chciał być niczem innem jeno księdzem. I został księdzem, i teraz modli się za dusze rodziców swoich, za szczęście siostry swojej, za wszystkich ludzi i za stryja swego, co taką krzywdę sierotom wyrządził.

Stach.

GOSPODARSKA POGADANKA,

O warzywach.

Posłuchajmyż, co Dobrodziej rozpowiadał dalej o warzywach:

— Ot zaraz po burakach mamy *brukiew*; bo uprawa pod nią jest prawie taka sama jak i pod ćwikłę. Najlepiej udaje się i na lżejszym gruncie, na jakim i róść by nie chciała ćwikła. Nasienie z brukwi zasiewa się najprzód na dobrej ziemi w ogródku, a potem rozsadę przesadza się albo w ogrodzie albo na polu. Pamiętać zaś trzeba, że brukiew więcej ogrzebywania potrzebuje, aniżeli ćwikła, lecz nie trzeba jej całkiem przysypywać. Brukiew jest mniej trwała od ćwikły jakoż nie ma jej długo co chować, lecz najprzód spotrzebować, bo gdy leży na kupach na wierzchu ziemi to prędko gnije. Przez zimę trzyma się najlepiej w dołach, a użytek z niej tak jak i z buraków: służy na pokarm dla ludzi, i jako dobra pasza dla bydła.

Odchrząknął ksiądz proboszcz, i tak dalej prawił:

— Pewnie znacie wszyscy *rzepę?* Owóż *rzepa* nie jest tak pożywna roślina jak brukiew albo ćwikła, ale bardzo pożyteczna, a to dlatego, że nie potrzeba jej tak dobrego gruntu i tak starannej uprawy, jaka jest przy brukwi i burakach. Rzepę można siać po oziminie tego samego roku w ściernisku. Jest także i z tej jarzyny pożytek wielki w gospodarstwie. Jest ona smaczną strawą dla człowieka, a dla krów wyśmienitą paszą, szczególnie w jesieni. Krowy dają od rzepy dużo i żyznego mleka.

Rzepę, brukiew i ćwikłę może i powinien każdy, choćby najmniejszy gospodarz, hodować nietylko w ogrodzie ale i w polu. Dla ćwikły może wybrać mały kawałek ziemi i dobrze go przyprawić; brukiew może zasadzić albo przy kapustniku, albo gdziekolwiekbądź, czy to między oziminą, czy między jarzyną, czy na kawałku łąki gdzie się trawa wypala, czy nad stawkiem; a rzepę zasiać może na jakim obranym kawałku po sprzątnieniu oziminy. Nie wiele to ziemi zabiera, nie wiele pracy kosztuje, a pożytek jest wielki; można krowom dawać dobrą paszę przez cały rok, a zato mieć dużo mleka, masła i sera.

Teraz powiem wam po krótkości o jarzynie, co ją wszyscy dobrze znacie, bo o *kapuście.* Kapusta różni się tem od brukwi, rzepy i ćwikły, że te rosną w korzeń i z tego korzenia główny jest pożytek; kapusta zaś rośnie w liście, które się mocno w tęgą głowę zwijają, i z tego liścia główny jest pożytek. Im lepiej kapusta się udała, tem potężniejsze ma głowy. Jest kilka gatunków kapusty, główne są dwa: pospolita i włoska. Włoska kapusta jest smaczniejsza, ale kisić jej nie można.

Nie będę wam tu rozpowiadał jak zbierać nasienie, gdzie ono siać i kiedy, co robić z rozsadą i tak dalej, boć przecie koło tego chodzicie, toć i musicie wiedzieć. Powiem wam tylko że jak wszystkie rośliny tak też i kapustę można przez dobrą i staranną uprawę coraz więcej udoskonalać, coraz mieć większą i smaczniejszą.

Dobrodziej przestali na chwilę, a Wojciechowa zapytała:

— Mój jegomościuniu, a czy też ona *sałata* co po miastach sprzedają, to takżeż kapusty? Boć takie ma liściska jak kapusta, jeno co jaśniejsze i delikatniejsze.

— Właśnie chciałem wam o niej mówić — odrzekł ksiądz

proboszcz. — *Sałata* nie jest z kapusty, jak wy mówicie, ale należy do gatunku kapusty, tak jak na ten przykład jaskry po łąkach, co są i niskie i wysokie i o małych i o wielkich pałkach, a wszystkie odrazu poznasz że jaskry. Tak też i do gatunku kapusty należą jeszcze z warzyw: *sałata*, *jarmuż i kalafiory*.

Owóż w każdym ogrodzie i ogródku mieć można i powinno się mieć sałatę, jarmuż i kalafiory; bo sałata prędko rośnie i daje chłodzącą i smaczną w lecie potrawę; jarmuż można jadać zimą i latem jak kapustę. Często kobiety wydają dużo pieniędzy na sałatę, kiedy nie ma na przedeżniwku co jeść, chociażby bez trudu mogły mieć własne warzywo z ogródka swego. Albo też zbierają w biedzie lebiodę i inne zielska, i tem żywią pracującego ciężko w polu męża, dzieci i siebie. Zamiast nędznej i niezdrowej lebiody i jakiegoś innego zielska, dobra żona i dobra gospodyni dawać powinna mężowi i dzieciom własnego hodowania sałatę, jarmuż, ogórki, rychłą kapustę i inne pożywne warzywa. Co więcej, gdyby wiejska kobiecina pilnie pracowała w ogródku, gdyby zamiast wygrzewać się na słońcu, ogródek skopała, wymierzwiła, zasiała, pełła i polewała, mogłaby co tydzień na targ zanieść do miasta kosz świeżych warzyw: sałaty, rzodkiewki, ogórków, spinaku, jarmużu, kalafiorów i innych ogrodowin. W mieście to chętnie kupią i dobrze zapłacą, a za te pieniądze mogłaby dobra gospodyni kupić kawałek mięsa, kawałek okrasy i nie zielsko, ale pożywną potrawę zanieść mężowi w pole, który ciężko pracować musi.

Niechaj się tylko postara o nasienie najlepszej sałaty: są tak piękne gatunki, że sałata dobrze pielęgnowana dostanie takie prawie głowy jak kapusta. Ileżby to za taką sałatę gospodyni zebrać mogła pieniędzy w mieście! Sałatę mieć można w ogródku przez całą wiosnę i lato.

Jarmuż zasadzony w ogrodzie ku końcowi lata, dostarczy przez całą jesień i zimę smacznej jarzyny, a tym jest lepszy, im bardziej go mróz przejmie.

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Kilka było u nas pożarów zeszłego miesiąca kwietnia. I tak z 10go na 11go w nocy zgorzało dwanaście domów w mieście *Zbarażu*, w obwodzie tarnopolskim. Przy dochodzeniu zkąd się wziął ten ogień, pokazało się, że był przez złego człowieka podłożony w domu żyda Josla. Tak więc złość jednego, sprawiła tyle zniszczenia i skwierku.

Drugi pożar był w *Sokalu*, w obwodzie złoczowskim. Ogień pochłonął dwa domy z wszystkiemi budynkami gospodarskiemi. Trafił się przytem ten nieszczęśliwy wypadek, że jeden z gospodarzy całkiem się spalił, a drugi został mocno poparzony. Niech tam pan Bóg ma w swej niebieskiej opiece duszę jednego, a niech zeszle uzdrowienie drugiemu!

W *Mostach Wielkich*, w żółkiewskim obwodzie wybuchł także ogień 13go kwietnia, niewiedzieć z jakiej przyczyny. Spaliły się w tym ogniu stajnia i ujeżdżalnia wojskowa.

Aleć co najstraszniejszym wypadkiem to był pożar w *Załubińczu*, wiosce o pół mili od miasta Nowego Sącza odległej. O północy z 17go na 18go kwietnia wybuchł ogień w małej stodole załubinieckiego gospodarza Józefa J. a wicher był właśnie taki straszny, że blisko o ćwierć mili niósł iskry i węgle jarzące. Zgorzał w tym ogniu cały dom i zabudowania gospodarskie Józefa, i sąsiedni folwark puszczony w dzierżawę; spaliła się też szopa, pięćdziesiąt sągów drzewa na składzie u poblizkiego żyda karczmarza, a nawet trafiło się przy tym wietrze, że blisko o ćwierć mili zgorzał dom innego gospodarza ze wszystkiemi przynależnemi budynkami. Dzierżawca folwarku i ów drugi gospodarz stracili w ogniu prawie całą chudobę, spory zapas zboża, słomy, siana i wszystkie sprzęty gospodarskie. Strata to wprawdzie wielka, ale co największe nieszczęście było to, że w płomieniach zginęło czworo dzieci, których w żaden sposób nie można było uratować, bo pożar był nagły i niespodziany. Szczęście jeszcze, że ogień nie dostał się do piwnicy karczmarza, kędy stało sto beczek okowity, bo by się było pewnie i w mieście zajęło.—Po śledztwie pokazało się, że ogień podłożył jeden patentowy inwalida z Łososiny górnej w limanowskim powiecie, imieniem Jakób. Chciał on się tym sposobem zemścić na biednym Józefie, a pchnął i innych w nieszczęście. Niechże więc pan Bóg stokrotnie wynadgrodzi nieszczęśliwym pogorzelcom tę złość i zaciekłość owego człowieka.

Rabunek. Także zeszłego miesiąca z 9go na 10go w nocy, napadli złodzieje na trzy sklepy w *Oleszycach*, w żółkiewskiem, a rozbili i okradli je do szczętu. Niewiele tam było towarów i gotówki, boć i sklepy nie wielkie, ale zawsze liczą tę stratę na pięćset nowych reńskich. Mówią niektórzy, iż kto wie czy to nie banda cyganów, bo ich tam widzieli temi dniami w okolicy Oleszyc; ale pewności nie ma żadnej, jedno to smutne przeświadczenie, że jeszcze dość złodziei i rabusiów na tym grzesznym świecie!

Siłacz nad siłacze. Hej, hej mocny Boże! inni to dawniej ludzie żyli na tej naszej ziemi! — Inni na duszy i inni na ciele. Dusza była poczciwa, dobra i pobożna jakby u anioła, a ciało duże, silne i krzepkie jakby u jakiego wielkoluda.

Owóż jednym takim siłaczem był niejaki Stanisław *Ciołek*, wojewoda mazowiecki. Cud Boży, co to za moc była u tego Stanisława! Jeszcze takim małym bachorem był, że ledwie się dopiero chodzić nauczył, a już dwóch wielkich ludzi podniósł w ramionach. A gdy urosł w chłopię, co mu, uczciwszy uszy, jeszcze smarkaczem nazywać się należało, to ci już był wierutnym dziwolągiem i takie dziwa wyrabiał, że poczciwi ludzie swym własnym oczom wierzyć nie chcieli gdy się temu wszystkiemu przypatrywali.

Raz sobie jedzie ten Stanisław Ciołek przez miasto jakieś i patrzy, a tu czterdzieści drągalów męczą się około wielkiego dzwona, aby go zanieść na wieżę kościelną. Ale co tylko trochę podniesą dzwon w górę, to znowu go puścić muszą i ani rusz sobie rady dać nie mogą. Jak-ci to zobaczył Ciołek, pobiegł ku dzwonowi, poroztrącał robotników — a plunąwszy w garść wziął ten ogromny dzwon na ręce i zaniósł go bez żadnych ceregieli prosto na wieżę. Strasznie się ci ludzie ulękli i myśleli sobie, że to sam djabeł żywy, toż poklękali jedni i poczęli się żegnać, a drudzy co rychło pouciekali. A Ciołek uśmiawszy się do syta siadł do pojazdu i pojechał dalej.

Inną razą znowu zjadł sobie Ciołek porządny objad i wyszedł tak trochę przejść się po polu. Gdy tak sobie idzie, widzi siła ludzi, co stawiali groblę przy rzece i strasznie się męczyli nad kłodą a nie mogli jej podźwignąć. Zbliżył się do nich pan Ciołek i zapytał:

— A no, czy wy takie niezdary czy kłoda taka ciężka?

— Oj! kłoda, kłoda taka ciężka — odpowiedzieli robotnicy.

— Nieprawda, nicponie! patrzajcie! huknął Ciołek i jak nie uchwyci za ową ciężką kłodę i jak nie zacznie nią wymachiwać po nad głową, tak jakby jaką lekkuchną paliczką albo łozowym pręcikiem. A robotniki w nogi, i nie obejrzeli się nawet ze strachu.

Są i dziś tędzy ludzie, ale tacy siłacze to się już nie rodzą.

Pogoda. Przecież od kilku dni mamy już ciepłą pogodę wiosenną, a zgoła się już wydawało, że zima na świeżo chce do nas zaglądać, takie były przykre wiatry i deszcze, i śniegi nie rzadko. Owóż nie w jednem miejscu zaszkodziło oziminie to zimno obrzydłe, aleć pokazało się też zaraz, że ***nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło***, bo te śniegi i deszcze wyniszczyły szarańczę, co się u nas zeszłego roku zagnieździła. Kto wie, czyby bez tego nie było znowu siła świeżego kłopotu i nieszczęścia z owem skrzydlatem paskudztwem. Zresztą przy końcu były już i cieplejsze deszcze, a deszcz w Maju, to tak jak zbawienie dla grzesznej duszy, boć przecie mówią starzy:

Suchy Marzec, mokry Maj,
Będzie żytko niby gaj.

Jest więc nadzieja w litościwym Bogu, że nam pobłogosławi nasze zasiewy!

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. Nr. 15.

21. Maja. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Henryk Walezy, cudzoziemiec,

król polski.

Jak sierota bez ojca, tak została polska ziemia samotna, bez żadnego króla ni potomka królewskiego, skoro pochowali Zygmunta Augusta. Więc kłopot wielki powstał w narodzie kogo by tu królem obrać, bo jak to zwykle w takiej sprawie bywa, *co głowa to rozum*, i każdy swojego rad przekłada nad innych. Owóż chcąc dowiedzieć się przecie, kogo sobie cały naród za pana mieć życzy, zwołał Arcybiskup Gnieźnieński jako najwyższa po królu osoba wielki sejm do Warszawy.

Dopieroż wtedy, oprócz wielu senatorów i radnych panów, jęli się ludzie zjeżdżać z różnych stron polskiej ziemi. Wszystkiemi gościńcami sypało ci się jak z rękawa na pola Warszawskie: tu bogacz w powozie ludzi zbrojnych wiódł ze sobą jak na jaką wojnę; owdzie chudzina sam jeden na niedopasionej szkapce; trzeci znowu szkutą przypływał po Wiśle, gdzieś od dalekiego Gdańska: zgoła, z każdego kąta znalazłeś tam człeka.

Łatwo też wyrozumieć, że przy takiej gromadzie ludu z różnych stron kraju, trudno było o zgodę od razu, zwłaszcza że byli tam i posłowie od różnych książąt i królewiczów cudzoziemskich, którzy tych i owych to podarunkiem, to dobrem sercem na swoją stronę przeciągali. Panowie radni, w wielkiej szopie, naumyślnie do tego zbudowanej, słuchali jednych i drugich i trzecich, i nie było temu końca; aż nareszcie po długich swarach pokazało się, że największa część ludzi chciała mieć na króla, francuzkiego królewicza, co się zwał Henryk Walezy. A skoro też poseł tego Henryka przystał na wszystko, co naród żądał od przyszłego króla, i zaprzysiągł, tak już po tym obiorze zakończyła się cała sprawa. Więc nareszcie wysłali nasi posłów swoich do francuzkiego kraju, żeby tam królewicza Henryka na tron polski zaprosić, i przywieść go ze sobą. Skoro nasi posłowie do Francji zajechali, tak tam bardzo wszystkim było dziwno, że to koło naszych nie tylko bardzo suto i bogato po wierzchu, ale i we środku w głowie nie wióry stolarskie jeno rozum. Boć to nasi mówili do Francuzów ich językiem, a owi do naszych po polsku ani gęby nie umieli otworzyć.

Owóż po długich zaproszeniach i ceregielach, zjechał nakoniec król Henryk do Krakowa. Trudno tu wypowiedzieć jakie świetne było przyjęcie tego króla od narodu polskiego, ile to ludzi zgromadziło się, aby tylko powitać nowego pana! Co tam było konnych co błyszczeli od złota i srebra, a co mieszczan krakowskich pięknie uzbrojonych, i ludu wiejskiego jaka siła, to byś tego nie zliczył.

„O pierwszej w nocy wjechał król bramą florjańską: siedział na białym koniu, który miał siodło złociste. Mieszczanie nieśli nad nim baldachim, jak to noszą nad księdzem w czasie Bożego Ciała; w mieście zaś tyle świec gorzało, żeś prawie mógł szpilki zbierać przy tej jasności. Kiedy król jechał w ulicę co wiedzie do zamku, tedy orzeł polski sztucznie zrobiony na wierzchu bramy, zaczął ruszać skrzydły i głową kiwać, jak gdyby go witał. W bramie zamkowej był drugi orzeł podobny. Król wysiadłszy w zamku poszedł do kościoła, gdzie śpiewano pieśń na podziękowanie panu Bogu, przyczem z armat strzelano, że cały zamek trząsł się od huku.“

Niedługo potem odbyła się okazała koronacja królewska; ale Henrykowi już się jęło tęsknić w naszej ziemi. On sobie myślał, że wlezie między ciemny naród, i będzie mógł broić co sobie tylko zechce; a tu tymczasem król bez narodu nic, bo ani wojny wydać, ani podatków powiększyć bez woli kraju nie mógł. Więc smutno było Francuzowi, i coraz bardziej jął wzdychać do swoich.

Nasi też obierając sobie francuzkiego królewicza zapomnieli znać, że z cudzoziemcem trudna sprawa; że skoro on tej ziemi ukochać nie potrafi, to też i nigdy nią rządzić nie będzie mógł dobrze. To też jak wnet zobaczycie, nie wiele było pożytku z tego króla Henryka.

Pewnego dnia doszła go wiadomość, że brat jego król Francuzów umarł. Tak na tę nowinę zamyślił się nasz Henryk, i już coś nie był spokojny. Przykro mu się zrobiło za rodzinnym krajem, a mozolnego królowania w Polsce było już dosyć dla takiego paniątka francuzkiego.

Więc jednego późnego wieczora zawołał król siedmiu co najwierniejszych dworzan, i tak się do nich odezwie:

— Trudno mi już wysiedzieć w tej Polsce moi mili! Tam w kraju rodzinnym umarł król brat mój, i tron próżny stoi, a ja tu i tak malowanym panem dla Polaków. Siodłajcie konie i uciekajmy ztąd! — zawoła w końcu.

Jak też kazał tak zrobili dworzanie. I późno w nocy wymknęło się ośmiu jeźdźców z krakowskiego zamku, a między nimi Henryk Walezy król polski.

Skoro gruchnęła po Krakowie ta dziwna wieść, że król uciekł z zamku, tak duchem puścił się jeden z znacznych panów, i dogonił Henryka prawie na granicy. Dopieroż tam prosił i zaklinał, aleć to wszystko jak groch o ścianę: ten swoje a tamten swoje, i tak się rozjechali. A Bogiem a prawdą nie było co wiele ubijać się o tego króla, a owszem krzyżyk mu dać na drogę, kiedy mu już tak duszno było w naszej Polsce.

Więc owóż tym sposobem stało się, że ledwie w pięć miesięcy po śmierci ostatniego Jagiellończyka Augusta, był naród polski na powrót bez króla.

Spiewka z dawnych czasów.

Hej w Sandomierskiej ziemi, zielone pagórki,
Oj sieją kwiatuszkami niebiescy Anieli;
Hej ponad modrą Wisłą huczą wodne kurki,
I słonko się przegląda w Wiślanej topieli.
— A czemuż od północy lecą trwożni ptacy,
Lecą trwożni ptacy? —

Żal mi cię złote żytko, co się kłaniasz słonku,
Żal mi cię ty pszeniczko, co już lecisz z kłosa;
Żal mi cię ty ptaszyno, maleńki skowronku,
Straszno tam boży grajku podlatać w niebiosa;
Oj, bo na czystem niebie straszna łuna świeci,
Straszna łuna świeci!

Hej pędzą już poganie w Sandomierskie góry,
Głowniami porzucają i tratują łany;
Hej na ognistym koniu leci wódz ponury,
Od gniewu cały blady, a od krwi rumiany;
Hej lecą, a za nimi śmierć i łuna krwawa,
Śmierć i łuna krwawa.

— A cóż się to tam czerni na tej Łysej górze?
— To klasztor modrzewiowy, stary a bogaty;
— A cóż tam w tym klasztorze na tej Łysej górze?
— Świętego krzyża sztuka i złote ornaty;
Oj, z tego krzyża sztuka, gdzie był Bóg przybity,
Gdzie był Bóg przybity.

Hej kazał wódz ponury złupić klasztor święty,
I cudny okruch krzyża między łupy rzuci;
— Hej, ogień tu podłożyć! — woła wódz przeklęty,
I wnet już straszny płomień z wiatrami się kłóci;
I dym z klasztoru idzie na skargę do Boga,
Na skargę do Boga!

Lecą, lecą pogany z Sandomierskiej ziemi,
I łupów dużo wiezą i wiedą w niewolę;
A czarny gruz za niemi i popiół za niemi,
Już nie poznasz gdzie ugor, gdzie zasiane pole;
Hej wszystko stratowane, cała ludzka praca,
Cała ludzka praca!

Wiezą łupy i krzyża cudny okruch wiezą,
I dojadą z łupami do własnej granicy;
A tutaj wóz przystanął ze świętą grabieżą,
Nadarmo biją konie straszni łupieżnicy;
Hej stoi wóz, a na nim krzyża święte drzewo,
Krzyża święte drzewo.

Więc każe wódz przywołać polskiego rycyrza,
Hej, każe go przywołać z niewolników grona,
I do rąk mu oddaje święte drzewo krzyża:
— Idź złożyć te świętości kędy góra ona,
Gdzie klasztor modrzewiowy pożarły płomienie,
Pożarły płomienie.

I cudo! ruszył z miejsca wóz naładowany,
Ruszyli dalej w pochód przelękli poganie;
A rycyrz idzie z drzewem przez zielone łany,
Gdzie popioły na górze, zasmucony stanie:
Krzyż złożył, i buduje świątynię dla pana,
Świątynię dla pana! —

Grześ z Mogiły.

UCZYNNY CHŁOPEK.

W jednej wsi żył sobie kmieć Walenty Świątyń. Nie miał ci on ani dużo chudoby, ani majątku zaległego, ani jego chałupa nie była pierwsza na wsi, a przecież znali go tam wszyscy od maleńkiego do wielkiego, od dworu do plebanji, a jak się pokazał w święto pod kościołem, to tam każdy czapką ruszał i witał go poczciwie i po chrześcijańsku:

— Witajcie Walenty! co tam słychać? czyście tam zdrowi?—I każdy mu był szczery, bo go lubiono za jego wysługę dla każdego.

A jak pojechał na targ do miasta, to koło niego był ścisk i gwar, bo każdy pchał się do jego wozu, każdy kupił od niego; gdyż on tam na świecie nikomu włosa nie zerwał, ani najmniejszej rzeczy nie ruszył, żeby mu tam kto co na środku drogi albo i na jego stole położył. We wsi nikomu na honor nie nastąpił, na nikogo nic złego nie gadał, cudzych słów złych nie powtarzał — ot był sobie chłopek co się zowie, a jak to mówią i do Boga i do ludzi. Rola jego była najpierwej zorana, a jak zasiał, to na zagonie ani gruzełki nie widać, tak bronami zawłóczył i tak pięknie perz wygrabał. To też kiedy jechał w pole rano, szedł bez czapki bo mówił: *Anioł pański, i kto się w opiekę i kiedy ranne wstają zorze* i inne modlitwy. A każdemu na polu wołał: — Szczęść Wam Boże do roboty!

A jak Walenty kiedy zaszedł do dworu albo na plebanię, to tam nie było rady, jak go tam witali i raczyli i niejedną godzinkę z nim przegadali o różnych rzeczach. Bo jużci tak się należy, że co dobre i poczciwe, to ma wszędzie dobre przyjęcie a co ładaco, to tam nie ma co robić choćby u żyda za piecem. Wartałci też tam Walenty i za sto innych chłopów, co to ani z nieba ani z ziemi, tylko gdzieś siedm mil za piekłem się narodzili. A jaki to rozum u niego? bo jużci ten ma rozum kto dobrze robi, kto na dobre radzi i na dobre prowadzi! A Walenty, jak sobie obrobił w polu, to mu tam nie trza było wiele mówić, ani mu się kłaniać, ani z napitkiem do niego chodzić, tylko posłać i powiedzieć:

— Bądźcie tak dobrzy gospodarzu i wyjedźcie też pomódz to lub owo zrobić — a Walenty już się rusza, już ładuje i już pierwszy na polu. Bo on sobie powtarzał zawsze, co słyszał w kościele z ambony:

— Oddajcie Bogu, co Bogu — a ludziom co ludziom — co tobie miłe, to rób każdemu — tyle człek wart, co zrobi tobie i drugiemu dobrego! Ten ma największy rozum, kto umie drugim najwięcej dobrego zrobić!

A jeźli kto wlazł do jego sieni, to go zaraz przywitał pięknie i pytał:

— A cóż tam powiecie? Może wam co potrzeba? to gadajcie prędko, bobym chciał sobie i drugim co dobrego zrobić. Czy we dnie, czy w nocy to mu wszystko jedno, jak kto zapukał, albo zawołał, to Walenty już na środku drogi stoi i gada i pyta, jakby to on był tylko jeden dobry na świecie, jakby to on był wszystkim ojcem, a ludzie jego dziećmi. Choć sam nie miał wiele, to też i nie wiele mógł dać, ale co dał i zrobił komu, to dobrą ręką i szczerem sercem, a to najwięcej warte. Bo jużci co prawda, to prawda, ale kto daje krzywą gębą choćby i ćwierć złota, to u Boga jest lichota! Kto daje drżącą ręką choćby i woły, nie będzie miał za to chwały! Kto da nie rad choćby pełną stodołę, to nie masne, ale jałowe! On też rozumiał to dobrze, że ręka daje, a serce kraje — że za serce pan Jezus płaci! Każdemu też był miły i datek jego i każda zapomoga, bo szła prosto z serca Walentego.

Aleć miał tam i Walenty swoje ugryzki! Dał mu pan Jezus nie najlepszą kobietę; była nie zła gospodyni, ale za to łakoma i skąpa. Jak Walenty chciał na lewo, to ona w prawo, jak on tak, to ona inak, jak on co komu dawał, albo robił, to ona wygadywała czego byś i za tydzień nie spisał. Ale Walenty zgadzał się z nią w domu, a poza domem to nie raz cichaczem robił, co tylko mógł dobrego sąsiadom. On sobie pamiętał nauczkę od pana ze dworu:

— Tam źle się dzieje, gdzie mąż płacze a żona się śmieje. Tam nie ma ładu i składu, gdzie mąż z żoną tylko gadu i gadu! Tam gospodarstwo się rozleci, gdzie mąż z żoną tak jak śmiecie!

A jużci to oczywista prawda, że gdzie mąż z żoną nie idą równo tak jak dwa woły w zaprzęgu, to zawsze tam już coś brakuje do świętej zgody małżeńskiej.

Do domu Walentego szli ludziska po wszystko jak do dobrej studni po wodę. To przychodzi sąsiad i mówi:

— Pożyczcie mi Walenty koła, bo mi się moje rozleciało!

A Walentowa zaraz gada, jak pytel we młynie:

— Czy to my kołodzieje czy co? czy tu masz na składzie? —

Ale Walenty wyszedł cicho, zdjął koło i dał sąsiadowi.

To znowu przychodzi kobieta z drugiej chałupy i mówi:

— Pożyczcie mi też ze dwie łyżki soli do jutra.

Na to Walentowa krzyczy:

— A czyś to nie była na targu? czy to do miasta daleko?

Ale Walenty wziął solnicę, namierzył soli dwie łyżki i dał i wyprowadził sąsiadkę mówiąc:

— Nie gniewajcie się na moją babinę, bo ona już tak nawykła do gadania, jak ptak do śpiewania.

To znowu przychodzi sąsiad i rzecze:

— Walenty kumie! pożyczcie mi ćwiartkę zboża.

A Walentowa krzyczy:

— Co mi to za kum, że po wszystko do mnie idzie! Czy ja to hrabina? czy mój dom karczma?

Na to odezwie się Walenty:

— Cicho, cicho matko! Jużci pan Jezus daje nam nie nato

majątek, abyśmy go sami przejedli, ale i drugim podług możności udzielali. Tać to nie przepada u pana Jezusa, on nam to odpłaci tyle dziesięcioro; wszak i ty potrzebujesz pomocy ludzkiej, bo trudno się obejść bez niej, a bez pomocy Boga to ani ruszysz z miejsca. — I wstał, wziął klucz, odemknął kłodkę od skrzyni i dał ćwiartkę zboża, i dorzucił kilka garści do wózka kumowi.

To znowu przychodzi jakiś obcy furman i mówi:

— Pożyczcie mi też mój gospodarzu konia, aby można mój wóz naładowany wyciągnąć do góry, bo mi koń ustał.

A Walentowa gada i gada:

— Czy to u mnie austerja jaka, aby każdy po wszystko przychodził? Co ty za jeden? to przywłoki!

Ale Walenty wyszedł z izby, wypytał podróżnych furmanów, pogadał po ludzku, dał konia i sam pojechał i pomógł.

To znowu przybiegł ze dworu parobek i mówi:

— Czybyście też nie wyjechali pomódz zwieść siano, bo się pan boi, aby go nie zalało do jutra!

A Walentowa mruczy sobie pod nosem i gada po izbie coś niezrozumiałego nikomu. Walenty zaś ani się poskrobał, tylko słowo, i już wóz drabiniasty jedzie na pańskie łąki.

A odjeżdżając powiedział swej babinie:

— Bój się Boga! nie gadaj tyle! toć przecie nasz pan to taki dobry dla nas, utrzymuje nam szkołę, daje ludziom zapomogi, daje leki na choroby, płaci rzetelnie i co tam luda u niego się żywi co tydzień. Toć on nasz najlepszy sąsiad, bo on i poradzi, i pogada i nie raz popłacze nad swoją i naszą biedą! Toć on nam życzy i chce dobrze, tylko ludziska niedobrzy! toć on teraz nam równy, tylko bogatszy od nas. Panowie teraz, to nic innego, tylko najpierwsi i najrozumniejsi gospodarze na wsi! bo mi się na mój głupi chłopski rozum tak zdaje, że panowie wszyscy wyszli kiedyś z prostych chałup chłopskich na panów.

A Walentowa gniewna krzyczy:

— Tobie widać także pańskość w głowie! Pan by zaś był kiedyś chłopem!

A Walenty rzecze spokojnie:

— A jużci pan Bóg stworzył tylko z gliny Adama! A jeżeli kiedyś byli wszyscy równi, jak to dziś jest, to tylko przez rozum i pracę dobrą i sprawiedliwą wyszli chłopi dawni na panów dzisiejszych. Tak nas przecie i w kościele uczą.

I pojechał do dworu, i zrobił swemu panu rzetelnie, sumiennie i z serca, a jak mu pan dziękował i chciał płacić to mówił:

— Co mi tam pan dziękuje i płaci, ta jabym miał tu nie za jedno podziękować i zapłacić! Pan tam zawsze więcej dobrego możesz chłopu zrobić, niż chłop panu, bo masz na to od pana Jezusa i rozum i sposób i więcej chudoby i chleba. — I skłonił się i pochwalił pana Jezusa i odjechał.

Dopiero teraz miał co słuchać, gdy bez zapłaty żadnej do domu wrócił; lecz on spokojny tak do żony mówił:

— Co ty pleciesz kobieto! Mnie pan tylko na godzinę potrzebuje, a ja go potrzebuję na całe życie! I ksiądz i pan i chłop jest potrzebny i muszą się kochać, nawidzieć się, radzić sobie w potrzebie. Pan nam głową i ręką a my mu tylko rękami, a ksiądz uczy nas woli bożej i broni duszę od zaguby! I głowa i ręka i serce i dusza są potrzebne, boby inaczej nie było i ludzi na świecie. —

I to powiedziawszy wyszedł do sąsiada, który zachorował nagle, i tam znowu radził, pomagał i ratował.

Ale na tym świecie nie zawsze odbiera się nagrodę za dobre uczynki. Nie raz pan Jezus daje krzyżyki tym, którzy nie zasłużyli na wyćwiki! A znowu złym lezie oknami i drzwiami do chałupy wszystko dobre, aż im rośnie sadło na ziobrach! Ale to robi pan Jezus na to, aby potem lepiej zapłacić temu, kogo dobrze wypróbował. Najgorzej zaś z ludźmi za życia, bo jak ci owi zapłacą, to ci się oczy wypłaczą, jak ci się odwdzięczą, to ci aż serce i dusza zajęczą.

Tak też stało się i z Walentym Świątyniem! Jak to na wsi bywa! nie raz nieostrożność, albo ktoś podpali i pójdzie z dymem praca cała: tak też i Walentego detknął pan Jezus wielkim ogniem. A straszny był to pożar, bo nawet jego skąpa i łakoma babina spaliła się do imienia.

Gadali sobie wtedy ludziska tak:

— Już to na wszystko wola boża! Ot wygadywała różności na ludzi, skąpiła, zbierała, żałowała ludziom, i patrzcie! ani jej trumny nie potrza, ani koszuli śmiertelnej, bo tylko kosteczki z niej zostały.

A drudzy gadali znowu:

— Już ta jej nie wielka szkoda, ale ten biedny Walenty, co ten zawinił? co ten komu złego zrobił?

A Walenty nie narzekał na nikogo! Żal bo żal było mu i babiny, z którą miał złe i dobre chwile, a nie mógł zapomnieć tego, że taką okropną śmiercią wziął ją pan Jezus z tego świata, i mówił z płaczem:

— Oby choć była lekko skonała i po spowiedzi świętej, abym choć miał za co ją jako żonę i gospodynię pochować! Oh Boże mój Boże! ale twoja taka wola.

I przyszedł do niego pan z księdzem i tak mówili:

— Walenty, nie płaczcie! my wam damy i drzewa na nową chałupę, i zboża do życia i zasiewu, i krówkę podarujemy i jakoś to znowu będzie; a ludzie wam też pomogą postawić i pokryć chałupinę.

A Walenty na to rzecze:

— Że mi pan dopomożesz, to wiem na pewne, ale aby mi sąsiedzi coś zrobili, to nie wierzę, bo nie masz gorszych ludzi nad niektórych sąsiadów. Oni mi nigdy nic zrobić nie chcieli, choć ja im tyle robił. A jeźli prawda, to mię tylko przez zazdrość spalili. — I zapłakał stary Walenty na tę myśl.

Ale pan pociesza go i odpowie:

— Ot, zdajcie się na pana Jezusa! wy nie zginiecie, dopóki ja żyję; ale cóż myślicie robić z sobą? Do dworu możecie pójść zaraz, tam jest miejsca dosyć i jeść się też co znajdzie, i każę wam uszyć koszulę, abyście się przewlekli, a potem naradzimy się dalej.

Więc podziękował Walenty nieboraczek, bo gdyby nie pan toby był nie jadł dwa dni całe: wszak żaden sąsiad nie dał mu i wody w biedzie, a jak się palił to nikt nie chciał iść ratować i dla tego mu się spaliła i babina i wszystka praca! To też płakał i gadał:

— Co to za ludzie nie raz po tych wsiach niedobrzy! nie

boją się ani Boga ani nikogo, ale kara boża wisi tam nad każdym grzesznym, i spadnie prędzej lub później.

I jak poszedł do dworu, to już mu się nie chciało z tamtąd ruszyć. I raz mówił do pana:

— Proszę pana, ja sprzedam mój grunt, bo na co mi się to przyda? Ja samiutki jak jeden palec, cóż jabym robił na gruncie? Dzieci nie mam, żenić się nie będę.

A pan mu gada:

— A cóż zrobicie z temi pieniędzmi? może myślicie, że bym ja brał co od was za to, że się pożywicie u mnie, albo się przenocujecie?

Na to Walenty odpowie:

— Ja sobie umyślił tak zrobić: Grunt sprzedam, ofiaruję pół pieniędzy na szkołę, na którą i pan i ksiądz daliście także, potem kupię do kościoła jaki piękny obraz, aby była i w domu bożym pamiątka po mnie, a resztę dałbym aby co rok ksiądz odprawił za mnie i babinę moją choć jedną mszę świętą; zaś co zostanie, to będzie na buty i na trumnę. Panu też za to że mnie chowasz dopomogę nie w jednem przy gospodarstwie, dopóki sił stanie staremu.

Na to pan rozrzewnił się bardzo i rzecze:

— O dobry z ciebie człowiek, mój Walenty! Ty masz poczciwe serce do śmierci, za to da ci pan Jezus niebo dla duszy twej zacnej! Ty nie zostawiaj sobie ani szeląga, bo ja tobie dam wszystko do śmierci, a skoro ty ofiarujesz na szkółkę, to będzie po tobie wieczna pamiątka.

I stało się tak, jak uradzili sobie. Umarł potem Walenty; ksiądz mu sprawił pogrzeb jakby jakiemu królowi; stała trumna na katafalku między gromnicami, byli tam księża i panowie, pochowali go pięknie, postawili mu krzyż złoty na grobie z napisem: Tu leży Walenty Świątyń uczynny gospodarz i fundator szkoły. Boże daj mu niebo na wieki!

I uczyły się dziatki w tej szkole i wisiał śliczny obraz w kościele, i odprawiało się nabożeństwo co rok za rodzinę Walentego, a pan Jezus wziął ową dobrą duszę prosto do nieba wysokiego.

Ks. Wojciech z Medyki.

GOSPODARSKA POGADANKA,

O warzywach.

Ksiądz proboszcz powstał z ławy i spojrzał po niebie:

— Ho, ho, miesiączek już wysoko, no, alеć jeżeli wam się jeszcze nie sprzykrzyło słuchać, to wam opowiem do reszty o wszystkich warzywach.

— A prosimy też bardzo jegomościunia — ozwał się Wojciech.

Więc ksiądz proboszcz tak jął dalej rozpowiadać:

— Znacie pewnie *ogórki?* Otóż i one można mieć w porządnym ogródku, ale trzeba pod nie dobrze uprawionej, pulchnej, silnej, i suchej ziemi. Lubią też ogórki dużo słońca i ciepła a gnoju nigdy dla nich nie zanadto. W maju, kiedy już ziemia wyschła, wygrzała się, i kiedy już nie potrzeba obawiać się mrozów: wtedy sadź gospodarzu pestki ogórkowe, a udadzą ci się. Ponieważ atoli ogórki bardzo szeroko się rozpościerają, przeto trzeba zrobić zagonki na dwa łokcie szerokie, przez środek zagonka wzdłuż rowek na dwa do trzech cali, i w ten rowek kładź dopiero zdrowe, jędrne pestki i przysypuj ziemią. Resztę ziemi między tak zasadzonemi ogórkami można też spożytkować na ten przykład pod sałatę, bo nim ogórki się rozpostrą, to sałata wyrośnie i sprzątnie się. Skoro już ogórki poschodzą i rość zaczną, wtedy trzeba je pilnie pleść i na wieczór podlewać, a urosną na podziw.

Ogórki można jeść albo surowe, z łupy obrane i w talarki pokrajane, ze solą i octem czasem ze śmietaną kwaśną, co się zowie *mizerja;* albo też kiszone. Kiszone ogórki trzymać można cały rok, ale najlepsze są w lecie, kiedy panują wielkie upały. Dobra gospodyni powinna mieć wtenczas kiszone ogórki dla męża i czeladzi. Pożyteczna jestto warzywa, bo można ją całe lato zrywać; ledwo dziś jedne oberwiesz, już jutro drugie są nowe. Dobre gospodynie mogłyby przez całe lato mieć ogórki i sprzedawać je w mieście. Za ogórki z jednego zagonka można przez lato niejeden wziąść reński!

Bardzo do ogórków podobne są *banie* czyli *dynie.* Te ja-

rzynę trzeba na żyznej, ciepłej i pulchnej sadzić ziemi. Słońce i świeże powietrze jest jej nieodbicie potrzebne. Najlepiej sadzić banie tak, żeby się mogły rozpościerać na płocie, na parkanie lub tym podobnie. Ponieważ dostają bardzo długie łęty, przeto można je na płotach, na niskich chlewikach rozpościerać, a wiszący owoc ma dostatek świeżego powietrza i słońca, więc nie gnije. Miło wtenczas patrzeć, jak ogromne banie wiszą na płotach albo leżą na niskich dachach. Ponieważ się dadzą wciągać na płoty, przeto nie zabierają wiele miejsca w ogródku i dla tego je w każdym, chociażby najmniejszym ogródku, sadzić można.

W maju sadzą się ziarnka czyli pestki z dyni, które pierwej przez cały dzień w wodzie moczyć trzeba. Po zasadzeniu trzeba je często podlewać, a już co najwięcej to wtedy, kiedy mają owoc, bo bardzo wiele potrzebują wilgoci. Gatunki bań są różne; trafiają się i takie, co koło cetnara jedna z nich waży. Pożytek jest także różny, bo albo jako jarzyna w mleku gotowane, albo też dla bydła, któremu są żyzną i obfitą paszą. Ze wszystkich roślin, które u nas rosną, *bania* czyli *dynia* wydaje największy owoc. Ten owoc jest różnego kształtu i koloru: są banie okrągłe, spłaszczone, podłużne, białe, zielone, żółte i pręgowate.

Zaraz do bań, tak jakby siostry rodzone należą *melony i arbuzy*. Są one mniejsze od bań a większe od ogórków, ale smaczniejsze jak jedne i drugie. Mają bardzo przyjemne mięso i sok, i jedzą się surowo. Melon i arbuz są roślinami z południowych krajów, i dla tego u nas na gruncie się nie udają, tylko je można hodować na grządkach pod oknami, co je ogrodnicy *inspektami* zowią. Na Ukrainie rosną arbuzy i melony na polu.

Kto mieszka blisko jakiego wielkiego miasta a ma ogrodu kawał, ten może zakładać inspekta i hodować w nich arbuzy, melony i wszystkie rychłe warzywa, jak rzodkiewki, sałatę, ogórki. W dobrych inspektach są te nowalje już na wielkanoc, kiedy nawet w ogrodach ledwo się zaczyna pracować. Za mendel tak rychłych ogórków płacą w wielkiem mieście po trzy i cztery cwancygiery. Również dobrze płacą za sałatę i rzodkiewkę z inspektów.

Kto mieszka blisko miasta, powinien także hodować w swoim ogrodzie: *szparagi, pory, selery, rychłe groszki, groch cukrowy* i inne delikatne warzywa, ponieważ takowe można dobrze sprzedać w wielkich miastach. Nie będę was dzieci uczył, jak się te warzywa pielęgnują, bo tylko ci mogą się tem zająć, którzy mieszkają blisko miast, a tacy najlepiej zrobią, gdy się tego nauczą od pierwszego lepszego ogrodnika.

Odchrząknął ksiądz proboszcz i tak mówił dalej:

— No, już teraz przyjdę do ostatnich warzyw. Każdemu wiadomo jak jest potrzebna cebula; zda ona sie w każdym domu, a nawet w małych miasteczkach pokupna. Są u nas okolice, gdzie się mieszkańcy tylko z cebuli utrzymują, bo udaje się ona tam nie tylko w ogrodach i przy domu, ale w polu na zagonach. A skoro kto pilnie i bardzo wytrwale chodzi koło niej, to i piękny grosz zebrać mu nie trudno.

Cebula lubi grunt tłusty, dobrze poruszony, z zielska wyczyszczony i wilgotny, ale nie za mokry. Ziemię na cebulę uprawia się już pod jesień; tym końcem trzeba ją skopać jak należy i wygnoić mierzwą dobrze przeleżałą. Po zimie skoro się tylko da w ziemi robić, trzeba nasienie cebulowe posiać i pograbić, a najlepiej żelaznemi grabiami. Gdy cebula wschodzi, trzeba ją często podlewać, a gdy już nieco podrośnie, trzeba ją tam, gdzie za gęsto powschodziła, powyrywać, a posadzić tam, gdzie są próżne miejsca. Przytem wypada ją jak najczęściej pleć i na wieczór podlewać, jeżeli deszcz nie pada. Cebula rość powinna nie w łodygę tylko w korzeń; aby więc wszystko pożywienie szło jedynie w korzeń, trzeba w lipcu łodygi przydeptać. Kiedy się dobrze i pilnie robi, to główki cebuli tak pięknie i gęsto wyrosną, że jedna drugą wysadza. Nie można cebuli prędzej z pola sprzątać, dopiero aż liść zupełnie zżółknie i zwiędnie; za rychło sprzątnięta nie jest trwała.

Chcąc się dochować nasienia cebulowego, trzeba wybrać kilka zdrowych i dużych cebul, i wsadzić takowe na początku maja w dobrze uprawioną i wymierzwioną ziemię. Z tych wyrosną grube i wysokie łodygi, te kwitną, a potem zostaje główka napełniona nasieniem. Łodygi takie trzeba przywiązywać do kołków, aby je wiatr przedwcześnie nie połamał.

Cebula nie jest nasza swojska roślina; sprowadzono ją z *Egiptu*, z owego kraju daleko na wschód i południe, z kąd to Mojżesz żydów na wolność wyprowadzał.

Tu ksiądz proboszcz wziął za rękę jednego z chłopców Wojciecha.

— Powiedz mi — zapytał go łagodnie — co tak uważasz, że do rodzaju cebuli należy, i do niej jest podobne? —

— O, a toć *czosnek!* — rzekł chłopak nie wiele się namyślając.

— Dobrze — zawołał ksiądz proboszcz uradowany. — Tak jest, *czosnek* należy do rodzaju cebuli, i także jest warzywą, którą w ogrodach naszych chodować można. Jest to pożyteczna roślina z powodu swego mocnego zapachu.

Oprócz tych tu warzyw, o których wam opowiedziałem, mamy jeszcze: *pietruszkę*, *marchew*, *groch ogrodowy*, *pieszy i tyczkowy*, wreszcie *chrzan*.

Są to dobrze znajome jarzyny, więc i nie ma co wiele o nich rozprawiać. Ot powiem wam jeno, że tak pietruszka jak i marchew, wymagają gruntu mocnego, pulchnego, a głęboko skopanego, bo im głębiej ziemia uprawiona, tym większy rośnie korzeń. Zaraz po zimie jak najrychlej trzeba je siać, bo późno wschodzą: nasienie rzuca się na wierzch ziemi i przygrabia. Zresztą pielęgnacja tego nie wiele wymaga zachodów; trzeba tylko często z zielska oczyszczać, i podlewać jeżeli jest sucho. Mogą być w ziemi aż do późnej jesieni, bo na mróz są wytrzymałe. Chcąc pietruszkę czy marchew przez zimę przechować, trzeba im nać oberznąć a zostawić tylko mały czubek od spodu, zaś korzeń sam oczyścić, i tak zagrzebać w suchym piasku w sklepie.

Marchew jest najzdrowszą dla ludzi jarzyną, a udaje się nieomal na każdym gruncie; każda więc gospodyni marchew siać może i powinna.

Również bardzo użyteczną rośliną ogrodową jest groch, bo udaje się na każdym gruncie, a dużo wydaje owocu. Potrzeba się tylko postarać o takie gatunki, które najwięcej owocu wydają. Groch ogrodowy nie lubi zimna, i dlatego sadzić go trzeba dopiero w maju.

Ha, wreszcie o *chrzanie* nie mam wam wiele co rozpowiadać. Poczciwa to jarzyna! Rośnie sobie bez kłopotu w każdym kącie, i tyle masz z nim pracy, co wykopać i sprzedać w mieście, lub w domu użyć gdy potrzeba.

Skończył ksiądz proboszcz, a powstawszy z ławki, w te się jeszcze odezwał słowa:

— Otóż opowiedziałem wam tu co najważniejsze rzeczy o wszystkich warzywach. Późno to już teraz, abyście wszystko wypróbowali w ziemi według tych przepisów, a nie łatwo też abyście sobie spamiętali tak doskonale rzecz każdą, jak ja tu wam ją za jedną razą wyłożyłem. Chcąc spamiętać takie przepisy, trzeba sobie to i owo kilka razy przeczytać, a prawie że na pamięć nauczyć. Więc wszystko to co wam tu o warzywach opowiadałem, poślę teraz do „Dzwonka", a on to tam w swoim arkuszyku wydrukuje, i będziecie mieli wygodę, bo skoro na bezrok przyjdzie to i owo zasiać lub zasadzić, to tylko tam zaglądniesz, a już będziesz miał dobrą i zdrową radę.

— Oj! a zróbciesz tak Jegomościuniu — odezwali się Wojciechowie — bo my sobie Dzwonek zapisyjemy, a co Niedziela można tam jedno i drugie przeczytać.

— No, no, już się nie turbujcie, a zostajcie z panem Jezusem! — rzekł wesoło ksiądz probosz, odchodząc do siebie.

— Panu Bogu oddajemy! — rzekli Wojciechowie, i odprowadzili Dobrodzieja aż na drogę do plebanji, i tam jeszcze uściskali kolana, w podziękowaniu za tak pożyteczną gawędkę.

I tą razą dotrzymał ksiądz proboszcz z Bułkowa swojej obietnicy; bo napisał wszystko ładnie co tylko powiedział, i przysłał tu do Dzwoneczka, gdzieśmy też i wydrukowali.

☞ *Jeszcze w marcu dostaliście pierwszy arkuszyk opisania tej naszej polskiej Ziemi. Owóż od tego czasu zaszły inne pilniejsze sprawy, więc się drugi arkusz spóźnił trochę, boć dopiero dzisiaj jest gotowy. Dołóżcież ten arkuszyk pięknie do pierwszego a resztę da Bóg doczekać prędzej już dostaniecie. Zostańcie z Bogiem.*

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. **Nr. 16.**

1. Czerwca. **1861.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

STEFAN BATORY, KRÓL POLSKI.

I. Wojna z Moskalem.

Po krótkich rządach owego cudzoziemca Henryka Walezego, znowu się rozpoczęły kłótnie i swary, kogo by tu obrać na króla. Jedni na drugich wygadywali, a nie było też wiele wesołości, boć to już działo się pod jesień w czas brzydki i słotny; że zaś zjechało różnych posłów co niemiara, więc też i nie łatwo przyszło między nimi wybierać.

Aleć właśnie pod on czas rozeszła się bardzo smutna nowina. Otóż na Wołoszczyźnie wybuchła wojna, a że to w sąsiedztwie, więc też i z naszych niektórzy mięszali się tam do tych sporów. Turkowi się to nie podobało że Wołochy nie jego jeno Polskę za pana uznają, więc podbechtał Tatarów, żeby wpadli do naszej ziemi i spustoszyli. Tatarzy na to jak na lato; jakoż wpadli na Ruś, bo im tu było najbliżej, zabrali dwadzieścia tysięcy luda w niewolę, dużo wsi popalili i dobytku nakradli co się tylko dało. Owóż tę smutną nowinę przywieźli ludzie do Warszawy; więc jaki taki zaczął przynaglać coby już raz obrać

króla, bo porządku w całej Polsce ani za grosz, kiedy dzikiemu poganowi takie szkody wyrządzać pozwalają.

Tak więc zaczęli panowie radzić, przyspieszać i łagodzić spory, i wnet stanęło na tem, że polskim królem ma być *Stefan Batory*, książę Siedmiogrodzkiej ziemi, co z Węgrami razem się trzyma. Żeby zaś wszystkim dogodzić, obrano temu panu królewnę *Annę*, siostrę nieboszczyka króla Zygmunta Augusta za żonę, bo się o to przychylni familji Jagiellońskiej Litwini upominali. Więc na to posłowie z Siedmiogrodu zgodzili się, i przysięgli w imieniu swego pana, jako wszystkiego święcie dotrzyma, co naród żąda od niego. Niebawem też nadjechał sam Stefan Batory. Koronowano go zaraz w Krakowie, i tam też ożeniono go z królewną Anną, choć małżeństwo ono nie bardzo przypadało królowi do smaku, bo Anna byłać wprawdzie bardzo cnotliwa i bogobojna niewiasta, ale też i o całe dziesięć lat starsza od niego.

Było tam jeszcze trochę turbacji zaraz na początku, bo miasto Gdańsk nie chciało uznać króla Stefana za swego, aleć to wnet przywiedziono do posłuszeństwa. Na gorszą burzę zanosiło się z Moskalem.

Wiecie już o carze moskiewskim co się zwał Iwan groźny; owóż ten moskal okrutnik wpadł ze swoim wojskiem do Inflant, na północ położonej ziemi, która do Polskiego królestwa należała. A że się tam ludzie takiego zbójeckiego napadu zgoła nie spodziewali, więc wnet pozabierał on różne grody i miasta, siła wsi popalił, i wymordował dużo niewinnego luda.

Myślał sobie car Iwan, że mu to wszystko ujdzie na sucho, a Polacy się zlękną jego wielkiej siły. Aleć nie ciesz się naprzód mój carze moskiewski! Batory to król nie malowany, jak ono francuzkie paniątko, ale ze krwi i z mięsa i z głową nie lada. Nie da on sobie napluć w kaszę, a jak cię chwyci raz i drugi, to tylko trzaski polecą z twoich wojsk wielkich! Jakoż przebrało się wnet cierpliwości królowi Stefanowi; zwołał sejm do Warszawy kędy pieniądze na wojnę uradzono, i zaraz wysłał wojska litewskie na Moskala.

Niedługo po tem wojsku wyruszył i sam król Batory na wojnę; wiódł ze sobą trzydzieści tysięcy wybornego i tęgiego

żołnierza, i stanął niebawem pod miastem Połockiem, które to miasto Moskale jeszcze za Zygmunta Augusta nam wydarli. Obronny był ten Połock, i Moskale bojąc się swojego cesarza siarczyście się też bronili; ale na nic się ta ich obrona nie zdała, bo nasz król przypadł walecznie, i dostał miasta, a z nieprzyjaciół co nie zginęło to wypędził na cztery wiatry. Tak po owym dobrym początku pociągnął Stefan z wojskiem dalej, i wszędzie mu się już wiedło jak z płatka. Lecz łacniej to jednemu człowiekowi własną krzywdę darować, niż królowi, co za pokrzywdzenie swoich niewinnych poddanych się bije; więc i król Batory nie mógł tego Moskalom na sucho przepuścić, że mu siła ludzi w Inflantach pozabijali; tóż idąc pustoszył i palił także ich wsie, a co zuchwalszych takoż życia pozbawił.

Owóż trafiło się, iż jedna część naszych z hetmanem swoim Janem Zamojskim na czele, przyszła pod miasto zwące się *Wielkie Łuki*, zaś z drugiej strony stanął sam król ze swojem wojskiem. Zamojski przygotuwuje się do bitki, a u króla w namiocie siedzą moskiewscy posłowie i proszą pokornie o pokój, i chcą na wszystko przystać byle on wojska wyciągnął z ich kraju. Ale król Batory nie słucha nawet, jeno woła:

— Ja was nauczę napadać polską ziemię zbójeckim sposobem! — I dał znak żeby na gród uderzyć.

Trudna to była sprawa z tym grodem, bo obronnemi otoczony wałami wielki stawiał opór. A choć były ostrokoły i wieże drewnianne, to przecie tak darnią okryte, że nie można je było podpalić. Moskale bronili się też z niesłychaną zajadłością; a co nasi chcą się na wały posunąć, to Moskal tak w oczy sypie, że się człek wali na człeka. Nareszcie przecie udało się naszym zburzyć wał w jednem miejscu, i obedrzeć wieżę z darni, ależ wtedy ukazało się dopiero okno w tej wieży, z którego Moskale niezmiernie prażyli. Nasi zdążyli jeszcze porzucić pod to okno chrustu słomy i innego paliwa, ale co zapalić to już nie miał kto; każdy drżał o swoją skórę, bo tam kule jak grad lecą i niby muchy brzęczą ci wedle uszu! I gdy tak radzą i szukają ktoby się na to odważył, poskoczy jeden mazur nazwiskiem *Wieloch*, a choć ranny chwycił za snop gorejący, rzucił się naprzód i podłożył ogień.

Otóż od tego ognia zaczęło dopiero całe miasto goreć, a śród popłochu i zamieszania obrońców wnet go też i dobyli nasi, z Zamojskim na czele. A skoro się już spokojnie zrobiło, przywołał król Stefan Wielocha do siebie i udarował go sowicie za jego męztwo, a do tego zrobił go szlachcicem i nazwał *Wielkołuckim* od owego zdobytego grodu.

Tak więc dobrze wszystko szło. Moskal uciekał zewsząd aż się za nim kurzyło, aleć w końcu zabrakło już naszym i pieniędzy i ludzi; toż król widząc, że dalej wojny prowadzić nie można, zebrał się i pojechał do Warszawy na sejm, aby tam świeżo nad potrzebami wojska z panami się naradzić. Aleć tutaj na sejmie dużo ludzi było przeciw temu, żeby wojnę dalej prowadzić, a ci mówili:

— Trzeba się pogodzić ż Iwanem, bo on dobry sąsiad, więc na cóż mu dokuczać!

Lecz gadanie takie pochodziło albo z czystej złości albo też z zazdrości że królowi się tak pięknie wiedzie, bo to z naszej strony było bardzo sprawiedliwie, że Batory gnębił takiego okrutnika, co swoich własnych ludzi tylko uciskał i mordował. I wreszcie przycichnął zaraz jeden i drugi, skoro król blady, schorowany i posiwiały od wojennych trudów, pokazał się na sejmie między radnymi panami. Widzieli zaraz ile to Batory nacierpi się i napracuje dla dobra całego kraju, więc nie sprzeciwiali się już wiele, ale uradzili daninę na dalszą wojnę z Moskalem.

Jakoż wyjechał uradowany król zaraz prosto do wojska, i zastał już Zamojskiego pod znacznem miastem *Pskowem*, kędy się Moskale zawarli i z wałów bronili. Tu dopiero rozpoczęła się długa historja. Z kilku stron nacierali nasi: Polacy i Litwini, takoż i Węgrzy, których król miał ze sobą, lecz wszystko nadaremnie. Nic nie pomogło choć jeden nad drugiego się sadził, a Węgier od Polaka chciał być koniecznie tęższy; nadarmo jedni i drudzy cudów prawie dokazywali, bo w Pskowie było do sześćdziesiąt tysięcy żołnierza, a to jest moc nie mała, więc trudno było ją pożreć.

Tak też oblężenie to trwało już do dwóch miesięcy, a bez nijakiego skutku. Naszym się już przykrzyło dobywać ciągle

jednego, lecz bez tego ani rusz było iść dalej; aleć i na Moskalach drzała skóra, i sam Iwan zębami już ze strachu dzwonił, boć ztąd nie było nad 30 mil do samej *Moskwy*, głównego ich miasta. Inni też dowódzcy z mniejszemi oddziałami naszego wojska pozapędzali się także w głąb moskiewskich krajów, i niezmiernie tam nieprzyjacielowi dokuczali.

Więc Iwan widząc że wojskami nic nie poradzi, bo mu wszędzie kurtę skroją, zaczął używać zdrady, myśląc że mu się powiedzie. Owóż w Niemczech wstąpił właśnie nowy cesarz na tron, więc Iwan wysłał tam swojego powiernego posła, a ten schlebiał cesarzowi niemieckiemu i gadał mu dużo o dobroci i przyjaźni Iwana.

— Przyjaźń między moim panem a tobą cesarzu, jest bardzo potrzebna — mówił ten moskal do niemieckiego cesarza — bo jak uderzycie z dwóch stron na polską ziemię, to ją wam łatwo będzie jak orzech zgnieść. A potem dopiero podacie sobie ręce, razem znowu wypędzicie Turka z jego krajów, i będziecie dwoma wielkiemi monarchami na ziemi.

Nie chciał wtedy jakoś przystać niemiecki cesarz na te rady Iwana, choć siła lat później wedle nich podzielili naszą biedną Ziemię; zaś car widząc że mu się nie udało, chwycił się innych sposobów. Owóż siadł i napisał pięknie i pokornie do samego Ojca świętego w Rzymie, że byle go pogodził z królem polskim Batorym, to on zaraz z całym narodem na wiarę katolicką przejdzie, bo jak wiecie Moskwa i dotychczas pod Papieża tak jak my nie należy, ale swojego cara ma za głowę państwa i kościoła. Ucieszył się Ojciec święty tem pisaniem Iwana, uwierzywszy we wszystko, co ten okrutnik biedą przyciśnięty tam nałgał i naobiecywał, i wysłał niebawem jednego księdza Jezuitę do Moskwy, żeby tam załatwił tę całą sprawę.

Otóż temu Jezuicie udało się dopiero pogodzić króla z carem. Batory był też tem łatwiejszy do zgody, bo to już ciężka zima nadeszła, a nasze wojsko stało ciągle pod Pskowem we wielkim niedostatku i nędzy, marznąc na trzaskącym mrozie. Jakoż niebawem spisany został między Moskwą a Polską spokój na lat dziesięć, a wedle tego przypadły do naszej ziemi całe Inflanty, a takoż siła miast i grodów zdobytych. Tak więc nasi

zyskali na tem dobrze i sprawili jeszcze pod Pskowem chuczną biesiadę moskiewskim dowódzcom; ale co ksiądz Jezuita to się dopiero teraz poznał, że go car na dudka wystrychnął, bo nietylko że nie przeszedł na katolika, ale sobie znowu zaczął jak wściekły hulać i dokazywać. W tej to wściekłości zabił Iwan syna swojego własną ręką, ale niedługo potem wyzionął czarną swą duszę, bez żadnej skruchy i spowiedzi, a owszem z przekleństwami na grzesznych ustach.

Nie zdołam wam tu opisać ile było w Polsce radości z tej tak szczęśliwie zakończonej wojny. Kędy tylko wojsko wracało, a Batory na przedzie na cisawym koniu, to lud wylęgał całemi gromadami i witał go jak wybawcę, tak sława jego wojennych czynów szeroko się rozeszła. A skoro król przyjechał do Warszawy, to nie mógł przecisnąć się przez radośne tłumy, a gwar był wielki od okrzyków uciechy, i głos wszystkich dzwonów warszawskich rozchodził się daleko. Było tam kilku panów niechętnych Batoremu, jako że król ten sprawiedliwie ale ostro sobie poczynał i żadnych samowolnych wybryków płazem nie przepuszczał: aleć skoro ujrzeli jak go tłumy ludu witają, tak przycichli w końcu. I nie mogło być inaczej, boć każdy łatwo poznał, że z Batorego będzie król nielada, kiedy zaraz z początku uciążliwą pracą i krwawemi wojnami tyle chwały polskiemu narodowi przysporzył, i w ziemi swej nieprzyjaciołom uszkodzić się nie dał.

Stary nędzarz.

Chodzę ja chodzę jak dzionek długi,
Z wioski do wioski, z chaty do chaty;
Jeden nakarmi, napoi drugi,
Trzeci obdarzy, czem kto bogaty,
I choć do grobu człek się przeważa,
Ludzie starego żywią nędzarza.

Płachta na plecach łatami świeci,
Torba płócienna i kij sękaty!
Tem-em ja tylko w świecie bogaty.
A chociaż matki straszą mną dzieci,

To i nakarmią biedn go dziada,
Co im o różnych rze:zach powiada.

A niechno odpust w jakim kościele,
Lub dzień zaduszny: przed kruchtą staję,
Grosza się wtedy nazbiera wiele.
Każden co może daje i daje....
Za zmarłych, krewnych, lub braci duszę,
Co tam czyszcowe cierpią katusze.

Nieraz gdy kości stare utrudzę,
Siędę pod krzyżem zmówić pacierze,
To sen zmęczone kości rozbierze,
Że się nad rankiem aże obudzę!
Rozstajna droga! ot, miły Boże,
Starego dziada jedyne łoże!

I dzień tak za dniem mija i mija....
Niedługo ręka nie dźwignie kija,
Pod krzyżem zasnę, zasnę na wieki,
I nikt nie zamknie starca powieki;
Dół mi wykopią pośród cmętarza,
I tak się skończy żywot nędzarza!

W. B. K.

Dziadek pod figurą.

Gdzie się to działo co mam opowiedzieć, nie wyjawię wam tego, bo jeszcze żyje kilku ludzi takich, coby im było z przykrością, że się o ich krewniaku pisze, i poczciwe ich imie roznosi po świecie. Więc wam tego nie powiem, ale wierzcie słowom moim, bo jak to słonko świecące na niebie, tak wszystko będzie święta prawda co tu przeczytacie.

Otóż przeszłego roku po interesie wypadło mi jechać na Podlasie. Kiedy przyszło do wyjazdu, żonisko poczciwe aż się spłakało, a dzieciska pouczepiały się wasągu i tak przez całą wieś przeprowadziły. We mnie także serce nie kamień, więc i w moich oczach łzy zabłyszczały, alem je prędko obtarł, bo rzekłem sobie:

— Wojtusiu nie bądź babą; Podlasie przecież nie Ukraina.

Ucałowawszy zatem dziatki, pobłogosławiwszy, ruszyłem w drogę i tego samego jeszcze dnia przeprawiłem się przez Wisłę. Słonko już się chyliło ku zachodowi, wiatr jakby tchnienie człeka, przelatywał po wykłoszonem życie, ze wszystkich stron rozlegało się ryczenie bydła powracającego z paszy do domu, a skowronki i inne różne ptastwo tak świegotało, tak prześlicznie wyśpiewywało, że już piękniejszego śpiewania pewno nie spotka na świecie. Przysłuchiwałem się więc temu wszystkiemu, a oczami rzucałem i tu i owdzie, bo świat wszędzie jest taki śliczny, tak go ładnym Bóg stworzył, że się człek i nacieszyć i napatrzyć dosyć nie może.

Kiedy wreszcie słonko skryło się za lasem, i ptaszkowie milknąć zaczęli, śmignąłem biczem żeby troszkę przyspieszyć, bo jeszcze dobre pół mili było do wsi Kowlinka, w której miałem zanocować, i wydrapawszy się pod górę zacząłem się spuszczać w dolinę, zasłaną bujnemi i wielkiemi łąkami. Przypatruję się więc, i tylko westchnę kiedy niekiedy, bo u nas o paszę strasznie skąpo, chociaż znowu nie ma tyle piasku, i kiedy w głowie rachuję ile to fur można mieć siana i ile bydła na niem utrzymać, dało mi się słyszeć jakieś śpiewanie jakby nabożne, ale żadnym sposobem nie mogłem zmiarkować zkądby wychodziło. Przypatruję się więc, nadsłuchuję a tu ciągle śpiewa, śpiewa, a żadnego człowieka nie widzę: myślę sobie zatem, czy czary, czy co? i zatrzymawszy konie zszedłem z wozu, żeby się przekonać coby to było takiego.

Zaraz przy drodze znajdowała się spora kępa różnej drzewiny, ale tak gęsto przy sobie stojącej, że zdaleka zdawała się jakby duża kopa siana. Ze środka tych to drzew wychodził ów śpiew nabożny; zdjęty przeto ciekawością obszedłem je w koło, i małą wydeptaną od pola ścieżynką wszedłem do środka.

Ale zaledwie po trzech krokach, zatrzymałem się zaraz, bo ujrzałem na małym żwirowatym pagórku, niezarosłym nawet jedną trawką, krzyż cały wymurowany, a pod nim klęczącego dziadka z torbą przez plecy przewieszoną, i opartego na sękatym kiju.

Na łysej głowie staruszka powiewało troszkę siwiuteńkich

włosów, a kornie nachylony śpiewał z takiem nabożeństwem, że nawet nie postrzegł mego przybycia. Zdjąłem więc i ja czapkę i ukląkłem nie daleko dziadka, żeby odmówić pacierz i potem obdarzyć go jaką jałmużną. Dziadek zaraz umilkł, zwrócił ku mnie głowę, i wtenczas z wielkiem zadziwieniem spostrzegłem że był niewidomy.

— To wy dziadku nie widzicie? — zapytałem staruszka.

— Nie widzę mój człowieku — odrzekł dziadek z pokorą, za winy to widać i grzechy Bóg zasłonił dla oczów moich świat przez siebie stworzony. Ale nie sarkam na to, Bóg tak chciał, niech będzie święte Imie Jego pochwalone. Nie rozum to ludzki, żeby wymiarkować dlaczego co Bóg w mądrości swojej postanowił.

— Święta prawda mój dziadku; ale jakżeście wy tu przyszli, jak odejdziecie, kiedy nie widzę koło was nikogo, a tu noc się zbliża a do wsi daleko?

— Wiem, wiem moje dziecko, ale noc mnie nie straszy bo w oczach moich nawet w samo południe ciemno. Chodzić zaś mogę bez prowadziciela. Bóg dobry odjął oczy, ale za to dał pamięć i takie w głowie pomiarkowanie, że kierować się niem mogę jakby oczami. Już to blisko pięć dziesiątków lat sam sobie wystarczam w mojej przewłóczce po świecie, a jeszcze nigdy nie zbłądziłem, więc i teraz pomału zatyrtolę się do wsi, żeby odpocząć nogom i powitać się z krewniakami.

— To wy z Kowlinka rodzic jesteście?

— Z Kowlinka moje dziecko, w nim się wychowałem, w nim straciłem oczy, i w nim pierwszy raz w życiu wyszedłem z torbą na plecach, a z ręką wyciągniętą o jałmużnę. Bóg przynajmniej daje zdrowie i siły, więc mam w Bogu nadzieję, że wymodlę przebaczenie, za grzechy jakich się w życiu swojem dopuściłem.

— Powiedzcie mi mój dziadku, dlaczego krzyż postawiony wpośród drzewiny, że go nic od drogi nie widać? Dlaczego w około niego nawet zdziebła trawy nie można dopatrzyć?

— Moje dziecko, długa to historya, ale siadajmy to opowiem ci ją tak, jak mi ją starzy ludzie opowiedzieli co znali tych ludzi jacy wchodzą do tej rzeczy. Ze wszystkiego można się wiele

nauczyć, ale najwięcej z pilnego przepatrywania się między ludźmi i rozważania, co z czego i dlaczego sie stało. Ale ludzie mało na to dają baczenia i choć zawsze i wszędzie można przekonać się wyraźnie, że Bóg wszystko widzi i złego prędzej później nie przepuści, jednak złe nie ginie na świecie i złych prawie nie ubywa, a nawet kto wie czy nie przybywa. Słuchaj więc moje dziecko.

Zasiadłem zatem pod krzyżem, na stopniach kamiennych, koło mnie dziadek się usadowił i pomyślawszy troszkę tak mówił:

— W tem miejscu gdzie siedzimy stała kiedyś drewniana porządna chałupa, a w niej mieszkał czynszowy osadnik Stanisław, człowiek siwiuteńki, poważny, i szanowany na całą okolicę. Miał dwoje dzieci, córkę i syna, i gdy córkę wywianowawszy jak wypada, wydał w świat za gospodarza a nawet człowieka nie z prostego stanu: syna zatrzymał przy sobie, i razem z nim obrządzał się około całego gospodarstwa. A było tam i dobytku i porządku wszelakiego siła co tylko gospodarzowi przynależy, przytem mówiono, że stary grube ma pieniądze, to też syna wyedukował jak tylko mógł najpiękniej: chłopakowi pióro w ręku tylko się migało, a w czytaniu taki był biegły, że tylko rzucił okiem na książkę, jużcić zaraz poznał co tam stało wydrukowane.

Póki żył ojciec chłopak do wszystkiego brał się akuratnie, a ojciec patrząc na jego starunek i zabiegi w każdej rzeczy, codzień dziękował Bogu, że mu dał syna z takim rozumnym statkiem, i że teraz pewny jest iż praca całego jego życia nie pójdzie na marność.

Ludzie jednak co bliżej znali młodego Franka, to znowu powiadali, że Franek ojcowizny nie straci i będzie ją szanował jak wypada, ale nie uszanuje poczciwego nazwiska swojego ojca, bo strasznie na grosz chciwy i pożerny.

Kiedy starego Stanisława Bóg wreszcie powołał do swojej chwały, Franek sprawił mu pogrzeb jak wypada, uczęstował ludzi co się pościągali z różnych stron dla oddania ostatniej zmarłemu posługi, ale jak się wszystkiem zarządził, to tego niewiadomo. Dosyć że co każdy spodziewał się grubych po niebo-

szczyku pieniędzy, wójt ze świadkami, po przejrzeniu i spisaniu wszystkiego co zostało, nie znalazł ani grosiczka. Powołano więc do przysięgi wszystkich domowników i Franka z nimi, czy czego nie wzięli, lub czy nie widzieli, aby kto co zabrał, ale i ludzie przysięgli i Franek przysiągł, i nic zupełnie nie wykryto.

Uważano tylko, że od przysięgi, jakoś Frankowi zmieniło się spojrzenie i już oczami nie patrzał śmiało po ludziach, tylko wodził po ziemi, po kątach, jakby bał się żeby przez oczy nie zajrzano mu do duszy. Nadto od tego czasu widocznie unikał ludzi, kiedy zaś przyszedł w święto do kościoła, to się chował w najciemniejszy kącik i tak klęcząc modlił się z książki, ale tylko gębą, bo oczy to mu jak fruczki latały po ludziach, a jak się spotkał z cudzemi oczami, to zaraz spuszczał swoje ku ziemi. Więc modlitwa taka nic nie warta, bo jedno westchnienie do Boga, a szczere, serdeczne i wypowiedziane z głębi duszy i serca, to więcej znaczy jak takie choćby całodzienne modlenie się.

W parę miesięcy po śmierci ojca, zimową porą przed samym wieczorem, zajechał przed dom Franka wasążek z dwoma małemi szkapkami, a z niego wysiadła młoda ale strasznie wybiedzona kobieta, i tuląc dwoje malutkich dziatek do piersi, drżąc od zimna zapukała do drzwi. Po długiem czekaniu mrucząc i narzekając sam Franek otworzył drzwi, lecz zaledwie rzucił spojrzenie na stojącą z dziatkami kobietę, cofnął się nagle i wyrzekł przytłumionym głosem, jakby do siebie:

— Jadwiga! siostra! witaj..... witaj siostrzyczko pod naszym.... to jest po moim dachem. Chodź do środka, tam przy ogniu ogrzejesz się przynajmniej.

Jadwiga przeszedłszy w milczeniu jedną i drugą izbę, w których, otoczona opieką i miłością zmarłego ojca była niegdyś tak swobodną i szczęśliwą, siadając blisko komina, zalała się serdecznemi łzami i tak załkała, że słowa nie mogła przemówić. Franek na płacz ten widocznie się niecierpliwił, to wstawał, to przechodził się, to cmokał ustami, albo skrobał się po głowie, i gdy cokolwiek się Jadwiga w płaczu uspokoiła, stanął na przeciw niej i zapytał troszkę z niecierpliwością:

— Moja siostro, zostawmy płacz na boku; bo nam nic z niego nie przyjdzie, a powiedz mi otwarcie po coś do mnie przyjechała?

Jadwiga szybko podniosła głowę, i tak się pytaniem tem zadziwiła, że nawet nie wiedziała co ma odpowiedzieć. Franek więc mówił dalej:

— Bo jeżeli myślisz moja siostro, że ci się po nieboszczyku rodzicu należą jakie sukcesje, to strasznie się mylisz.

— Mój bracie — odrzekła Jadwiga — głównie przyjechałam żeby cię zobaczyć, powitać i razem z tobą zapłakać nad grobem ojca. Przytem i o tem chciałam się rozmówić co zostało po ojcu.....

— Nic się nie zostało dla ciebie — przerwał już z gniewem Franek — małoś to wybrała za życia ojca, jeszcze i teraz chcesz zabierać?

Jadwiga tak tem wszystkiem była odurzona, że sama nie wiedziała czy to sen czy na jawie. Więc siedziała jak wryta z oczami w brata wlepionemi, a ten mówił dalej:

— Pracowałem przy ojcu, zabiegałem, nie na to żeby potem dać się krzywdzić. Ty moja siostro wzięłaś wiano nieladajakie, a ja pracowałem przy gospodarstwie: ciebie potem każdego roku ojciec wspierał, a ja pracował: wyście sobie rozkoszowali z nieboszczykiem szwagrem a ja pracował: wyście stracili wszystko, a ja pracą i statkiem utrzymałem gospodarstwo, i oganiałem się biedzie i wyciąganiu na was do ostatniego grosza. Ty więc teraz nie masz wiele, ale ja przynajmniej tyle że z głodu nie umrę.....

— Powiedz bracie że nic nie mam — z płaczem przerwała Jadwiga — tylko nędzę w domu, smutek wieczysty w sercu i tych dwoje nieszczęśliwych dziatek.

— A mnie co do tego? Czy to ja po ojcu zabrał jakie pieniądze, czy co?

— Jednak ludzie powiadają....

— Co powiadają, co?

— Że po ojcu zostały pieniądze — odrzekła nieśmiało Jadwiga, i chciała mówić dalej, ale Franek skoczył jak oparzony,

oczy mu się zaiskrzyły jak węgle rozjarzone, i zawołał strasznym prawie nie ludzkim głosem:

— Zostały pieniądze! jakie pieniądze? kto ich widział?

— Ludzie tak powiadają....

— Ludzie, ludzie! Moja przysięga więcej znaczy jak ludzkie języki.

— Jakto? więc przysiągłeś? — z największym przestrachem zapytała Jadwiga.

— Przysiągłem! — grobowym głosem odrzekł Franek i oczy mu kołem stanęły.

— A ja nieszczęśliwa! — zawołała żałośnie Jadwiga, — i ty bracie śmiałeś to zrobić?

— Przysiągłem—mruknął Franek niby w obłąkaniu—przysiągłem....

— I nie boisz się kary Bożej?

— Co? ty mnie będziesz straszyć karą Bożą? — zawołał Franek wyskakując na środek izby jak szalony. — Won! z mego dómu, won! niech mi tu noga twoja nie postoi, won!

I to rzekłszy, złapał brat siostrę za rękę, ciągnąc ją gwałtem ku drzwiom razem z płaczącemi dziećmi, co jak ptaszki pouczepiawszy się matki kryły się z płaczem w fałdy sukni przed strasznym gniewem rodzonego wuja.

— Bracie! bracie! — opierając się mówiła Jadwiga — jeżeli nie zważasz na mnie, to miej litość nad temi biednemi sierotami. Ja biedna, słaba, przeziębnięta podróżą..... nie zabijaj nas..... nie zabijaj....

— Won! won! z mego domu — wołał ciągle Franek, i nie zważając na płacz i jęk matki z dziatkami, wyrzucił je na podwórze i sam drzwi zamknął na zasuwę.

Od tego czasu Franek stał się jak wilk między ludźmi, i tylko słyszano go jak ciągle szeptał do siebie:

— Siostra rodzona, a straszyła mię karą Bożą.... ja pracował i przysiągłem... kara Boża... kara Boża — i tak mu te słowa stały zawsze w myśli, że choć przy ludziach, to często szepnął: kara Boża, i wzdrygnął się przytem jak w febrze.

Ale widać że to na prawdę była kara Boża, bo gdy Jadwiga później ze zmartwienia i z nędzy, razem z dziatkami prze-

ziębniętemi w drodze umarła, Frankowi spaliły się naprzód wszystkie zabudowania zaraz po żniwach, z całym dobytkiem, tak że ze wszystkiego została tylko kupa gruzów i niedopalonych głowni, a on sam dostał jakby pomięszania rozumu, bo sprzedawszy grunta, włóczył się potem od wsi do wsi, i nic więcej nie umiał powiedzieć, żeby w tem nie było słów: kara Boża! I tak żył kilkanaście lat, zestarzał się, wyłysiał, a gdy rozmarnował to co wziął za grunta, żywił się miłosierdziem ludzkiem, ciągle w obłąkaniu powtarzając: kara Boża. Aż przyszło na niego upamiętanie, bo gdy wprzódy, nie zajrzał nawet do kościoła, a o świętej spowiedzi nawet nie pomyślał: razu jednego zobaczono go leżącego krzyżem przed wielkim ołtarzem, a potem spowiadającego się. Co zeznał przy spowiedzi, to nikomu nie wiadomo, ale widać że musiał zeznać wszystko, bo się chwycił pracy, i tak spokorniał, tak się uciszył, że każdy pragnął go do roboty, bo lepszego i spokojniejszego najemnika nad niego nie było. I tak pracował ciągle przez lat pięć, potem zakupił cegły o pół mili od swego dawnego gospodarstwa, i na plecach zaczął je znosić tu w to miejsce gdzie teraz siedzimy. Potem znosił wapno, piasek, wodę, i w końcu wziął się do murowania krzyża, z jednym tylko mularzem, ale ten tylko pomagał i zarządzał robotą, a Franek murował.

Kiedy robota została ukończoną, ten sam ksiądz proboszcz co go wysłuchał spowiedzi, zjechał z wielką uroczystością, zgromadziło się bardzo wiele ludzi, i postawiony krzyż został poświęcony. Franek podczas całej ceremonji kościelnej klęczał ze zwieszoną głową i tak płakał, że zdało się iż we łzach cały się rozpłynie. Potem obrócił się do ludzi i rzekł:

— Bóg wam zapłać moi ludzie za waszą poczciwość, żeście kroków swoich na to poświęcenie nie żałowali. Teraz Ojcze duchowny, pobłogosław nam wszystkim, i naucz ludzi, że krzywoprzysięztwa i krzywdy sierot nigdy Bóg nie przebacza. Przytem proszę was, abyście w modłach swoich błagali Boga o przebaczenie wszystkiego złego co wyrządziłem siostrze mej Jadwidze, bo ja wielki grzesznik, nie śmiem jeszcze o to Boga prosić. Pamiętajcie, że największe na świecie bogactwo czyste sumienie. Ja dla majątku naprzód przysięgą Boga obraziłem, a

potem wypędziłem siostrę, i cóż zyskałem na tem? Oto straciłem wszystko, a zgryzota sumienia odebrała mi rozum. Ludzie aż zapłakali ze skruchy i żalu, bo niejeden spojrzał w siebie i zobaczył, że i on także grzeszny człowiek.

Od tego czasu Franek gdzieś się podział, tak że o nim nic nie wiedziano, aż dopiero w rok potem w sam dzień Śtej Jadwigi, zobaczono pod krzyżem jakiegoś zakonnika od Ojców Bernardynów, klęczącego i zatopionego w głębokiej modlitwie. Był to Franek; dla ubłagania bowiem miłosierdzia Boskiego zapisał się na braciszka do zakonu na całe życie, i prosił jak o największą łaskę, żeby go w klasztorze do najcięższych posług używano. I długo potem, bo jakie ze dwadzieścia lat widywano go pod tym samym krzyżem, ale zawsze tylko w sam dzień Śtej Jadwigi, aż jednego roku nie zobaczono go wcale i dowiedziano się, że spokojnie doczekawszy się blisko siedemdziesięciu lat, oddał Bogu ducha i przeszedł z duszą do lepszego życia. Że zaś modlitwa jego była bardzo gorąca, łzy palące jak ogień, a żałość niezmierna: więc ludzie powiedzieli, że od łez aż spaliła się ziemia do koła krzyża, i pomału przestała porastać trawą. Dlatego zaś między dużą drzewiną krzyż ten postawił, bo powiedział że stawia go na przebłaganie Boga, a nie dla chwalenia ludzkiego, umyślnie zaś wyfundował go na dawnem swem gospodarstwie, żeby gadka o jego złości a potem upamiętaniu poszła między ludzi i służyła każdemu za naukę, jak się strzedz należy obrazy Pana Boga i wszelkiego krzywdzicielstwa.

Na tem dziadek skończył swoje opowiadanie, a ja wysłuchawszy ukląkłem, i zmówiłem pacierz za duszę Franciszka i Jadwigi.

(Km.)

RÓŻNOŚCI.

Jak poznać ile koń ma lat. Jak wiek koni poznać, to każdy gospodarz wie; dla tego też takich zwyczajnych rzeczy podawać wam nie myślę. Lecz wiek koni można poznać z zębów tylko do dziewięciu lat; późniejsze lata nadzwyczajnie trudno, a nawet i niepodobna z pewnością oznaczyć. Jakże tu sobie poradzić?

Spostrzegli ludzie, że koń po dziewięciu latach dostaje fałdę na p o w i e c e, i że następnie co rok jedna fałda mu przybywa. Tak więc koń z jedną fałdą ma lat 10; z dwoma 11; z trzema 12; z czterema 13, i tak coraz dalej. Uważajcie na to dobrze przy kupowaniu starszych koni, abyście się nie oszukali; bo stare zęby można przez piłowanie za młodsze udać.

Lecz mój sąsiad, to dobry gospodarz, i znawca na koniach nie lada, że go byle kto nie poprawi. Ten mi powiadał, że wiek starszych koni poznaje na p ę t l i n i e. Trzeba najpierw włosy tam wyciąć, i uważać, ile koń ma fałd na pętlinie. Koń po 10 latach dostaje tam jedną fałdę, i tak corok mu jedna tam fałda przybywa. Tym sposobem koń z dwoma fałdami ma lat 12, z trzema ma lat 13, i tak coraz dalej.

Miarkujcież sobie to dobrze przy handlu na konie.

Kto na prawdę bogaty? Wielu mniema, że kto ma pieniądze, ten ma majątek, ten jest bogatym, jakoby bogactwo zasadzało się na pieniądzach. Można być bogatym, a nie mieć pieniędzy. — Gospodarz, który ma ziemię żyzną, bydło w dobrej tuszy, budynki porządne, stodołę i komorę nie próżną, a przytem długu ani grosza, taki gospodarz, choćby i nie miał pieniędzy, jest bogaty. — Wyrobnik, który zarabia więcej, jak spotrzebuje z żoną i dziećmi, jest bogaty. — Rzemieślnik, który pilnuje swego rzemiosła, ma dostatek materjału, i pracuje ciągle, czy to na urząd, czy to na zapas, a również nie ma długu, także jest bogaty, choćby i nie miał pieniędzy.

Niejeden zaś ma wiele pieniędzy, a jest ubogim. Bo jeżeli z tych pieniędzy żyje, a nie pracuje, nie ma sposobu do życia żadnego, niczego się nie nauczył, i nic nie umie, to te pieniądze przeje, i popadnie w nędzę. A jeżeli pracuje temi pieniędzmi, to jest daje je na lichwę, i żyje, i bogaci się cudzą krzywdą, oj taki nie bogaty, choćby miał tyle pieniędzy, ileby sam chciał; ubogi on, i bardzo ubogi, bo za pieniądze sprzedał uczciwość, sumienie, sprzedał za krzywdę ludzką swą duszę.

Jedyny jest tylko sposob poczciwego nabywania majątku, p r a c a i przestawanie na swojem. Praca jest źródłem bogactwa.

Tylko praca
nas zbogaca.

A jednak niejeden pracuje, i pracuje od rana do wieczora, nawet i w nocy i niedośpi, a pracuje, a jednak jest biedny, nie może przyjśdź do niczego. Czemu to? Na to krótka odpowiedź: bo co zarobi, to spotrzebuje. Nie zrobi ten majątku, kto wszystko przeje, co zapracuje. Nie dosyć pracować na utrzymanie życia, ale albo więcej potrzeba pracować niż spotrzebujemy; albo też mniej trzeba nam wydawać, niżeliśmy zarobili.

Praca zdobywa majątek, a oszczędność go zachowuje.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. **Nr. 17.**

11. Czerwca. **1861.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

✝

W dalekim kraju, we Francji, umarł 29go zeszłego miesiąca **JOACHIM LELEWEL**, zrodzony na polskiej Ziemi, mąż wielkiego rozumu i wielkiego serca. Kto z was nie słyszał tego nazwiska, niech sobie go spamięta i dzieciom swoim niech przekaże. Miłował **Lelewel** swoją ziemię rodzinną nad wszystko, i miłował po bratersku lud wyrosły na niej. Pracował on ciężko dla dobra kraju i rodaków, a gdy wreszcie bracia nasi za Wisłą ruszyli na Moskala, co gnębi biedny naród, to **Lelewel** pomagał w tem najwięcej, bo jako minister starał się o dobry koniec rozpoczętej wojny. Lecz Bóg najwyższy chciał inaczej: Moskal zwyciężył, a nasi poszli na wygnanie. Poszedł z nimi i **Lelewel**, i od tego czasu zostawał ciągle za granicą. Nie miał on bogactw żadnych, tylko swój rozum i swe serce; a choć sam sobie chleb kupował i wodę nosił, to przecież mieli dla niego szacunek i poważanie wielcy panowie, książęta i królowie.

Umarł spokojnie, bo żył w Bogu: w miłości i cnocie. Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie; i przyjm modlitwę dzieci Twoich za niego i za ziemię naszą!

STEFAN BATORY, KRÓL POLSKI.

II. Sprawa z kozakami.

Na niższej części rzeki Dniepru, która od wschodu ziemię polską oblewa, są częste wpośrodku wody *ostrowy*, czyli wyspy trzcinami i różną drzewiną zarośnięte. A że tu woda wielka i rwąca, więc też i przystęp do onych ostrowów jest trudny, i dobrze musisz umieć wiosłem robić, żebyś podpłynął do nich na czółnie.

Owóż na tych ostrowach zbierali się oddawna ludzie z różnych przyległych Dnieprowi krain, i zakładali tu swoje siedziby. Więc znalazłeś między nimi Polaków, Rusinów, Wołochów, Turków, nawet Węgrzynów, i Bóg wie jakiego jeszcze pochodzenia ludzi, a ci, co najczęściej, albo przeskrobawszy coś złego przed karą uciekali z ojczyzny; albo byli to pędziwiatry, niespokojne duchy, co to w żaden sposób na miejscu usiedzieć nie mogą, jeno się włóczą po szerokim świecie. Otóż takich ludzi zbierało się tu coraz więcej na Dnieprze, aż wreszcie powstały całe osady. Wnet też liczyłeś na setki osadników, których zwano razem *Kozakami*, a znowu osobno to *Niżowcami* to *Zaporożcami* od tego, że za progami czyli porohami Dnieprowemi mieli swe siedziby.

Ci Kozacy trudnili się zrazu rybołostwem; i prawie że same ryby, świeże w lecie, a suszone na zimę były ich pożywieniem. Przytem, jako rybacy, umieli bardzo składnie pływać na Dnieprze, budując sobie ku temu zgrabne, skórą obijane czółna, które *czajkami* nazywali. Aleć jak ich już większa gromada była, a jeden miał strzelbinę i garść prochu, zaś drugi jaką szablę śmigłą, to wybierali się nieraz na pasterzy tatarskich, i zabierali im bydło ze stepów, a nie obeszło się przy tem bez bójki i bez krwi rozlewu.

Otóż takie wyprawy stawały się coraz to groźniejsze, boć i liczba Kozaków coraz bardziej się powiększała, a wnet krwawemi zgoła wojnami trapili swoich pogańskich sąsiadów. Trafiało się też czasem, że siadłszy na swoje czajki, zapędzali się Kozacy aż na *Stambuł*, co jest główne miasto tureckich krajów,

i tam palili i łupili, co tylko mogli. Żeby zaś nieprzyjaciel z własnego gniazda nie mógł ich wykurzyć, to urządzili sobie na jednym ostrowie taki zasiek niby miasto, wałami i parkanami obwiedzione, gdzie były ich domy pobudowane. I takie to miasto nazywało się *Sicz*.

W tej to więc siczy przesiadywali Kozacy, a był też między nimi nie mały porządek i surowy żywot. Nie ujrzałeś tam ani jednej niewiasty, bo żaden z nich nie mógł być żonaty. Przez całe lato jak nie siedzieli w siczy, to chodzili na różne wojny; dopiero w zimie rozchodziła się ich jakaś część po bliższych okolicach między osiadłych na gruncie Kozaków, którzy też już i pożenieni byli; albo i po dalszej Ukrainie. W siczy zostawało się wtenczas nie wielu, a ci pilnowali broni, łódek i innych skarbów kozackich.

Sicz zaporożka miała sobie zawsze jednego, co najwalniejszego i głową i odwagą za *atamana*, czyli przywódzcę, a ten prowadził Kozactwo wszędzie, i wszyscy musieli mu podlegać jakby dzieci ojcu. Hej, hej, a nie zliczyłbyś nawet siła to tęgich i sławnych atamanów było w Zaporożu! Jeszcze dziś śpiewają sobie ludzie o Daszku, o Bohdanku, o Bajdzie. Wszyscy ci byli atamanami zaporozkimi, a pan Bóg wie ile to wody upłynęło Dnieprem od tego czasu kiedy oni żyli, i kto wie kędy już wiatr porozuosił proch z ich białych kości! Boć wszystko co na ziemi, to znikome i śmiertelne: czy złość czy dobroć, bogactwo czy nędza, i tylko jedna ta śpiewka co czasem w ludzkich ustach zostanie po sławnych na cały świat ludziach!

Owóż z tymi to Kozakami miał Batory jeszcze przed moskiewską wojną nie mało kłopotów; jako że Kozacy byli pod rozkazami polskiego króla, a przecież kiedy im się tylko spodobało napadali na tatarską i turecką ziemię, i ztąd nieprzyjaźń wielką w onych narodach ku nam budzili. Więc król Stefan zakazał im surowo bez pozwolenia wojny prowadzić, boć rozjedzony Tatar albo Turek mógł łatwo wpaść do ziemi ruskiej, i tam mordować lud niewinny, paląc miasta i sioła a nasi i tak już z Moskalem mieli dość do roboty, toż by im ciężko było odpędzać owo pogaństwo.

Alec trudna to była rada z Kozakami. Jak wilka nie utrzy

masz na łańcuchu, bo go zawsze ciągnie do lasu: tak i onych Zaporożców nie mogłeś od wojowania powstrzymać. A trafiło się właśnie, że był między nimi jeden człek setny z Multan rodem, który miał taką siłę w rękach, że podkowy łamał jak obwarzanki, i głowę miał też do wojowania tęgą; więc zwali go jedni *Podkową*, a inni *Serpiahą*, i tak go wszyscy wnet pokochali, że niebawem obrali sobie go za atamana całej siczy.

A Podkowa kłania się i rzecze:

— Dziękuję wam dzieci żeście mi zaufali; muszę i ja się wam odwdzięczyć! Więc jeżeli chcecie to was poprowadzę na Wołochów: tamtego hospodara wypędzimy, a sami weźmiemy się rządzić wołoską ziemią! —

— Dobrze bat'ku atamanie! — zawołali Kozacy — Tylko nas prowadź, a pójdziemy z tobą na koniec świata!

Więc Serpiaha nie wiele myśląc zwołał wszystkich Zaporożców, i ruszył z nimi na Wołoszczyznę, którą się Turek opiekował. Kozactwo było tęgie, bitne i odważne, toż i nie wiele potrzebowali się bić z Wołochami, a wnet wygnali hospodara ich Petryłę, i Podkowa na jego miejsce jął rządzić Wołoszczyzną.

Przeląkł się król Stefan, skoro usłyszał co Serpiaha z Kozakami dokazuje; jakoż wnet napisał do brata swego w Siedmiogrodzkiej Ziemi, żeby Zaporożców poskromił i wygnał ich z Wołoszczyzny, bo Turcy się bardzo sierdzili i odgrażali na Polskę. Więc brat królewski wyruszył z wojskiem i pobił Kozaków tak, że musieli się wracać, przyczem też i Podkowę złapali, i wnet go odstawili Batoremu do Warszawy.

Król jako pan dobry i łaskawy, nie był by się mścił nad Podkową, choć tyle kłopotów całej Polsce narobił; ale cóż kiedy Turcy nie ustawali grozić, a ciągle się domagali żeby im Serpiahę wydać, coby go za jego zbrodnię ukarali. Więc król myśli sobie tak:

— Ja Podkowę wydam Turkom, to się będą pastwić nad nim, i kto wie jakie męki mu wymyślą; zginie biedak od pogańskiej ręki, i w pogańskiej ziemi go pogrzebią. A jeśli go im zupełnie nie wydam, i sam go też nie ukarzę: to napadną na biedną ziemię naszą, i będą ją pustoszyć, a ludzi niewinnych

Bóg wie ile nazabijają za jednego człowieka. Lepiej będzie, gdy go sam tu każę zgładzić z tego świata, a tak zginie lekko i od własnej, chrześcijańskiej ręki, a ciało oddam Zaporożcom, żeby go w własnej pochowali ziemi.

I przykro było królowi, bo przykro, ale nie mógł inaczej zrobić; więc wydał rozkaz żeby ściąć Podkowie głowę. Jakoż wypełnili ten królewski rozkaz. Podkowa był właśnie przywieziony do Lwowa, i tutaj oddał głowę pod miecz katowski, przyczem jako świadek stał poseł turecki.

Wielkim smutkiem rozżaliło się całe Zaporoże po śmierci swojego atamana.

— Hej Serpiahu, Serpiażeńku — mówili starzy kozacy, i kiwali głowami, i jasnemi łzami płakali — na cóż tobie było chodzić na Wołoszczyznę, nieszczęśliwy!

A skoro ciało atamana przywieźli na Ukrainę, to z wielką żałością grzebali je Zaporożcy, a jeszcze dzisiaj, choć to już temu z górą dwieście i dziewięćdziesiąt lat, śpiewają sobie ludzie na Ukrainie:

Po dorozi witer wije,
A zi Lwowa wiz ide;
To kozacza Atamana
W Ukrainu weze.
A wsi dzwony zadzwonyły,
A wsi surmy zasurmyły,
Jak Serpiahu molodoho
Ta w Kanewi choronyły.

Pamiętajcie ludzie!

Nieraz to już orla wrony zakrakały,
A potoczek lichy porozbijał skały;

Jednak wrona zawsze wroną pozostanie,
A z skał nawet Bogu stawiają mieszkanie!

Kupa trzeba żaru, nim się piec rozpali,
A iskierka z fajki całe miasto spali;

Toż stać lada kogo na złości piekielne,
Ale kochać zdoła tylko serce dzielne!

Długo stoi drzewo w mrozach i zamieci,
A przecież na wiosnę cudnie się rozkwieci;

Toż nie traćcie nigdy w frasunku nadziei,
Bo za smutkiem przyjdzie szczęście po kolei!

Dość z chłopięcia, jeźli zegnie kij grabowy,
Kowalowi każesz łamać i podkowy.

Otóż nie wymawiaj Opatrzności Bożej,
Jeślić troskę większą, niż na drugich włoży!

Drobne pacholątko czasem coś tak powie,
Że pomyśleć trzeba choćby starej głowie.

Najmędrszemu człeku pomylić się łatwo,
Kuba rwał powrozy — udusił się dratwą!

Zginął wół z ciężkości, a z brykania ciele,
Marcin umarł z głodu — Maciek, że jadł wiele!

Organista z chóru, a ptaszyna z drzewa
Równie pięknie, wdzięcznie, Bogu pieśni śpiewa.

Rusin z Wieckowic.

Posag przed ślubem.

W trzecią jakoś niedzielę po Wielkanocy, a będzie już temu dobrze trzydzieści lat z górą, miało się odbyć u Bartłomieja Skoczylasa siarczyste weselisko. A musicie wiedzieć, że ten Skoczylas nie był sobie człek ladajaki. Dawnemi czasy bywało służył on we wojsku, i to jeszcze pod naszym kochanym wodzem Kościuszką; a kiedy Pan Bóg nie po naszej woli wszystkiem zakierował, to i Bartłomiej rad nie rad powrócił do domu z boleścią w sercu, z raną na czole, a z krzyżem na piersiach, co mu go sam Kościuszko po jakiejś tam bitwie był przypiął. Gdy wrócił do domu, nie zastał już ani ojca, ani matki, jeno gołe ściany w chałupie, po której hulał sobie wiater, bo i szyby nawet ktoś z okien powybierał. Z razu nie mógł się on wydziwić, i aż zapłakał gdy uwidział wszędzie takie szkody i pustki, boć jego ojciec był kmieć zamożny i gospodarny i wszystkiego miał podostatek. Ale gdy zmiarkował że

to płakanie nic mu nie pomoże, powiedział tylko: — niech mu Bóg odpłaci, kto mi taką krzywdę wyrządził — i poszedł do dworu prosić o zapomogę. A ponieważ pan bardzo takich ludzi poważał, co to swoją krew za rodzinny kraj przelewali, jako że i sam był porucznikiem przy tem samem wojsku co i Skoczylas: toć mu dał i pieniędzy trochę, i drzewa z lasu na poprawę budynków, i parę podobno jałówek, i zboża trochę na zasiew, a nawet nie chciał żadnego oddania.

Toż i nie dziwota, że Bartłomiej, gdy się czepił pracy rękami i nogami, to się w krótkim czasie tak podreperował, że nawet byś nie poznał dawnej chaty Skoczylasowej; a że był poczciwy, rzetelny i słowny, toć go i gromada szanowała, i wójt pierwszy przed nim uchylał kapelusza, i ksiądz lubiał bywało przy wolnym czasie co nieco z nim pogadać, i pan go poważał. Jeno co jeden Duwid Krzywoszyjka strasznie go nienawidził, że był taki trzeźwy, i nigdy do jego karczmy nie zagościł. —

A gdy się potem z uczciwą pobrał dziewuchą, to mu i dobytku w domu przybyło, i z czasem doczekał się czworo dzieci, a tylko z tego był trochę markotny, że to były same dziewczęta, boć to zawsze większe jest wyręczenie z chłopca, a mniej kłopotu.

Owóż teraz właśnie wydawał Skoczylas najstarszą córkę Kaśkę za Stacha Kaczurbowego, co to mieszkał na przedmieściu w Narolu, małe pół milki od Łukawicy.

A trzeba wam wiedzieć, że ten Kaczurba jakimś dziwnym trafunkiem był kubek w kubek podobny do Skoczylasa. Bo za młodu służył z nim razem wojskowo gdzie się oba tak zaprzyjaźnili, że już prawie bez siebie dychać nie mogli. A kiedy potem każdy z nich osiadł na ojcowiźnie, to nie było takiego tygodnia, gdzieby się ze sobą choć raz nie widzieli. I często bywało, kiedy sobie zaczną przypominać dawne czasy, to Wojciech Kaczurba westchnąwszy ciężko przy odchodzeniu tak rzecze:

— Oj, szkoda tego czasu, co tak marnie poszedł, i tych ludzi, co ich pozabijano lub pojmano. Ot, wszystko przeminęło, ta i nas tu nie wiecznie na tym świecie; żeby choć między naszymi dziećmi panowała taka miłość i zgoda!

— A pewnie — pewnie, odrzecze mu na to Bartłomiej —

i niby w żartach dodaje: — Macie już Wojciechu dwóch chłopaków, a ja mam troje dziewcząt, to kiedyś połączymy ich ze sobą.

— To wszystko w ręku Boga — odpowiedział na to Wojciech, a uśmiawszy się, i ucałowawszy Bartłomieja odchodził do domu.

I patrzcież, tak się stało, jak sobie oba przyjaciele w żartach układali.

Najstarszy syn Kaczurby, co mu było Stach na imię, urósł na walnego parobka, i jak to mówią, składny był do tańca i do różańca. Za namową ojca zaczął się przypytywać do Kaśki Skoczylasowej, a żeć to była dziewucha urodziwa i poczciwa, toć i nie długo przystali do siebie, a starzy i swachy przypili jeden do drugiego, i dali na zapowiedzi. I owóż właśnie teraz, jak wam powiedziałem na początku, miało się odbywać to wesele. A jak się tam do niego gotowano, to cała wieś o tem szeroko gadała; a dla was dosyć będzie, jeżeli powiem, że stary Skoczylas, chcąc wszystkich ugościć jak należy, kazał i dwuroczną jałówkę, co trochę kaleczała, zabić, i podobnoś dwa czy trzy półbeczki piwa sprowadził z miasta, i wszystek przeszłoroczny miód ze swojej pasieki jakoś tam zaprawił, a bożego chleba toby i nie naliczył.

Owóż gdy wszyscy byli się już zeszli, a chorąży z białą chustką na tyce naganiał do pospiechu, i tylko jeszcze starościny z panną młodą odprawiały różne przygadywania: poprosi Stach Bartłomieja na osobność do komory i rzecze:

— No moiściewy, już wnet pannę młodą do ślubu poprowadzę, a jeszcze nie wiem, co od was dostanę w posagu.

Na takie gadanie zdumiał się strasznie Bartłomiej, ale w końcu odrzeknie:

— Tać ja tobie Stachu przecież krzywdy nie zrobię.

A Stach znowu:

— Ja wiem o tem, ale zawsze dla lepszego bezpieczeństwa powiedzcie, co mi dacie.

— Sam widzisz Stachu, że ja ci wszystkiego nie mogę dać co mam, bo są jeszcze przecie trzy córki, ale dam ci dwie krowy i parę koni, i ten kawał gruntu, co leży wedle Ickowego

ogrodu, i sześć pni z mojej pasieki, ta i kilka półsetków płótna, i pięćdziesiąt reńskich w gotowiźnie; a reszta po mojej śmierci pójdzie na równe części, boć ja nie wieczny, a do grobu ze sobą nic nie wezmę.

— A co mi to za posag! — odrzeknie Stach — to ja sobie już najmniej dwa razy tyle wszystkiego obiecywał.

To już było za wiele dla Bartłomieja, i dlatego ze złością odrzeknie:

— A toć ja widzę, że ty się Stachu nie żenisz z kochania jeno dla posagu; o to ja ci nie dam mojej córki! — i zaperzony wyszedł do gości, i rzecze: — Darujcie, że dzisiaj nie będzie wesela, ale jeżeli łaska, to się i tak zabawimy.

— A to dla czego? — zapyta nagle zdumiony Wojciech.

Tu mu dopiero opowiedział Bartłomiej całą rzecz, a ów na to:

— Musi być wesele! — i kiwnie na swoich dwóch synów, co ich miał ze sobą, i wziąwszy też pana młodego, wyszedł gdzieś z nimi z chałupy.

Wszyscy pomilknęli w chacie od zdziwienia, aż tu naraz słychać krzyk pod niebiosa:

— Oj, oj, oj, darujcie tatusiu! toć ja to nie zrobił ze złego serca!

Na ten krzyk wybiegają wszyscy na dwór, i słyszą, że on wychodzi ze stodoły. Chcą otwierać, ale Kaczurba nie głupi, zaryglował wrota od środka, i nie nie pyta, jeno słychać było, że się zabiera do bicia.

Co go się wszyscy naprosili, i Bartłomiej, i panna młoda zaklinała, aby dał spokój: ale stary Kaczurba ani rusz żeby odstąpił swego, i pierwej nie otworzył wrót, aż swemu Stachowi odliczył dwadzieścia pięć odlewanych paliczek.

Wtedy dopiero odryglował zasuwę, a Stach podziękowawszy za karę, musiał najprzód Bartłomieja a potem wszystkich jak stali, przeprosić, i ciągle powtarzał: — Nie gniewajcie się, bo ja nie w złem zamyśleniu to mówił jeno ot tak; sam nie wiem, co mi do głowy przystąpiło. —

— Dałem ci resztę — rzeknie ojciec — co ci nie dostawało do posagu.

Teraz dopiero wyznał Stach prawdę, że to niejaki Wojtek Szczerbów, pijaczysko i próżniak wielki, co to się dawno przypytywał do Kaśki, namówił go, aby się zawczasu upewnił, co dostanie w posagu, bo przez zazdrość powiadał, że Skoczylas ma być wielki sknera.

I wszyscy darowali Stachowi tę jego głupotę, co się dał od onego Wojtka tak obałamucić.

A że też już wszystko było przygotowane, poszliśmy zaraz do kościoła, a ja z drugim jeszcze, prowadziłem pannę młodą, boć byłem wtedy za drużbę. A gdy ksiądz gadał im krótką naukę, to tak się oboje państwo młodzi popłakali, nieprzymierzając jak bobry. Po ślubie, gdyśmy wrócili do domu, to taka była u wszystkich ochota, żeśmy u Skoczylasa przez całe dwa dni hulali; napitku i jedzenia było dosyć, jeno co przy końcu piwa zabrakło, to gospodarz wziął jeszcze coś trochę u Duwuida Krzywoszyjki w karczmie, które on zawsze w lecie trzymał; ale nie umyło się nawet do tego, co Bartłomiej pierwiej od Jaśka z Narola był przyniósł. Potem poszliśmy do dworu i na plebanję z korowajem, a Maciej Lin, starosta, co był gumiennym we dworze, i wszędzie bywał po weselach, bo umiał bardzo pięknie przygadywać, i teraz oddawszy korowaj, pięknie się skłoni i rzecze do składu:

Proszę przyjąć mało za wiele,
Bo się już skończyło wesele.

Potem tośmy jeszcze u Kaczurby na przenosinach znowu dwa dni hulali, a jam tak wybijał hołubce i tańczył krakowiaka, żem sobie aż parę nowiusieńkich butów zepsuł, com je niedawno był kupił na jarmarku od samego Uhnowskiego szewca. A szkoda była wielka, boć to były buty na pasach, a tu jak na nieszczęście od jednego zgubił się obcas, a od drugiego odleciała podkówka, tak ją kowal ladaco źle przybił.

A gdyśmy się potem wszyscy żegnali, to każdy płakał: poczciwe kobiecisko Skoczylasowa ocierała łzy połą, Kaczurbicha rękawem, panna młoda zapaską, a reszta czem kto mógł.

Jako zaś to małżeństwo ze sobą zgodnie i przykładnie żyło, to się tylko dziwować potrzeba. Z początku niechciał nikt wierzyć, żeby tak było, bo ja sam jakoś nie bardzo do-

wierzałem temu Stachowi; ale potem pokazało się jawnie, że to ten Wojtek Szczerbów tak go nastroił. Jakoż dziesięć lat później byłem w Narolu, i wstąpiłem do Stacha. Wiele się tam odmieniło: stary Kaczurba umarł, jeden młodszy brat gdzieś się w lesie oberwał i takoż poszedł za ojcem, a drugiego wzieli w rekruty. Bardzo za nim Stach żałował, i pewnie mu krzywdy nie zrobi jak powróci, bo i wtenczas pokazywał mi mało nie wszystkie pieniądze, co je zbierał na opłacenie brata. A Kaśka nie mogła mi się naopowiadać, jaka jest szczęśliwa, że jej mąż nigdy złego słowa nie rzeknie.

Tak to moi ludzi dawniej było. Gdzieś i rodzice mieli większe znaczenie i poważanie, i dzieci więcej bojaźni boskiej i ludzkiej. A teraz mało to jest takich dzieci, coby gotowe ojcu lub matce oddać, gdyby ich chcieli kijem uderzyć? A kto temu winien? — pytam się was. No, nie ma o czem wiele mówić, bo wy sami wiecie, dla tego uderzcie się tylko w piersi i nic nie gadajcie więcej.

Daj wam Boże opamiętanie, rozum w głowie i dobre serce we wszystkiem!

Michał Bałanda.

PIĘKNE PRZYKŁADY.

Szkółka w Zadwórzu.

Serce się czasem człowiekowi kraje, kiedy to ujrzy niezgodę i nienawiść między gromadą a panem, i przypatrzy się a podsłucha, jak tam gospodarz na dawnego dziedzica podwodzi, i taki ku niemu nieżyczliwy, żeby go rad w łyżce wody utopił. Lecz chwała Bogu! rzadko się to już trafia po naszych wioskach, boć i serce u złych się wypogadza religią świętą przejęte, i głowa też nabywa większego rozumu i przychodzi do tego poznania, że lepiej i pożyteczniej jest żyć w zgodzie i pomagać sobie we wszystkiem.

A zresztą, od czegoż tote złości i podwodzenia najczęściej swój początek mają? Otóż z czystego obmowiska, z piekielnej

chciwości i zazdrości, co się na widok zasobniejszego bliźniego w niedobrem sercu rodzą.

— Mój człowieku! — spytasz się takiego podwodziciela — a co ci to pan we dworze zawinił żeś mu taki nieżyczliwy?

— Ho, ho — zawoła on — a jak była pańszczyzna to on dopiero nad nami przewodził i batem po grzbietach wywijał! A teraz to się z nami procesuje, i nie chce nam ani drzewa dać, ani z łąki ustąpić, choć się nam to po prawie należy.

I tak ci wydziwia i lamentuje, choć w tem najczęściej nic prawdy nie ma, jeno zły język i niedobre serce. Bo jużci ludzie są zawsze ludźmi, i ja tam tego nie mówię, żeby wszyscy panowie co do jednego święci byli; trafiają się też i między nimi źli ludzie. Najczęściej to kiedy pan nie swojak jeno zkądeś obcy, to o gromadzie ani słyszeć nie chce, i z pomocą ci nie przyjdzie choćbyś marzł w jego oczach i z głodu umierał; aleć Bogiem a prawdą więcej jest uczciwych naszych, sprawiedliwych panów. Że zaś i dawniej, choć za pańszczyzny, dobrzy i wielce starobliwi o lud swój bywali panowie, to się przekonacie z tego co wam tu opowiem. A wszystko to będzie święta prawda, boć przecie droższe mi moje sumienie niż czyjaś tam pochwała.

Owóż było to jeszcze w roku 1790, a więc już z górą lat siedmdziesiąt, jak żył we wsi Zagórzu, w teraźniejszym obwodzie Złoczowskim, pan Leopold *Bochdan*, właściciel tejże wsi i innych. Większa to była wonczas ciemnota jak dzisiaj między ludem wiejskim; bardzo się rzadko trafiało, żeby który gospodarz umiał czytać lub pisać, a urzędy nie wiele dbały o to, żeby szkółki były stawiane, i jakaś oświata między ludem się krzewiła. A przecież pomimo tego że tak mało zajmowano się nauką po wsiach, trafił się owóż pan Bochdan w Zagórzu, który postawił w tej wsi szkółkę dla wiejskich dzieci.

Bardzo starannie i pożytecznie była urządzona owa szkółka. Pan Bochdan przyjął do niej nauczyciela, a temu dawał od siebie pomieszkanie, ordynarję i zapłatę roczną, zaco on był obowiązany nauczać dzieci czytać i pisać po polsku, takoż rachunków i religji. Nie było dosyć na tem; owoż dalej pan Bochdan uprosił plebana parafji tamtejszej Glinian, żeby do-

brodziej raz na miesiąc przyjeżdzał do tej szkoły, słuchał dzieci religji, dawał nauki, i miał zresztą nadzór nad wszystkiem. Oprócz tego ogrodnik ze dworu miał obowiązek uczyć dzieci ogrodnictwa: jak szczepić i oczkować drzewa owocowe, a w jesieni jak czyścić i owiązywać, chroniąc przed mrozami.

Nauka w tej szkółce zaczynała się zawsze po św. Michale, a trwała do św. Jana w Czerwcu, i wtedy to odbywał się *egzamin*. Tu dopiero był i pan Bochdan i ksiądz proboszcz i nauczyciel, i inni znajomi jak się trafiło, a dzieci musiały z książki czytać, odpowiadać na różne pytania, przyczem się też zaraz pokazało, które jest najpilniejsze i najwięcej w szkole się nauczyło. Tym dopiero najpilniejszym chłopcom rozdawał pan Bochdan małe kożuszki, sieraczki i płótnianki na nich przykrojone albo też pasy; zaś dziewczęta za dobrą naukę dostawały: wstążki, zaścieżki i tym podobne rzeczy.

Tak też poczęta w dobrej woli i w miłości, przyniosła owa szkółka nie małe całej wsi korzyści; dotąd jeszcze są w Zadwórzu starzy ludzie, którzy byli w tej szkole, a ci dobrze po polsku czytać i pisać umią, i z wdzięcznością wspominają sobie zawsze na szkółkę i na pana Bochdana. I przez kilkanaście lat uczyli się tam pilnie i chętnie, a dobry pan cieszył się że ludzie tak w nauce zasmakowali, i nie żałował wydatków: alić naraz przyszedł z góry rozkaz, żeby w onej szkółce nie po polsku, jeno po niemiecku uczyli. Ha, nie można się było sprzeciwiać, aleć i trudna była to sprawa uczyć się po niemiecku, kiedy ludzie do onej niemczyzny nic a nic się nie wkładali, a zgoła przez gardło przeleść im to nie chciało. Nie dziwotą więc, że coraz mniej dzieci zaczęło bywać w onej szkółce, a i te zamiast się czegoś nauczyć, to bałamuciły się nie w jednem: więc pan Bochdan widział, że to na nic dobrego przydać się nie może, i przestał wydawać na utrzymanie szkółki, dlaczego też po jakimś czasie upadła.

Patrzcież jaka to była przychylność i dobre serce w owym Zadwórskim panie! Bez niczyjego nakazu starał się on o nauczenie czegoś swojej gromady, ale mu w końcu inni w tem przeszkodzili. A nie tylko że płacił nauczycieli, ale sam napisał książeczkę dla szkółki, którą każdy uczeń musiał przepisać

dla siebie i schować. Żebyście zaś wiedzieli, jaka to poczciwa była owa książeczka, to wam tu z niej kawałek wydrukuję:

„Podług stanu różne są obowiązki każdego człowieka, ponieważ z natury żadnej różnicy między ludźmi nie ma, tylko ta, która z obowiązków różności pochodzi. Wszyscy równie się rodzą, wszyscy też do uszczęśliwienia wzajemnego należyć powinni. Gdy pan będzie sprawiedliwy względem służących, a służący będą mu wiernie służyć; gdy rodzice dzieci swoje będą kochać, i z kochania będą ich drogą prawdy prowadzić, dzieci zaś będą posłuszne rodzicom swoim; gdy sąsiad z sąsiadem będą żyć w zgodzie i jedności; gdy w przyjaźniach zachowa się szczerość, w małżeństwach wierność; gdy podejścia, zdrady i oszukania między ludźmi nie będzie: wtedy to z tych cnót wypłynie szczęśliwość dla każdego.“ —

Oto macie piękny przykład, jako i dawniej starali się panowie o swoje gromady i o dzieci swych poddanych! A więcej znaczy też takie staranie niż wyżywienie i okrycie; więcej znaczy nauka, chleb boży, niż wszelaki chleb ziemski, bo kto ma naukę w głowie a uczciwość w sercu, to sobie wszędzie sprawiedliwy zarobek znajdzie, i będzie miał do sytu ziemskiego chleba powszedniego!

Grześ z Mogiły.

RÓŻNOŚCI.

Powódź. Dnia 14 zeszłego miesiąca dotknęła straszna klęska gminy *Milówkę*, *Nieledwię*, *Żabnicę*, *Cisiec*, *Szare*, *Kamesznicę* i *Sól*, wszystkie położone w obwodzie krakowskim. Wieczorem dnia owego powstała w tej okolicy straszna burza; lało jakby z cebra, i takie było urwanie chmury, iż ci się zgoła zdawało że już koniec świata. Nie minęła też i godzina, a wszystkie małe potoki i rzeka Sola tak ogromnie wezbrały, że najstarsi ludzie w tej tam okolicy nie zapamiętają takiej wysokości wody po rzekach. Niezmierne też szkody porobiła ona woda wystąpiwszy z brzegów: pourywała i spustoszyła wszystkie przyległe grunta; w gminie Sol porwała ze sobą dwie chaty, a w gminie Nieledwi jeden dom kmiecy, a tak duchem się wedle tego upnęła, że ludzie nie mieli nawet czasu wynieść graty ze środka. Takoż i po gościncach zrobiła woda

siła szkody, bo zerwało trzynaście większych i mniejszych mostów, a naprawa ich nie mało będzie kosztować. Pan Bóg jeszcze łaskaw, że przy tem nieszczęściu żadnego wypadku śmierci nie było.

W nocy z dnia 4. na 5. tego miesiąca, podniosła się też woda znacznie na Wiśle pod Krakowem, i porobiła niektóre szkody ale niewielkie.

Pożary. Często coś ognie mamy tego roku, a nie mało też szkody przynoszą one ludziom. I tak dnia 15 maja, w sam dzień św. Zofji, paliło się w mieście *Kołomyji.* Pożar był ogromny, bo zgorzało 61 kamienic a 128 innych pomniejszych budynków. Na dwa zawody się zapalało, a trudno było ugasić. Nie dawno temu był też ogień w mieście *Dukli* w obwodzie jasielskim; a dnia 31 maja po południu uderzył piorun w miasteczku *Jaworowie* w Przemyskiem, od czego wnet ośmnaście domów zgorzało.

Przypadek na odpuście. Dnia 19 maja, w pierwszy dzień Zielonych świątek, stał się smutny wypadek na odpuście w *Leżajsku.* Ludzi był pełny kościół jak nabił, nie miałeś gdzie szpilki wetknąć, aż tu nagle w czasie nabożeństwa odezwał się głos: — Uciekajcie, gore! — No juźci że na takie zawołanie powstał wielki strach między ludem, jeden na drugiego zaczął się cisnąć, a zaczem się jakaś część dostała na dwór i w kościele się zrobiło przestrzeniej, to już czworo ludzi uduszono na piękne, a jedenaścioro zostało mocno uszkodzonych. Pokazało się później, że w kominie w klasztorze zajęło się na prawdę, lecz ogień został zaraz przytłumiony. Jakto trza być ostrożnym z takiemi krzykami, kiedy ludzi wielki natłok!

Przytrafunek z życia naszego Ojca świętego. Przed trzydziestu sześciu laty spotkał pewien ksiądz w Rzymie młodego złoczyńcę imieniem Kajetana, właśnie kiedy go prowadzili na stracenie. Wielka pokora i zupełne poddanie się, jak widać było po nim, sprawiedliwości boskiej i ludzkiej, z jakiem winowajca ten szedł na śmierć pewną, tak wzruszyły owego księdza, że co tchu pobiegł do pałacu ówczesnego Ojca św. i prosił o ułaskawienie Kajetana, a prędzej nie chciał wyjść aż Ojciec św. zamienił Kajetanowi karę śmierci w więzienie na całe życie. Wsadzono go więc do więzienia we fortecy, która się nazywa twierdza św. Anioła. Dwadzieścia dwa lat później ksiądz ów został Ojcem świętym, dzisiejszym Piusem dziewiątym. Nie zapomniał on o onym złoczyńcy Kajetanie i chciał się teraz też przekonać, czy ten ułaskawiony prawdziwie zasłużył na jego dobroć, i czy się nawrócił zupełnie. Chciał się też i zarazem przekonać, jak się z więźniami za jego rządów obchodzą. Ubrał się więc jakby zwyczajny ksiądz, i poszedł jednego dnia nad wieczorem do twierdzy św. Anioła. Skoro tu przybył, prosi oddźwiernego o wpuszczenie. Ale to człowiek grubijański i wpuścić go niechce; dopiero kiedy ksiądz mu pokazał na piśmie pozwolenie od Ojca święt. że może

wnijść do więzienia, wpuścił go, mrucząc sobie pod nosem. Ojciec św. wchodzi do komórki Kajetana. Ten go nie poznał i dla tego ze strachem pyta się, po co przyszedł?

— Przynoszę ci dobre orędzie od twojej matki — odpowiada przebrany ojciec św. — Słysząc słowo o matce zawołał więzień:

— Moja kochana matka! A więc żyje jeszcze? Chwałaż Bogu Najwyższemu!

— Tak jest, żyje i mnie przysyła do ciebie, abym ci powiedział, że ci będzie lepiej. —

Więzień nie wi dział, co robić z radości, ale rzucił się owemu księdzu w objęcia, a ten go do serca swego przycisnął.

— Bóg się więc jeszcze nademną lituje, bo przysyła mi Anioła pociechy! — powiedział Kajetan.

Uspokoiwszy się trochę ze swojego wruszenia, opowiedział mu więzień wszystkie cierpienia przez dwadzieścia i dwa lat więzienia swego.

— Trzeba ci było pisać do Ojca św. i prosić go o łaskę — rzecze ksiądz na to. — Dosyć jużeś wycierpiał za zbrodnię, w siedemnastym roku życia twego popełnioną.

— Pisałem kilka razy, ale niedostałem żadnej odpowiedzi.

— Pisz jeszcze raz.

— Ale kto mu mój list odda? ginie jak i tamte.

— Ja mu go oddam; oto tu masz papier i ołówek. — Więzień napisał list jak najpokorniejszy i rzewnemi łzami skropiony.

— Tak, dobrze, jeszcze przed wieczorem Ojciec święty twój list dostanie. Bądź zdrów, ufaj w Bogu, zmów paciorek za Ojca św. i bądź spokojny.

Wyszedłszy z więzienia, poszedł do oddźwiernego, który dąsając i niecierpliwiąc się chodził po swojej izbie.

Do djabła! Mości księże, ciężko jegomość przeskrobał — krzyknął oddźwierny na niego — godzinęś miał tylko zabawić, a tu już dwie minuty po godzinie; ruszaj ztąd co prędzej.

— Nie klnij, człowieku, bo Boga tem obrażasz; a nużby się o tem Ojciec święty dowiedział?

— A niech wie, kiedy chce! On się tyle o mnie kłopoce, ile ja o niego.

— Nie znasz Ojca św. bobyś wiedział, że on nikim nie gardzi. Jak ty się nazywasz?

— A Jegomości djabli do tego! ruszaj sobie do kaduka, pókiś zdrów!

Wyszedł więc niepoznany Ojciec św. i poszedł do najwyższego urzędnika twierdzy św. Anioła. Ten nie wiele był grzeczniejszy.

— Jeszcze jakiś natrętnik! — zawołał — żywo, Mości Księże, czego Jegomość chce, bo ja nie mam czasu!

— Żądam uwolnienia dla więźnia Kajetana.

— Jegomość żartuje; sam tylko Ojciec św. uwolnić może.

— Ja też w imieniu Ojca świętego tu przychodzę.

— A dowód na to? —

Oto tu jest! — i Ojciec św. Pius wziął pióro i napisał w jego oczach: Rozkazuję zarządcy twierdzy świętego Anioła, by więźnia Kajetana wypuścił natychmiast na wolność, a oddźwiernego odpędził. Podpisał Pius, Papież.

Zarządzca poznał po piśmie, kto jest ten ksiądz i padł Ojcu świętemu do nóg, prosząc o przebaczenie za takie przywitanie go. Kajetana natychmiast wypuszczono, który odtąd matkę żywił i był poczciwym człowiekiem. Onego odźwiernego grubijana zaraz odpędzono. — Po dwóch miesiącach dostał on znowu miejsce jakieś, kiedy przyrzekł, że już nie będzie więcej klął i z nikim się tak grubijańsko obchodził. I dotrzymał słowa.

(*Prz. lud.*)

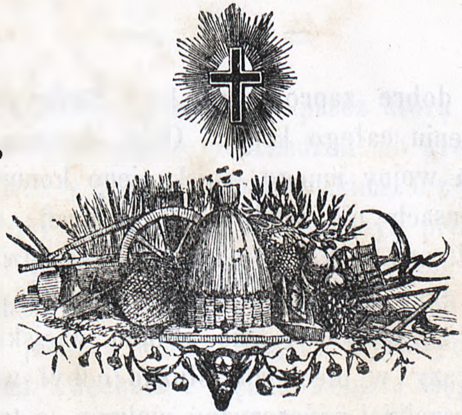
Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.

Tom IV. Nr. 18.

21. Czerwca. 1861.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

STEFAN BATORY, KRÓL POLSKI,

i Jan Zamojski, hetman.

Słyszeliście już przy moskiewskiej wojnie, jakto Jan Zamojski doskonale wojskami przywodził, i walecznie zdobywał obronne zamki; nie zawadzi też opowiedzieć wam tutaj i co więcej o tym Zamojskim, jako że był to pan bardzo uczony i wielki wojownik.

Jak tylko przyjechał król Stefan do naszej ziemi, tak ci zmiarkował zaraz, że Jan Zamojski to najtęższa głowa między wszystkimi panami. Więc pomyślał sobie :

— Muszę ja się z nim dobrze zaznajomić, bo on mi może nie w jednem być do porady, jako znajomszy odemnie w sprawach całej ziemi.

I wnet też zaprzyjaźnił się król Stefan ze Zamojskim, a wcale się nie oszukał, lecz owszem dobrze na tem wyszedł, bo ów był mu we wszystkiem chętny i pomocny. Więc skoro potem przyszło do wojny z Moskalem, tak nasz król zrobił Zamojskiego hetmanem, czyli najwyższym dowódzcą nad wojskami, z czego nie mały był pożytek dla wszystkich, bo Zamojski umiał dobrze wojować, i bił Moskala co się tylko wlazło.

Niejedno dobre zaprowadził król Stefan razem z Zamojskim w urządzeniu całego kraju. Otóż dawniej, nie mieli nasi do prowadzenia wojny innego wojska jeno konnicę, a ta w górach albo w lasach nie wiele zrobić potrafi; więc król z Zamojskim myśleli nad tem jak-by tu temu zaradzić, i postanowili wojsko piesze, czyli piechotę. Składała się ta piechota, nie jak reszta wojska ze szlachty, jeno z ludu wiejskiego, a człowiek ten, co trzy razy w piechocie służąc odbył wojnę, stawał się już potem od wszelkiej pańszczyzny wolnym, a trafiało się nieraz i szlachcicem. Ustanowił też ten król trzy najwyższe sądy, starając się o to, żeby w całym kraju dobra była sprawiedliwość, a jeden z drugim nie robił co mu się podoba, bo na porządku i sprawiedliwości dobro kraju zależy.

Król kochał Zamojskiego jak brata i przyjaciela dobrego, a chcąc go sobie jeszcze bardziej zjednać, dał mu synowicę swoją imieniem *Gryzeldę* za żonę.

Niesłychanie huczne było to wesele Zamojskiego z Batorówną, a odprawiało się na królewskim zamku w Krakowie. Mnóstwo było gości sproszonych, tak z zagranicy, jak też i swoi senatorowie znajdowali się prawie wszyscy. Wesele to trwało cały tydzień. Na przenosinach państwa młodych odbywały się gonitwy na rynku krakowskim. Sam król z królową patrzał na to z okna jednej kamienicy. Siedm par, czyli czternastu rycerzy *goniło na ostre*, tj. uderzali na siebie kopijami, i niejeden oberwał tam porządnego guza. Potem przyjechały maszkary, czyli ludzie poprzebierani w maski i stroje osobliwe. Najpierwsi wyjechali murzyni, prowadząc słonia, który miał na sobie wieżę; z tej wieży wylatywały różne fajerwerki i ognie. Znowu wyjechał wóz ciągniony przez dwanaścioro dzieci, wyobrażający dwanaście godzin. Każde dziecko miało zegarek na głowie; na wozie siedział człowiek z brodą i kosą w ręku, który wyobrażał czas, a za wozem szły osoby wyobrażające słońce i księżyc. Dalej szedł wóz niebieski w obłokach, zrobionych bardzo sztucznie z bawełny, ciągniony przez trzech orłów. Na tym wozie siedział niby to bożek jakiś, który rzucał pioruny; taki sztuczny jeden piorun zapalił obłoki z bawełny, i wszystko dobrze palić się zaczęło, co jednak szczęściem ugaszono.

Była znowu okazała brama zrobiona, przez którą przeciągali rycerze cali w żelazie; trębacze poprzedzali ich grając na trąbach. Za nimi jechał wóz z jeńcami moskiewskimi, i z łupami zdobytemi na nich; jeńcy ze swoim hetmanem byli przykuci do woza łańcuchami. Był też tam i błazen, który naśmiewał się z cara Iwana że tak groził Polakom przed wojną, a po wojnie opuścił uszy. Za tymi jechały osoby udające myśliwych, z chartami, sokołami, sieciami. Jechała i piękna kobieta ciągniona od wielorybów, którym z pyska, z oczu i z nozdrzów wytryskał pachnący olejek. Gdy cały ten orszak przeciągał przez miasto, rzucano pomiędzy lud śrebne talary.

Aleć kiedyż jest szczęście doskonałe? Otóż i Zamojski nie był zupełnie szczęśliwym, a to dla tego, że miał wroga w jednym także wielkim panu, który się zwał *Zborowski Samuel*. Miał ten Zborowski kilku braci, którzy też po jego stronie stawali, i dużo innych panów za sobą, więc broił sobie niejedno, i zawsze mu na sucho uchodziło. Trzeba zaś wiedzieć, że był ten wichrzyciel jeszcze za króla Walezego z polskiej ziemi wygnany, a to dla tego, że zabił jednego z panów pod samym zamkiem królewskim; aleć że potem przy Batorym w Siedmiogrodzie siedział i do jego królestwa się przyczynił, więc pozwolił mu król wrócić do kraju, i jakoś wszyscy przez szpary się na to patrzyli.

Lecz Zborowski nie mógł cicho na miejscu usiedzieć, co chwila zrobił jakąś burdę, i nie bał się nikogo, ale owszem naśmiewał się ze wszystkich. Tak go też w końcu to jego szaleństwo oślepiło, że zaczął się wdawać w różne sprawy z Kozakami, a wreszcie z carem moskiewskim i z Niemcami, podbechtując ich na Polskę. Pisywał on w tej mierze listy do swoich braci, i jakiś czas nic, aż ci w końcu wpadły Batoremu do ręki takie pisania, z których jasno zdrada Zborowskich się pokazywała. Więc kazał król Zamojskiemu pojmać Zborowskiego, i w więzieniu osadzić, co też hetman niebawem uczynił.

Dopieroż zaczęły się sądy straszne na zamku krakowskim. Król był wtedy w Litwie, ale nakazał Zamojskiemu jak najostrzej sobie postępować, więc też swarów i różnych mów było

*

co niemiara; aleć w końcu stanęło na tem, że Samuel Zborowski jest winny, i musi dać garło pod miecz katowski.

Jakoż niezadługo, choć tak wielkiego pana, wyprowadzał raniutko kat za furtkę zamku krakowskiego na ścięcie. Zborowski był bardzo skruszony, bo poprzód długi czas modlił się w kościele. Wyszedł też za nim i Zamojski z kościoła, i zawołał:

— Panie Zborowski postój, proszę cię, i odpuść mi, że cię tracę!

— Obejrzał się Samuel i rzekł: — Nie odpuszczę!

— Postój! — wołał drugi raz Zamojski — odpuść proszę cię.

— Nie odpuszczę, już to wiedz — odparł tamten.

Więc po trzeci raz zawołał Zamojski:

— Dla Boga cię proszę, odpuść mi! —

A wtedy Samuel stanął, mówiąc:

— Tuś mię zagadł, i odpuszczam.

Potem wyprowadzono go na plac tracenia, a tam gdy po trzeci raz wymawiał imię *Jezus*, hajduk ściął mu głowę. Bo taka już była wonczas sprawiedliwość, że nie zważano czy chudy pacholik czy pan wielki, jeśli tylko źle tej ziemi polskiej życzył, to musiał to odpokutować. A sprawiedliwość ta szła od samego króla, zaś wiecie, że na tem najwięcej zależy czy głowa dobra, bo wtedy i wszystko inne będzie dobre.

Aleć niedługo już miała się cieszyć Polska tym sprawiedliwym królem. We dwa lata jakoś po owej sprawie ze Zborowskim, wyjechał Batory do Litwy, i tam myślał właśnie nad tem, czyby nie wydać Moskalowi wojny, bo nowy car po śmierci Iwana nie chciał wszystkiego jak się należało dotrzymać: gdy nagle zapadł w słabość z przeziębienia, i wnet zabrał go pan Bóg z tego świata na nieszczęście całej polskiej ziemi.

Przypada ta śmierć smutna w Grudniu roku 1586; miał Batory wtedy lat 54, a u nas panował przez dziesięć, i było to panowanie dla chwały i dobra całego narodu.

MALINY.

Przez litewski łan
Jedzie, jedzie pan,
Przed nim, za nim jego cugi,
W złocie, w srebrze, jego sługi,
Jedzie w gościnę,
Jedzie w gościnę.

Przyjechał na dwór,
Do matki dwóch cór:
— Matko, matko masz dwie róże,
Obie krasne, obie hoże,
Daj mi jednę z nich,
Daj mi jednę z nich!

Matka prosi wnijść,
Każe córkom przyjść,
Lecz pan obie równo kocha,
I tę trocha i tę trocha,
Któraż tu wybrać?
Któraż tu wybrać? —

— Dwa im dzbanki daj,
Niechaj idą w gaj,
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze,
Ta będzie panią,
Ta będzie panią!

Słońce się zza drzew
Rumieni jak krew,
Krwawą łuną gaj ozłaca,
Z gaju starsza córka wraca,
A młodszej nie ma,
A młodszej nie ma.

Na jej czarnej brwi
Niby kropla krwi;
Któż wie z jakiej to przyczyny,
Od maliny lub kaliny,
Może to nie krew,
Może to nie krew!

— Oto malin dzban
Gdzie mój mąż, gdzie pan?
Siostra już nie wróci z gaju;
Może wpadła do ruczaju,
Może pożarł wilk,
Może pożarł wilk.

Pan rozesłał sług
Do gaju, nad strug;
Całą noc w gaju wołali,
Cały dzień w strugu szukali,
Nie ma i nie ma,
Nie ma i nie ma! —

Pan miał złota wór,
Murowany dwór;
Szczęśliwy z żoną szczęśliwą,
Z krasawicą urodziwą,
Z tą córką starszą,
Z tą córką starszą.

A gdy przyszedł maj,
Pobiegł panicz w gaj;
Kręcił dudki, zrywał kwiatki,
Z klaskiem, wrzaskiem biegł do matki:
— O mamo, mamo!
O mamo, mamo! —

Otóż dudkę mam,
Otóż pięknie gram;
Dudka moja osobliwa,
Jak siostrzyczka moja śpiewa,
Słuchaj piosenki,
Słuchaj piosenki:

„Graj Michasiu, graj!
Jak dziś kwitnie maj,
Tak nad róże, nad bławatki
Dwie nas kwitło w domu matki...
O moja wiosno!
O moja wiosno!

Ach, lecz siostry nóż
Skosił różę róż;
Pod kurhanem me mieszkanie,
Dzika wierzba na kurhanie...
O moja wiosno!
O moja wiosno!"

— Dziko synu grasz
Zkąd tę dudkę masz? —
— Dudkę ukręciłem w gaju,
Z dzikiej wierzby przy ruczaju,
Przy krzaku malin,
Przy krzaku malin. —

Pani pobladła,
Jak stała, padła;
Ileż straty, ileż szkody,
Wieś tak wielka, mąż tak młody,
Dziatki nieletnie,
Dziatki nieletnie!

Przez litewski łan
Jedzie, jedzie pan,
Lecz w całunach jego cugi,
Lecz w żałobie jego sługi
Przy trumnie pani,
Przy trumnie pani! —

A. Ch.

O konstytucyi trzeciego Maja.

Nieraz to wspominają ludzie o tej dziwnie dobrej *konstytucyi*, więc też nie zawadzi powiedzieć wam kilka słów o niej.

Dnia 2go Maja 1791 roku zasiadł sejm na zamku królewskim w Warszawie, i wielkie tam działy się rzeczy. Zebrani panowie na czele z królem Stanisławem Augustem, pod marszałkiem sejmu, Stanisławem Małachowskim, ułożyli błogosławioną dla kraju ustawę. Po pierwsze: ażeby odtąd król był dziedzicznym, to jest: by syn następywał po ojcu, czego po śmierci ostatniego króla z rodu Jagiellonów nie bywało, i co też przy wyborach nowego króla niejednę sprowadzało niezgodę. — Po drugie: aby większa była siła wojska ku bronieniu granic od nieprzyjaciela. — Po trzecie: aby ministrowie byli odpowiedzialnymi za sprawy swoje. Po czwarte: uchwalono usamowolnienie włościan na zasadzie umowy z dziedzicami. Po piąte: aby wszystkie stany były sobie równe: by jeden przed drugim nie nazywał się lepszym, tylko jako wyszedł z rąk Bożych: bratem jeden drugiemu, a nie wzywał przed innymy jakiegoś tam dla siebie prawa, choćby się był i w złocistym urodził pałacu.

Król pierwszy ozwał sie za tą uchwałą porównania stanów i usamowolnienia włościan. Poczem marszałek sejmu Małachowski, punkta do ustawy wymienił — i powstały głośne na sali wiwaty. Wszyscy wołali: Wiwat wolność! Wiwat równość! Król z narodem, naród z królem! Wiwat Małachowski!

Podano królowi księgę ewangielii św., i poprzysiągł przed biskupem krakowskim, ks. Turskim: jako ową ustawę ściśle zachowywać i do ostatniej krwi kropli bronić będzie. Po skończonej przysiędze zawezwał wszystkich do kościoła farnego, św. Jana, na wykonanie podobnejże przysięgi.

W tym czasie wiadomość o tem co zaszło na sejmie, niby błyskawicą na całą ziemię wybiegła — i zebrały się w jednej chwili nieprzeliczone tłumy ludu przed zamkiem. A gdy król z panami sejmującymi do kościoła przechodził, głośne podnosiły się okrzyki radości najwyższej. Powtarzano ciągle: Król z narodem, naród z królem! — i krzyczano: Wiwat Małachowski! Niech żyje zacny marszałek sejmu! Wiwat Sapieha, marszałek litewski!

W kościele przysięgę wykonali wszyscy: jako będą strzegli i bronili tego prawa, które szczęście całemu narodowi przynosi. Kto tylko chciał, to rękę do góry podnosił. I padali na kolana, modlili się, Bogu dziękowali — i płakali. Nieprzyjaciel nieprzyjacielowi rzucał sie na szyję i ściskali się, gdyby bracia kochający: wszędzie szerzyła się jedność i zgoda.

Po wykonanej przysiędze zaśpiewano pieśń: Ciebie Boże chwalimy! a potem panowie znowu do izby sejmowej wrócili, i spisano całą tę ustawę jak przynależy, ze wszelką formalnością.

Potem, gdy skończyło się to posiedzenie sejmowe, udali się wszyscy na ratusz. Małachowskiemu chciano konie u karety wyłożyć, i tysiące rąk do niej pragnęło się zaprządz. Ale nie pozwolił na to żadną miarą, i znowu krzyczano: Wiwat Małachowski!

Na ratuszu panowie, a na ich czele Małachowski i książę Sapieha, zapisali się w miejską księgę — to jest: zrównali się z mieszczaństwem. Znowu wielkie powstały wiwaty! Szlachta ściskała się z mieszczaństwem: z krawcami, szewcami, a gdy

na ulicę wybiegli i spotkali chłopków, to i z nimi się całowali, że aż pan Bóg radował się w niebie z tej miłości braterskiej.

Dnia drugiego, w dniu trzecim Maja ogłoszoną publicznie została nowa ustawa, którą nazwano: Konstytucyą trzeciego Maja.

Wieczorem w całej Warszawie wielkie było oświetlenie, bo i najbiedniejszy wyrobnik w okienku swojem zapalił świeczkę i wianek zielony zawiesił.

Przed pałacem marszałka Małachowskiego było najpiękniej. Paliło się tam świateł tysiące. Stał posąg, który wyobrażał kraj polski, a przy nim były herby wszystkich województw, i śliczne napisy, literami wielkiemi z lamp kolorowych: wolność handlu — prawo dla włościan — porównanie stanów.

Lud częstowali po placach majętniejsi kupcy i panowie, muzyka grała, śpiewano i tańczono. Oto pierwsza zwrotka poloneza, nazwanego trzecim Maja:

Zgoda sejmu to sprawiła,
Że nam wolność przywróciła.
Wiwat, wiwat wszystkie stany!
Niechaj żyje król kochany!

Ale, mój Boże jedyny! niedługo to było tej szczęśliwości. Nieprzyjaciel patrzał się na wszystko zazdrośnem okiem i z nienawiścią szatańską — i Moskale rychło wojskiem swojem kraj zalali. Przyszło do bitew krwawych — i przemoc zwyciężyła: pokrajano Ziemię Polską, niby szmatę jaką. Król Stanisław August umarł, jako więzień cara moskiewskiego w Petersburgu. Wrogowie podarli konstytucyą trzeciego Maja, która kłóła ich w oczy, a nam pozostało się o niej tylko święte a błogie wspomnienie.

Paulina z L. Wilkońska.

Śmierć zacnego pana.

Niedaleko miasta Mohylewa, mieszkał w znacznych dobrach swoich pan Ignacy Chodkiewicz. Zacny to był obywatel, dobry sąsiad, a miłował lud wiejski gdyby ojciec rodzony. Wszyscy

też przychodzili do niego na poradę, jako do najlepszego opiekuna, nawet i wtedy, gdy przyszło któremu córkę za mąż wydać albo syna ożenić: dziedzic o wszystkiem wiedział, dobrze poradził, bo miał i rozum i wolę najlepszą. Kiedy dwóch się poswarzyło — jak to bywa zwyczajnie — zaraz i do dziedzica poszli: pan wysłuchał jednego i drugiego, rozrządził sprawiedliwie, powiedział jednemu: w tem zbłądziłeś; drugiemu: w tem sobie źle postąpiłeś, i kazał, by sobie ręce podali, i znowu świętą zaprowadził zgodę.

Dnia jednego wracał pan Chodkiewicz do domu, a były właśnie złe drogi, jak to na wiosnę, w czasie roztopów bywa, a przytem jeszcze wieczór ciemny, choć oko wykól. Woźnica o ile mógł, ostrożnie jechał, ale nieszczęście zrządziło wszelako, że powóz wywrócił, a biedny pan wypadł i srodze się uszkodził. Przywieźli go nawpół żywego do domu, przywołano doktora — aleć, mój Boże, ten już nic pomódz nie zdołał. Siódmego dnia choroby zażądał pan Chodkiewicz księdza, dysponował się przykładnie; a potem żądał, ażeby puszczano wszystkich do niego, ktoby go chciał pożegnać, ponieważ czuje, że śmierć się zbliża. Gdy ta smutna wiadomość rozeszła się po wsi, zebrali się wszyscy na dziedziniec: gospodarze, parobcy, kobiety, starcy i dzieci, z wielkim żalem, by pożegnać dobrego pana i prosić o jego błogosławieństwo. Dwóch sędziwych chłopków przylgnęło do rąk umierającego. Płaczące niewiasty podnosiły dzieci swoje, by się przypatrzyły poczciwemu panu. A chory podniósł się z boleścią na łóżku, wyciągnął rękę, i jako ojciec rodzony a kochający całą pobłogosławił gromadę; przy tęm prosił: by wzięła w opiekę wdowę jego i sierotki. Rozległ się płacz głośny, wszyscy przyklękli. Mężczyzni przyrzekli o co prosił umierający; niewiasty modliły się głośno. I skonał zacny Ignacy Chodkiewicz z wielką dla wszystkich żałobą.

Gdy wyprowadzano ciało, znowu cała zeszła się gromada. Otoczyli wóz pogrzebowy i zaśpiewali: Ach mój Boże! wierzę Tobie! — i przeprowadzili drogie zwłoki do kościoła parafialnego w Łuszowie, oddalonego o dwie mile.

Zmówcie i wy paciorek za duszę poczciwego pana i szlachetnego człowieka ś. p. Ignacego Chodkiewicza.

Paulina z L. Wilkońska.

Ciekawy Wojtuś.

Telegraf.

Dom pana rymarza Walentego stał przy samym gościńcu, widziałeś więc czy to z ławy czy z okna co się na drodze dzieje. Ha, nic się tam tak dziwnego nie działo: jechali ludzie z jarmarku i na jarmark, szły bryki skrzypiące wysoko naładowane, szedł ten i ów człowiek, czasem znajomy, więc majster pogadał z nim chwilkę przez okno, i tak było długo, długo; aż ci raz przyszli robotnicy, i zaczęli kopać doły przy gościńcu, i wsadzali wysokie, jodłowe, gładko ociosane pale.

— Co to będzie? — pytał jeden drugiego, i stawali ludzie, przypatrywali się onej robocie.

— Pewnie będą kogoś wieszać — ozwał się szewc Skuba — bo widzicie haczek żelazny u góry.

— O, ruszył rozumem jak martwe ciele ogonem! — zawołał sąsiad Skuby — a toćby ludzi nie nastarczyli do wieszania. Toć przypatrz-że się co tam tych palów już stoi!

Spoglądneli wszyscy, a jużci, jak gościniec długi, tak ci pal za palem stoi, a inni robotnicy przybijają żelazne haczki w górze i wieszają na nich nie ludzi, jeno jakieś niby dzwonki szklanne, i ciągną drót miedziany od jednego do drugiego.

— A bodajże ich! ta co to będzie? — zawołał Skuba rozciekawiony do żywego, skrobiąc się w głowę.

— A kiedyś taki ciekawy, to idź się spytaj robotnika — ozwał się sąsiad szturkając go w ramię.

— Więc Skuba poszedł, uchylił czapki i pyta się grzecznie: do czego to te pale oni zasadzają.

— To bude sem *telegraf* do gadania! — mruknął robotnik, jakiś czech czy szlązak.

— *Telegraf* do gadania! — powtórzył Skuba, otworzył gębę i przejechał palcem po czole.

— *Telegraf!* — powtórzyli za Skubą ludzie, powytrzeszczali oczy jeszcze bardziej niż dotąd, i porozchodzili się do domów, ale żaden z nich nie wiedział, co to będzie ten telegraf do gadania.

Tymczasem robotnicy robili i zrobili, i wnet stały rzędem pale, i drót był po nich wierzchem poprzeciągany, a ludzie chodzili i dziwili się, ale żaden nie wiedział do czego też to takie dziwo może być przydatne.

Widział też i Walenty całą tę robotę, boć przecie przed jego domem także stawiali, a uśmiechał się tylko i oczami mrugał, boć on człek stary i bywały znał już z innych krajów takie telegrafy, wiedział dobrze na co je stawiali. A ciekawy Wojtuś nie mógł już na miejscu usiedzieć, jeno się kręcił wciąż wedle ojca i w oczy mu spoglądał, takby się rad coś dowiedział o tych dziwnych słupach z drótami.

Jakoż wnet trafiła się pora. W niedzielę popołudniu usiadł Walenty przed domem, a Wojtuś koło niego: przyszedł też szewc Skuba ze swoim sąsiadem, więc pan rymarz zaczął im rozpowiadać o telegrafie, w ten sposób:

— Może mi nie zechcecie uwierzyć co wam tu powiem, takie to jest dziwne, aleć nie darmo głowa moja siwa, toż was i oszukiwać na starość nie myślę.

— O mój Walenty, a toć przecie każdy daje wam wiarę — przerwał Skuba tę mowę starego, a Wojtuś przysunął się bliżej do ojca.

— Otoż na ten przykład — zaczął znowu pan rymarz — widzieliście nieraz, że jak kowal kawałek sztaby do ognia jednym końcem kładzie, to drugi koniec obcęgami chwyta. A dla czego to? Owóż dlatego, że jak jeden koniec żelaza jest w ogniu to na drugim końcu, choć się z ogniem nie styka, także się możesz spiec uczciwie, bo ciepło od węgli po całym żelazie się rozchodzi.

— No, to prawda! — ozwali się słuchacze.

Walenty poprawił się na ławce, i tak mówił dalej:

— Uważajcież teraz dobrze! Jak ono ciepło co z jednego miejsca wszędzie się rozchodzi, tak też w ziemi, w bursztynie i w różnych innych rzeczach jest taka siła, co jeszcze prędzej od ciepła się rozchodzi. Możesz widzieć tę siłę w bursztynie, jeżeli go potrzesz o sukno i przybliżysz do drobniutkiego puchu, to ci te piórka tak do onego podskoczą jak żywe. A jaka ta siła bywa czasem straszna, to najlepiej widać po piorunach,

gdyż te wtedy tylko biją, kiedy ona z chmur do ziemi przeskakuje. Owóż tę siłę nazwali obcy ludzie: *elektryką*, więc tak się też i u nas nazywa.

— Trzeba wam teraz wiedzieć — ciągnął dalej pan majster — że jak ciepło nie po wszystkich rzeczach się rozchodzi, bo jak zapalisz kawałek drzewa z jednego końca, to go możesz za drugi trzymać, a nic cię nie spiecze: tak też i elektryka przez byle co nie przejdzie. Jak dla ciepła tak i dla elektryki najlepszemi są przewodnikami *kruszce*, jak: żelazo, miedź, srebro i t. d. A jeżeli jeszcze do tego powiem że ludzie sztucznym sposobem elektrykę, czyli oną siłę dziwną wywołać potrafią, toć już zaraz zrozumiecie, jakim to cudem telegrafy gadają.

Owóż w głównych miastach przy gościńcach, kędy te słupy poustawiali, są osobne izby i osobni ludzie do robienia tej elektryki. Mają też ci ludzie umówione między sobą znaki, z których tak czytają jak z książki, a mogą też każdego czasu jak im się podoba puścić elektrykę po tym drucie na owych słupach; więc jeżeli jest co pilnego, że o tem o kilkadziesiąt mil wiedzieć muszą, więc urzędnik od telegrafu puszcza elektrykę po drucie, raz trochę, drugi raz więcej, wedle tego jaki chce znak mieć czy krótki czy długi, a w onem miejscu gdzie ta elektryka idzie, jest już taki gwóźdź urządzony, którym ona rusza, i znaki krótkie i długie na papierze wybija. No, więc nic trudnego tamtemu przeczytać z papieru na znakach, i dowiedzieć się co tam słychać o mil kilkadziesiąt.

— Aha, — zawołał Skuba i otworzył gębę — już go mam! Ale że ta elektryka bestyja nie zbłądzi, jeno sobie tam idzie, gdzie kto zechce!

Walenty uśmiechnął się i ruszył wąsami:

— A od czegoż są druty? Toć przecie po drucie idzie, więc gdzie drut pociągnięty, tam też i ona zajdzie.

Roześmieli się teraz wszyscy z mądrego Skuby, boć to przecież jasne jak słońce.

— A nie tylko że trafi — mówił dalej Walenty — ale ci tak prędko idzie, jak żebyś raz jeno okiem mrugnął. Nie ma też nawet mowy o tem, żebyś ją chciał dogonić choćby ptakiem, choćby żeleźnicą! —

— Mój tatusiu — odezwał się jeszcze ciekawy Wojtuś — a że też to tego nie widać jak idzie?

— A widziałeś ty wiater? — rzecze Walenty, — Chyba po tem jak drzewa zgina. Owóż wiatru także nie widać, a przecież ma on taką siłę że dachy zrywa i drzewa wykorzenia.

— Prawda, prawda! — odezwali się wszyscy i dziękowali Walentemu za wytłumaczenie tej dziwnej sprawy z telegrafami.

— Hej, miły Boże! — rzekł wreszcie pan rymarz powstając z ławki. — Dużo jest takich rzeczy, o których my nic nie wiemy, a tysiąc takich, o których się i największym mędrcom nie śniło, bo wielka jest moc i mądrość Boga. Chodźmyż Go więc pochwalić w świątyni Jego — dodał Walenty.

Prawie też zadzwonili na nieszpory, więc wszyscy jak byli powstali i szli do kościoła.

Grześ z Mogiły.

Ptaszki.

Wieczór był cudownie piękny, jak to zwykle bywa na drogiej naszej ziemi, kiedy Boża wiosna na nią zawita. Pomiędzy liście igrały promienie słońca i obłoczki złotych muszek, wrzosy i trawy w lesie pachniały, a Boży śpiewacy, ptaszkowie, każdy po swojemu, śpiewali i świegotali, aż się serce radowało: i kos, i wilga, i pokrzywka, i w ciemnych krzakach słowik, dalej na polu w podrastającej pszenicy gospodyni przepióreczka, a wysoko, wysoko skowroneczek, wiosny dzwoneczek.

Jakie to małe mój Boże! — a tak się cieszyć umie; takie to niepokaźne i niby liche, a jak to wdzięcznie śpiewa; z jaką to skrzętnością buduje sobie gniazdeczko, jak pieści i kocha drobne pisklęta swoje! — myślałem sobie. I nie wiem coby tam pomyślał sobie człowiek miastowy, gdyby mnie zeszedł onego wieczora w lesie — bo to prawdę wyznawszy, w oku łza mi świecić poczęła, kiedym tak patrzał na ten drobny a liczny światek ptaszy.

Aż oto nagle zaszmerało, jakby się ktoś z głębi lasu zbliżał ku ścieżce, i usłyszałem prędko wyrzucane słowa, jakby

kto klął Boże odpuść! Był to gajowy widocznie, z strzelbą przez plecy zarzuconą, głowę zwiesił ku ziemi, a szedł szybko, a machał rękami, to znowu pięść prawą podnosił do góry, jakby się odgrażał.

— A to skaranie Boże! a to Sodoma! jeszczeż tego nie było! a żeby nie skonał! A to skaranie Boże z zawłokami temi! A toć to Boskie i nasze, toć to się u nas wychowało! A co to komu winne! — wołał z pod nosa gajowy, aż i podczas tej rozmowy z samym sobą, do mnie się zbliżył.

— I cóż to takiego człeku? — spytałem gajowego, który mnie wreszcie postrzegł, i skłoniwszy się przywitał po chrześcjańsku: — Niech będzie pochwalony!

— A paniczu, płakać mi się chce, serdecznie płakać. Oj żeby to wolno było bić, popamiętał by do grobu, i kto wie czyby to się do domu nazad dowlokło! — rozrzewniony i gniewny zarazem wołał stary gajowy.

— Ale cóż to przecie takiego? czy wam kto krzywdę wyrządził? zapytałem na nowo.

— Nie, mnie nie skrzywdził, paniczu—aleć to obraza boska! Przywlokło się jakieś cudzoziemczysko do leśniczego w tutejszych cesarskich lasach; brat podobno jego; bez butów prawie, choć w surducinie, niemyte, a w oczy aż strach popatrzeć. Siedziało to sobie cicho z początku, widać odjadać się musiało, bo o proszonym chlebie przywlokło się jak powiadają. Aż tu nagle zaszło w las z klatkami, prętami i różnem robactwem, i dalejże łapać słowiki! I nałapało zeszłego roku więcej może jak sto, i wywiezło. A tego roku nanowo tu przybyło, ale już nie piechoto, tylko czepiając się wozów po drodze.

— Dziwno wam paniczu — ciągnął poczciwy starowina dalej. Bo i komuż by coś takiego na myśl przyszło! Wszakci to takie małe, liche, niewinne mój Boże, tak to słodko śpiewa, że słuchając nieraz się człowiek rozpłakać gotów; i choćby dojadał frasunek najgorszy, to weselej jakoś wtedy koło serca.

— I cóż, nie skarzyliście do urzędu? zapytałem.

— A na co się to przydało, paniczu? Powiadają, że starszy w becyrku, to jakiś kmotr czy krewniak jego. Ledwie ksiądz wikary wstrzymał gromadę, że kości nie potłukła za-

włoce. Cóż było robić? Prosiliśmy jego, aby sobie poszedł z Bogiem, ale tylko oczy wybałuszył, i coś szwargotnął po niemiecku. Udaliśmy się do leśniczego, ale nas wyśmiał, i za drzwi wytrącił. Wreszcie my się złożyli po groszu, dawaliśmy, aby dał ptaszkom pokój; i to na darmo. Ale trafiła kosa na kamień! — zawołał gajowy, i roześmiał się.

— Trafiliście do końca z niemcem?

— Ho, ho, trafili, choć to on ma rozum zagraniczny. Jak się tylko niemczysko pokaże w lesie, to już za nim chłopcy ze wsi okolicznych; jak zaczną hukać, wołać, śpiewać, rzucać prętami, bić po krzakach, to ptaszęta za siódmą granicę uciekają — a zawłoka aż się kurczy od złości, i klnie po swojemu, i jak opętany skacze. To się znowu pocznie lizać, pokazywać pieniądze chłopcom — ale żaden nie chce zaprzedać diabłu duszę.

— Więc cóż: czy pojechał?

— A na złamanie karku, Boże odpuść! I żeby nas popamiętał, to podobno coś na drodze oberwał. Odjechał dzisiaj. A jeżeli łaska, to wy paniczu jako piśmienni, opiszcie to do gazet, aby się ludzie o tem dowiedzieli; bo może bieda gdzie dalej pojedzie na krzywdę ludzką i obrazę Bożą.

R. z W.

RÓŻNOŚCI.

Czego ty szukasz? Często się zdarza, że i między najzgodniej żyjącem stadłem powstają swary i gniewy. To samo też zaszło w domu szewca **Kudrego**.

O coś im tam poszło, dość że się pokłócili, a mąż się tak srodze zawziął na swoją kobiecinę, że przez kilka dni ani słówka nieprzemówił do niej. Jak rano wstał, to zmówiwszy pacierz, zabierał się do roboty; a jak mu dała żona jeść, to zjadł, otarł gębę i dalejże znów do kopyta i dratwy — ani słówka niepisnął, choć mu za uszami gderała. — Kudry udawał, jakby niesłyszał tego gadania.

Minęło tak jakoś parę dni. — Razu jednego już w nocy majster leżał w łóżku, naciągnął kołdrę na uszy i pomyślił sobie: — Gadaj teraz, co ci się żywnie podoba. Obrócił się do ściany i już począł usypiać. W tem majstrowa bierze świecę i zaziera w każdy kąt; odstawia, przystawia, to coś sprząta, a tłucze się przytem jak Marek po piekle i przyświeca sobie,

niby czegoś szukając, poziera po ziemi, po gratach, a nawet i po warsztacie mężowym. —

Szewc, obudzony takiem tłuczeniem się żony, odwraca się, spoziera z pod oka zdziwiony — jakby się pytał: — Czego ona szuka?

Ale niemiał jeszcze ochoty majstrunio przemówić do swej żony — leży więc i nic nie mówi. — Ale że stukanie i przesuwanie dość długo jeszcze trwało i nie dało mu spać — zniecierpliwiony biedny Kudry siada na łóżku i patrzy w około; a gdy jego żona, na którą on się tak śmiertelnie zagniewał, przyszła na środek izby i świeci, spozierając na podłogę jakby coś zgubiła i szuka — więc krzyknie rozzłoszczony do żywego: — Czego ty szukasz?

— A twojej mowy — odrzekła mu łagodnie żona — i właśniem ją teraz znalazła. Powiedzno mi ty, czego się ty gniewasz; nic do mnie nie mówisz!?

Po takiem przemówieniu żony udobruchał się jakoś majsterek, a nawet się uśmiechnął — i odtąd pogodzili się szewcowie i rozmawiali ze sobą wesoło.

Grad. Nie dosyć na pożarach częstych i powodzi, jeszcze grad niszczy zasiewy, nadzieję przyszłego chleba. Oto dnia 2. czerwca między 4 a 5 godziną z południa wyszła od Przemyśla straszna chmura i rozwiesiła się nad polami, ciągnącemi się ku *Mościskom* i *Sądowej Wiszni.* Już koło Przemyśla zaczęła rzucać gradówkami, wielkiemi jak kurze jajo, a przeszło pół godziny sypała strasznym gradem po polach Medyki i pobliskich wsi. Niesłychane szkody porobiła gradowa burza we wsiach: *Medyka, Szechynie, Balice, Koniuszki* i pod Sądową Wisznią w kilku wioskach. Drzewa zostały bez liści, prawie że nagie, ozimina zmierzwiona i stłuczona że jej nawet nie rozpoznasz; w kilku miejscach leżały gradówki na pół łokcia wysoko, a niektóre były blizko takie jak gęsie jajo, i te mogłeś jeszcze widzieć na drugi dzień rano. I tak za pół godziny kilka mil kraju zostało bez chleba.

Co się dzieje, co się to dzieje! Czy to już sąd ostateczny na nas biednych? —

☛ *Dzisiejszy numer jest ostatni z tego miesiąca Czerwca, i z nim prawie kończy się dwa lata, jak wam ten Dzwonek papierowy moi ludzie różne rzeczy wydzwania. Brzydko to jest chwalić się, aleć wiem od różnych znajomych i przyjaciół, że wam Dzwoneczek niejedną sprawił uciechę i niejedną też przyniósł naukę. Tak samo będzie on się i dalej sprawował, a i z płaceniem zostanie jak dawniej, choć wszystko podrożało, bo czasy kiepskie. Posełam wam też dzisiaj różową okładzinkę i spis rzeczy, i żegnam was panem Bogiem! —*

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.